

M. ZIEMSKI - T. PIECHOCKI

WSZERZ I WZDŁUŻ ZIEMI WIELKOPOLSKIEJ

TOM I.

19

POZNAŃ

34

NAKŁADEM AUTORÓW — SKŁAD GŁÓWNY: POZNAŃ, UL. FRANCISZKA RATAJCZAKA NR. 27



943.2

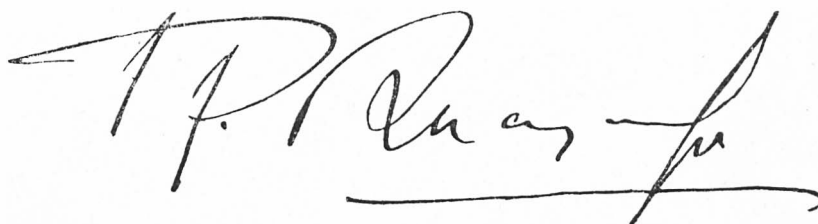
5449

943.2

TŁOCZONO W DRUKARNI
DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO
S. A. POD KIEROWNICTWEM
ZYGFRYDA GOTOWTA

Piękno krajobrazu i bogactwo zabytków Wielkopolski jest jeszcze mało znane szerokiej opinii społecznej.

Żywą propagandą wielkich wartości turystycznych dzielnicy Piastowskiej będzie niniejsza, ciekawa książka.

A handwritten signature in black ink, appearing to read 'R. Raczyński', with a long horizontal flourish extending to the right.

(—) Roger hr. Raczyński
Wojewoda Poznański

POZNAŃ, w czerwcu 1934

Wielkopolska z lotu ptaka — to szmat ziemi polskiej, pokrojony na równo zmeljorowane pola, przecięty prostymi drogami, przetkany gdzieniegdzie ciemną plamą lasu, czy srebrną tonią jeziora. Wygląda to nudno i jednostajnie.

Zapytajmy zachwyconego złotą jesienią swej dzielnicy albo zapatrzonego w cud krajobrazu górskiego mieszkańca Podhala — co sądzą o Poznańskim. Odpowiedź zawsze ta sama! Że nudna równina działa na nerwy, że równe, jakby wymusztrowane szlachabry, kąkole i maki, nie mają żadnej wartości malarskiej, że turysta niema co zwiedzać ani co fotografować.

I uderzmy się w piersi — my Wielkopolanie. Wszak z dumą mówimy o naszych cukrowniach, gorzelniach, mączkarniach, zarozumiałość nas rozpiera, gdy wyliczamy, ile kawał piachu wielkopolskiego rodzi nie tylko żyta, ale buraków i pszenicy.

Czy ktokolwiek z nas naprawdę i z przejęciem potrafi scharakteryzować romantyzm starych domów i studzien? Owszem — jest w krajobrazie wielkopolskim i w walorach Poznańskiego dużo prozy, pouczającej, wartościowej, ale suchej. Starczy jednak zastanowić się trochę miłośnika nad naszą dzielnicą, starczy ją przewędrować wzdłuż i wszerz, aby odkryć białe plamy na mapie,

legendy wielkopolskie, z przeszłości wyglądają smutne oczy Halszki z Ostroga, odżyje baśń o rycerzach śpiących w pagórku pod Inowrocławiem. Kalejdoskop wrażeń utrwali piękno architektury, historyczną wartość wielu pamiątek krajobraz Wielkopolski był n

— wymarzony rezerwat wielu cudów przyrody. Promno, z czarownicami pagórkami i gęstym, wcale w dwuszeregi nie wymusztrowanym lasem, wskaże cel wielu pięknych wycieczek turystycznych. Okolice Sierakowa udowodnią, że po drogach wielkopolskich nie jeździ

Z myślą ujawnienia cudów turystycznych jeździła po Wielkopolsce ekspedycja krajoznawcza „Dziennika Poznańskiego”. Z wrażeń jej kierowników pp. Mieczysława Ziemskiego i Tadeusza P

wym przewodnikiem. Jej autorom udało się pod tym względem przelamać nudny styl wyliczeń dat, szczegółów historycznych, cyfr, metrów i tysięcy nazwisk. Książka utrwala wrażenia ludzi, którzy w rzeczach oglądanych się rozkochali, którzy dają nie tylko katalog tego, co warto zobaczyć, ale przede wszystkim dają subiektywizm swych wrażeń i barwią opisy nastrojem oczekiwań rzeczy pięknych.

Książka uchwyciła jeszcze jeden moment w sposób niezwykle trafny. Daje mianowicie przekrój teraźniejszości. Żyją w niej ludzie współcześnie działający — ze swymi troskami i radościami. Wielkopolska odzwierciedlona jest na kartach tej książki nie, jak w muzeum, Wielkopolska żyje i przemawia do Czytelnika słowami zachęty, aby zechciał ją poznać.

Józef Winiewicz.

WSTĘP.

Uczciwość autorska nakazuje nam zaraz na wstępie uczynić ważne zastrzeżenie i uprzedzić Czytelników.

Jeśli mają nadzieję, że w książce naszej znajdą ściśle, naukowe opracowanie Ziemi Wielkopolskiej pod względem historycznym, zabytkowym, czy gospodarczym, powiedzmy im zgóry, że są w błędzie.

Książka nasza nie ma naukowych aspiracji. Jej zalety i wady tłumaczy sposób, w jaki przyszła na świat. Powstała ona z opracowanego przez nas materiału, zebranego w naszych całorocznych wędrówkach po poszczególnych powiatach. Z podróży tych, pisaliśmy korespondencje i reportaże, które w cyklu pod tytułem „Wzdłuż i wszerek ziemi Wielkopolskiej” ukazywały się co pewien czas na łamach „Dziennika Poznańskiego”. Rodziła się więc ta książka wśród słońca, deszczu i śniegu. Na szerokich polach wielkopolskiej ziemi i w zacisznych gabinetach starostów, księży, burmistrzów i kupców. Nad łśniącemi wstęgami rzek i jezior i w mrocznej gęstwinie leśnych drzew.

Rzuca się w oczy jedna zaleta tak powstałej książki i jak cień zalecie towarzysząca — wada.

Ludzie i obrazy, które przesuną się przed oczyma Czytelnika, nie powstały przy zielonym stoliku. Są to ludzie i obrazy z rzeczywistej rzeczywistości.

A wada: wszystko to widz zupełnie indywidualny przekrój rzeczywistości.

Powtarzamy: do powzięcia decyzji wydania niniejszej książki przyczyniły się w dużej mierze rady ludzi znajomych i nieznanomych, którzy niejednokrotnie dawali nam do zrozumienia, że rzecz, ze względu na swą pogładowość i wielki materiał źródłowy, będzie pierwszą w swoim

Jeśli skromna nasza książka ukaże Czytelnikom choćby w pewnej mierze piękno ludzi i ziemi Wielkopolski, piękno, któremu w długich wędrówkach napatrzyły się nasze oczy — cel jej będzie spełniony.

W PRASTAREM GNIEŹDZIE BIAŁEGO ORŁA

GNIEZNO — KOLEBKA PAŃSTWOWOŚCI POLSKIEJ I POLSKIEGO
CHRZEŚCIJAŃSTWA.



Obu stron toru kolejowego, po którym z rytmicznym stukiem pędzi pociąg, widzimy nasze typowe równiny wielkopolskie. Czasem przed oczyma przesunie się pogodny obraz cichej wioski, lub na horyzoncie ciemny pas lasu. Pozatem wielkie płaty równiny, pociętej skrzętną wiosenną pracą rolników na prostokąty czarne lub zielone.

Myślimy o mieście, do którego jedziemy. Uderza nas myśl, że właściwie są dwa Gniezna. Jedno — to ładne miasto wielkopolskie o 30 tysiącach mieszkańców, o proporcjonalnie rozwiniętym przemyśle, handlu, rzemiośle, życiu kulturalnym i t. d.

Ale jest i drugie Gniezno. To, które teraz w naszych myślach wyrasta potężnym symbolem i góruje nad pierwszym, jak góruje gnieźnieńska katedra nad domami i domkami miasta.

Jest to Gniezno, na murach którego historia złotymi zgłoskami wykuwała prastare dzieje założenia i istnienia Polski piastowskiej.

Zapatrzony w zielone pola, wygrzebuje wspomnienia. Widzę starą, kochaną twarz człowieka, który w tak piękny sposób umiał opowiadać o zamierzonych czasach.

Zjawiają się obrazy. Rok około 550. Przed wyniosłym wzgórzem, otoczonym bagnami i topieliskami, stoi Lech z orszakiem zmęczonych długą wędrówką wojów. W głowie knezia rodzi się myśl założenia tu obronnej osady. Wstępuje orszak na wzgórze. Aż widzą w pewnej chwili: orzeł się zerwał z gniazda na szczycie i rozpostarłszy potężne skrzydła, kołuje teraz nad wzgórzem.

— Dobrze to auspicjum — myśli kneź i jego waleczny poczet.

Minęły wieki. Na wzgórzu szumi teraz święty, pogański gaj. A w niej stoi gontyna najwyższej bogini, Niji. W gaju wśród zieleni krzewów i drzew błyszczy białe, kamienne bożki. Tam Lelum płodny w deszcze, tam znów Marzanna straszna klęską moru, a tam znów świst, bóg wiatru.

Opodal gaju stoi kasztel książęcy, a wokoło rozsiadły się domki osady. Naokół zaś wzgórze i osady błyszczy wielkie koliska wód jeziornych. I niemasz od trzech stron świata przystępu do książęcej osady. Jeny od wschodniej wiodzie do niej droga po wąskiej równinie. Ale tej jedynej drogi do grodu bronią rowy głębokie, kopce liczne i strażnice.

Tylko swoi ludzie i pielgrzymi, tłumnie idący do gaju świętego wchodzą wolno do książęcego grodu. Złożyć ofiary wielkiej Niji i oddać pokłon księciu potężnemu.

Takto dzielny książę kultem dla bogów, świętego gaju i swojej siły utrzymywał plemię okolicznych Polan w mocnej dłoni.

R. 963.

Z kasztelu książęcego na wzgórzu, w którym rezyduje teraz wielki pan — Mieszko I, władca plemienia Polan, promienieje na okoliczną krainę potężna władza państwowa. Mieszko I — mądry pan, zna wartość religji, jako więzi społecznej. Czyni tedy z sadyby swej — Gniezna zarazem ośrodek religji pogańskiej.

A potem do mrocznego książęcego zamku wpływa światło. Przybywa żona Dąbrówka. Silnym mężem i nieustraszonym jest Mieszko I. Do rozumu męża przemówiła Dąbrówka. W r. 965 wziął na siebie Mieszko I — pomazanie chrzestne a rychło za nim dwór i poddani.

Z rozkazu Mieszkowego znikły bałwany z gaju na wzgórzu. Utonęły na zawsze w wodach Jeziora Świętego Lelum i Polelum i Marzanna i Świst. A na miejscu gontyny pogańskiej stanął kościółek chrześcijański pod wezwaniem św. Jerzego, poskromiciela bożków i szatana.

W następnych latach zawisło nad Lechowym grodem słońce chwały niepomiernej. Bolesław Chrobry rozsunął granice państwa swego potężnymi ramionami, tak, że jedną ścianą stanęły Karpaty, a drugą zaszumił Bałtyk.

Do promieniejącej wielkości Bolesława ciągnęło coś najmożniejszych świata.

Przybył więc w r. 966 do Gniezna w drodze na apostolską misję do Prusaków św. Wojciech. Doznał bardzo serdecznego przyjęcia ze strony władcy, który dał mu na dalszą podróż 30 wojów. A 23 kwietnia 997 r., gdy padł męczeńską śmiercią święty apostoł chrystjanizmu, Bolesław postanowił za każdą cenę wykupić święte ciało. Wykupił je na wagę złota.

W trzy lata później, rok był 1000-czny, najznakomitszy przybył do Gniezna gość, — cesarz niemiecki Otton III. Jako uczeń i przyjaciel św. Wojciecha przybył Otton do jego grobu, by szczątkom wielkiego nauczyciela i przyjaciela korną oddać cześć.

Święto było wielkie w gnieźnieńskim grodzie, gdy szedł do grobu św. Wojciecha monarcha wielkiego państwa; i szedł boso. Bolesław wysłał mu drogę szkarłatem; po bokach zaś drogi stały hufce wojów, czynami wojennymi sławnych.

Wielkie to były chwile, gdy potężny władca w uznaniu równości władzy monarszej wkładał na skronie Chrobrego koronę swą cesarską, a na znak niezawisłości państwowej ofiarował mu włócznię św. Maurycego.

Gniezno stało się stolicą państwową i metropolją niezależną od arcybiskupstwa magdeburgskiego.

W r. 1024 klęczał Bolesław u grobu św. Wojciecha w katedrze, a arcybiskup Hipolit namaszczał czoło i wkładał królewską koronę na zmęczoną głowę wielkiego władcy.

Słońce chwały Gniezna w wędrówce swej po niebie stanęło wówczas u szczytu.

Przyszły zawieruchy domowych wojen i przesłoniły blask chwały Gniezna. A gdy Łokietek ukoronował się w Krakowie i obrał gród podwawelski na królewską stolicę, zalamala się linja rozwoju Gniezna.

Już tylko promienie władzy arcybiskupiej strzelały ze wzgórza Lechowego i wiązały przez wieki zwaśnione plemiona wspólną więzią religijną.

Z historycznej kontemplacji wyrwał nas okrzyk konduktora: Gniezno!

GNIEZNO DZISIEJSZE.

Stoimy przed dworcem. Przed nami planty z pomnikiem, mówiącym o pamięci miejscowego społeczeństwa w stosunku do poległych w walkach o wolność bohaterów gnieźnieńskich.

Przechodzimy alejami na drugą stronę placu. Mamy przed sobą wielki gmach narożnikowy w stylu niemieckiego odrodzenia. Jest to gmach starostwa.



GNIAZDO BIAŁEGO ORŁA.

Ze wzgórza, na którym legendarny Lech ujrzał w błaskach słonecznych kołyszącego się białego orła, spogląda na ełche wody jezior i na zadumane równiny wielkopolskie prastara świątynia pańska katedra gnieźnieńska.



Chodzimy po mieście. Jest zupełnie nowoczesne i trzeba dobrze szperać, żeby w niem odszukać ślady świetnej przeszłości.

Mówi o niej szum wód jeziornych, w których na rozkaz Mieszka topiono bożków pogańskich. To znów stare szwedzkie okopy w północnej części miejskiego parku...

U WIELKIEGO KAPŁANA I TROSKLIWEGO OPIEKUNA BAZYLIKI.

Na audjencji u J. E. Ks. Biskupa Laubitza.

— Ekscelencja prosi panów — zawiadania nas młody kapelan.

Wchodzimy do pięknego, choć prostego gabinetu pracy ks. biskupa Laubitza. Stoi on w tej chwili pochylony nad pulpitem i kończy przeglądać jakieś stare, w zniszczonej skórze oprawne dzieło.

Powitanie i siadamy.

— Chcieliśmy uprzejmie prosić Jego Ekscelencję o kilka słów na temat prac, dokonanych w ostatnich czasach dla konserwacji tego bezcennego skarbu, jakim jest gnieźnieńska katedra.

— Opatrzność Boża pozwoliła mi przyłożyć rękę do tej wielkiej sprawy. Kiedym po moim ingresie na stolicę biskupią w Gnieźnie w r. 1921 dokonał szczegółowej lustracji katedry, doszedłem do przekonania, że przepiękna nasza katedra stoi u progu ruiny. Zrozumiała polityka rządu niemieckiego do katedry gnieźnieńskiej, polityka zupełnego zaniedbania, doprowadziła ją do okropnego stanu.

I tak front cały groził zawaleniem się. Fundamenty były w wielu miejscach bardzo silnie popękane. Dwa filary wewnętrzne załamywały się. Naokoło świątyni, na jej cmentarzu, pasły się kozy, dla których nie był przeszkodą połamany, drewniany płot, otaczający świątynię. Zniszczone także bardzo silnie były wieże katedry a poodrywane dachy hełmów wieżowych tańczyły na wietrze. Bardzo zniszczony był dach świątyni. Jednym słowem, katedra nasza bliska była zupełnej ruiny.

Za wielką bożą pomocą wzięliśmy się do pracy nad zabezpieczeniem bytu naszego bezcennego zabytku. Zbudowało się potężne mury oporowe, na które zużyliśmy 40 wagonów cementu. Zniwelowało się teren naokoło, pokryto strasznie zniszczone hełmy wież, wyreperowano i pokryto dachy. Przez 12 lat, w czasie niesłychanie trudnym, w jakim nam Opatrzność żyć kazała, nie zrobiliśmy rzeczy nadzwyczajnych, ale przynajmniej dokonaliśmy pracy zabezpieczającej katedrę przed katastrofą, która jej groziła.

— Widzieliśmy, Ekscelencjo, te figury świętych, stawiane na murze świątyni. To jest także dorobek ostatnich lat?

— Tak; figury te postawione są w ostatnich czasach. Są to postaci polskich świętych i błogosławionych. Chodziło z jednej strony, żeby upiększyć wygląd katedry, ale z drugiej strony i przede wszystkim chodziło o to, by pokazać społeczeństwu polskiemu, jakich to ono ma wielkich swoich świętych i błogosławionych. Stoją już figury: św. Stanisława Szczepanowskiego, bł. Jolenty, św. Wojciecha i św. Bogumiła. Jeszcze w tym roku stanie pięć następnych statui.

— A jakie zmiany, proszę Jego Ekscelencji, przeprowadzone zostały wewnątrz świątyni?

— Wewnątrz także zaszły duże zmiany. Przede wszystkim w nawach bocznych. Przy pracach odnowienia odnaleziono starą, pierwotną polichromję, rzecz z punktu widzenia artystycznego bezcennej wartości i jedyną w Polsce. Okazało się przytem, że to, co wydało się tynkiem, po oskrobaniu tynku, było obrazem, przykrytym grubą warstwą tynku.

W tym jeszcze roku mamy zamiar dokończyć prac nad wnętrzem świątyni przez wymalowanie głównej nawy.

Z kaplic odświeżone zostały ubiegłego roku obie zakrystje, kaplica Bożego Ciała, w starym kapitularku urządzono kaplicę św. Bogumiła z przepięknymi freskami z XVII w.

W kaplicy tej znajduje się najstarszy w Polsce ołtarz gotycki.

Pozatem katedra otrzymała przepiękne nowe organy o olbrzymich możliwościach muzycznych. Organy te z małymi połączone są elektrycznie, tak, że można grać jednocześnie na obu.

Przeniesiony został także dzwon św. Wojciecha ze starej dzwonnicy do wieży katedralnej. Na miejscu starej dzwonnicy, którą się teraz znosi stanie archiwum i muzeum djecezjalne. Jak wiadomo dzwon św. Wojciecha jest najcięższym dzwonem w Polsce. Dzwon Zygmunta w Krakowie jest większy, ale lżejszy. Mieliśmy więc trochę kłopotu przy przenoszeniu dzwonu, bo trzeba było zrobić dla dokonania przeniesienia niezwykle silną substrukcję.

— Widzieliśmy, Jego Ekscelencjo, piękny pomnik Bolesława Chrobrego i uważamy za bardzo ładny odruch miejscowego społeczeństwa wystawienie wielkiemu piastowskiemu władcy pomnika w 900-lecie koronacji.

— Właśnie. Społeczeństwo miejscowe doceniało i odczuło doniosłość chwili i w 900 lat od chwili koronacji Chrobrego, aktu, który miał taką ogromną wagę państwową, odsłoniło piękny pomnik.

Na ścianach bocznych płyty podstawowej pomnika widzieliście panowie piękne reliefy przedstawiające koronację Bolesława Chrobrego i wyruszenie św. Wojciecha na misję, z której nie miał wrócić...

Z drugiej strony katedry, na wzgórzu na którym stał kiedyś zamek pierwszych książąt piastowskich stoi obecnie kościółek św. Jerzego, ciekawy także bardzo; jego bowiem absyda stoi na fundamencie baszty piastowskiego zanku, a w murze świątyni widać ślady jego w postaci kamieni ciosanych, wmurowanych w ściany przy odnowieniu.

— A co jest, Jego Ekscelencjo, przyczyną dla której katedra gnieźnieńska wymaga bezustannej, opieki i ciągłych napraw?

— Katedra stoi w bezpośredniej bliskości wielkiej arterji komunikacyjnej. U jej stóp jeżdżą stale samochody, autobusy i wozy. Fakt ten w połączeniu z tem, że katedra stoi na dawnej wysepce, naokoło której były jeziora i bagna, wpływa na zjawisko, że muszę ciągle obserwować ślady silnych poruszeń murów. Gdyby się jakoś dało odprowadzić ten wielki ruch komunikacyjny na inne drogi, byłoby to bardzo cenne dla spokoju i bezpieczeństwa naszej świątyni.

Nakoniec chciałbym podkreślić bezcenną wartość historyczną katedry gnieźnieńskiej. Znali ją dobrze Niemcy i dlatego usiłowali doprowadzić katedrę do ruiny. Dla zmniejszenia także jej oddziaływania przenieśli arcybiskupstwo do Poznania.

Wiedzieli Niemcy jaką to rolę czynnika wiążącego w jedną całość separatystyczne dzielnice Polski piastowskiej odegrała metropolja Gnieźnieńska.

My musimy pamiętać o pierwszej metropolji i kolebce państwa polskiego.

U NAS TU PRZEDĘWSZYSTKIEM BIJE W OCZY PRAPOLSKOŚĆ GNIĘZNIENSKIEGO.

O powieście rozmawiamy z p. starostą Suskim.

Pan starosta Suski nie traci drogiego czasu na długie rozchowy i uprzedzając nasze wstępne pytanie na temat struktury społecznej swojego powiatu odpowiada:

— Gniezno jest powiatem dość zamożnym, o charakterze przeważnie rolniczym. Dominuje własność ziemska większa i średnia.

Rolnicy mojego powiatu, jak zresztą całe nasze rolnictwo, przeżywają dość ostry kryzys gospodarczy, który jednak zupełnie wyraźnie i zdecydowanie w ostatnich miesiącach zmierza ku poprawie. Mowy niema o jakiejś nagłej, rewolucyjnej przemianie warunków bytu, ale słyszę coraz częściej wyraźniejsze w swoim optymizmie obserwacje z ust samych rolników. Twierdzą, oni, że „marsz ku poprawie“ przejawia się w zupełnie realnej, dużej procentowo niżce kosztów produkcji w rolnictwie i naskutek tego rok najbliższy zapowiada się dużo lepiej niż jego poprzednik.



U GROBU MĘCZENNIKA.

W srebrnym arcydziele mistrza Remnera spoczywają relikwie świętego męczennika. — A w dzień 23 kwietnia ukłęką przed tą konfesją Sancti Adalberti tłumy ludzi strapiionych, którzy tu przyjdą szukać ukojenia, spokoju i moey. — Kapłani podadzą im w złotym relikwiarzu głowę świętego do ucalowania.



Jeśli chodzi o poziom techniczny i fachowy rolnictwa gnieźnieńskiego, to jest on wysoki, a nad jego podtrzymaniem pracuje się obecnie dość intensywnie przez organizowanie i rozwijanie coraz to nowych placówek „przysposobienia rolniczego“.

Ma ono za zadanie przygotowanie młodego rolnika do jego rolniczego zawodu.

Również hodowla stoi w Gnieźnieńskiem wysoko, a tylko zadziwia mnie stosunkowo słaby rozwój sadownictwa. W szczególności stwierdza się zupełny brak sadów owocowych w małych gospodarstwach rolnych. Kwestja ta jest b. ważna i łączy się z problemem ogólnym Wielkopolski — z kwestją wzmożenia konsumpcji owoców, które w Wielkopolsce naogół niewielkie. W

się tu u nas już pewne kroki.

— Jakie są wrażenia i obserwacje Pana Starosty? Obserwacje te są tem cenniejsze, że Pan Starosta przyjechał do Gniezna z Warszawy dopiero przed rokiem i obserwacje Pana są świeże i niezabarwione wskutek przyzwyczajenia?

— Objawem, proszę panów, który mnie najsilniej i z punktu uderzył przy obserwowaniu nowego terenu pracy jest bijąca w oczy prapolskość gnieźnieńskiego. Wygląda ona nie tylko z każdego wykopaliska, nie tylko z każdej twarzy chłopca gnieźnieńskiego w typach antropologicznych, ale mówi ona z każdej piędzi ziemi gnieźnieńskiej, z każdego kurhanu. A wśród gnieźnieńskich wieśniaków co krok spotyka się Bolesławów Chrobrych.

Już w chwili, gdy w Warszawie dowiedziałem, że zostaję starostą powiatowym w Gnieźnie, już wtedy zdawałem sobie sprawę z wartości historycznej terenu, na którym mi pracować przyjdzie.

Nie wyobrażałem sobie jednak, że spotkam to w takiej mierze i na każdym kroku.

Dlatego też zadziwia mnie fakt, że Gniezno jest tak stosunkowo mało znane, takie mało istnieje w Wielkopolsce zainteresowanie się tym terenem prahistorycznej Polski i pęd do odetchnienia atmosferą legend i historii w wielu śladach, dotąd istniejących tutaj i zmaterjalizowanych.

Już podczas mojego pobytu dwukrotnie natknięto się tu na bardzo ciekawe wykopaliska.

Drugim źródłem mego uczucia zdziwienia jest stosunek samego Gniezna do sprawy swojej świetnej przeszłości. Stosunek ten wygląda na pewnego rodzaju ignorancję czy zaniedbanie. Mojem zdaniem na Gnieźnie leży historyczne zobowiązanie, żeby przodowało Wielkopolsce pod wielu względami.

To przebudzenie się i zainteresowanie w kierunku zapoznania z temi problemami byłoby dla mnie objawem niesłychanie sympatycznym i już teraz muszę z zadowoleniem podkreślić, że obserwuję tutaj pewne odruchy.

Mam na myśli założenie oddziału Towarzystwa Krajoznawczego i założenie muzeum gnieźnieńskiego, która to działalność oprze się na tak wypróbowanych przyjaciół Gniezna i Gnieźnieńskiego, jak ks. biskup Laubitz, p. Kasprowicz, ks. Wawrzyniak i inni. Niezależnie od swych wartości historycznych i zabytkowych jest Gnieźnieńskie bardzo ciekawym terenem turystycznym w szczególności godne są widzenia piękne jeziora gnieźnieńskie — Powidzkie, czwarte co do wielkości w Wielkopolsce, Skorzenińskie, niewielkie, ale bardzo malownicze, — Lednickie, z prawiecznym ostrowem i ruinami Chrobrowego zamku oraz gontyny pogańskiej.

Jeziora te mogłyby stać się terenem sportu żeglarskiego i celem tak modnych dziś wycieczek campingowych z całej Wielkopolski.

— Zdaje się, że Pan Starosta nie ma zamiaru skarżyć się na poźycie z społeczeństwem swego powiatu.

— Przeciwnie, proszę panów. Muszę podkreślić nader harmonijną współpracę sejmiku powiatowego i społeczeństwa powiatu z zamierzeniami czynników rządowych oraz z pracą dla dobra powiatu i Państwa.

— A co może Pan Starosta powiedzieć o pracy P. W. w powiecie?

— W ostatnich czasach wzmógł się żywiołowo w Gnieźnieńskim pęd do wojskowego przysposobienia. Młodzież zgłasza się do oddziałów strzeleckich, powstają drużyny harcurskie, rozpoczęliśmy organizację Związku Rezerwistów.

Mamy narazie trudności organizacyjne a nawet czasami musimy jeszcze walczyć ze złą wolą i tendencyjnym przedstawieniem sprawy, ale wyraźnie już czujemy w robocie P. W. całe społeczeństwo gnieźnieńskie za sobą i mamy pewność, że nie zawiedzimy Ojczyzny, gdy nas w razie potrzeby pod broń powoła.

— Jak wygląda sprawa bezrobocia?

— W powiecie gnieźnieńskim bezrobocie istnieje w podobnych rozmiarach jak i w innych powiatach. Staramy się tej klęsce jakoś zaradzić przez zatrudnianie bezrobotnych w pracach drogowych, z funduszy specjalnych a przede wszystkim przez zorganizowanie opieki nad bezrobotnymi. Jej zadaniem jest systematyczne i słuszne rozdzielanie pomiędzy bezrobotnych potrzebujących artykułów żywnościowych, zebranych u ofiarnych obywateli powiatu.

Na szczególne podkreślenie zasługuje opieka nad dziećmi bezrobotnych prowadzona w większych ośrodkach powiatu przez specjalne komitety, w skład których wchodzi wszystkie dobroczynne organizacje oraz księża proboszczowie.

— Kilka jeszcze słów, Panie Starosto, o instytucjach społecznych.

— W Gnieźnie istnieje b. wiele niezwykle czynnych instytucyj społecznych. Szczególnie intensywną i owocną działalność rozwijają: Czerwony Krzyż, Biały Krzyż, Oddział Ligi Morskiej i Kolonjalnej, Towarzystwo Polsko-Czechosłowackie, Tow. popierania sadownictwa i wiele innych.

KWADRANS W RATUSZU.

Nasza rozmowa z prezydentem m. Gniezna p. inż. dr. Henslem.

Wchodzimy do gabinetu prezydenta m. Gniezna. P. inż. dr. Hensel odkłada pliki papierów i z pogodnym uśmiechem oświadcza gotowość udzielania informacji o swoim mieście.

— Więc najpierw, Panie Prezydencie, kilka słów ogólnie o Gnieźnie. Obszar, ludność, struktura.

— Gniezno zajmuje 1,363 ha. Ma w tem 420 ha zalesień i 320 ha parków. Ludności liczy około 30,000 według ostatnich obliczeń. Jeśli chodzi o procentowość mniejszości narodowych, to mamy 2,4% Niemców i 0,3% Żydów. Charakter ma miasto rolnicze. Niemcy dążyli do kolonizacji i jeszcze teraz naokoło mamy przykry wieniec niemieckiej własności ziemskiej.

Jeśli chodzi o element rzemieślniczo-przemysłowy to reprezentowane są u nas różne dziedziny, jak cukrownictwo, garbarstwo, browarnictwo. Gniezno posiada 15 większych zakładów przemysłowych, jak fabryki maszyn, wódek, świece, powozów i t. p.

Obok tego mamy 498 warsztatów rzemieślniczych i 520 placówek handlowych. Przemysł jest zorganizowany w 12 organizacjach przemysłowych, które kultywują najświetniejsze tradycje swoich gałęzi przemysłowych.

— Jak się przedstawia stan finansowy miasta?

— Naogół korzystnie. Majątek nasz wyraża się w kwocie 14 milionów zł a obciążenie z tytułu długów wynosi 2.618.000 zł. Są to długi krótko i długoterminowe. Zadłużenie więc nasze, zwłaszcza rozpatrywane bezwzględnie, jest znaczne. Ale jeśli uwzględnimy stosunek obu pozycji majątku do zadłużenia i zważy na fakt, iż nasze inwestycje są i wielkie i rentowne, wygląda to znacznie lepiej.

Budżet nasz administracyjny zwyczajny wynosił na rok 1933 — 1,894,200 zł i równoważy się po obu stronach tą wartością. Budżet nadzwyczajny — 105,603 zł. Obciążenie podatkami i daninami komunalnymi ludności naszego grodu wynosi 19,24 zł na głowę, jest

więc stosunkowo niewielkie. W budżecie naszych przedsiębiorstw miejskich po obu stronach figuruje pozycja — 1.383.652 zł.

Ciała samorządowo-miejskie poświęcają bardzo dużo dobrej woli i wysiłku w pracy poprawiania stosunków gospodarczych i kulturalnych naszego miasta i dlatego można z pewnością mówić o tem, że Gniezno idzie ku coraz większemu rozwojowi.

— Jak wygląda ruch budowlany w Gnieźnie?

— Jest on naogół słaby, proszę pana. Wprawdzie w roku ub. inicjatywa prywatna pod tym względem wydaje mi się zupełnie zadawalająca, ale było to budownictwo na długoterminowy kredyt i chodziło przede wszystkim o domki w małych rozmiarach, tak że szerszy ogół nie wiele na tem skorzystał i głód mieszkaniowy odczuwa się w dalszym ciągu.

Tegoroczny sezon budowlany przedstawia się dużo lepiej; Rząd bowiem przeznaczył przez Bank Gospodarstwa Krajowego miastu naszemu na cele budownictwa 60.000 zł.

Miasto ze swej strony ograniczy się ze względu na aktualny kryzysowy stan gospodarczy do rzeczy najniezbędniejszych. Zbudujemy więc budynek izolacyjny dla zakaźnie chorych. Rozpoczęliśmy w tym kierunku już roboty ziemne. Zbudujemy także barak dla eksmitantów obliczony na ca 20 rodzin.

— Jakie są w Gnieźnie poważniejsze placówki życia?

— Dominuje tu oczywiście fakt, że Gniezno jest siedzibą arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego, mamy pozatem Sąd Okręgowy i szereg władz rządowych i instancyj. Z miasta wychylają się wieże 9 kościołów katolickich; mamy seminarjum duchowne, gimnazjum męskie i żeńskie, szkołę handlowo-przemysłową, szkołę wydziałową, 4 szkoły powszechne i 1 przygotowawczą.

Jeśli chodzi o zakłady miejskie, to posiadamy Szpital Miejski, nowoczesnie urządzone pod względem technicznym elektrownię, gazownię, wodociągi, zakład czyszczenia ulic, rzeźnię z nowoczesnie urządzoną bekoniarnią i zamrażalnią drobiu.

Godne wspomnienia są: zakład psychiatryczny w Dziekance, lazaret garnizonowy, przychodnie: przeciwgruźlica, jagliczna i weneryczna.

Gniezno jest także bardzo ważnym punktem komunikacyjnym. Schodzi się tu bowiem kilka linii kolejowych i kolejki powiatowej.

Pozatem miasto nasze jest jednym z największych środków ruchu autobusowego w Wielkopolsce.

Obok wspaniałych zabytków przeszłości na piękno naszego miasta wpływa starannie pielęgnowana roślinność w licznych naszych parkach, skwerach i plantach.

Ku odpocznieniu mieszkańców ma miasto niedaleki las miejski o 500 ha powierzchni.

Wspomnieć jeszcze należy o sławnych „Wiosennych Targach Końskich“ w Gnieźnie. Te t. zw. „jarmarki św. Wojciecha“ mają nie tylko piękną tradycję, ale są i obecnie świetną propagandą sportu konnego i krajowej hodowli konia.

— W ten sposób — kończy rozmowę inż. Hensel — jak to panu przedstawiłem, żyjemy, pracujemy i, mam wrażenie, idziemy ku lepszej przyszłości.

ROZMAWIAMY Z P. STAROSTĄ SUSKIM O PRZYSZŁOŚCI KOLEJKI POWIATOWEJ.

Kiedym przechodził przez most łączący miasto z przedmieściem wrzesińskim zwróciły moją uwagę małe wagoniki, stojące opodal swoich większych braci — wagonów kolei normalnej. Zapytany przezemnie przechodzień odpowiedział mi, że jest to kolejka powiatowa, łącząca Gniezno z Witkowem.

I znów znalazłem się *vis à vis* p. starosty Suskiego, który z tytułu kierownictwa Wydziału Powiatowego jest również zwierzchnikiem kolejki.

— Jaką rolę spełnia kolejka, Panie Starosto?

— Kolejka nasza łączy Gniezno z Powidzem i Witkowem a pozatem posiada szereg odnóg, mających znaczenie transportowe. W zakresie komunikacji towarowej jest kolejka pożytecznym i potrzebnym środkiem lokomocji dla plantatorów buraków cukrowych, któ-

rych ona w ten sposób wygodnie obsługuje. W ostatnich czasach staraliśmy się poddać rewizji taryfę kolejową, dostosowując ją do niższych cen w rolnictwie i zapewniając w ten sposób rolnikom naszym, zamieszkającym w pobliżu toru kolejowego dogodny transport dla ich produktów i zakupowanych przez nich towarów.

— A co do trakeji osobowej?

— Trakeja osobowa kolejki walczyła do niedawna z ciężką konkurencją autobusową. Były one wprawdzie droższe, ale przewoziły wygodniej i szybciej. Obecnie jednak kolejka wprowadza inny rodzaj trakeji, coś w rodzaju autobusu na szynach, który jest szybszy, wygodniejszy i bez porównania estetyczniejszy niż autobusowy a conajważniejsza — nadto tańszy od nich.

Dwa takie wagony motorowe już są w ruchu a jeżeli okażą się w ciągu roku bieżącego praktyczne, zamierzamy całą trakeję osobową na linii Gniezno—Witkowo zmotoryzować.

Należy podkreślić, że wagony motorowe są w całości wykonane w warsztatach kolejki i że kalkulują się bardzo niedrogo, bez porównania taniej niż w razie zakupu ich w fabryce.

Mam nadzieję, że wskutek wprowadzenia motorów i udogodnienia rozkładu jazdy Gnieźnianie będą szeroko korzystali z kolejki w swoich week-endowych wycieczkach do lasów skorzęcińskich i nad powidzkie jezioro.

NAJWIĘKSZA W WIELKOPOLSCE SALA GIMNASTYCZNA.

Odszukujemy prezesa Miejskiego Komitetu W. F. i P. W. p. dyrektora Birgfellnera w gimnazjum, zabieramy po drodze majora Piwowara i por. Kostrzewskiego i udajemy się przez podwórze koszarowe 69 p. p. do sławnej już choć niedawno wykończonej sali gimnastycznej.

Odrzućmy na wstępie uderza nas kilka rzeczy. Po pierwsze wielkość — sala ma powierzchnię użytkową do ćwiczeń 543,90 mtr.² (37 mtr. × 14.70 mtr.). Śliczna parkietowa podłoga.

Jasny pogodny ton, w jakim malatura sali jest utrzymana. Nowoczesne i kompletne urządzenie gimnastyczno-sportowe.

A na przeciwnej stronie sali wielka odznaka P. O. S., symbol, który pracy w tej sali patronować będzie i wielki napis u góry:

„Państwowa odznaka sportowa — młodość długo ci zachowa”.

Słuchamy fachowych uwag por. Kostrzewskiego na temat nowoczesności urządzeń sali. Dyr. Birgfellner zwraca w pewnej chwili naszą uwagę na fakt, iż dzięki ofiarności społeczeństwa gnieźnieńskiego powstał w zakresie takiego nasilenia kryzysowego obiekt tak kosztowny a taką wartość ogólnopolską posiadający.

O 75 LAT ISTNIEJĄCEJ KOMUNALNEJ KASIE OSZCZĘDNOŚCI POWIATU GNIEŹNIEŃSKIEGO

Rozmawiamy z dyr. Jenkiem.

— Kiedy i w jakich warunkach powstała K. K. O. w Gnieźnie?

— Rozpoczęła ona swoją działalność dnia 28. II. 1859 r. Społeczeństwo gnieźnieńskie, rozumiejąc doniosłą rolę, jaką ta placówka odegra w życiu gospodarzem odniosło się od pierwszej chwili istnienia Kasy z wielką sympatją i zaufaniem. Dzięki odpowiedniemu zawsze zespołowi władz kierowniczych, złożonemu z ludzi b. wartościowych, jak np. Fr. Hr. Żółtowski z Niechanowa, który był przez 33 lata przewodniczącym kuratorjum Kasy w latach 1859—1892, szła Kasa ku coraz większemu rozwojowi.

W dniu otwarcia złożono w Kasie 184 talary, z czego pierwszy wkład 50 talarów złożył sierżant Brandt z 9 kompanji 21 pułku piechoty. Celem pozyskania deponentów, zwłaszcza małych, robiła im Kasa jaknajwiększe udogodnienia, otwierając z biegiem czasu w powiecie szereg zbiornie, mianowicie w Czerniejewie, Kiszkwie, Kłecku, Komorowie, Łubowie i Witkowie.



Ś. P. FRANCISZEK HR. ŻÓLTOWSKI Z NIECHANOWA
sprawował od 1859 r. do 1892 r. urząd przewodniczącego Kuratorjum Kasy
i wybitnie zasłużył się około jej rozwoju.



W zdobywaniu wkładów oszczędnościowych zajmowała Kasa wśród Kas Oszczędności b. prowincji poznańskiej drugie miejsce — za Miejską Kasą Oszczędności w Poznaniu — i nie dała się zepchnąć z tego miejsca aż do roku 1918. Przy końcu tegoż roku wykazuje Kasa stan wkładów na przeszło 20 milionów marek przy 12 563 deponentach.

Działalność kredytowa Kasy nastawiona była naówczas wybitnie na pielęgnowanie kredytu długoterminowego — hipotecznego, na który przypadało 50% ogólnych kredytów Kasy.

— Jakie skutki wywarła inflacja na bieg interesów Kasy?

— Przystępując w roku 1924 na podstawie rozporządzenia waloryzacyjnego do przerachowania swych aktywów, zdołała Kasa uratować z całego poprzednio posiadanego majątku ogółem 1.489.000 złotych. Tej sumie majątku przeciwstawiła się suma 12.000.000 złotych formalnych zobowiązań Kasy, gdyby je przeliczyć z marek na złote z tytułu wkładów oszczędnościowych, przynależnych deponentom. Miara przerachowania wkładów oszczędnościowych w Kasie ustalona została zatem przez Komisarza Rządowego na 8,03%, czyli że deponenci otrzymali 12-tą część wartości pierwotnego stanu posiadania. Stosunek ten nie jest wprawdzie wygórowanym, przewyższa on jednakże wielokrotnie stopę przerachowania lokat w innych bankach akcyjnych itd. jak i papierów wartościowych tak państwowych jak i prywatnych akcyj, za które wierzyciele niejednokrotnie nie otrzymali bądź też bardzo mało.

— Jak przedstawia się bieg interesów Kasy za ostatnie lata przy uwzględnieniu dzisiejszego kryzysu?

— Najważniejszym zadaniem Kasy jest gromadzenie oszczędności. Stan wkładów oszczędnościowych wynosił przy końcu roku 1933 okragło 3.600.000,— złotych, z czego przypada na wkłady złotowe nowozdobyta w okresie 1924/33 suma przeszło 3.000.000 złotych. Pożyczek udzieliła Kasa przy końcu roku 1933 na sumę okragło 4.700.000 złotych, w czem partyeypują w przeszło 50% sfery rolnicze własnego powiatu.

Kryzys gospodarczy, zaistniały od maja 1929 r., jaki dotknął najsamprzód rolnictwo, nie przyniósł w skutkach swych w latach 1929 do 1931 żadnych ujemnych następstw dla rozwoju Kasy; przeciwnie wkłady oszczędnościowe wzrosły poważnie a wynik działalności pod względem zyskowności w latach 1929/31 był bardzo zadawalający. Przewlekłość kryzysu i jego skutki dają się w znaki Kasie dopiero od roku 1932 na skutek coraz bardziej pogarszającej się wypłacalności szerokich sfer, w szczególności rolnictwa. Rezerwy Kasy wynoszą przeszło 800.000 złotych i bez trwogi pozwolą Kasie przeżyć ewentualne lata deficytowe, które są naturalnym skutkiem załamania się wypłacalności szerokich sfer.

Niewypłacalność niektórych dłużników i przeto unieruchomienie pewnej części kapitałów obrotowych Kasy odbić się musi oczywiście na rentowności Kasy. Nie można nie stety pominąć chociaż rzadkich wypadków złośliwego wykorzystania kryzysu przez dłużników Kasy, którzy nie płacą nawet odsetek mimo możliwości. Pod adresem tych nielojalnych płatników należy przypomnieć, że nie jest wielką rzeczą być uczciwym tylko w czasach ogólnego dobrobytu. Wysoko natomiast cenić trzeba pojmowanie obowiązków dłużniczych w stosunku do Kasy tych jednostek, którzy będąc nie w lepszych lecz niejednokrotnie w gorszych stosunkach od innych, wysoko dzierżą sztandar uczciwości i słowności, pomnąc, że pożyczkę zaczerpnęli z funduszu publicznego, z oszczędności całego społeczeństwa i że nieuczciwy stosunek do tej pożyczki godzi w najważniejszą podstawę społeczeństwa — w zaufanie powszechne.

LIKIERY Z GNIEZNA IDĄ W SZEROKI ŚWIAT.

Kiedy mowa o Gnieźnie, nie sposób nie wspomnieć o jednej z najpoważniejszych placówek przemysłowych miasta, jaką jest wytwórnia win, soków, wódek wytrawnych i likierów deserowych Bolesława Kasprowieza, senjora miasta, osobistości b. popularnej.

Fabryka powstała w r. 1888 i wkrótce wyrobami swemi uzyskała wielki rozgłos w całych przedwojennych Niemczech, bijąc dobrocią swych wyrobów inne fabrykaty. Była to pierwsza polska fabryka, wyrabiająca swe trunki w sposób naturalny na prawdziwych owocach, korzeniach, ziołach i kwiatach, bez olejków eterycznych. Firma brała udział w 103 wystawach a jej właściciel, mimo że nie ubiegał się o żadne odznaczenia, uzyskał aż 91 nagród i medali, w czem 4 państwowe z królewsko-szwedzkim na czele. Siły ekspansywnej firmy dowodzi aż 139 znaków ochronnych, zarejestrowanych w krajach Europy i świata. Jest to jedyna w Polsce firma, która może poszczycić się takimi cyframi. Firma zalicza do swych odbiorców oprócz Niemiec także Stany Zjednoczone Am. Półn., Rosję, Serbję, Bułgarję i t. d., nawet Japonję, z którą kontakt przerwała jednak wojna światowa. Obecnie, po uregulowaniu stosunków z zagranicą, firma wznawia swój eksport zamorski, zwiększając dzięki temu stan zatrudnienia w swych fabrykach. Firma zajmuje swego rodzaju uprzywilejowane stanowisko dzięki odrębnemu charakterowi swych produktów, których duża ilość jest wprost bezkonkurencyjna, — wyrabia bowiem oprócz deserowych i gorzkich likierów oraz winiaków (koniaków) oryginalne wódki polskie. Firma jest polską nie tylko przez to, że znajduje się w Polsce i kapitały jej należą do właściciela Polaka. Polską jest głównie przez to, że polskim jest typ jej wyrobów. Obok ogólnoeuropejskich szablonów, jak „Curacao”, „Cherry Brandy”, „Cacao”, firma wyrabia gatunki, które co do wyboru surowca i smaku są czysto polskie. „Nalewajka”, „Nastójka”, „Żupan”, „Jabinka” krystalizowana oraz wódka „Soplica”, nazwami już świadczą o swym charakterze. Wspomnieć należy, iż powodzeniu firmy, istniejącej jedynie dzięki pracowitości i pomysłowości właściciela, zawdzięczają poparcie liczne instytucje społeczne, na jakie nigdy nie szczędził ofiar Bolesław Kasprowicz, uchodzący w dawnych czasach za nieoficjalnego burmistrza Gniezna. A dzisiaj niema poprostu stowarzyszenia społecznego, czy też zrzeszenia gospodarczego w Wielkopolsce, gdzieby ten nestor naszego przemysłu nie znajdował się bądź jako prezes, bądź jako uczynny członek zarządu.

Z ODKRYTĄ GŁOWĄ I BIJĄCEM SERCEM.

A oto przed nami tum. Z boku wbity potężnymi nogami, w płyty kamienne cokołu stoi ten, który w promienne blaski krył królewskie wzgórze. Pomnik Bolesława Chrobrego.

Wchodzimy do katedry wejściem południowem. Szumią już teraz nad nami śpiewem cichym a mocnym skrzydła legendy i odległej o tysiąc lat historii początku.

Tu prastara kropielnica w kamieniu wykuta. A tu już chluba przepiękna katedry: królewskie, spiżowe wrota. O mistrzu Leopardzie, ileżes dni czyłował te obrazy kunsztowne a oku przemiłe.

Kłęczymy u progu głównej nawy a oczy w zachwycie płasają... po kształtach i barwach. Daleko w półkolistej absydzie nad wieńcem smukłych kolumn korynckich, nad architravem zdobnym w girlandy i festony króluje Madonna o twarzy zadumanej i najśodszej.

Pójdźmy do królewskich stóp Bożej Matki. Po bokach stalle w lekkim baroku. A przed stopniami wielkiego ołtarza prosta płyta marmurowa z napisem „Dąbrówka”. Tam niżej w krypcie w granitowej trumnie, spoczywają po trudzie niesienia światła prochy Mieszkowej żony.

Kłęczymy w środku nawy głównej. Przed przepiękną konfesją św. Wojciecha. Na srebrnej trumnie, która w swych błyszczących ścianach kryje skarb bezcenny, prochy świętego apostoła i patrona Polski, spoczywa postać świętego. Wsparty na łokeiu, leży, jakby zmęczony wędrówką apostołską, której kres męczeński widzą rozszerzone objawieniem oczy.

Mijają chwile na wędrówce przez piękne kaplice. — Zmrok wpływa przez okna. Z ciemnych już stalli kanonickich spoglądam przymkniętymi oczyma ku katedralnym drzwiom. I zdaje mi się, że od spiżowych drzwi sunąć zaczynają dostojne postacie. To król Bolko Krzywousty, to znów wielki hospodyn o mądrej twarzy Wielki Kazimierz, to pyszny Wę-

gierezyk, król Ludwik. A tuż za nim piękna Jadwiga, dar niosąca, ornat przepiękny, własnemi, białemi, królewskimi dłońmi dziergany.

I purpuraci nobliwi suną w pokorze ku konfesji świętego patrona.

Zmrok już zapadł silny, wieczorny.

Ostatnie chwile w Gnieźnie. Siedzimy na kamiennych ławach przed Katedrą.

Naokoło ciche miasto, rzadko rozświetlone światłami lamp ulicznych. Nagle w ciszę wieczorną wpadać zaczynają moene, wibrujące tony.

To dzwon się odezwał — Sancti Adalberti. I płyną rozdźwięczone fale ze wzgórze na ciche domy, na błyszczące tafle wód jeziornych, na ciemne równinne pola dalekie.

Płyną, błogosławiąc urbi et orbi — miastu i Polsce.

W KOLOROWYM POWIECIE GNIEŹNIEŃSKIM.

Lekko i szybko mknie auto po dobrych szosach powiatu. Minęło ileś tam minut i zatrzymaliśmy się oto w małym, cichym miasteczku.

Za chwilę burmistrz miasta Czerniejewa p. Pruski opowiada nam o swoim mieście:

— Czerniejewo było już w r. 1390 miastem, i to szlacheckiem. Obszar miasta wynosi 601.27 ha. W r. 1934 liczyło 1480 mieszkańców. W Czerniejewie urodził się znany pierwszy gramatyk polski Onufry Kopezyński w roku 1735. Pomnik jego znajduje się przed kościołem. Kościół katolicki Św. Jana Chrzciciela, wzmiankowany jest już w roku 1392. Obecna budowla późnogotycka pochodzi z pierwszej połowy XVI wieku (poświęcona 1567). Miasto posiada siedmioklasową szkołę powszechną, z urządzeniem nowoczesnym. Miasto posiada również łązienki miejskie. Rozgałęziony jest tu przemysł, jak: chemiczny, elektryfikacyjny, drzewny i młynarski.

Do samochodu i w inną stronę powiatu

BURMISTRZ KŁECKA P. ST. KAMIENIECKI ZAPOZNAJE NAS Z HISTORJĄ STAROŻYTNEGO MIASTA.

— Słyszeliśmy, że Kłecko nie wiele jest młodsze od Poznania?

— Miasto Kłecko, położone w powiecie gnieźnieńskim, należy do najstarszych miast polskich. Historia jego oparta na faktach, sięga połowy XIII wieku, kiedy to po raz pierwszy Kłecko występuje na widownię dziejową. W tym bowiem czasie, mianowicie w roku 1255, uzyskało Kłecko prawa miejskie. Nadał je w Rogoźnie książę wielkopolski Bolesław Pobożny przywilejem lokacyjnym, opartym na prawie magdeburskim. W rzędzie miast wielkopolskich, które otrzymały prawa miejskie, było Kłecko drugim po Poznaniu. Nazwa miasta „Kłecko” ma w sobie pewną cechę starożytności, nie można jednak stwierdzić jej powstania.

Początkowo miasto stało na wysokim brzegu jeziora małego aż po brzegi jeziora dużego, o czym świadczą bruki tam wydobyte w roku 1833, które na bruk dzisiejszego miasta użyto. Do miasta należało przedmieście, t. zw. „Majdany” w bliskości jeziora dużego; w roku 1582 znaleziono tam starożytne monety z X i XI wieku, przeważnie książąt obcych. W którym wieku miasto poczęło się budować na miejscu obecnym, niewiadomo; w każdym razie kronika wspomina, że nastąpiło to już przed 1521 r.

Przyszły pożary, najazdy krzyżackie, ale za czasów Jagiellonów miasto Kłecko powróciło do swego znaczenia i rozkwitu handlu i rzemiosła. Według historii miasto miało wtenczas blisko stu sukienników. W tym też czasie powstały cechy rzemieślnicze. Do miasta należały również wsie Polskawieś z Gulczewem, Gołą, Czechami i Pruchnowem. Pomyślny ten stan trwał aż do drugiej połowy XVII wieku, czyli do wojny ze Szwedami za panowania Jana Kazimierza.

Na czele miasta stał pierwotnie wójt a następnie burmistrz czyli prokonsul. W Kłecku było również starostwo a zaraz po roku 1557 połączono wójtostwo z starostwem. Wojna szwedzka dała się miastu dotkliwie we znaki. Król Karol Gustaw dwa razy „odwiedził”

Kłecko. Pomiędzy Kłeckiem, Dziećmiarkami a Dębnią rozegrała się główna walka, którą przy przeważających siłach, wygrali szwedzi.

Dla kompletu nawiedziło Kłecko morowe powietrze.

Kłecko według kroniki Dydyńskiego posiadało 5 kościołów. Do czasów obecnych przechował się kościół farny w stylu gotyckim i drewniany św. Ducha.

W ciągu następnych stuleci miasto w wolnym tempie poczęło się odbudowywać, utrzymując swój charakter miejski dzięki swej zwartości.

— A jakby wyglądała obecna charakterystyka miasta?

— Miasto Kłecko, położone jest w licznie zaludnionej części powiatu o dobrej glebie, o dość dobrze usytuowanym mieszczaństwie i promieniuje pod względem gospodarczym w strefie ca 15 km., a zasięg jego interesów sięga aż w powiat wągrowiecki; zajmuje obszar o wielkości 955,2000 ha o zaludnieniu: w roku 1910 około 1.550, w roku 1921 — 1.694, w roku 1931 — 1711 mieszkańców, w tem narodowości polskiej 1523, niemieckiej 161, żydów 24, innych narodowości — 3. Istnieje tutaj 137 zakładów przemysłowo-handlowych włącznie warsztatów rzemieślniczych. Wartość majątku miejskiego wynosi ca. 800.000,— złotych z zadłużeniem 16.500,— zł z czasów zaborskich, rentowność około 15.000,— zł. Ważniejsze objekta miejskie są: jezioro t. zw. „duże” obszaru 79.57,90 ha, 2 budynki szkolne, pobudowane w latach 1912—14, 2 budynki mieszkalne, rzeźnia, pobudowana w 1909/11, gruntu 27.04,48 ha. Również znajduje się tutaj fundacja pod nazwą „Schronisko dla starców” (z osobnym zarządem) i z obszarem 20.61,48 ha.

Kłecko ma dogodną komunikację międzymiastową, gdyż leży przy linii kolejowej Gniezno — Skoki, a oprócz tego posiada bardzo rozwiniętą komunikację autobusową (autobusy z KłECKA wyjeżdżają: do Poznania przez Pobiedziska, do Żnina przez Janowiec, do Wągrowca przez Mieścisko i co 3 godziny do Gniezna). W roku 1928 wybudowano szosę w kierunku południowym, łączącą szosę Gniezno — Poznań, a obecnie przeprowadza się budowę szosy Kłecko — Świątniki Małe, która połączy miasto Kłecko z szosą Gniezno — Janowiec — Żnin w celu umożliwienia ludności wiejskiej, z tej strony zamieszkałej, lepszej komunikacji do miasta.

W ostatnich latach, od 1925 r. począwszy m. Kłecko „poddawało się” procesowi rozbudowy; podniesiono stan estetyczny i ulepszono urządzenia. Własnym kosztem urządzono w mieście chodniki z płyt cementowych i krawężników (rok 1928/29), wybrukowano pozostałe ulice, jak Czerniejewską i Przekop, a niektóre przebrukowano. Dokończono budowę rzeźni miejskiej i urządzono przy niej targowisko; zelektryfikowano miasto i urządzono elektryczne oświetlenie ulic i placów, pobudowano strzelnicę typu wojskowego (300-metrową, a wreszcie zapoczątkowano budowę stadionu sportowego. Inicjatywa prywatna przyczyniła się również do rozbudowy; w ostatnich bowiem latach pobudowano szereg domów mieszkalnych, budynków przemysłowych i handlowych, włączając do niego mleczarnię polską.

Niezależnie od warunków obecnych są widoki na poprawę wzrostu miasta na wypadek rozparcelowania przyległych do KłECKA majątności ziemskich.

W parze z rozwojem gospodarczym idzie rozwój kulturalno-społeczny. Miasto Kłecko stało się pod tym względem ośrodkiem a zasięg jego rozszerza się na okolicę. Przyczynia się do tego cały szereg istniejących towarzystw, rekrutujących się nietylko z ludności miejskiej ale i wiejskiej.

Mimo skromnego zaludnienia żyje miasto w uregulowanych warunkach, posiada bardzo zdrowe podstawy do korzystnego rozwoju, który też z biegiem czasu nastąpi.

Nie czas siedzieć choćby nad takim pięknym jeziorem. Zresztą w Powidzu czekają nas także piękne pejzaże. No i największe jezioro: powidzkie, które wielkością ustępuje w Wielkopolsce tylko Gopłu, a pięknnością — żadnemu.

Już nam o niem zdała mówią większe i mniejsze jeziorzka rozsypane, jak pęknięty sznur pereł wśród ciemnej zieleni lasów.

A oto i dojeżdżamy już do Powidza.

BURMISTRZ M. POWIDZA,

P. Wł. Jaworski udziela nam informacji.

— Historję trzeba będzie pewnie zacząć od Bolesława Chrobrego.

— A tak. Początki istnienia Powidza sięgają do jego czasów. Osada zbudowana na ostrowiu, z trzech stron oblana jeziorami, stanowiła w czasach przedhistorycznych miejsce nader obrotne. Być może, że książęta polscy sami założyli tę osadę, gdyż od najdawniejszych czasów tak miasto jak okoliczne lasy były własnością książęcą względnie królewską. Okolica sama posiada osady, które istnieć musiały już w czasach przedhistorycznych. Świadczą o tem nazwy same, należące do najstarszych tworców naszego języka, jako też starożytne wykopaliska, urny i t. d. W muzeach poznańskich oglądać można urny wykopane w niedalekim Ruhocinie.

Powidz i jego okolica znajduje się na przełęczy pomiędzy dorzeczem Warty a źródłami Noteci. Osadnictwu tutaj sprzyja i ta okoliczność, iż wtedy prowadził prastary szlak kupiecki, rzymski Panoni ku Bałtykowi. W Polsce trakt ten potraçał o Kalisz, Puzdry, Powidz, Kwieceiszewo i t. d. Denary rzymskie wykopywane w Powidzu świadczą o tem, iż karawany takie wypoczywały nad brzegami jeziora powidzkiego. Drugi trakt kupiecki, również wtedy przechodzący, prowadził z Poznania i Gniezna ku Warszawie.

Dzisiejszy Powidz nie należy do tych miejscowości, które położone przy głównych traktach i liniach kolejowych państwowych cieszą się wszelkimi wygodami nowoczesnej komunikacji.

Jak wyglądało w mieście naszej przed rokiem 1243, w którym to prawa i stosunki mieszkańców poraz pierwszy uregulowane zostały, czem zajmowali się w one czasy powidzanie o tem nie łatwo coś powiedzieć.

Królewszczyzna powidzka przypadła w udziale książętom kaliskim.

Na podstawie przywileju nadanego przez królów polskich Kazimierza Wielkiego w roku 1364, Zygmunta Augusta w roku 1563, Stefana Batorego w roku 1582 i innych, następnym monarchów, rozwijało się miasto Powidz bardzo pomyślnie. To też, kiedy w roku 1331 Krzyżacy, sprowadzeni przez wiarołomnego a dumnego Wincentego ze Szamotuł, pod wodzą Teodoryka z Altenburga pustoszyli ogniem i mieczem Wielkopolskę, zapędzając się het ku Powidzowi — prawdopodobnie, by pojmać królewicza Kazimierza, który w tym czasie w okolicy Puzdr oddawał się łowom — otrzymali od powidzan dotkliwą nauczkę. O zdarzeniu tem, które w skutkach swoich powidzan zrównało prawie ze szlachtą polską, opowiada dokument z dnia 7 września 1729 r. w Grodnie przez Króla Augusta II, wystawiony, a opierający się na przywileju Kazimierza Jagiellończyka, danym w przeddzień Wniebowzięcia N. M. P. w Toruniu w roku 1464 w następujących słowach:

„nadaje się przywileje obywatelom miasta Powidza dlatego, że ci mieszczenie ogołoceni przez krzyżaków i we więzy w Prusach zakuci, wsparci pomocą Bożą, połamali kajdany i wszyscy jednogłośnie z więzienia wyszedłszy, goniących za sobą dwustu dobrze uzbrojonych Krzyżaków ubili a sami zdrowi do domu powrócili”.

Za mężny opór, stawiony Krzyżakom podczas najazdu na Wielkopolskę w roku 1331 obdarował już król Władysław Łokietek Powidzan rozległymi wolnościami. Kazimierz Wielki dobrodziejstwa te potwierdził i rozszerzył przywilejami z roku 1362 i 1364. Gdy zaś dokumenty odnośne krótko przed rokiem 1464 spłonęły, udali się Powidzanie do króla Kazimierza Jagiellończyka z prośbą, aby wystawił je na nowo. Kazimierz Jagiellończyk nie tylko prośbie tej uczynił zadość, ale owszem nowe dobrodziejstwa hojną dorzucił ręką. Skłoniła go do tego widocznie ta okoliczność, iż Powidz znowu okazał męstwo; była to owa sławna pruska wojna, zakończona zupełną klęską Krzyżaków, którzy łupili ziemię dobrzyńską i kujawską, zapędzając się het ku Powidzowi.

Powidz należy do tych miejscowości, w których żydom osiedlać się nie było wolno. Weszli oni do Powidza dopiero wraz z Prusakami. Był to początek utraty wszelkich przywilejów, wolności i swobód, otrzymanych za męstwo z ręki królów polskich.

— A co można powiedzieć o Powidzu współczesnym?

— Według spisu ludności z roku 1931 liczy Powidz 1.315 mieszkańców. Majątek miejski, składający się z 3.3330 mórg jeziora, około 3.000 mórg gruntu, 100 mórg lasu, gmachu szkolnego i schroniska dla starców; sięga wartości około 250.000,— zł. Zadłużenie miasta wobec posiadanego majątku jest nikłe, bo stanowi zaledwie 6%. Ludność trudni się w 90% rolnictwem i hodowlą bydła. Drobni kupcy i przemysłowcy nie nadają Powidzowi wybitnej cechy. Szkolnictwo reprezentowane jest przez 6-klasową szkołę powszechną.

Powidz, jako Uzdrowisko czynne nadaje się do leczenia wszelkich chorób nerwowych, rekonwalescencji po chorobach ostrych i przewlekłych oraz jest idealnem miejscem wypoczynkowym. Odjeżdżamy.

Samochód jedzie teraz jak koń, któremu jeździec puścił wodze. Wszędzie przecież w powiecie gnieźnieńskim jest ładnie. Więc niechże samochód jedzie, gdzie on albo szofer chce. Za wyjątkiem rowu i przydrożnego drzewa.

Ale już np. między tę ciemną ścianę lasu, wyrastającą przed nami, wjechać może. Chłód i cisza. Za chwilę stajemy nad pięknem jeziorem skorzenińskim. Naokół niego rozsiadły się lasy „królewieckimi” zwane, pełne jarów, dolin i urwisk.

Potem znowu nad jezioro Lednickie z prastaremi pamiątkami słowiańskiej przeszłości na swych ostrowach. Na jednej z wysp, jak legenda głosi, książę słowiański, którego imię utonęło w pomroce zamierzonych czasów, zakopał skarb przeogromny.

Teraz jedziemy do Witkowa. Była to niegdyś siedziba starosty. Dziś nawet ze swemi trzema tysiącami mieszkańców odznacza się ruchliwością, posiada dwa kościoły, szkołę gospodarczą dla dziewcząt, drukarnię, młyny, tartaki, place sportowe, rzeźnię, elektrownię, stację kolejki powiatowej.

Pod wieczór, o zmierzchu, wysiadamy we wsi Zdziechowej, by w marszu po okolicznych polach wspominać ciężkie chwile powstania wielkopolskiego, w którego dziejach Zdziechowa trwale się swoją pierwszą zwycięską batalją zapisała.

A teraz już tylko jechać nam do zapalającego się w ciemnościach dziesiątkami świateł — Gniezna.



NASZ MAŁY ZACHODNI MANCHESTER

I BASTJON POLSKOŚCI NA WYSUNIĘTEJ PLACÓWCE RZECZPOSPOLITEJ.



Pociąg uwozi nas coraz dalej od Poznania i coraz bliżej jesteśmy granic Rzplitej. Mijamy Ostrówki, otoczone zalesionemi wzgórzami. Pociąg przeryna się przez wysoki wąwóz, za chwilę zjawiają się w polu widzenia czerwone dachy kamienie i wychylające się z pośród nich dwie smukłe i wysokie wieżycy dwóch gotyckich kościołów. Z wysokości okien wagonu widzę przez chwilę miasto otoczone wieńcem lasów.

PIERWSZE SPOJRZENIE NA CHODZIEŻ.

Zajeżdżamy na dworzec.

Stojąc na peronie, patrzę dokoła. Po drugiej stronie lasów — duża cegielnia. Trochę dalej — wielkie budynki ćmielowskiej fabryki porcelany. Spoglądam na miasto; za mierzem czerwonych dachów kamienie dymią kominy fabryczne. To znowu fabryka fajansów St. Mańczaka.

Z dworca już widzimy niezwykle uprzemysłowienie Chodzieży.

Idę przez miasto. Uderza fatalny stan bruków. Pozatem miasto jest czyste, oświetlone, zelektryfikowane i skanalizowane. Ma też własne wodociągi. Patrzę na szyldy. Noszą przeważnie niemieckie nazwiska. Wszczynam rozmowę z jakimś przechodniem. Mówi po niemiecku. W pewnej chwili zaczyna mówić o swoim udziale w walkach o Chodzież.

— Więc pan nie jest Niemcem — pytam go.

— Ale gdzie zaś — mówi już po polsku, ale mniej płynnie i z pewnym trudem — ja mam takie niemieckie nazwisko i mówię po niemiecku, bo mi się łatwiej mówi, ale jestem Polak zabity. I tu jest u nas dość takich. Poprzekręcali nam nazwiska ale duszy nie wzięli. Te nazwiska nad składami też są niemieckie, a to są Polacy często. A jakby Niemcy wyciągli giry po Chodzież, to znowu pójdziemy do walki i giry poprzetracamy.

Wchodzimy do ładnego budynku starostwa. P. starosta Siekierzyński stoi właśnie przed stołem, wywołuje nazwiska. Podchodzą do stołu ludzie biednie ubrani i skarżą się, proszą o pracę, o wsparcie. Mówią o tem niebardzo czystą polszczyznę, ale zwracają się z wielką ufnością. Przypominam sobie, co mówił mi jeden z bezrobotnych, których grupę spotkałem na rynku miasta.

— O Pan Starosta to je dobry pan i żadnego Polaka nie pozwoli skrzywdzić.

Potem rozmawiamy z p. Starostą przez długą chwilę o problemach życia miejscowego, o patriotyzmie i lojalności miejscowego społeczeństwa polskiego, o robocie zachodniego sąsiada.

Od starosty idziemy do burmistrza m. Chodzieży.

U OJCA GRANICZNEGO MIASTA.

Wywiad z p. Burmistrzem Maronem.

— Niech nam Pan Burmistrz powie słów kilka o Chodzieży z punktu widzenia gospodarczego — prosimy p. burmistrza Marona, który swój urząd piastuje od r. 1923.

— Relatywnie rzecz traktując, to miasto nasze jest najwięcej uprzemysłowionem miastem w Wielkopolsce. Na 7.511 mieszkańców Chodzieży (według ostatniego spisu ludności) mamy w naszych zakładach przemysłowych zatrudnionych ca. 1.800 ludzi. Oczywiście są tu pewne wahania: w sezonie letnim jest tu zatrudnionych więcej a w zimie mniej.

— Może Pan Burmistrz zechce nam przedstawić krótki obraz historyczny przemysłu chodzieskiego?

— Do roku 1656 mało wiemy o życiu gospodarczym naszego miasta, chociaż są znamiona wskazujące na to, że już przed rokiem 1656 istniało niezwykle rozwinięte rękodzielnictwo chodzieskie. Na widownię gospodarczą występuje Chodzież w roku 1656, przez swe sakiennictwo i garncarstwo (w tem ostatniem mieści się już wtedy zapowiedź przyszłego naszego wielkiego przemysłu ceramicznego) i już wtedy szły chodzieskie wyroby na zachód (do Brandenburgji i na wschód, aż do Rosji). Przy końcu 18-go, na początku 19-go wieku następuje pewne załamanie rozwoju przemysłu chodzieskiego. Złożyły się tu dwie przyczyny: rozwijający się maszynizm i silna konkurencja bliskich dzielnic niemieckich.

Piła np. zagrażała wtedy Chodzieży zupełnym upadkiem chodzieskiego przemysłu. Lecz w roku 1855, gdy zdawało się, że przemysł niemiecki i konkurencja Piły zniaczą zupełnie życie gospodarcze Chodzieży, wtedy została założona fabryka fajansów, a w roku 1896 założono fabrykę porcelany. Obie fabryki rozwijały się coraz bardziej a dziś eksportują swe sławne wyroby w szeroki świat.

— A inne placówki przemysłowe Panie Burmistrzu?

— Do poważniejszych należą tu: cegielnia, tartaki i młyny firmy Cegielskiego z Poznania, następnie 2 cegielnie parowe Priebego i Poznańskiego, wreszcie fabryka maszyn Milkego i inne.

— A jaki jest stan finansowy miasta?

— Jest on korzystny, a nawet rzec można dobry. Na ogólną kwotę majątku miejskiego 51½ milionów złotych, zadłużenie nasze wynosi 95 tysięcy zł. Jeśli chodzi o administrację, to żadnego jeszcze roku nie zamknęliśmy deficytem, a zawsze plusem. Oczywiście, ponieważ wpływy podatkowe wybitnie zmalały, więc w tym stopniu obniżyliśmy budżet miejski. W kwestjach podatkowych my tu mamy specjalną bolączkę. Oto sprawa naszych fabryk. Mamy z nimi dużo kłopotu w dziedzinie obciążeń socjalnych, a korzyści z nich czerpią inne miasta. Ponieważ siedziby prawne lub centrale takich zakładów jak fabryka fajansów, czy fabryki porcelany (centrala w Ćmielowie) czy wreszcie zakładów Cegielskiego — mieszczą się gdzieindziej, więc nasze miasto nie otrzymuje ani dodatku komunalnego, ani nie partycypuje w podatku dochodowym.

— Jak przedstawia się sprawa zakładów miejskich i ich gospodarki?

— Miasto ma swoje: gazownię, kanalizację, wodociągi, sieć elektryczną, rzeźnię. Są one prowadzone pod kątem samowystarczalności, a nawet (jak np. gazownia) odrzucają zyski.

— A dlaczego miasto ma tak fatalne bruki?

— Proszę pana, plan brukowania istniał już przed wojną. Ale przyszła wojna, a po niej miasto dotąd nie mogło się zdobyć na taki ekspens. Ale o tem się myśli i to się zaczyna robić.

— O sprawach narodowościowych jeszcze słów kilka?

— Tu stosunki od czasu odzyskania niepodległości zmieniły się zasadniczo. Dawniej Chodzież była jednym z najbardziej zniemczonych miast polskich. Jeszcze teraz żywiol niemiecki jest silny swoją zwartością wewnętrzną. Jest ich około 22%.

— Więc bruki pierwsza inwestycja Panie Burmistrzu, bo pozatem miastu można tylko pogratulować.

— Jeszcze słów kilka, Panie Burmistrzu o letniskowych wartościach Chodzieży?

— Chodzież jak Pan już zapewne zorientował się — należy do najpiękniej położonych miast w całej Polsce. Otaczają ją lasy i niewielkie wzgórza. Samo miasto położone jest nad trzema jeziorami. Chodzież posiada wszelkie dane, ażeby stać się pierwszorzędnym letniskiem, czemu sprzyja jej uroczyste położenie i zdrowotny klimat. Piękna plaża nad jeziorem miejskim, prześliczne partje spacerowe i niske ceny utrzymania przyczyniają się do tego, że frekwencja z roku na rok wzrasta. Coraz częściej i liczniej przyjeżdżają letnicy z najdalszych zakątków Polski, ażeby tę naszą „polską Szwajcaryję” podziwiać.

Zeszlatoroczna frekwencja pozwala nam mówić o sobie, jako o jednym z najliczniej uczęszczanych i najpiękniejszym letnisku w Polsce. Pomimo wszystko, jak dotychczas, Chodzież nie cieszy się taką frekwencją, jaką cieszyć się powinna. Pamiętam przed wojną światową, ruch turystyczny był o wiele, wiele silniejszy niż obecnie. Przyjeżdżali tutaj przeważnie Niemcy, nawet z Saksonji i Bawarji.

I teraz wśród letników przeważa element niemiecki, który przybywa tu na spędzenie wakacyj czy to z dalszych okolic kraju czy to jak przeważnie bywa, korzystając z uprzywilejowania graniczno-paszportowego z zagranicy z Niemiec. Obecnie coprawda staramy się prowadzić na rzecz Chodzieży większą propagandę i ściągnąć tutaj letników z całej Polski, lecz z powodu trudności finansowych i kłopotów miasta ze zwalczaniem panującego u nas bezrobocia zarówno jak propagandę tak i budowę specjalnego domu letniskowego musimy przełożyć na czas późniejszy.

Następnie udajemy się na zwiedzenie dwu wielkich placówek przemysłu ceramicznego: w chodzieskiej wytwórni Fabryki Porcelany i wyrobów ceramicznych „Ćmielów” przyglądamy się pracy 400 ludzi nad produkcją porcelany stołowej, montażowej, izolatorów wysokiego i niskiego napięcia, porcelany laboratoryjnej i innych. W fabryce znowu p. St. Mańczaka na drugim końcu miasta oglądamy śliczne wzory wyrobów eksportowych fajansów, które idą do Belgji, Holandji, Ameryki i Danji. A obok tego serwisy stołowe, które widzimy za szybami w Poznaniu, a tam znowu filiżanki z barwnymi motywami luculskimi.

OSZCZĘDNOŚĆ CHODZIESKIEGO W CYFRACH.

Od dyrektora, p. Kaczmarska, uzyskujemy informacje dotyczące K. K. O. powiatu chodzieskiego.

Założenie kasy nastąpiło w r. 1867; przejęcie przez władze polskie w 1920 r.. Suma wkładów wynosiła w roku 1925, w którym to roku został ustalony pierwszy bilans w złotych polskich: wkłady oszczędnościowe — 579.130 zł, fundusze — 299.447 zł. W r. 1933 wkłady oszczędnościowe per 30. VI. 1933 — 1.156.505 zł, fundusze per 30. VI. 1933 r. — 438.830 zł. Stan kasy w dniu 30. VI. 1933: kapitał płynny — 198.378 zł, papiery wartościowe — 103.377 zł, kapitały wypożyczone — 1.316.579 zł.

Oprócz zobowiązania w stosunku do wkładców, kasa nie posiada żadnych innych zobowiązań ani też długów wobec innych banków. Kasa wypożycza skarbaniki niklowe i nowoczesny wynalazek w formie książki z imitacją skóry. Naczelnikiem zarządu i dyrektorem w jednej osobie jest Godziszaw Kaczmarek, czynny od r. 1923. Pierwszym książkowym z prawem podpisu od czasu przejęcia kasy przez władze polskie jest p. Roman Pieścikowski. Kasa znajduje się w własnym, zupełnie nowoczesnym gmachu i posiada wszelkie urządzenia, odpowiadające światowym instytucjom bankowym.

CHLUBA CHODZIEŻY. SANATORJUM KASY EMERYTALNEJ

w jednym z najpiękniejszych ośrodków uzdrowiskowych w Wielkopolsce.

Przechodzimy przejazdem kolejowym i zaczynamy wspinać się w górę. Piękna szosa zaczyna więc się silnymi wirażami. Wchodzimy w śliczny las. Przeważają sosny. Teren po prawej stronie opada silnie w dół, a na dole poprzez gąszcz drzew przeblyskuje tafla ukrytego wśród zarośli i drzew jeziora Strzeleckiego. Widok jest naprawdę uroczy i trudno szukać podobnego w całej Wielkopolsce.

Dochodzimy do Sanatorium Kasy Emerytalnej. Otoczony zwartymi ścianami lasu szpilkowego stoi wielki, piękny gmach.

Za chwilę słuchamy uprzejmych informacji Dyrekcji.

— Sanatorium położone jest w zaciszu, dokąd kurz i dym nie mają dostępu, na wzgórzu około 100 m n. p. m., na gruncie piaszczystym, dobrze przepuszczalnym, wśród lasu sosnowego, z którego 38 morgów jest własnością zakładu.

Ku południowemu zachodowi wzgórze łagodnie spada, u stóp jego leżą dwa jeziora większych rozmiarów; z okien i balkonów zakładu widzi się te jeziora, okolone zalesionymi wzgórzami.

Zakład to 3-piętrowy okazały gmach, ponad 100 m długości, zwrócony ku południowi, zaopatrzone we wszystkie urządzenia lekarskie, higieniczne i techniczne. Posiada 45 pokoi sypialnych wygodnych i słonecznych, w tem 33 pokoje 4-łóżkowe, 7 pokoi 3-łóżkowych i 5 — 2-łóżkowych, razem 150 miejsc, po 50 miejsc na każdym piętrze.

Każde piętro posiada gabinet lekarski, kompletnie wyposażony, podręczną apteczkę, pokój obserwacyjny i pokój izolacyjny.

W oddzielnym budynku, połączonym z głównym gmachem zapomocą krytego i ogrzewanego korytarza, znajduje się: nowocześnie urządzone gabinet rentgenowski, gabinet światłolecznicy, laryngologiczny, sala operacyjna, pracownia chemiczno-bakterjologiczna, składnica leków, wygodne poczekalnie, szatnie dla osób odwiedzających oraz biura zakładowe z telefonem międzymiastowym i kolejowym.

Zakład posiada centralną wentylację. Umebłowanie pokoi sypialnych stanowią łóżka żelazne z metalową siatką, na biało lakierowane, z materacami włosianymi, kocami wełnianymi w poszwach płóciennych, stoliki przy-łóżkowe żelazne, z płytą szklaną, stoły, krzesła i szafy drewniane, biało lakierowane.

Sanatorium posiada własne wodociągi, elektrownię, nowocześnie urządzone kuchnię.

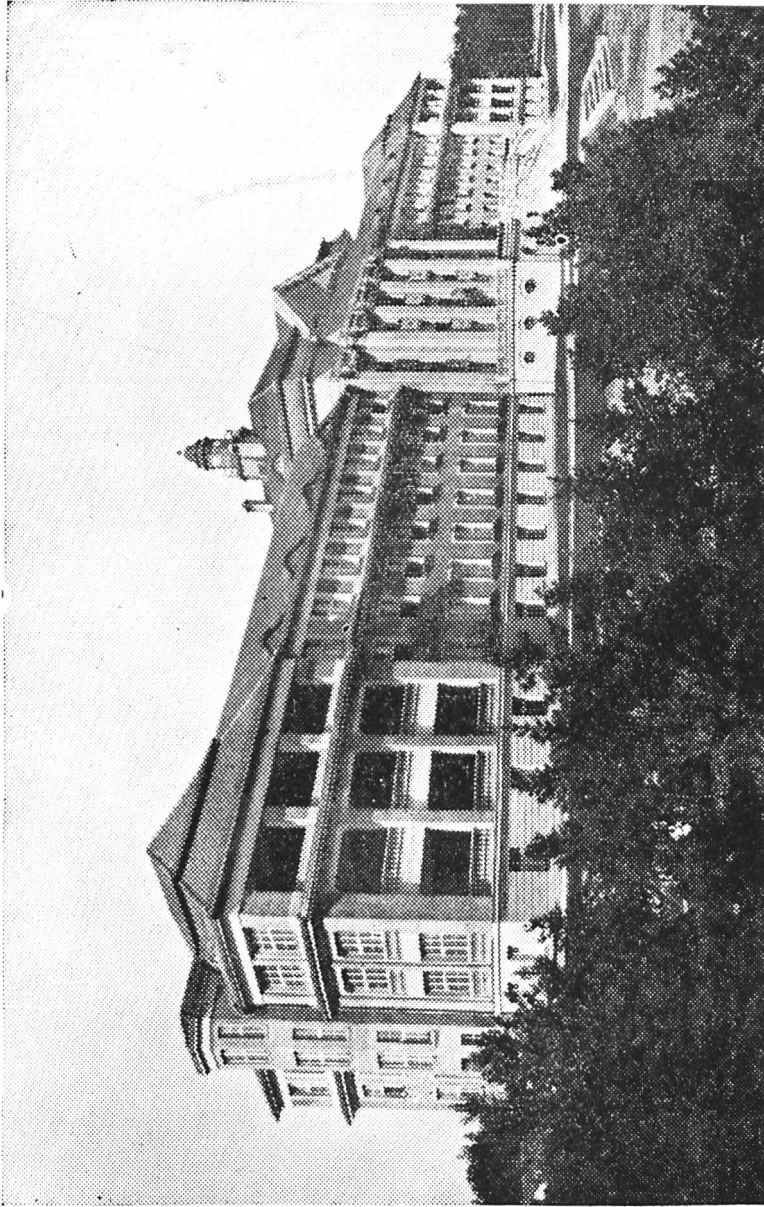
Z urządzeń sanitarnych posiada Sanatorium: 1) dezynfektor paro-próżniowo-formalinowy do odkażania przedmiotów, 2) aparat do odkażania i zmywania naczyń stołowych, 3) aparat do odkażania spluwaczek, 4) 3 aparaty do dezynfekcji pokoi formaliną.

Z urządzeń lekarskich: 1) aparat rentgenowski, 2) 4 lampy kwarcowe w tem 1 systemu Jesionka, 3) 2 lampy „Sollux” dużą i małą, 4) autoklaw do sterylizacji opatrunków, 5) sterylizatory do narzędzi chirurgicznych i lekarskich, 6) gabinet laryngologiczny z elektrycznym aparatem do inhalacji „Atmos”, 7) multostat, 8) pracownię chemiczno-bakterjologiczną z ciepłarką elektryczną i elektryczną wirówkę wiszącą, 9) salę operacyjną, zaopatrzoną w potrzebne aparaty i przyrządy, 10) składnicę leków, 11) aparat do sterylizacji spluwaczek, 12) aparat do diatermji.

W najbliższym czasie będzie urządzona przy Sanatorium stacja meteorologiczna II rzędu uzupełniona.

Sanatorium czynne przez cały rok jest przeznaczone dla osób chorych wzgl. zagrożonych na płuca oraz dla ozdrowieńców po schorzeniach płucnych. W skład chorych wchodzi przeważnie pracownicy kolejowi, warsztatowi i biurowi, względnie rodziny tychże, poza tem osoby prywatne i urzędnicy państwowi, względnie ich rodziny.

Dzieci poniżej lat 14-tu, chorych obłożnie, oraz na choroby ostro zakaźne i weneacyjne do Sanatorium się nie przyjmuje.



SANATORJUM KOLEJOWEJ KASY EMERYTALNEJ W CHODZIEŻY.



W Sanatorjum pracuje do 3-ech lekarzy ordynujących z Dyrektorem D-rem T. Białyńskim-Birulą na czele, zaś w miesiącach letnich prócz tego hospitanci.

Stosowane są wszelkie zabiegi lecznicze: odny gazowe i olejowe, aspiracje, wlewania i t. p. z wyjątkiem wyrwania nerwu przeponowego i przepalania zrostków opłucnowych (te zabiegi narazie są wykonywane w klinice chirurgicznej w Poznaniu).

Wyżywienie 5-razowe, przyczem dąży się do umożliwienia pacjentom osobistego wyboru potraw na każdy dzień. Sanatorjum jest uprawnione do przyjmowania urzędników państwowych wszelkich resortów oraz członków ich rodzin jak również wojskowych zawodowych i członków ich rodzin.

Ponieważ Sanatorjum nie jest obliczone na zysk, ma więc możność uwzględniać obecną trudną sytuację finansową kuracjuszy i bardzo przystępne pobierać opłaty za utrzymanie i leczenie.

WSPANIAŁY ROZWÓJ POWIATU.

Co nam wieczorem opowiedziano u p. Starosty Siekierzyńskiego.

Siedzimy w gustownym salonie pp. Siekierzyńskich, pan Starosta, p. inż. Woszczyński i ja.

P. Woszczyński mówi o aktualnych zagadnieniach Chodzieży.

Powiat chodzieski proszę pana, to jeden z najlżejszych powiatów w Europie, lasy bowiem pokrywają 40 proc. jego terenu. Można więc z tego punktu widzenia mówić o Chodzieży jako o miejscu klimatycznym. Terenowo należy Chodzież do najpiękniejszych w Polsce. Niemcy dali temu wyraz, nazywając ją właśnie „Polnische Schweiz” — „polską Szwajcarią”. Przyczynia się do tego tutaj dawne łożysko Prawisły, które rzeźbi teren w prześliczne jary w zboczach pokrytych lasami. Pozatem różnorodność florystyczna, uwidaczniająca się w składzie lasów, gdzie wśród przeważającej sosny zasilającej powietrze w ozon, występują najróżnorodniejsze gatunki drzew liściastych. To stwarza warunki na wybitne miejsce klimatyczne. Przyjeżdżają więc liczni goście z Warszawy, Łodzi i innych miast coraz to liczniej i liczniej.

— Widziałem tu także tereny, które się świetnie nadają na sporty zimowe, szczególnie narciarstwo. Raj dla narciarzy w tej Chodzieży.

— Właśnie. Pozatem mówi pan „tej Chodzieży”, w ten sposób zresztą utarł się zwyczaj mówienia „ta Chodzież”. A nazwa ta pochodzi przecież od słowiańskiego imienia własnego Chodziech i najstarsi ludzie w naszym mieście mówią: „idę do Chodzieżu, jestem w Chodzieżu”.

Jeśli chodzi o urozmaicenie terenowe, to warto tu wspomnieć o fackie, że tu u nas leży drugie, co do wysokości, wzniesienie w Wielkopolsce — Gontyniec, liczący 191 mtr. nad poziomem morza.

— A jeśli chodzi o sprawy narodowościowo-polityczne?

— Do ostatnich czasów szła ta sprawa opornie. Lecz w ostatnich latach dzięki niezwykle skutecznej pracy wybitnych tu ludzi, przyszło zrozumienie wartości, dyscyplinowania i wychowania obywatelskiego. Trzeba podkreślić, że jest tu bardzo dużo zasługi miejscowego społeczeństwa polskiego, które choć z początkiem opornie, ale zato trwale i całkowicie wchłania w siebie ideę pracy dla Państwa.

Należy podkreślić niesłychanie ofiarne stanowisko miejscowej inteligencji. Brak im czasu nieraz na spełnianie obowiązków zawodowych, a jednak pracują nad urządzaniem przedstawień, akademji, imprez, montujących tu polski element.

A nasi robotnicy też są naszą chlubą. Mamy rzesze bezrobotnych, czasy są bardzo ciężkie, a nigdzie nie było nawet odruchów manifestacyjnych niezadowolenia. Są lojalni i doceniają powagę chwili. Nigdy nie zdarzyło się, by władze musiały interwenjować. A jak oni głęboko entuzjastycznie odczuwają, gdy im podczas częstych uroczystości, urządzanych przez nasze organizacje gra orkiestra, czy chór śpiewa patriotyczne piosenki i melodje.

Także nauczycielstwo miejscowe spełnia swe szczytne zadania w pracy dla dobra państwa, biorąc żywy, czynny i skuteczny udział w pracy państwowej i społecznej.

Czynniki rządowe — panie redaktorze — nie zawiodą się nigdy na naszym społeczeństwie. Organizujemy się i konsolidujemy, stajemy się niewzruszalnym bastjonem polskości na tej wysuniętej placówce życia Rzplitej Polskiej.

WRAŻENIA.

Wyjeżdżałem z Chodzieży do głębi wzruszony. Na podstawie obserwacji i rozmów z wielu ludźmi miejscowego społeczeństwa, z każdej warstwy, każdego stanu i obozu politycznego doszedłem do przekonania, że Chodzież to powód do dumy ziem Wielkopolski. Piękna, urodziwa kandydatka na najpierwszą w Wielkopolsce miejscowość letniskową, ma mocne podstawy gospodarcze, i idzie ku coraz większemu rozwojowi, zwarta wewnętrznie czuwa nad niewzruszalnością naszego stanu posiadania na zachodnich rubieżach Polski.

O KROK OD ZACHODNIEGO SĄSIADA.

Na wyjeździe z Chodzieży.

Za chwilę powinien zjawić się autobus, którym pojedziemy do Ujścia. Spoglądam raz jeszcze na panoramę Chodzieży. I jeszcze raz uderza mnie to niezwykle podobieństwo konstrukcyjne wieży obu kościołów: katolickiego i ewangelickiego. Teraz już wiem od p. starosty Siekierzyńskiego, że nie jest to przypadek. Że konsekwentna polityka germanizacyjna „Fryca” nawet ten moment wyzyskała, upodabniając wieże obu kościołów.

Autobusu jeszcze niema, choć już od 25 minut powinniśmy według formalnego rozkładu jazdy być w drodze do Ujścia.

Jakiś „zawiany” komiwojażer złości się na dobre i wymyśla na „chorobny magistrat” i na cały świat, że niema tabliczki, oznajmiającej dworzec autobusowy. Przyjechał z Poznania i zaraz na wstępie został wprowadzony w błąd przez młodego niemieckiego stróża, który porządkował trawniki przy ewangelickim kościele. Powiedział mu mianowicie młody Niemiec, że autobus do Ujścia odchodzi z dworca. „Zawiany” wojażer poleciał w te pędy na dworzec kolejowy i tam go poinformowano, że autobus odchodzi z przed kościoła ewangelickiego. Cała Chodzież trzęsła się za chwilę od okrzyków oburzenia i gromów, jakie spadały na głowę biednego Niemiaszka.

NA CO SKARŻĄ SIĘ KUPCY CHODZIESCY.

Wywiad z p. radnym St. Nowickim.

Autobusu wciąż niema. Przeprowadzamy więc błyskawiczny wywiad z prezesem Towarzystwa Kupców i Przemysłowców oraz radnym Rady Miejskiej m. Chodzieży p. Stanisławem Nowickim.

— Niech nam Pan Prezes powie parę słów o sytuacji kupiectwa chodzieskiego.

— Z przyjemnością. Ale muszę się żalić. Więc położenie nasze jest nader ciężkie. Bo to już nie kryzys działa tutaj, kryzys dotknął wszystkich, ale my tu mamy bóle własne. Żyjemy ciągle w stanie wojny. Wojny bezkrwawej, bez bagnatów, ale także bardzo poważnej, można powiedzieć wojny na śmierć i życie. Jest to nasza wojna handlowa.

Bo widzi pan mamy tu bardzo silnego konkurenta. Jest nim kupiectwo niemieckie. Jest ono świetnie i silnie zorganizowane i ma jeszcze tę przewagę nad nami, że jest tu od dziesiątków lat wprowadzone. A przede wszystkim ta ich świetna organizacja. W gruncie rzeczy kupiectwo niemieckie przeprowadza cichy bojkot polskich towarów i polskiego kupiectwa! Żaden Niemiec nie pójdzie cokolwiek kupić do Polaka.

— A jak się przedstawia reakcja polskiego społeczeństwa?

— Proszę pana, przede wszystkim szkodzi nam tu bardzo ogromne rozbiecie tego społeczeństwa na różne odcinki walki, nieraz nawet odcinki walki wewnętrznej. Poza tem

działa tu nawet taki moment, że niektóre niemieckie firmy mają polskie nazwiska w nazwie firmy i udaje im się dzięki temu zwabić nieuświadomioną klientelę polską. Jest mi dokładnie wiadomem, że do zakładów niemieckich chodzą nawet urzędnicy państwowi polscy, na co już nie mogą znaleźć wytłumaczenia.

— Jakie jeszcze znajduje Pan miejscowe bołączki kupieckie?

— A, są niektóre sprawy mniejszego zdawałoby się znaczenia, a w gruncie rzeczy bardzo istotne dla stosunków w kupiectwie naszym. Np. wiadomą jest rzeczą, jaką ma wartość dla ożywienia handlu miasta frekwencja gości z poza miasta. U nas jest to zagadnienie aktualne ze względu na warunki letniskowe Chodzieży. Ale właśnie zamało się w Chodzieży pod tym względem robi. Koleje Państwowe też powinny tu iść na rękę naszemu miastu.

JEDZIEMY NAD SAMĄ GRANICĘ.

Jest wreszcie autobus. Za chwilę przejeżdżamy przez tory kolejowe i auto zaczyna wspinać się po wstędze szosy coraz wyżej i wyżej. Z wyżyny wzniesienia, na którym już jesteśmy widzimy ostatni raz panoramę Chodzieży. Za chwilę zagłębiamy się w las i nikną nam z przed oczu czerwone dachy, fabryczne kominy i duże smukłe kościelne wieże.

Autobus jedzie teraz pełnym gazem, przechylając się trochę niebezpiecznie na wirażach szosy. Każda chwila zbliża nas teraz do zachodniej granicy Rzeczypospolitej. Mijamy ciche, uśpione wsie. Nasz wojażer „pod dobrą datą” wrzeszczy w dalszym ciągu na świat i ludzi i „wogóle”. Wreszcie zagłębiamy się znowu w falisty, urozmaicony teren i za chwilę wjeżdżamy w uliczki starożytnej miejscowości — Ujścia.

GRANICZNA STRAŻNICA POLSKA — UJŚCIE.

U burmistrza p. Lewandowskiego.

Z rynku, gdzie nasz rozstrzęsiony wehikuł przystanął, niedaleka droga do ratusza. W chwilę więc po przyjeździe siedzimy już vis à vis burmistrza Ujścia p. Lewandowskiego.

— Wiem, Panie Burmistrzu, o Ujściu, że pamięta czasy Bolesława Chrobrego. Może Pan Burmistrz być dumny, że kieruje losami miasta o takiej świetnej, starożytnej tradycji.

— A tak, nasze Ujście jest jednym z najstarszych osiedli polskich. Powołały je do życia względy strategiczne. Tu na górze Zamkowej, u ujścia Głdy do Noteci stanął zamek książąt polskich do obrony wielkich polskich włości przed zabobrozością sąsiadów.

I jak to zawsze bywało wszędzie: naokoło siedziby książęcej, pod skrzydłami orła na zamkowej górze, skupiły się maleńkie domki, tworząc zawiązek przyszłego Ujścia.

Potem nad Ujściem zaczęły przechodzić wojny i zawieruchy. Więc odruch separatystyczny księcia Gniewomira zakończony jego niesławną śmiercią na rozkaz królewski Bolesława. Następnie przyszły czasy walk poszczególnych książąt o ważną, obronną twierdzę Ujską. Zmieniają się ciągle panowie na zamku. W r. 1430 otrzymuje Ujście od króla Władysława prawo magdeburskie.

Potem przyszedł „Potop”. W roku 1655 król szwedzki Karol Gustaw wysłał swego wodza marszałka Wittenberga z wielotysięczną armją na podbój Wielkopolski.

Szlachta zgromadzona z województw poznańskiego, kaliskiego i Kujaw w sile 15 tysięcy, zastąpiła Szwedom drogę pod Ujściem. Ale silniejsi militarnie Szwedzi pokonali opór bagien nadnoteckich i wojska szlacheckiego, przeforsowali linje Noteci i Głdy i zajęli Wielkopolskę.

Różne losy koleje przechodziło Ujście. Wreszcie przyszły rozbiory. I uparta walka o polskość Ujścia z wielką naganką roboty germanizacyjnej. I jak krzyk gnębionej polskości przemawia do nas urzędowy zapiszek w niemieckich aktach miasta z roku 1896: „Da Usch ein alter polnischer Ort ist, kann die Germanisierung die polnische Sprache

nicht verdrängt” („Ponieważ Ujście jest starą polską miejscowością — nie wyparła germanizacja języka polskiego”).

Wreszcie przyszedł epokowy dzień 19-go stycznia 1920 r., gdy osławiony Grenzschutz opuszczał mury miasteczka, a wkrótce po jego odejściu wmaszerowały wojska polskie, entuzjastycznie witane przez wszystkich mieszkańców, jako symbol nowej ery — wolności i pracy dla Rzeczypospolitej Polskiej.

Niestety, niecałe miasteczko wróciło do swej macierzy. Granica, którą poprowadzono po linii rzeki Gdły, aż do jej ujścia do Noteci, a dalej po Noteci oddzieliła od miasta i oddała Niemcom tę jego część, gdzie znajduje się dworzec i gazownia.

Pozatem skrzywdzono miasto przez przeprowadzenie takiej granicy jeszcze i dlatego, że odcięto od miasta jego posiadłości ziemskie. Miasto miało bowiem dużo własnego gruntu i został majątek ten po tamtej stronie.

A jaki jest obecny stan majątku miasta?

— Wielkich kapitałów, ani majątku nie mamy. Ale też nie mamy długów. Gospodarujemy się ściśle według budżetów i osiągamy każdego roku nadwyżki budżetowe.

— Co miasto zrobiło po odzyskaniu niepodległości?

— Więć przedewszystkiem wykupiliśmy z rąk niemieckich duży budynek, który powiększyliśmy i urządziliśmy w nim ochronkę miejską dla dzieci. Opiekę tę prowadzi Siostry Miłosierdzia z Pleszewa.

Po drugie: dzięki racjonalnej gospodarce budżetowej zdobyło się nasze miasto na budowę chodnika o łącznej długości przeszło kilometrowej. Oczywiście miasto przez to bardzo wyładniało.

Pozatem w tym kierunku odbywa się intensywne prace w ramach Towarzystwa Upiększenia Miasta, które pracuje przy współpracy i pod kierownictwem miejskiego biura zastrzewiania miasta.

Zbudowaliśmy także wielkie boisko sportowe o powierzchni 8 mórg oraz strzelnicę wojskową, nowoczesnie urządzone i oddaliśmy je do dyspozycji organizacjom pracującym na terenie P. W. i W. F.

NA SŁYNNIEJ DRODZE KRZYŻOWEJ.

Niebo dotąd zachmurzone przejaśniło się trochę, a blade słoneczne blaski oświetlają lśniący na wzniesieniu kościół.

On jest teraz celem naszej wędrówki. Wchodzimy do schludnej plebanji. Otwiera nam drzwi rumiany i uśmiechnięty ks. proboszcz Dudziński.

Rozmawiamy chwilę o wielkich pielgrzymkach, które tu do Kalwarji Ujskiej rok rocznie przybywają, o tem, jaką to ma wielką wartość to przenikanie naszego polskiego elementu centralnego tu do najdalej wysuniętych placówek polskości. Ks. proboszcz, który jest po staropolsku gościnny, bardzo nas przeprosza, że z powodu nawału pracy rekoлекcyjnej nie może nam towarzyszyć w wędrówce po Kalwarji. Kupujemy więc u proboszcza broszurkę o Kalwarji za 2 zł i z tym ilustrowanym przewodnikiem w skupieniu i powadze przechodzimy drogę krzyżową.

Wije się ona stromą aleją na pochyłym zboczu wysokiego wzgórza.

Po kilku kamiennych stopniach wступujemy na poświęcony pagórek. Jest to wzgórze Męki i Śmierci Pana Jezusa.

Stoimy przed piękną kaplicą pierwszej stacji. Wieje bardzo silny wiatr i do oczu napływają łzy. Patrząc przez nie, jak przez mgłę i czytam na frontonie kapliczki:

„A kto nie bierze krzyża swego, a nie naśladuje mnie, nie jest mnie godzien”.

Czytam i myślę: ileż to otuchły wlewa w serea tych umęczonych tłumów, które do tej drogi krzyżowej z całej Wielkopolski pielgrzymki odbywają, ileż pokrzepienia wpływa w serea tych szarych ludzi, z których każdy dźwiga z trudem swój krzyż i nieraz pod jego ciężarem upada.

„A kto nie bierze krzyża swego...”

Zamyślony przechodzę od jednej Stacji do drugiej. Droga jest stroma i męcząca. Stoję przed kaplicą grobu Chrystusa. Na postać Zbawiciela sęczy się gdzieś zgóry mistyczny, fioletowy blask. Jest dziwny czar w tych wszystkich kaplicach ujskiej Kalwarji. Czar nieuchwytny i niewypowiedziany. Mistyczna natura rzeczy materialnych.

W pewnej chwili w ciemnej grocie wykwita słodka twarz Boskiej Matki. To śliczna grotta N. M. P. z Lourdes.

Powoli, z trudem wspinamy się na szczyt, gdzie w górze widnieje ołtarz w skale wykuty, a nad nim rozpięty na tle szarego nieba wielki symbol męczeństwa — krzyż.

Potem skręcamy w bok i oto Kalwarja jest za nami. Przechodzimy na sąsiedni szczyt do t. zw. Belle-Vue. Jest to podwójna wieża zbudowana na szczycie wzniesienia, skąd rozciąga się widok naprawdę wspaniały.

W dole, u naszych stóp oddycha swym codziennym rytmem ciche miasteczko. Dalej sterczą niedymiące dziś kominy huty Frydrychstałskiej. Tuż za nimi wije się srebrna teraz w białych blaskach zachmurzonego słońca wstęga Noteci.

Tam na prawo dopływa do niej i wlewa w jej bok swe szerokie wody Głda, rzeka graniczna. Potem jeszcze kilkanaście budynków tworzących „den deutschen Useh” w dalekich perspektywach wioski niemieckiej, wielkie rozlewiska wiosennych wód a na dalekim horyzoncie kominy fabryczne Piły.

Na cichych wodach rzek stoją barwne statki, berlinki i kutry. Stoją bezczynnie, a na silnym wietrze łopocze susząca się, żeglarska bielizna.

Patrzę na wstęgi rzek i błyszczące lustra bliskich wód. Płynie wstęga Noteci, przelewa się woda obok niskich brzegów, śpiewając cichą odwieczną pieśń na chwałę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

BUDZYŃ NIE MA SZCZEGÓLNYCH POWODÓW SKARŻYĆ SIĘ NA LOS.

Krótką rozmowa z p. burmistrzem Pitulą.

W podróży po ziemi chodzieskiej zajeżdżamy do Budzynia.

Przyjmuje nas gościnnie zasłużony burmistrz m. Budzynia p. Jakób Pitula.

— Nad ilu mieszkańcami rozciąga się burmistrzowska Pańska władza? — pytamy na wstępie.

— Budzyń liczy obecnie 1.973 mieszkańców. Przytem podkreślić należy, że element polski reprezentuje u nas 81,1% mieszkańców, mimo, że jesteśmy w strefie nadgranicznej.

— Kilka słów o stanie miejskiego majątku p. Burmistrzu.

— Stan majątkowy naszego miasta wynosi obecnie 271.740 zł. Na majątek ten składają się różne objekty: 5 budynków, place budowlane, grunta uprawne i las.

Miasto nasze ma charakter w gruncie rzeczy rolniczy, ale zdobyliśmy się na taki wysiłek, jak zelektryfikowanie miasta po zlikwidowaniu nierentownej gazowni. Pozatem wybrukowaliśmy drogę z Budzynia do Prosna kosztem 90 tysięcy złotych. Miasto włożyło tu 30.000 złotych.

— Jak wyglądały krótki zarys historyczny Budzynia?

— Budzyń jako miasto pojawia się na widowni historycznej w r. 1600. Potem jednak podupadł dziwnie, tak, że Władysław IV musiał w r. 1700 odnowić przywilej lokacyjny osobnym aktem z 26 sierpnia 1641 r. W walkach powstańczych przy odzyskiwaniu niepodległości Polski odegrał Budzyń rolę niepoślednią. Dzielni powstańcy budzyńscy uratowali w krwawych walkach miasto od zawładnięcia przez wojska niemieckie. Zdobyli m. in. samochód pancerny kierowany przez osławionego hr. Schwerina i wstrzymali w ten sposób atak wojsk niemieckich na Budzyń.

— Jakie są bolączki miejscowe?

— Muszę z radością stwierdzić, że nie mamy szczególnych powodów skarżyć się na los.

Zarówno Rada Miejska, jak i całe społeczeństwo harmonijnie współpracuje z kierownictwem miasta tak, że idziemy ku coraz większemu rozwojowi.

W MARGONINIE 90 PROC. POLAKÓW.

Burmistrz p. Rzeźnicki jest zadowolony z harmonijnej współpracy miejscowego społeczeństwa.

Burmistrz p. J. Rzeźnicki wita nas niezwykle serdecznie.

— Jeśli chodzi o ciekawsze koleje kierownictwa naszego grodu, to wyglądałyby następująco. Pierwsza kadencja burmistrzowska w niepodległym już Margoninie zaczęła się 1 lipca 1931 r. Objął wtedy władzę wyznaczony przez ówczesnego wojewodę Celichowskiego właściciel ziemski p. Fr. Grossmann. Miało wtedy miasto 2.180 mieszkańców, w tem był b. poważny odsetek Niemców. Potem stosunek się zmienił i teraz poszczycić się możemy, że mamy już 90% Polaków.

— Podobno miasto musiało na wstępie walczyć z poważnemi trudnościami.

— Tak. Ciężyły na niem poważne długi zaciągnięte przez miasto na budowę gazowni i chodników. Długi zostały przewaloryzowane na 42.000 zł w formie długoterminowej pożyczki 4½% i 20% amortyzacji. Dotychczas spłaciliśmy 8.000 zł. Nadmienić tu muszę, że miasto wspomniane długi amortyzowało z własnych zasobów, nie obciążając obywatelstwa żadnym dodatkowym haraczem.

— Jak przedstawiają się inwestycje miejskie?

— Uruchomiliśmy gazownię, proszę pana, którą przejęliśmy w opłakanym stanie. Wprowadziliśmy przytem ulepszenia techniczne i remont zbiorników. Obecnie jest gazownia jednostką bardzo rentowną. Zbudowaliśmy 2 ulice, Strzelnicę P. W., ulepszyliśmy stadion kosztem 4.000 złotych.

Urządziliśmy piękną świetlicę, poświęconą przez proboszcza ks. Napiątka. Rozpoczynamy także budowę łazienek miejskich i pływalni na jeziorze, które mamy przecież tuż.

Bezrobocia u nas niema. Walnie się tu przyczynił p. starosta Siekierzyński, zatrudniając naszych bezrobotnych w budowie dróg.

Po rozmowie udajemy się z p. burmistrzem do wspaniałej historycznej alei lipowej istniejącej od czasów przedrozbiorowych. Aleja prowadzi do Państw. Szkoły Leśniczkiej prowadzonej wzorowo przez wychowawcę p. por. rez. St. Nowakowskiego.

KRES WĘDRÓWKI...

Pociąg miarowo stuka po wiązaniach szyn. Zapada zmierzch. Patrzę na rozświetlone stacyjki. Zginął już z oczu Budzyń. Wyjeżdżamy z włości powiatu chodzieskiego.

Ale my jeszcze wrócimy. Zadużo widzieliśmy tam piękna w naturze, zbyt silnie odczuliśmy rytm gorącego serea Polaka z Chodzieskiego, byśmy je mogli zapomnieć. Wrócimy!

W OJCZYŹNIE JANKA Z CZARNKOWA

I JEGOMOŚCI KRÓLA STASIA.



Z okien wagonu.

Jedziemy znowu popatrzeć, posłuchać i napisać o kawałku naszej Wielkopolskiej ziemi. Zgóry wiemy, że znowu co chwila potykać się będziemy o ślady świetnej przeszłości, że na nasze serdeczne powitanie odpowie nam ta ziemia nietylko odgłosami współczesnego, tętniącego swego życia. Odpowie także śpiżowem echem, w którym dosłyszemy i dźwięk mieczy wojów Chrobrego i chrzęst zbroi husarskich i terkot niemieckich karabinów maszynowych. Że zobaczymy kurhany prasłowiańskie i groby powstańców z 18-go roku.

Patrzymy z okien wagonu. Za każdym wypadkiem naszych wędrówek jest na świecie jaśniej i zieleniej. Może to przyczyna, dla której każda podróż jest miłsza od swej poprzedniczki, że każde miasteczko jest ładniejsze od poprzedniego, że każdy zakątek bardziej urodziwy od widzianych dotąd.

Teraz pociąg biegnie wśród lasów i pól, jakby w tunelu zielonego wirydarza. Widok jest coraz wspanialszy. Bo oto po obu stronach zaczynają wyrastać wzgórza okazałe, o linii miękkiej, łagodnej, o zboczach skrytych w silnej zieleni mieszanych lasów.

Jedziemy znowu po wysokim kolejowym nasypie. W dole wije się biała wstęga szosy a na dalszym planie łagodny profil zalesionych wzgórz. W pewnej chwili z lewej naszej strony zjawia się nasza dobra znajoma z Ujścia — strażniczka części naszych zachodnich rubieży — lśniąca, połyskliwa Noteć.

Z prawej strony podchodzą blisko, niemal do okien pociągu zaglądając piękne lasy. To pewnie sławne z urody lasy Gorajskie. Po chwili oddalają się i są coraz dalsze, dalsze. To nie, my do was wrócimy napewno.

A oto i wjeżdżamy już do grodu Janka z Czarnkowa.

U TRUMIEN BOHATERÓW.

Jedziemy z dworca do miasta. Przejeżdżamy obok pięknego parku miejskiego z cienistymi alejami, z jasnymi drożynami wśród brzoź. Zajaśniała na chwilę plama białych kortów tenisowych i znikła przysłoniona gęstą zielenią drzew i krzewów.

A tu wysiadamy. Wchodzimy na cmentarz. Chwila marszu wśród grobów i staje my przed kawałkiem ziemi, w której leżą prochy drogie każdego sercu Polaka, bohaterów powstańczych.

Padli, rażeni śmiertelnie 8 stycznia 1919 na czarnkowskim rynku przy zdobywaniu ratusza, w murach którego siedzieli ostatni żołnierze Nelkego.

Padli, krwią serdeczną plamiąc kamienie rynku, kładąc najdroższą rzecz — życie na ołtarzu odkupienia ojczyzny.

Antoni Gładki, Stanisław Putz, Wacław Klesz, Feliks Kaźmierczak, Teofil Rączka, Antoni Rydzy, Józef Winiecki, Edmund Grützmacher, Jan Szmydra, Ignacy Zdun, Roman Mądrowski, Michał Pałka... — czytamy nazwiska, które zapadają w pamięć i serce, jak szlachetne kamienie do szkatuły.

W ŚWIĄTYNI WSPOMNIENI.

Ks. kanonik Swinarski pokazuje nam drogie sercu pamiątki.

A teraz do starożytnego czarnkowskiego kościoła. Jedziemy wzdłuż miasta. Obserwujemy rzecz charakterystyczną — dziwny kształt miasta. Ze względów terenowych, ponieważ przed sobą ma ono Noteć i nadnoteckie torfowiska a tuż za plecami wysokie wzgórza — rozsiadło się miasto w kształt znanej słowiańskiej ulicówki. Ciągnie się więc dwoma rzędami domów i rozszerza dopiero przy rynku. Ta podłużność miasta uderza analogją z konfiguracją powiatu czarnkowskiego.

Zajechaliśmy przed probostwo. Ks. kanonik Poraj-Swinarski wita nas bardzo serdecznie. W saloniku, w którym siedzimy, roi się od śladów historycznej przeszłości czarnkowskiej ziemi. To sztychy stare, tam znów komplet monet, od monety Kazimierza Jagiellończyka począwszy, a tam w bibliotece jakiś bardzo stary foliś.

Rozmawiamy o Gnieźnie i katedrze, którą przecież ks. Swinarski dobrze zna, jako jej kanonik. Skolei schodzi rozmowa na zagadnienie bieżące: mówimy więc o walce miejscowego kupiectwa ze zorganizowanym i wysoko postawionem kupiectwem niemieckiem. Potem znów o roli twierdzy polskości, o którą rozbijały się fale germanizacyjne, jaką odegrały w Czarnkowie liczne rodziny polskiej inteligencji.

Skończyliśmy pogawędkę. Przechodzimy przez ogródek przed plebanją, przez jezdnię ulicy i wchodzimy w podwoje starożytnej świątyni. Odrazu stojących w kruchości uderza nas niezwykła czystość stylowa wnętrza kościoła kolegiackiego. Przepiękny, lekki barok króluje tu niepodzielnie od głównego ołtarza począwszy, poprzez zawartość prezbiterjum, poprzez ornamentację nawy głównej aż na prymitywnej Matee Boskiej na chórze skończywszy.

Kłękamy przed obrazem Matki Boskiej Czarnkowskiej. Uderza podobieństwo Madonny do Matki Boskiej Kodeńskiej. Słuchamy dramatycznej historii skradzenia srebrnej sukienki Bożej Matki i odnalezienia tej sukienki w błotach nadnoteckich.

Oglądamy następnie 2 barokowe zegary stojące vis á vis siebie po obu stronach nawy głównej, dwie ambony (moment symetrii istotny dla architektury barokowej).

Skolei ks. kanonik pokazuje nam w boczny ołtarzu ehlobę swego kościoła — piękny obraz, niezmiernie ciekawy w pomyśle i konstrukcji, na którym z dwojga sere Joachima i Anny wyrasta lilja. Z rozehylonych płatków symbolu czystości wychyla się słodkie oblicze Najświętszej Panny.

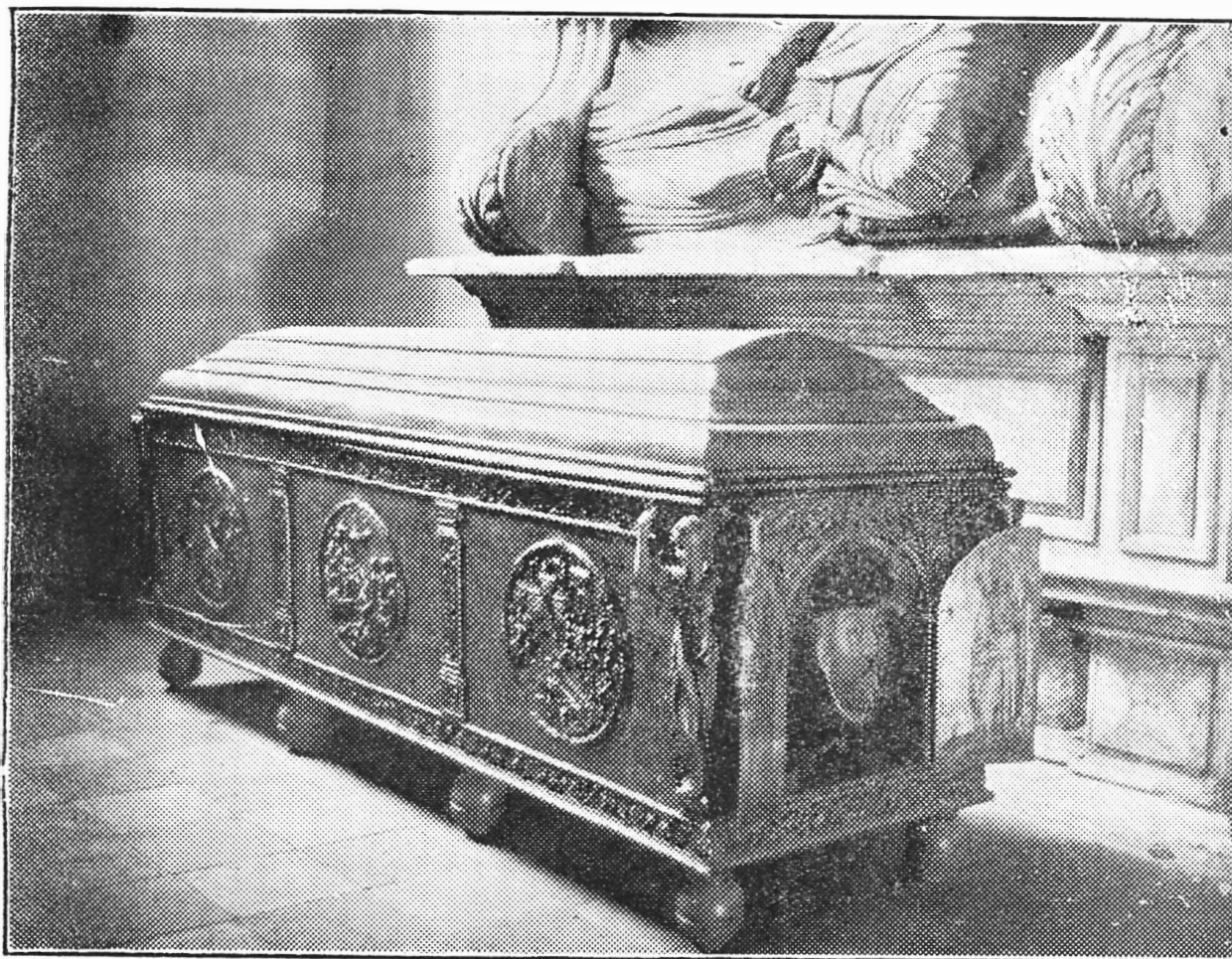
Spędzamy potem chwil kilka w rodowej kaplicy Swinarskich. W podziemiach tej kaplicy leżą cudownie zabalsamowane i zachowane zwłoki prapradziada ks. kanonika.

A teraz już wchodzimy do kaplicy Czarnkowskich.

JANKO Z CZARNKOWA.

Od progu kaplicy uderza widok wspaniałej srebrnej trumny. Leżą w niej prochy jednego z najszynniejszych Czarnkowskich — Adama Sędziwoja.

Kłękamy obok trumny i przyglądamy się pięknej, snycerskiej robocie na bokach. Płaskorzeźby w medaljonach wyobrażają wielkie czyny wojenne, leżącego teraz wieczystym snem w trumnie Pana z Czarnkowa.



GROBOWIEC ADAMA SĘDZIWOJA.

Trumna jednego z najświetniejszych panów na Czarnkowie Adama Sędziwoja Czarnkowskiego, księcia na Człopie, arabięgo na Czarnkowie, generała Wielkopolski, wojewody łęczyckiego, starosty Pызdr i Międzyrzecza.



Podnosimy oczy ponad trumnę. W ściennej niszy kaplicy podparta na mocnym ramieniu, w błyszczącej zbroję zakuta, spoczywa postać Macieja Czarnkowskiego, — dzieło mistrza van Huttena.

Podchodzimy bliźniutko do sąsiedniej ściany i usiłujemy odczytać w bronzowej płycie w 1580 r. wykuwane zgłoski łacińskie, mówiące o sławnym życiu Czarnkowskiego Macieja, którego na płycie z trzema jego synami sculptor Valentinus Rumink wyobraził usiłował.

Stoimy oparci o ścianę. Przez kościół kolegjacki zadzwoniły oddalające się kroki i uciekły.

W cichej kaplicy błąka się teraz wspomnienie. Wizja potężnej indywidualności wielkiego mistrza na dworze wielkiego króla piastowskiego. Tu, po tem niegdyś wzgórzku na którym stanął kościół, biegał w dziecinnych, uciechowych zabawach Janko z Czarnkowa, wójta miejskiego Bogumiła synalek i radość. Tu płynęły jedyne beztroskie lata przyszłego męża s.anu, chluby polskiego kronikarstwa i wielkiego archidjakona gnieźnieńskiego.

Nie wiedział wtedy wójt Bogumił, że mały, wesoly Janko już w r. 1365 jako kanonik włocławski do Awinjonu posłować będzie. Że syn jego podkanclerzym Kazimierzowym zostanie, nie śniło się nawet Bogumiłowi.

I że w 600 lat po jego śmierci nie będzie podręcznika literatury polskiej, któryby bodaj w kilkunastu wierszach należnego wielkiemu kronikarzowi hołdu nie oddał.

A mały Janko, gdy urósł, szedł dumnie po wielkiej drodze zaszczytów i godności, potem bólu i upokorzenia szedł, upadał, dźwigał się, kochał i nienawidził a przedewszystkiem patrzył i obserwował. A oczy miał wszystkowiedzące, głowę otwartą, umysł szeroki i bystry.

Więc, gdy potem zasiadł do pergaminów i zaczął pisać, z czarnych głosek inkaustu tworzyły się obrazy barwne i żywe.

I gdy dziś, po wiekach pochyli się nad kroniką archidiaconi gneznensis głowa historyka literatury, wstają z pożółkłych kart, jakże żywe, potężne postacie Grzymalichów i Nałęczów, tętnią mocnem życiem przełomowe chwile, gdy dwie dynastje panów na polskim tronie podawały sobie dłonie, snują się barwne, często barwą czerwoną krwi barwne wypadki, na theatrum miast i miasteczek wielkopolskich przez dwa zwaśnione stronnictwa szlachty wielkopolskiej dawane.

Przyeicha burza, przez zachmurzone jeszcze niebo przedziera się przejasny promień — młodziutka królowna Jadwiga przyjeżdża do Polski, którą tak bardzo potem ukocha.

U GOSPODARZA GRANICZNEGO POWIATU

Wywiad z p. starostą Boguszeuskim.

Pan starosta Boguszeuski przyjmuje nas bardzo serdecznie.

— Cieszę się, że i do nas panowie zjechaliście, napewno usłyszycie tu i zobaczycie wiele interesujących rzeczy.

— Już teraz możemy z przyjemnością, Panie Starosto mówić o kilku faktach. Odczuliśmy już piękno gorajskich lasów oraz serdeczność i gościnność, z jaką się nas tu przyjmuje.

— Ano, czem chata bogata... A wracając do piękna naszego powiatu to zapewnić panów mogę, że się je zamało docenia. Ludzie naogół bardzo mało wiedzą o urodzie naszych lasów i gór. A my naprawdę jesteśmy „poznaiuską Szwajcarją“. Zresztą przekona się pan sam o tem dobrze.

A teraz przestaniemy reklamować nasz powiat i pomówimy o powiecie z innych punktów widzenia. Widzi pan na tej mapie trochę dziwną konfigurację powiatu. Przypo-

mina swym kształtem długą kiszkę. Jesteśmy też powiatem wybitnie granicznym — mamy bowiem 77 km granicy z Niemcami.

Przyczyna konfiguracji naszego powiatu jest zarazem źródłem naszej biedy. Oto przez nieszczęsne pociągnięcie granicy naszej z Niemcami po linii Noteci stracił Czarnków poważną część swego zaplecza gospodarczego — około $\frac{2}{3}$ obszaru. Strata jest tem dotkliwsza, że chodzi w tym wypadku o bardzo cenne tereny łąkowe, z których zbierane świetne siano było podstawą egzystencji za czasów pruskiego zaboru. Tytułem rekompensaty dano nam przy tworzeniu powiatu czarnkowskiego część wieleńskiego, a więc terenu najbiedniejszego, który za czasów zaborskich zawsze korzystał z wydatnej pomocy rządu niemieckiego. Zbiednieliśmy przez taki związek i my i teraz cały nasz powiat jest stosunkowo biedny.

W intensywnym rozwoju gospodarczym powiatu przeszkadza nam fakt, że ze względu na wyjątkowo ciężką sytuację kraju nie możemy otrzymywać wydatniejszej pomocy finansowej od władz centralnych. Jest to o tyle przykre, że Niemcy ze swej strony kładą wielkie fundusze do dyspozycji rozwijających się swych miasteczek granicznych jak Trzcianka i Piła.

My także robimy w zakresie naszych możliwości, a więc przez Kasę Komunalną przedewszystkiem. A do podwyższania uczuć patriotycznych i konsolidacji polskiego społeczeństwa przyczynia się fakt, że niektórzy Polacy mają kawałki ziemi po stronie niemieckiej i płacą tam olbrzymie podatki.

— Jakie są główne pozycje w dorobku powiatu za czasów niepodległości?

— Własnym sumptem, proszę pana, ca 70.000 zł wybudowaliśmy szosę od Śmieszkowa do granicy powiatu obornickiego. Pozatem rozpoczęliśmy już niesłychanie doniosłą z punktu widzenia gospodarczego powiatu regulację strumienia Miały. Sprawa ta ma dlatego doniosłe znaczenie dla zachodnich połaci naszego powiatu, że uregulowanie strumienia Miały osuszy i odda do użytkowania ca 300 ha ziemi. Wykonanie regulacji, które jest obliczone na 4 lata i koszt ca 310.000 zł postępuje już naprzód. Mamy za sobą uregulowanych 3 km. Wygrywamy tu także i to, że przy robotach regulacyjnych możemy zatrudnić naszych bezrobotnych i ulżyć ich ciężkiej doli.

A przedewszystkiem ma to niesłychane znaczenie ogólne z punktu widzenia gospodarczego powiatu.

Pozatem wybudował nasz powiat wspólnie z powiatem niemieckim Netzekreis most graniczny przez Noteć w Drawsku kosztem 60.000 zł. Most ten jest bardzo ważnym obiektem ze względu na usługi, które oddaje ludności polskiej przy zbiorze siana i produktów z ziemi leżącej po niemieckiej stronie.

— A co nam Pan Starosta zechce powiedzieć o poważnym problemie terenu swojej pracy — o kwestji osadnictwa?

— To jest rzeczywiście trudny problem, który nam w naszej gospodarce przysparza wiele kłopotu. Po odzyskaniu niepodległości, na dawne niemieckie osady rentowe przyszedli osadnicy polscy. Musieli oni i muszą walczyć z wyjątkowymi trudnościami gospodarczymi i dlatego ciągle się do nas zwracają z wołaniem o pomoc. Nie pozostajemy oczywiście głusi na to wołanie i czynimy w tym względzie, co możemy. Interwenjowaliśmy z pomyślnym skutkiem zarówno w Okręgowym Urzędzie Ziemijskim jak i w Banku Rolnym.

Ostatnio dokonaliśmy tego, że sprawa walki z trudnościami osadnictwa wejdzie nawet na porządek dzienny debat czynników miarodajnych w Warszawie.

— A jeśli chodzi o strukturę miejscowego społeczeństwa Panie Starosto?

— Uległa ona zasadniczej i sympatycznej zmianie, zarówno pod względem narodowościowym jak i politycznym. Jeśli chodzi o pierwszy, to dawny stosunek narodowościowy przeszedł teraz w formę około 14% mniejszości narodowych w całym powiecie.

„Zaufanie społeczeństwa” czarnkowskiego — Komunalna Kasa Powiatu.

Następnie zdobywamy kilka danych, dotyczących K. K. O. w Czarnkowie.

Kasa została założona w roku 1854. Przejęcie Kasy przez władze polskie nastąpiło w roku 1919. Pierwszy bilans złotowy został sporządzony na dzień 31. XII. 1924 r. Stan wkładów oszczędnościowych wynosił: na dzień 1. I. 1925 — 61.371,20 zł, na dzień 1. VI. 1934 r. — 380.995,46 zł.

Kasa przyjmuje wkłady oszczędnościowe począwszy od jednego złotego za wysokim oprocentowaniem. Dla młodzieży wydaje kasa skarbonki oszczędnościowe. Papierów wartościowych posiada na sumę przeszło 100.000,— zł. Kasa posiada oddział w Wieleniu n./Notecią. Naczelnikiem Zarządu K. K. O. Pow. Czarnk. jest p. Starosta Stefan Boguszewski, a kierownikiem Kasy p. Teodor Jagiełka.

ROZMAWIAMY O PRZESZŁOŚCI I PRZYSZŁOŚCI CZARNKOWA

z jego burmistrzem, p. St. Ciepluchem.

Teraz porozmawiamy z kimś o samem Czarnkowie. Zrobimy to z osobą najbardziej kompetentną i powołaną. Z bardzo popularnym i cenionym burmistrzem Czarnkowa p. St. Ciepluchem.

P. Burmistrz uprzedzony o naszej wizycie oczekuje nas już w ratuszu. Wita się z nami z żywą radością, dziękując nam serdecznie za zajęcie się Czarnkowem.

— Pewnie na wstępie pozwoli mi pan rzec kilka słów o przeszłości naszego grodu?

— Bardzo o to właśnie Pana Burmistrza proszę.

— A więc krótko:

Przez dzieje Czarnkowa barwną nicią purpuratów snuje się historia rodu Czarnkowskich. Oto Dzierżykraj, książe na Człopie nawrócony zostaje przez Bolesława Chrobrego na chrześcijaństwo. Dzierżykraj poddaje się królewskiej władzy Chrobrego i zostaje mianowany wojewodą całej ziemi położonej między Gdą, Drawą i Notecią.

Jednemu z jego potomków wojewodzie kaliskiemu Mikołajowi — Mieszko Stary darowuje Czarnków, Mikołaj ze swojej strony nadaje w r. 1192 Czarnkowi prawa miejskie i sam nazywa się odtąd Czarnkowskim.

W 1247 budują Czarnkowscy kościół. Potem imię Czarnkowskich rozstawia Wincenty Czarnkowski, arcybiskup gnieźnieński.

To jedna z najpotężniejszych postaci rodu Czarnkowskich. Książe na Człopie, hrabia na Czarnkowie, generał Wielkopolski, wojewoda Łęczycki, starosta Pyzdr i Międzyrzecza. Za jego to staraniem wyniesiono kościół czarnkowski w 1632 r. do godności kolegiaty.

— I w dzisiejszem Czarnkowie uderzają dwie cechy zasadnicze, które nie pozostały bez wpływu na rozwój dziejowy miasta. Oto fakt, że Czarnków to gród graniczny i gród nadrzeczny. Należał on z Wieleniem i Ujściem do cyklu grodów warownych założonych przez Bolesława Chrobrego. Władysław Łokietek uczynił z Czarnkowa (r. 1322) podstawę operacyjną swych walk z Krzyżakami i Brandenburgją.

Ludność naszego miasta zahartowana w tych ciągłych bojach ma za sobą wyjątkową powstańczą tradycję. Brała udział we wszystkich powstaniach od 1831 poprzez 1848, 1863, aż do powstania 1918 r.

— A z drugiej strony tutaj przez Czarnków wiódł rzymski bursztynowy szlak?

— Tak, taki już jest układ terenowy, że tędy musiał przechodzić stary szlak handlowy, przez naszą „portam czarncoviensem”.

— Jak wygląda żegluga na Noteci?

— Przed wojną odbywał się na Noteci bardzo poważny ruch żeglugowy. Miasto czerpało z tego poważne dochody. Warsztaty Inspekcji Dróg Wodnych zatrudniały dużo

ludzi. Dzisiaj wskutek minimalnego ruchu żeglugowego odpadła potrzeba i możność zatrudniania większej ilości ludzi przez Inspekcję Dróg Wodnych.

— Jak się przedstawiają skutki pociągnięcia granicy według Traktatu Wersalskiego po linii Noteci?

— Dla Czarnkowa, proszę pana — opłakanie. Miasto straciło naskutek tego 40% swego obszaru a 60% obszaru niezabudowanego. Straciło również połowę swego zaplecza gospodarczego, północna bowiem część dawnego powiatu Czarnkowskiego t. zw. Netzekreis. Odbiło się to wszystko oczywiście na żywotności miasta. Czarnków liczył już przed wojną 5000 mieszkańców a w roku 1921 liczba mieszkańców wynosiła mniej niż 4.000; dopiero według ostatniego spisu ludności doszliśmy do 4.700 mieszkańców.

Do pewnego wyrównania ludnościowego przyczyniło się założenie gimnazjum (za czasów niemieckich było tylko niższe gimnazjum) oraz Seminarjum Nauczycielskiego (przed wojną istniało tylko Preparandum).

— A obraz ruchu letniskowego do Czarnkowa? Przecież macie takie nadzwyczajne warunki.

— Już przed wojną ruch ten był bardzo znaczny. Teraz odpadli co prawda letnicy z Berlina, ale zato powiększa się coraz bardziej frekwencja z Wielkopolski. Co roku gościimy tu także liczne kolonje wakacyjne.

— A teraz o dorobku niepodległego Czarnkowa, Panie Burmistrzu.

— Ulepszyliśmy urządzenia rzeźni przez wybudowanie chłodni oraz dobudowanie bekoniarni. Zaciągnęliśmy chodniki na 7 ulicach, zalesiliśmy nieużytki, przebrukowaliśmy boiska sportowe, plaże, strzelnice, przeprowadziliśmy meljorację łąk miejskich, założyliśmy gimnazjum. Wielkim dobrodziejstwem okazała się Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem.

— Jeszcze tylko kilka cyfr, ilustrujących stan majątku miasta.

— Majątek miasta wynosi 1.718.862 zł. Obłożony on jest stosunkowo małym długiem 154.396 zł. Budżet administracyjny na r. 1933/34 — 178.740 zł. Budżet rzeźni zamyka się pozycją 65.000 zł, a gazowni — 84.700 zł.

Jeśli chodzi o nasz przemysł i handel to mamy w Czarnkowie 1 browar, 2 tartaki, 1 fabrykę cegły piaskowo-wapiennej. W mieście istnieje około 50 placówek handlowych i 120 rzemieślniczych.

JEDZIEMY OGLĄDAĆ PIĘKNO CZARNKOWSKIEJ ZIEMI.

Minęliśmy już piękny park miejski i szosą ku wsi Dębe sypiemy teraz pełnym gazem bo szosa wspina się dość ostro w górę. Po obu stronach drogi dwie milezące, zadumane ściany starego lasu.

Samochód wypadł z lasu na równą już szosę. Przejechaliśmy wieś Dębe zbliżamy się do prasłowiańskiej sadyby — Lubasza. Zanim odkryjemy skarbiec pamiątek prahistorecznych w Lubaszu notujemy po drodze inne. Oto niepozorny kopiec ukryty wśród drzew. A jak symboliczny. Przecież to był ewiek do trumny Rzeczypospolitej. Toć to kopiec graniczny, który znaczył linię wiwisekcji pierwszego rozbioru Polski. Gdzieś za sobą zostawiliśmy inną bolesną pamiątkę. W r. 1732 w rodzinnym zamku w Białej obchodzili państwo Poniatowscy święto urodzin ślicznego syna, któremu na chrzcie św. nadano imiona Stanisław August. A los na białem czole maleństwa znaczył już królewskie znamię: Stanislaus Augustus rex. Ultimus Polonorum rex.

U STÓP CUDOWNEJ MATKI BOSKIEJ.

Jesteśmy w Lubaszu. Uchylają się drzwi plebanji. Staje przed nami wyniosła postać ks. dziekana Rosenberga. Zaproszeni serdecznie siedzimy chwilę w saloniku, rozmawiając o trudzie kierowania parafją lubaską, która jest przecież największą wiejską parafją w obu archidiecezjach, o śladach historycznych, o które się w Lubaszu co chwila po-

tykamy. Potem z ks. dziekanem na przedzie, wchodzimy na wzgórze, na którym stoi piękny, w bardzo czystym baroku wybudowany kościół.

W międzyczasie ks. dziekan opowiada nam o historii kościoła lubaskiego. Okazuje się więc, że były kiedyś w Lubaszku dwa kościoły. Obecnie na „Kraśnej Górze“ stojący kościół pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marji Panny został wybudowany w r. 1761 przez Wojciecha Miaskowskiego. Obok niego istniał drugi kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca i gdy kościół św. Wawrzyńca zapadł się w r. 1757 zjechał się wojewodowie i inni dostojnicy, przybyła, w Pile konsystująca, ostatnia chorągiew husarska i w asystencji tej ostatniej został przeniesiony uroczysto do nowego kościoła cudowny obraz Matki Boskiej. Obraz ten pochodzi z 16 w. a przywiózł go do Lubaszka pewien brat z zakonu Cystersów z Przemętu.

— Cudowność tego obrazu stwierdzały niejednokrotnie komisje. Za moich już czasów zdarzyło się kilka wypadków. Tak, np. któregoś dnia otrzymuję list z dziękczynieniem dla Matki Boskiej w Lubaszku od pilota z Torunia. Píše on, że pochodzi z tych stron. Odbywał właśnie jakiś lot i aparat zaczął spadać, a wiedział, że zginie niechybnie. Polecił się ostatnim odruchem myśli Matki Boskiej, właśnie upadł na ziemię. Aparat był zupełnie potrzaskany a on cudownie uniknął śmierci, a nawet nie poniósł silniejszych obrażeń.

Wchodzimy do kościoła. Ks. dziekan znika na chwilę i za chwilę podnosi się obraz zasłaniający obraz cudowny. Padamy na kolana przed Madonną, która cudami łagodzi ludzkie nieszczęścia i niedolę. Obraz przypomina zupełnie Matkę Boską Snieżną w Rzymie.

Potem oglądamy zwyczajem średniowiecznym do dysput teologicznych naprzeciwko siebie ustawione dwie ambony, b. stylową partję chóru, grobowce Miaskowskich. Idziemy cmentarnym wzgórzem na którym nigdy wznosiła się świątynia pogańska. Uderza nas refleksja: tu, gdzie przed wiekami stała pogańska gontyna, w ścianach której tak długo utrzymało się bałwochwalstwo, strzela teraz w niebo wieżycyca nad ołtarzem, w którym ukryty spogląda na wiernych cudowny obraz Bożej Matki.

Stoimy ze czcią pochyleni przed pięknym grobowcem. Czytamy: „przechodniu, ucz się od nas, jak kochać ojczyznę“. Przypomina to inny napis: „przechodniu, powiedz Sparcie...“

I przechodzień mówi Polsce, że leżycie tam, dziewięciu powstańców, i że od was uczyć się trzeba jak kochać ojczyznę...

SZWAJCARJA JEST ODLEGŁA OD POZNANIA O... KILKADZIESIĄT KILOMETRÓW.

Jeszcze przez chwilę widzimy na horyzoncie znikający szaniec Babicy i wpadamy znowu w las. Ale szosa tutaj jest skrawkami białej wstążki, która co chwila znika na głym wirażem w zieleni lasu. Co chwila auto sapiąc wdrapuje się pod górę to znów lekko sunie w dół. A po bokach wznoszą się bardzo wysokie wzgórza i pagóry, ukryte w cieniastej zieleni. Jakże tu piękny stanie się świat za miesiąc.

Wysiadamy z auta; trzeba odbyć pieszą pielgrzymkę do tak uroczych zakątków. Przewodnikiem jest nam pan Julian Grupiński, student poznańskiego W. S. H., syn znanego i cenionego obywatela Czarnkowa radcy Stanisława Grupińskiego.

Opowiada o tem, co się robi w Czarnkowie, żeby zaprezentować urodę okolic Czarnkowa spragnionym w lecie pięknych widoków i słońca mieszkańcom Poznania.

Wracamy do opuszczonego auta i za chwilę suniemy po wstędze białej szosy. Wychynęliśmy już z gorajskich lasów. Przejechaliśmy przez Pianówkę. Z boku zjawia się biegnąca taśma Noteci ze służą Pianówki. Widzimy na „tamnym“ brzegu czerwony domek, nad którym łopocze hitlerowska flaga: czarno-biało-czerwona flaga ze swastyką.

CZARNKOWSKIE KUPIECTWO.

W tej kwestji pytamy prezesa Towarzystwa Kupców Samodzielnych w Czarnkowie, p. I. Skąpskiego:

— Proszę pana, kupiectwo nasze ma tu w Czarnkowie dodatkową rolę do spełnienia ze względu na moment walki, którą toczyć musi ze zorganizowanym kupiectwem niemieckim.

Obecnie stan finansowy naszego kupiectwa jest jeszcze słaby. Trudno przychodzi nam wysiłek podniesienia się, tem więcej, że naogół istnieje u nas zamało zrozumienia dla hasła popierania swoich.

Pozatem walka jest jeszcze o tyle trudna, że kupiectwo niemieckie otrzymuje wydatną pomoc z funduszów „Osthilf“ a żydostwo handluje tandetą, którą notabene otrzymuje na innej płaszczyźnie kalkulacyjnej.

Mocno także daje się nam we znaki obciążenie podatkowe, a zwłaszcza podatek przemysłowy. Niedostateczną także wydaje nam się opieka czynników miarodajnych. Dla kupiectwa robi się zamało w stosunku do rolnictwa.

Sami kupcy winni są także w pewnej mierze swojej biedzie. Bo gdy chodzi o jakieś ulgi podatkowe zjawiają się, płacąc składkę za 1 lub 2 miesiące, a po momencie krytycznym zwiewają. Zamało się docenia wartość zorganizowanego gromadzkiego wysiłku.

PRZEMYSŁ I RZEMIOSŁO.

Z pytaniami zwracamy się do długoletniego prezesa Towarzystwa Przemysłowców p. Edmunda Dobeka.

— Przemysł nasz nie jest zbyt silny. Jedyłą, większą polską placówką jest duży parowy tartak Klessy. Jest to zarazem jedyna placówka, która w obecnych ciężkich czasach nietylko żyje, ale i prosperuje, rozwija się.

— A jak sobie daje radę miejscowe rzemiosło?

— W rzemiosle zaznacza się u nas dążenie do zdobywania coraz silniejszej pozycji. Pocieszającym objawem jest, że rzemiosło nasze jest pracowite, obowiązkowe i bardzo silnie przywiązane do naszych władz, do których zresztą z całym się odnosi zaufaniem.

— A bolączki przemysłu i rzemiosła.

— Jedną z nich to ogólna; życzenie zmiany systemu podatkowego. Drugą poważną i zniechęcającą przyczyną jest brak należytego zrozumienia ze strony sfer silniejszych gospodarzo, że ich obowiązkiem narodowym, państwowym i obywatelskim jest popierać jednak najpierw miejscowe rzemiosło.

OSTATNIE SPOJRZENIE.

Teraz jedziemy spojrzeć na Czarnków z żelaznego mostu, po dwu stronach którego stoją strażnicy celni dwu państw.

Dojeżdżamy do żelaznych wiązań granicznego mostu. Obok małego domku przechadza się strażnik celny o radosnych oczach, uśmiechnięty.

Patrzemy, na moście stojąc, na obie strony kraju: polską i niemiecką. Z jednej strony teren pofałdowany, zalesiony z rozsiadłym, jakby na górskim zboczu Czarnkowem, a z drugiej strony beznadziejne melancholijne równiny niemieckie.

Spoglądamy na dół. Pod mostem leniwie toczy swe wody Iśniąca Noteć. Szumią jakąś cichą pieśń błyszczące wody. O Chrobrowych wojach, o sławnym Janku z Czarnkowa i o nieszczęśliwym królu Stasiu...

NA ZIEMI RODZINNEJ KS. JAKÓBA WUYKA



Dień się stanowczo nie udał. Ponury jest jak śmierć. Deszcz coprawda jeszcze nie pada, ale nie o to idzie. Idzie o to, że w tem ciemnoszarem naświetleniu przewalających się po niebie chmur piękna ziemia węgrowska, do której dojeżdżamy traci cały swój urok. A jak tu w słońcu pięknie być musi. Śpieszymy więc do starosty, żeby się ukryć przed spojrzeniem ponurego świata.

U GOSPODARZA POWIATU.

Rozmawiamy z p. starostą Rościszewskim:

— Miasto powiatowe leży na skrzyżowaniu linii kolejowych Poznań — Bydgoszcz, Inowrocław — Czarnków i Wągrowiec — Gniezno. Powiat węgrowski o powierzchni 1037 km², liczy według ostatniego spisu ludności 54.409 mieszkańców. Gęstość zaludnienia 52.5 mieszkańców na 1 km².

— Jak wygląda sprawa dróg w powiecie?

— Powiat ma dość gęstą sieć drogową, wynosi ona bowiem razem 1900 km dróg umocnionych i nieumocnionych. Na 1 km² powierzchni przypada przeciętnie 1,832 km drogi, według poszczególnych kategorii przypada na drogi państwowe bite 38.8 km, wojewódzkie bite 79.7 km, powiatowe bite 118.4 km, gruntowe 68.7 km, wreszcie gminne bite 114.4 km, gruntowe 1.480 km. Razem więc dróg bitych 351.3 km, gruntowych 1.548,7 km. Obecnie prowadzone są roboty przy budowie dróg bitych na przestrzeni ca 9 km, i 12 km.

— Sprawa rolnictwa w powiecie?

— Głównem zatrudnieniem ludności powiatu jest rolnictwo. Kultura rolna stoi bardzo wysoko. Cała powierzchnia powiatu wynosi 103.606 ha, z czego przypada na grunta orne, sady i ogrody 75.317 ha, łąki 7.789 ha, pastwiska 3.506 ha, lasy 10.930 ha, pod zabudowaniami 956 ha, drogi, parki, wody 4.324 ha, na nieużytki 784 ha.

W powiecie znajduje się 205 gospodarstw ponad 50 ha o powierzchni 53.649 ha i 4.498 gospodarstw poniżej 50 ha o powierzchni 49.612 ha.

Obeeny okres ogólnoswiatowy dał się we znaki ludności powiatu. Zastosowane przez Rząd środki zaradcze, powołany do życia komitet pomocy finansowo-rolny i Urząd Rozjemczy przyczyniły się niemało do złagodzenia ciężkiego położenia rolnictwa. Znając wysokie wyrobienie ludności i jej wartość jako gospodarzy można śmiało twierdzić, że zdoła wyjść obronną ręką z kryzysu.

Istniejąca od szeregu lat Komunalna Kasa Oszczędności powiatu węgrowskiego, posiadająca własnych wkładów oszczędnościowych przeszło 1.000.000 zł, stara się zaopatrzyć rolnictwo w tani kredyt. Poważne sumy obracane są również na udzielanie kredytu dla przemysłu i rzemiosła.

— A przemysł węgrowski?

— Prawie cały przemysł w powiecie związany jest z produkcją rolniczą. Wymienić tu należy kilka większych młynów, suszarnię płatków kartoflanych i jarzyn, oraz pracującą na eksport „Młyny i Tartaki Wągrowieckie”, przy których znajduje się największa w Polsce wytwórnia płatków owsianych. W powiecie są czynne dwie kopalnie we Wąpnie własność Tow. „Solway”. W kopalniach tych wydobywa się gips we wszystkich postaciach do celów budowlanych i przemysłowych i białą sól krystaliczną. Jak stwierdzono, dotychczas pokłady soli znajdują się jeszcze w głębokości 1.400 m. Stolnie są obecnie wybudowane do głębokości 400 m.

Kończymy wywiad. Przez okna wpadły nagle promienie słońca. Wychodzimy spiesznie, by zobaczyć przed odjazdem piękny Wągrówiec. Z żalem opuściliśmy miasto, by jechać w powiat.

KWADRANS ROZMOWY Z BURMISTRZEM M. WĄGRÓWCA P. KUCHCZYŃSKIM

— Czy mogę poprosić Pana Burmistrza o mały wywiad?

— Bardzo proszę. W XIV wieku zakon Cystersów zakłada osadę, która rozwija się szybko i już pod koniec XIV wieku Wągrówiec staje się miastem. Bliższych jednakże i ścisłych danych historycznych brak. Okolica bagnista wymagała dużego nakładu pracy, a ślad zmagania z naturą pozostał w krzywym biegu ulic, których linja musiała być dostosowana do warunków terenowych. Pierwotny herb miasta wyobrażał modlącego się zakonnika, w XIX wieku dopiero ustala się forma herbu, przechodząc różne zmiany. Jest obecnie skombinowana z czterech dawnych za czasów polskich występujących wyobrażeń: Tarcza podzielona na cztery części, w pierwszym polu ręka z mieczem (herb Pogoni), w drugim miech cysterski z rękoma złożonymi do modlitwy, w trzecim litera W (Wągrówiec), w czwartym topór. Niemcy zaniedbali miasto. Brak było sieci kanalizacyjnej i wodociągów. Z chwilą przejścia miasta w ręce polskie, przystąpiono do skanalizowania miasta, przebrukowania rynku i do naprawy i uzupełnienia chodników przy ulicach Kościuszki, Janowieckiej i Gnieźnieńskiej.

Pobudowano gmach szkolny dla gimnazjum żeńskiego, dwa domy dla robotników, nabyto nieruchomości Modrzejewo (miejscowość wycieczkowa) i wykupiono dawniejszy dom Banku Handlowego, w którym mieści się Kasa Miejska. Elektrownia została gruntownie odrestaurowana kosztem około 200.000 zł. Wreszcie godzi się nadmienić, że założono plażę nad jeziorem i ogród dla dzieci. Miasto jest pod względem finansowym w bardzo korzystnej sytuacji. Jest jednym z wyjątków wśród zadłużonych miast wielkopolskich, gdyż pozbyło się długów z czasów zaborezych. Budżet administracyjny na rok 1933/34 zamyka się sumą 201.882,45 zł, elektrowni 129.052,74 zł, rzeźni 35.988,69 zł. Poważny ciężar dla miasta stanowi utrzymanie miejskiego gimnazjum żeńskiego. Przedsiębiorstwa miejskie dają poważne dochody, mimo, że opłaty są niższe jak w innych miastach, np. kilowat prądu elektrycznego kosztuje tylko 55 gr. Nie robimy długów, a zakupione wzgl. pobudowane nieruchomości zapłaćiliśmy z własnych funduszy.

— Czy miasto posiada majątek i jaki?

— Wartość ruchomości i nieruchomości wynosi 1.601.143,37 zł. Pozatem przedsiębiorstwa miejskie mają w Komunalnej Kasie Oszczędności około 160.000 zł zdeponowane.

— Sądzę, że wobec tego, co od P. Burmistrza słyszałem, rozwój miasta byłby przy dobrej gospodarce i lepszej konjunkturze zapewniony?

Miasto liczy około 8.000 mieszkańców, jest położone wśród lasów i nad pięknym jeziorem. Z uwagi na zdrowy klimat i uroczą okolicę, zaliczono miasto do miejscowości wycieczkowych z prawem korzystania z zniżek kolejowych. Komunikacja bardzo dobra (60 klm do Poznania). Projektuje się wydzierżawienie jeziora od państwa, gdyż kontrakt z rybakiem p. Ryczkiem, eksploatującym jezioro upływa w bieżącym roku. Mają być pobudowane łaźienki przy plaży, myśli się o pobudzeniu sportu wodnego, który ma przecież doskonałe warunki rozwoju. W razie poprawy stosunków, miasto przystąpi natychmiast do pobudowania wodociągów. Projektuje się zgodnie z planem rozbudowy mia-

sta wytyczenie nowej ulicy, wiodącej od Seminarjum Nauczycielskiego do zakładów przemysłowych Luboń — Wronki. Nastąpiłoby w ten sposób połączenie ulicy Kościuszki z ulicą Keyńską. Pomnik ks. Wuyka, pierwszego tłumacza biblii na język polski, urodzonego w Wągrowcu został poświęcony dnia 26 czerwca 1933 r.

„PATRIAE, DOCTRINAE, VIRTUTI”.

KUŹNIA MIŁOŚCI OJCZYZNY, NAUKI I CNOTY.

Z historii gimnazjum państwowego w Wągrowcu.

Wiek XIX-ty, XX-ty, okresy postępu, poszły w kierunku mechanizacji wszystkich dziedzin życia ludzkiego. Jak fatalna w swych skutkach okazała się ta jednostronność dążeń, wykazały nam czasy obecne. Doprowadziły one do chęci używania bez trosk o przyszłość. Te wytyczne starszego społeczeństwa, wychowanego w tym duchu, musiały wycisnąć ujemne piętno na ukształtowanie się duszy młodszego pokolenia, które ugina się obecnie pod ciężarem tych zapatrywań. Młodzież terazniejsza chce otrząsnąć się z tego niebezpiecznego nalotu, szuka ratunku. Lecz siły jej są za słabe, więc żąda, by dano jej przewodników duchowych, którzyby poprowadzili ją do nowego życia. A skąd powinno iść to odrodzenie, jeżeli nie od zakładów naukowych, szkół średnich, od szkół, które grupując właśnie te rozliczne rzesze młodych ludzi, pełnych zapału, które powinny dać im to, czego pragną i prowadzić ich do świetlanej przyszłości, ugruntowanej na innych zasadach, nowych, przystosowanych do obecnych warunków życia. Szkoły średnie stoją więc przed zadaniem trudnym, lecz zaszczytnym, przewartościowania pojęć duszy narodu, one są tym ośrodkiem, które dać powinno soki odżywcze przyszłym pokoleniom. One są przecież tą kuźnią przyszłej inteligencji, a co za tem idzie, przyszłego wyglądu oblicza duchowego terazniejszej i przyszłej Polski.

Przerzucając karty historii gimnazjum wągrowieckiego widzimy, że zrodziło się ono z chęci służenia sprawie polskiej i polskości. Polscy obywatele miasta Wągrowca, podejmując myśl stworzenia gimnazjum, wysunęli na pierwszy plan charakter wyznaniowy i narodowy przyszłego zakładu. Starania te, by nowa placówka naukowa otrzymała język polski jako wykładowy, nie odniosły co prawda skutku, ale ta idea polskości, która przyświecać miała od samego początku istnienia tego zakładu, tłumiona brutalną ręką zaborecy, żyła jednak i rozwijała się w ukryciu. Gimnazjum wągrowieckie wychowywało przeważnie młodzież polską, która odbierając wychowanie niemieckie, kształciła się konspiracyjnie w kulturze ducha polskiego i dała szereg wybitnych Polaków, którzy służyli piśmem i mową Tej, która była przedmiotem ich snów i marzeń. Przetrwało zatem gimnazjum wągrowieckie okres ucisku i buty germańskiej i szczęśliwie wypłynęło na falach nowej, odrodzonej Polski, jako potężnego i niepodległego państwa.

14 więc lat rozwija się gimnazjum wągrowieckie w wolnej i niepodległej Polsce (formalne przejęcie przez władze polskie nastąpiło dnia 31 sierpnia 1919 r.) i z tą chwilą ta idea, która nurtowała w sercach wychowanków Polaków, mogła już teraz bez przeszkód rozwinać się w całej pełni i swobodnie. Przyczyniła się do tego praca wychowawcza polskiego grona nauczycielskiego, które kształciło umysły już w duchu dobra i wielkości naszej ojczyzny. Wspomnieć należy tutaj o zasługach pierwszych dyrektorów Dr. Romana Jamrógowicza jak i jego następcy, prof. Erwina Schlinglera, którzy poza pracą pedagogiczną umieli sprostać trudnemu zadaniu uporządkowania wewnętrznych stosunków zakładu, wprowadzenia nowej administracji oraz usunięcia poważnych braków technicznych.

U BURMISTRZA M. SKOKÓW.

Robimy „skok” w bok i jesteśmy w Skokach, gdzie „ojcem miasta” od r. 1919 jest p. burmistrz Jan Smektała.

Za chwilę siedzimy w gabinecie p. burmistrza.

— Może P. Burmistrz będzie łaskaw powiedzieć nam coś o przeszłości miasta?

— Bardzo chętnie. Miasto nasze zostało założone za czasów Kazimierza Wielkiego, stąd jest w posiadaniu herbu, przedstawiającego srebrną podkowę na niebieskim tle. W środku podkowy znajduje się krzyż. Przejęcia miasta od Niemców dokonał z polecenia Naczelnej Rady Ludowej ks. prob. Tymoteusz Zoch. Po objęciu władzy administracyjnej przez Polaków, wyprowadziło się ze Skoków 320 Niemców, większość optantów, z obawy, by niemieckie ustawy antypolskie nie zostały skierowane przeciwko Niemcom.

— Kiedy P. Burmistrz objął swe stanowisko i jak się wówczas przedstawiała sytuacja miasta?

— Stanowisko burmistrza objąłem w lipcu 1919 roku. Zatwierdzenie 2 kadencji otrzymałem 1. IX. 1932 r. na przeciąg 12 lat. Objęcie mego urzędowania nastąpiło w najtrudniejszych warunkach przy równoczesnej zmianie kompletnego personelu, dotąd nie wpracowanego i przejęcie długów mkn. 150 tysięcy. Długi te zostały w r. 1924 zwaloryzowane na 45.000 złp i dzięki intensywnej i umiejętnej gospodarce, w większości spłacone. Z przedwojennych długów pozostało do spłacenia tylko zł 7.500. Dług ten jest amortyzacyjny, przyczem odsetki wynoszą 3¼%, amortyzacja 2¼%. Czysty majątek miasta wynosi obecnie zł 369.400 zł.

— Panie Burmistrzu, a Skoki w chwili obecnej?

— Miasto nasze liczy 1825 mieszkańców, z czego 60 tylko jest bezrobotnych, dostających zasiłki od specjalnie wyłonionego komitetu. Inwestycje miasta zostają systematycznie i planowo, w miarę możliwości finansowych, przeprowadzane: W roku 1923 i 1924 położono chodniki betonowe kosztem 20.000 zł. Następnie zakupiono materiały, t. j. kamienie polne w okolicznych gminach u małych rolników i posiadaczy ziemskich, dla wybrukowania Dużego Rynku kosztem 25.000 zł. Potem pobudowano nowy most betonowy na rzece Małej Wełnie, którego koszt wyniósł 11.000 złotych. Gazownię odrestaurowano kosztem 3.000 zł i zaprowadzono ulepszenia i gruntowny remont aparatów. W roku 1930 nabyło miasto dawn. park dworski, obszaru 7 hektarów 58 arów, udostępniając go obecnie publiczności. W parku urządziła się obecnie boisko sportowe dla celów przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego.

W HISTORYCZNYM MIASTECZKU.

Znowu skok i jesteśmy u burmistrza Gołańczy p. Pijarowskiego.

— Gołańcz, licząca według ostatniego spisu ludności 1.486 mieszkańców, ma swoją historyczną przeszłość. Jako miejscowość Gołańcz występuje na widownię w roku 1222, zaś od roku 1388 jest uznana miastem. Posiada herb, który wyobraża wieżę z pustą u dołu bramą a aniołem u góry, w otoku zaś napis łaciński: „Porta Patens Esto Gołańcz”. Przeszłość historyczną miasta przypominają ruiny zamku, który w średniowieczu stanowił zamek obronny przeciwko Szwedom.

— Z jarzma pruskiego miasto oswojone zostało przez powstańców kompanji gołańskiej pod dowództwem p. podpułkownika Kowalskiego. Po wyparciu Niemców długi wynosiły 45.000 mkn., które zwaloryzowano na 7.571 zł, przedstawiające długoterminową pożyczkę amortyzacyjną, płatną do 1945 r. przy minimalnym oprocentowaniu 4½% w stosunku rocznym.

Inwestycje miasta przedstawiają się następująco: od roku 1929 dobrukowano ulicę Strzelecką, przeprowadzono kanalizację przy parku miejsk. i boisku sportowym, zadzwoniono rynek i ulicę i założono instalację oświetlenia miasta naftowo-żarowego, wszystko kosztem tylko ca 10.000 zł. Pozatem odkupiono dom od p. hr. Czapskiego za 12.000 zł, w którym urządzono ochronkę, przyczem koszty wynosiły 3000 zł. Miasto nabyło oprócz tego dom mieszkalny za 7.500 zł. Czysty majątek miasta wynosi 150.000 zł.

Z inicjatywy ks. proboszcza Mrotka buduje się w mieście kościół, który przy jego wysiłkach i pomocy parafjan zostanie niedługo prawdopodobnie w surowym stanie ukończony.

„WITAJ ŚLICZNA I DZIEDZICZNA SZAMOTUŁ PANI...”

NA ZIEMI, W KTÓREJ USYCHAŁ PIĘKNY KWIAT KRESOWY
HALSZKA OSTROGSKA.



peronu widać kilka fabrycznych kominów, wychylających się z bliskiej zieleni. Wychodzimy z budynku stacyjnego. Sznurek will tonących w bieli rozkwitłych wiśni ginie daleką perspektywą gdzieś na zakręcie. Za rzędem domów pola równinne, wiosenną runią pokryte. Tuż przy dworcu cieniste planty. Mijamy, patrzące na nas błyszczącymi oknami wille.

Mijamy klasztor fundacji Łąckich z 1685 r. w pięknym stylu barokowym utrzymany.

Jest on teraz zaniedbany i domaga się ze względu na zabytkowość pieczołowitej opieki, starań i remontu.

Tuż za klasztorem, w którym teraz co niedziela słuchają mszy św. — gimnazjaści, na tle nieba potężną postacią rysuje się pomnik powstańca. Jeszcze błysnęły czerwienią nagich ścian świeżo budowane (objaw niezwykły) gmachy w rynku i stajemy oto przed magistratem.

PRZESZŁOŚĆ, TERAŹNIEJSZOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ SZAMOTUŁ.

Wywiad z p. Burmistrzem Bartkowskim.

— Zaczynajmy, Panie Burmistrzu, od tych starych Szamotuł, którym w roku 1284 Przemysław II przyznaje wszelkie przywileje i swobody.

— A tak, już w tym roku w dokumencie, złożonym na ręce kasztelana poznańskiego Tomisława występują Szamotuły jako „forum”.

— A potem biegła wiekami historia Szamotuł, związana silnymi węzłami z potężnym rodem szamotulskich dziedziców.

— Z nimi się miasto dźwigało i z nimi upadało czasami. W każdym razie w okresie największego nasilenia walk Grzymalitów z Nałęczami a więc około roku 1382 wymienia się Szamotuły jako miasto. Gdy się Szamotuły koło 1450 r. niewygodnie czuły polskiem miastowem prawem prowadzone, poszły przez usta Dobrogosta i Piotra Świdwy - Szamotulskich suplicje do tronu królewskiego a dobrotliwy Kaziemierz Jagiellończyk prawo miastu przyznał. Nie długo mógł gród szamotulski iść drogą normalnego rozwoju gospodarczego. Przewalały się nad nim to krwawe zwady i wojny domowe, to z ziemią gród równały pożary straszliwe. Ale się zawsze dźwigał, upadał i podnosił.

A w roku 1458 gdy na wojnę z Krzyżackim Zakonem słały miasta żołnierzy, gdy Poznań miał wysłać 60 piechurów, na Szamotuły wypadło 12.

Jeśli chodzi o dziedziców naszego grodu, to do roku 1513 pozostawały Szamotuły w rękach potężnego rodu Świdwy - Szamotulskich.

Najgłośniej z nich zasłynął sławetny „Winez” — Wincenty z Szamotuł. Ambitny wojewoda poznański kumał się z Krzyżakami i łupił z nimi wspólnie wielkopolskie ziemie, lecz

gdy przyszło do walnej rozprawy w roku pańskim 1331 pod Płowcami opuścić zdumionych rycerzy krzyżem znaczonych i walnie przyczynił się do łokietkowego zwycięstwa.

Po szkodach wojennych XIV wieku Szamotuły się znów podniosły i powracały ku normalnemu rozwojowi. Według spisu z roku 1458 miały Szamotuły stawić na wojnę z Krzyżakami i na odsiecz Malborka 12 żołnierzy, podczas gdy Obrzyeko stawiało 1, Wronki 10, Oborniki 15 a Poznań 60 żołnierzy piechurów. Z tego czasu datuje się najstarsza wiadomość o założeniu szkoły w Szamotułach. W roku 1455 Dobrogost Świdwa Szamotulski przeznaczył 12 marek z dochodów wsi Kępy na założenie szkoły w Szamotułach, przyczem zobowiązał obywateli szamotulskich do utrzymywania rektora, pobudować dom szkolny i zimową porą go ogrzewać. Natomiast proboszcz kościoła kolegiackiego był zobowiązany płacić rektorowi jak i nauczycielowi 4 marki rocznie.

W roku 1513 wojewoda Poznański Łukasz Górka poślubił córkę Andrzeja Szamotulskiego, przez który to związek północna część miasta przypadła Górcce, który wznosił tu zamek. Baszta jego do dziś się jeszcze zachowała. W górnej komnacie wmurowana jest tablica z herbami Łódzia i Nałęcz oraz napisem: Lucas de Gurca Cast. Posn. et Capit. Majoris Poloniae 1518.

Górkowie byli właścicielami Szamotuł do roku 1573. Następnie do roku 1614 są nimi Rokossowscy: Jan Andrzej i Stanisław. Aż do roku 1670 są Szamotuły w posiadaniu Kostków, a od tego czasu aż do 1719 w posiadaniu rodziny Łąckich.

Między wiekiem XIII a XVI wyszło z rodziny dziedziców Szamotulskich 20 senatorów, 8 wojewodów i 12 kasztelanów.

Prócz tego wydały Szamotuły cały szereg wybitnych mężów: Mateusz z Szamotuł, sławny astronom i matematyk XVI wieku; Grzegorz z Szamotuł, pierwszy nauczyciel prawa rzymskiego przy Akademii Krakowskiej, Wacław Szamotulski, doktor filozofji, znakomity muzyk i kompozytor, dyrektor nadwornej kapeli Zygmunta Augusta, największy kompozytor XV wieku, który wyniósł sławę muzyki polskiej poza granice Polski; Jan Johnston, znakomity lekarz, polihistor., doktor filozofji i matematyk; pułkownik Edmund Callier, bojownik powstania styczeńowego; Maks Rabes, profesor i sławny malarz niemiecki; Ksawery Seharwenka, znakomity muzyk nowszych czasów i wielu innych. Pierwszy kanclerz Republiki Niemieckiej Fr. Ebert był terminatorem w Szamotułach. Najstarszą drukarnię miały Szamotuły, która wydrukowała pierwszy kancjonał Braci Czeskich.

— Co Pan Burmistrz powie nam o życiu kulturalno - oświatowym miasta? Przecież już w roku 1455 została w Szamotułach założona pierwsza szkoła, z której wówczas promieniowała na okolice wiedza wszelaka.

— Obecnie posiada 8-klasowe gimnazjum państwowe im. Piotra Skargi, dwie pełne szkoły powszechne, szkołę zimową rolniczą oraz jeden z największych sierocinieców w Polsce. Pracę kulturalno-oświatową prowadzą także w ramach swoich organizacji liczne towarzystwa jak „Lutnia”, „Dzwon”, „Zespół Muzyczny im. Chopina” i t. d. Z tej racji, że Szamotuły uznane zostały ostatnio za miasto wycieczkowe, powstał na miejscu w bieżącym roku oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

— Jak przedstawia się udział społeczeństwa szamotulskiego w walkach powstańczych?

— Był on bardzo wydatny. Na pierwszy zew poszły szeregi ofiarnych obywateli w walkach pod Poznaniem, Wronkami i Czarnkowem poświęcić niejednokrotnie życie dla odkupienia wolności. A ci, którzy zostali w tych gorących chwilach w mieście, czuwali nad dostarczeniem walecznym braciom umundurowania, broni czy żywności.

— A teraz Panie Burmistrzu, chcielibyśmy usłyszeć o gospodarce miejskiej?

— Pierwszym organizatorem administracji miejskiej Szamotuł po uzyskaniu niepodległości był tragicznie zmarły w roku 1930 śp. Konstanty Scholl, który swoją wielką energią i zdolnościami administracyjnymi w dużej mierze przyczynił się do rozwoju miasta.

Obecny stan gospodarczy miasta śmiało można nazwać pomyślnym. Majątek miasta wynosi ca. 4.500.000 złotych, a zadłużenie nie dochodzi do 25% ogólnej wartości majątku. Ogólna ilość mieszkańców wynosi 8.560, w tym tylko 3% innych narodowości.

Szamotuły posiadają elektrownię, rzeźnię, wodociągi, kanalizację, przytulisko, Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem oraz kilka domów mieszkalnych, nie licząc domów administracyjnych.

Budżety miejskie na r. 1933/34 wynoszą w sumie 664.867.

Składam więc serdeczne życzenia powodzenia w tej czy innych dziedzinach pracy dla rozwoju miasta i Wielkopolski.

W OLEJARNI, CUKROWNI I U BRACI KOERPEL.

Przechodzimy teraz przez charakterystyczny, prostokątny rynek i uliczką obok magistratu schodzimy w dół. Za chwilę zapadamy się w majową zieleń pięknego parku. Siadamy nad stawem, nad którym pochyliły się drzewa stare i „młódki” dwuletnie. Z kontemplacji piękna ziemi wielkopolskiej wyrrywają nas głośnie okrzyki.

To wzmogło się wiosenne, powszechne „gaudium” dziecięce. Derodne smarkacze szamotulskie biegają, jak opętane po piasku placyku zabawowego w pośrodku parku i wrzeszczą wniebogłosy na cześć wiosny, majowego słońca, które już powoli chowa się właśnie za krawędzią horyzontu, swojej beztroski i innych wiosennych rzeczy.

Patrzymy na roześmiane, zdrowe choć umorusane twarzyczki, wdychamy zapach rozkwitłych wiśni, lekki wiew ciepłego, delikatnego wiatru, który nawiewa nam w serce dalekie wspomnienia, a w oczy łzy...

Jedziemy do olejarni. Błysnęła nam w pewnej chwili u wylotu boeznej ulicy misterna koronka gotyckich ornamentów. To kolegjata szamotulska, oświetlona blaskami zachodzącego słońca.

Jedziemy znowu wzdłuż dwóch szeregów will.

Po zwiedzeniu olejarni wpadamy do wielkiej placówki miejscowego przemysłu i zabieramy dane:

Firma Bracia Koerpel, Szamotuły. Jest to młyn nowowynbudowany w roku 1927/28, zdolność przemiału 1000 kwint. pszenicy i żyta na dobę. Siłą zapędową tworzy lokomotywa ca 450 KM. Posiadamy silosy o pojemności 35.000 kwint. U nas jest pierwszy silos w Polsce, posiadający urządzenie przewiewne, które umożliwia składowanie zboża bez przeróbki nawet przez kilka miesięcy. Za pośrednictwem wentylatorów przepuszcza się powietrze przez zboże. Pszenicę przed przemiałem pierzemy i suszymy w suszarni. Potrzebne do suszenia pszenicy powietrze ciepłe, wytwarza się przez żar gazów dymnych. Dla mąki i otrąb mamy silosy masywne, w których się też miesza mąkę. Silosy dla mąki i otrąb obejmują ca 5.000 kwint. W śpięrzach znajdzie pomieszczenie kilka tysięcy worków gotowych produktów. Ubikacje młyna są wolne od kurza, a podłogi często oliwione.

— A o fabryce mebli kilka słów, Panie Dyrektorze.

— Fabrykę mebli w 1929 roku nowocześnie przebudowaliśmy i znacznie powiększyliśmy. Jest to największa specjalna fabryka mebli lakierowanych w Polsce. Wykonuje się urządzenia kuchenne, sypialnie, meble przedpokojowe i meble zwykłe. Jako siła zapędowa służy nam lokomotywa ca 200 KM. Drzewo suszy się przed przeróbką prawidłowo w nowocześnie urządzonej suszarni. Dla obróbki drzewa znajduje się w ca 800 mtr. kw. obszernej hali wielka ilość nowoczesnych maszyn dla roboty poważnej; na tych maszynach obrabia się drzewo całkowicie, tak, że stolarze zestawiają tylko meble. Częściowo maluje się i lakieruje meble ręcznie, częściowo zaś nowoczesnym aparatem do natryskiwania.

Skolei zajeżdżamy przed cukrownię szamotulską, która ukryła się daleko za miastem, że ją tylko dla widoku wysokiego komina rozeznąć można.

Oglądamy ją rozmawiając z uprzejmym dyrektorem p. Nowakowskim o produkcji tej ważnej placówki gospodarczej, która daje zatrudnienie setkom bezrobotnych m. Szamotuł.

MATKA BOŻA, KTÓRA PATRZYŁA NA ZWYCIĘSKIE HUFCE HUSARJI SOBIESKIEGO.

Zajeżdżamy wąską uliczką przed plebanję. Przez zieleń kasztanów prześwitują fragmenty kolegiaty, którą za chwilę zobaczymy w całej okazałości.

Przedtem do ks. dziekana Kaźmierskiego. Do ks. dziekana trafiamy w najnieodpowiedniejszej chwili. Właśnie energiczny, zasłużony bardzo koło utrzymania i pielęgnowania cennej, starożytnej kolegiaty kapłan krząta się teraz koło remontu swojej plebanijki.

Biega, dogląda, wydaje dyspozycje całej armji robotników, którzy właśnie zerwali zmurszały ganek i pokrywają czerwoną dachówką plebanijny dach.

Składamy więc księdzu dziekanowi uszanowanie i mamy zamiar samotnie zwiedzić kolegiatę. Ale ks. dziekan przerywa „akcję budowlaną” i za chwilę jesteśmy już w trójkę w pięknym kościele.

Początki kościoła szamotulskiego gubią się w pomroce dziejów. Wiadomo, że już w roku 1298 wymienia Andrzej Szymonowicz w podziale biskupstwa na 3 archidjakonaty kościół w Szamotułach pod wezwaniem św. Stanisława. Prawdopodobnie był to skromny, drewniany kościółek, po którym nie zostało już śladu. W roku 1423 dwu braci Szamotulskich: Dobrogost, podkomorzy gnieźnieński i Wincenty, kasztelan międzychodzki nową wzniesli świątynię z palonej cegły. W tym czasie wyniósł ją biskup poznański Andrzej z Bnina do godności kolegiaty.

I oto dziekan idzie między nami, a minę ma wyraźnie dumną. Jest to najładniejszy rodzaj dumy. Patrzą oczy księżę na stare — Górków, Szamotulskich i Jegomości Króla Jana III pamiętające zabytki, na świątki, krzyże i obrazy i serec się kapłanowi raduje. Tyle na tych obrazach i rzeczach jego spojrzeń, tyle dotknięć jego ręki i tyle w tem wszystkim jego codziennej pieczy.

Pokazuje nam ks. dziekan obraz w głównym ołtarzu: jest to tryptyk, pochodzący z roku 1520. Bardzo ciekawie zostały na tryptyku potraktowane postacie apostołów. Wszyscy staropolską modłą sumiaste mają wąsiska, zgoła na karmazynów polskich wyglądając.

Potem prowadzi nas ks. dziekan z miną tajemniczą za ołtarz. Nowe miraculum. Oto z drugiej strony ołtarza stoją sobie obrazy innych Świętych Pańskich.

A więc św. Cyryl i Metody, św. Stanisław i św. Marcin; św. Katarzyna. Odpowiedni mechanizm pozwala przesuwac obrazy, co też się robi, zależnie od święta danego patrona. Obraz, który skromnie wisiał z tyłu przez miesiące, w dzień swego święta wędruje na główny ołtarz.

A w tym znowu ołtarzu piękny obraz św. Stanisława Kostki, który cieszy się szczególnem nabożeństwem w szamotulskiej kolegiacie, bo przecież ród Kostków, był przez pewien czas bardzo silnie z Szamotułami związany.

Stajemy zamyśleni pod pięknym darem króla Sobieskiego, w którym płonie wieczny płomień uwielbienia dla Najświętszej Matki.

Oto i Matka Boża w szczerozłotą sukienkę, także dar wdzięcznego króla Jana III-go, ubrana.

Zapatrzony w mistyczną, ściemnioną twarz Bożej Matki klęczał Jan Sobieski na stopniach ołtarza na Kallenbergu. Modlił się król chrześcijański żarliwie, gdy mszę celebrował kapelan Marek Awiano. Modlił się, służąc księdzu do mszy, o zwycięstwo oręża polskiego, oręża chrześcijańskiego nad turekiem pogaństwem, które tam oto, opodal w blaskach słonecznych buńczukami się pyszniło.

I ciche oblicze Panienki w złocistej sukience zasłuchiwało się w słowa królewskiego Jana. Legła nawala turecka, pokonana przez polskie szyki husarskie, idące w bój z tem właśnie słodkim imieniem na ustach.

A teraz do stóp tej Matki z Kallenberga przychodzą tłumy ludzi niezbrojnych, a jednak walczących. O duszę i ciało. O wiarę i chleb.

Najświętsza Matka słucha, słucha.

Tu znowu piękny, wartościowy obraz z 16-go wieku, niemieckiej szkoły.

Opodal pokazuje nam ks. dziekan alabastrową chrzcielnicę, na której ręka artysty wyrzeźbiła misternie i precyzyjnie obrazy z życia dziecięcego Pana Jezusa.

Z boku stoi rzeźba artysty rzeźbiarza Rožka, przedstawiająca św. Antoniego.

Ks. dziekan zwraca naszą uwagę na świetne organy, nowocześnie skonstruowane, posiadające 58 rejestrów.

Wychodząc ze świątyni przyglądamy się jeszcze przez chwilę bardzo ciekawemu za-
bytkowi, prymitywnemu krucyfiksowi z drzewa, który trwa już od 15-go wieku.

Wyszliśmy na ementarz kościelny. I nagle na rozkaz księdza dziekana rozdzwoniły się sławne szamotulskie dzwony. Grają teraz nad nami potężnie, że melodji odróżnić nie można. A przecież wiemy, że grają motet szamotulski. Odchodzimy coraz dalej od kościoła drogą, która tyle pracy ludzkiej kosztowała. Droga ta łączy ementarz katolicki z kościołem. Budowana na bagnistym terenie zapadała się zawsze i osuwała się stale.

Stoimy u drzwi ementarza.. Teraz słyszymy piękną melodję motetu w potężnej interpretacji rozkołysanych dzwonów.

Biją dzwony hymn czei i miłości dla Najświętszej Panny:

„Witaj śliczna i dziedziczna Szamotul Pani”.

A kolegjata o pięknym wczesno-gotyckim rysunku lśni w blaskach słońca.

Oglądamy z ks. dziekanem ślicznie utrzymany ementarz i wracamy. Gościnnego i zasłużonego kapłana żegnamy z szacunkiem, ostatnie spojrzenie na piękny czysty gotyk strzelistej świątyni i odjeżdżamy.

U WŁODARZA SZAMOTULSKIEGO POWIATU.

Rozmawiamy z p. starostą Karpińskim.

— Zapytamy więc, najpierw o stan gospodarczy powiatu, Panie Starosto?

— Jeśli chodzi o nasze stosunki gospodarcze, to najważniejszym zjawiskiem jest fakt, że jesteśmy bardzo zadłużeni. Musieliśmy budować drogi. Trzeba było pożyczyć pieniędzy. Były czasy, że to było rzeczą b. łatwą a sprawa była ważna, więc pożyczyliśmy.

Charakterystycznym dla naszego powiatu jest fakt, że posiada on dużo wielkiej własności ziemskiej. Wiadomo, jak jest z wielką własnością ziemską obecnie pod względem gospodarczym. Część nie może płacić podatków, więc to wystarcza, żeby pogrzebać nasz budżet. Powiat nasz w ten sposób stał się jednym z najbiedniejszych.

— Jak wygląda procentowy stosunek mniejszości narodowych w powiecie?

— Mamy, proszę pana, 6% Niemców, ale jeśli chodzi o własność ziemską, to jest ona w 26% w rękach niemieckich.

— Jak się przedstawia powiat z punktu widzenia politycznego, Panie Starosto?

— Moje wysiłki, proszę pana, szły zawsze w tym kierunku, żeby zniwelować te bardzo silne antagonizmy polityczne, które tu zastałem.

Muszę przyznać, że społeczeństwo powiatu doceniło wartość tej akcji i dzięki zrozumieniu, z jakim się spotkałem, te antagonizmy w dużej mierze zostały zlikwidowane. Oczywiście mogło to się stać tylko dzięki takiemu szczęśliwemu złożeniu okoliczności, że zastałem tu bardzo wielu ludzi o szerszym horyzoncie myślowym, który im pozwolił zrozumieć wartość wspólnego frontu pracy dla dobra całego powiatu.

Sejmik nasz powiatowy jest przykładem tego. Posiada on co prawda większość opozycyjną, ale dał dowód głębokiego zrozumienia spraw ogólnopństwowych, uchwalając od 3 lat w budżecie swoim tę samą pozycję 12.000 złotych na cele P. W., chociaż budżet przed

6 laty 1.500.000 zł wynoszący, zmalał obecnie do 520.000 zł. Przy ocenie pacyfikacji umysłów i nastrojów jest to właściwe kryterjum oceny.

— Co szczególnego chciałby Pan Starosta podkreślić?

— Muszę w takim razie mówić o fatalnych stosunkach bezpieczeństwa. Nasza szamotulska policja jest bardzo odważna, dzielna i sprawna; ma zresztą za sobą szereg wymownych sukcesów, ale personel służby bezpieczeństwa jest u nas ilościowo niesłychanie słaby. Tędy było mniejwięcej wszystko.

Pan Starosta śpieszy się, gdyż telefonowano mu jakiś pożar w terenie. Żegnamy więc gospodarza, śpieszącego do sprawy swego gospodarstwa i za chwilę samochód rwie już w powiat.

BASZTA TRAGICZNEJ NIEWOLI PIĘKNEJ HALSZKI Z OSTROGA.

Z za drzew parkowych wychynęła w pewnej chwili ciemna, surowa baszta. Zatrzymaliśmy auto.

Chłopak stajenny podzwania kluczami i pogwizduje wesołą, ludową piosnkę.

Stoimy o kilka kroków od klatki książniczki. Naokół szumią drzewa wysokie a w górze polatują, wrzeszcząc swą monotonną piosnkę — wrony.

Opodal spogląda ku baszcie wyschłym swoim dnem — staw, pozostałość po fosie, wodą niegdyś wypełnionej strzegącej dostępu do zamku i baszty.

Zgrzytnął klucz w zamku; wionął w nas chłód wnętrza baszty. Chłopak uciął swoją wesołą melodję.

Zeszliśmy do piwnicy. Ciemno tu i zimno, bo niewiele słonecznego dnia wpada tu przez dwa małe okienka u góry. Tuż przy jednej ze ścian otwór kwadratowy.

— Tędy szedł ten podziemny korytarz do kościoła — informuje nas chłopak. — Jak byłem małym szcunem, tośmy tu się raz z komplami wybrali do tego korytarza. Wtedy jeszcze nie był zasypany jak dziś. Szliśmy, szliśmy aż nam nagle lampka zgasła. Trzeba było wracać, bo był strach i ciemno.

MÓWI LEGENDA...

Opuszczamy pośpiesznie chłodem wiejące podziemia. Wszędzie, gdzie noga teraz stanie, gdzie oczy spojrzą, wszędzie tu działa się straszna zbrodnia. W tych wszystkich lochach i komnatkach basztowych tłukła się jak złocisty ptak w czarnej zimnej klatce książniczka piękna i bogata, jak w bajce.

Wszyscy znamy jej urodę. Znamy ją z matejkowskiego obrazu, na którym złotousty kaznodzieja rzuca złowieszcze przepowiednie. Stoją zasłuchane, butne karmazyny. A w łoży obok Anny Jagiellonki siedzi smutna przepiękna książniczka — Halszka z Ostroga. Słucha uważnie książniczka, patrzą smutne, wielkie oczy w siwego kaznodzieję.

Bo ks. Skarga Pawęski o niej też przecież mówi. Jest coś w Halszce i jej życiu symbolicznego. Jest, jak Polska, o której mówi złotousty — piękna i bogata. I ją właśnie, jak Polskę zgubią prywatą, samowola, bunty, tych tam magnatów, stojących opodal.

Piękną książczkę z kresowego Ostroga zagna przymus do dalekiej baszty w nieznanym Szamotułach. Z jednego krańca na drugi Rzeczypospolitej zapędzi nieszczęśliwą samowola tego, który bez jej woli, mężem się jej stanie.

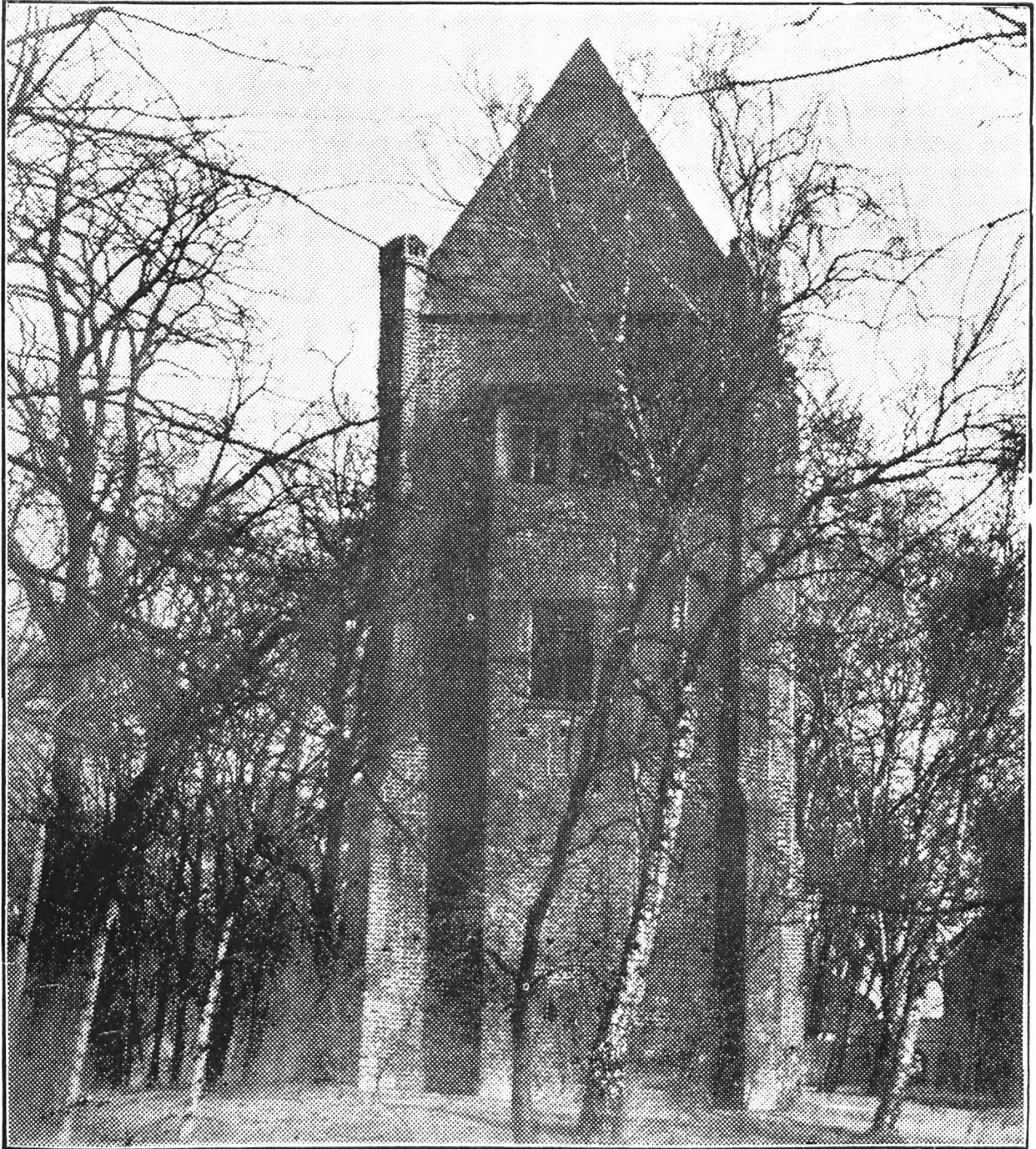
Butny Łukasz Górka, wojewoda łęczycki, a dziedzic Szamotuł za królewską protekcją zawiódł Halszkę na ślubny kobierzec do warszawskiego zamku.

Płakała biedna Halszka po nocach i dniach w pałacowych komnatkach.

Aż przyszły wierne sługi z Ostroga i wyrwały cichcem skarb możnemu panu.

W cichym kościółku na południowo-wschodnich rubieżach odbył się trzeci już ślub młodziutkiej książniczki. Ale i rozkochany ks. Siemion Słucki nie długo cieszył oczy urodą Halszki.

Bo oto zawrzał gniewem możny pan Górka. Zebrał wojsko i ruszył aż pod Lwów, by wyrwać z lwowskiego klasztoru ukrytą tam małżonkę.



BASZTA HALSZKI Z OSTROGA W SZAMOTULACH.

Szumią dokoła baszty drzewa zielone, kraczą, kołując nad nią w górze wrony, a w lochach i komnatach baszty tuższe się legenda o tem, jak to w grubych basztowych murach, mocnymi kratami od słonecznego świata oddzielony, usychał tu przepiękny kwiat stepów kresowych — księżniczka Halszka z Ostroga.



Obległ klasztor, zdobył i ruszyła żalobna kawalkada z bladą już, zmęczoną księżniczką.

A jednak wyżeniła precz tyrańskiego małżonka z sypialni, choć się włókł do niej na kolanach.

I gryzł się nocami Łukasz Górka, żarła go zazdrość wzbierająca i lęk, że mu znowu cudną żonę wykradną.

Zamknął więc Halszkę w szamotulskiej baszcie. Był rok pański 1559. A zbrodni czy tyran zakuł twarz księżniczki w maskę żelazną. Izby z oczu jasnych i lic anielskich nie spływała słodycz na tych, na których spojrzy.

Przeszedł rok 1560 i 61 i płynęły inne. I w baszcie chłodnej, po maleńkich, prostaczkich komnatkach tłukła się piękna pani w czarnej masce. A w niedzielę schodziła w piwnice i lochem podziemnym szła nieszczęсна księżniczka do kościoła. By w ukrytej niszy modlić się do słodkiej Panienci w ołtarzu i by łyzy gorzkie, które jej z oczu płynęły, jeśli nie słowa żarliwej modlitwy pozwolily odetchnąć suchem, rzeźwem powietrzem Podola i popieścić słońcu jej twarz ciepłymi promieniami.

Szły lata pańskie 1570 i 71... I wiądzł coraz bardziej przepiękny kwiat...

A gdy zdjęto po latach 14 maskę z twarzy pięknej księżniczki, upadły przerażone sługi. Patrzyła w nich straszna twarz upiora.

Z trudem, ciężko wstępujemy po krętych schodkach na piętra baszty. W tej oto komnatce oparta o chłodny mur patrzyła biedna Halszka na wyłożony słoneczny świat.

Na lśniącą taflę fosy, na drzewa nad wodą pochylone, na pola zielone i dalekie.

Opadały z krat biedne, białe dłonie. Wlokła się jak łachman do tego opodal kominika i siedziała tępą i bezwładną; gdy słońce kładło przez kraty ostatnie blaski do komnaty, gdy zmrok gęstniał coraz mocniejszy, gdy sługi światło zapalały...

I była szczęśliwa, że mogła chociaż płakać, że nie wyschły jej wszystkie łyzy.

JEDZIEMY DALEJ — PRZEZ MOSTY I LASY...

Piękny wiosenny dzień, ku zachodowi się chyłący, który lśnił nam zielenią pól i lasów po obu stronach szosy oderwał nas od myśli o Halszce i baszcie.

Suniemy teraz wytężonym biegiem po równej szosie.

Minęliśmy Gaj Mały, który jest nietyle mały, ile gaj; Kobylniki — skręcamy „ździebko“ (przypisek szofera) w bok szosy, chwila pędu przez piękne aleje angielskiego parku, przedefilowaliśmy przed ładnym pałacikiem Twardowskich.

Idziemy nad staw; uprzejmy kasjer majątku wyjaśnia nam przyczynę, dla której łabędź, (właśnie do nas podpływa) ma strasznie złą minę.

— Żona jego siedzi na jajach, a on już dziś dostał smary.

Łabędź ma „minę“ naprawdę wściekłą. Ponieważ niedawno, gdzieś tam komuś rozżelony łabędź złamał uderzeniem skrzydła rękę, więc dla wszelkiej pewności rejterujemy z nad stawu i z Kobylnik.

Mijają krótkie chwile i wjeżdżamy na rynek do Obrzycka. Przejeżdżamy most nadwarciański.

Na rynku zatrzymujemy się przed dziwnym kwadratowym budynkiem. Mieszczą się w nim obecnie biura ordynacji Raczyńskich. W jednej ze ścian bocznych — okno którego rzeźbione ładnie obramowanie tłómaczy napis niemieckiej tablicy u góry.

Był więc opodal klasztor w r. 1388, z którego to obramowanie okienne przeniesiono na dzisiejsze miejsce.

Niedługo popasamy w Obrzycku. Za chwilę — jazda dalej.

Jedziemy przez piękne lasy, potem szosa wypadła na pola.

Na polach włóczą się pługi, a pochyleni wieśniacy dokonywują wiosennych operacji na ciepłej ziemi. Potem znowu lasy.

RACHUNEK MIĘDZY ZBRODNIĄ I KARĄ.

Zwiedzamy więzienie we Wronkach.

W pewnej chwili za rozplanowaną przestrzenią zielonych gajów wyrastają potężne mury kompleksu budynków ciężkiego więzienia we Wronkach. Gina nam na chwilę, bo oto wjeżdżamy do miasteczka. Przejeżdżamy znowu nad wodami Warty. Z dołu z kołyszącego się na wodzie kajaka przesyła nam ręką pozdrowienia para młodych mieszkańców Wronek.

Przed wielką ciężką bramą oczekuje nas naczelnik więzienia p. Dębiński. Uchylają się na chwilę maleńkie drzwiczki i z trzaskiem za nami zamykają.

Długi, szeroki korytarz przegrodzony, jak śluzami, kilku kratami.

Po długiej, interesującej rozmowie o obecnym systemie penitencjarnym, o zadaniach kryminologii w dziedzinie więziennictwa, o konieczności jaknajszerszego udziału społeczeństwa w pracy nad urabianiem więźniów na wartościowy społecznie element — przechodzimy do zagadnień miejscowego więzienia.

— Więzienie nasze jest, jeśli można tak nazwać, najbardziej stylowym więzieniem celkowym.

Jest przytem jednym z najbardziej bezpiecznych, jeśli chodzi o możliwość uciezki, czy rozruchów więźniów.

— A jaki teren, Panie Dyrektorze, zajęty jest przez więzienie?

— Cały teren naszego więzienia wynosi ca 18 ha, z tego mamy 8 ha uprawnych, które oczywiście wyzyskujemy w każdym milimetrze. Prowadzimy nawet jedwabnictwo. Pozatem mamy własne dość bogate warsztaty ślusarskie, szewski, stolarski.

Warsztaty te nie produkują teraz dużo. Robimy to rozmyślnie, żeby konkurencją naszą nie pogłębiać kryzysu gospodarczego, jaki przeżywa miejscowe rzemiosło.

— Oczywiście i tutaj prowadzi Pan Dyrektor swoich wychowanków poprzez pracę w „kółku oświatowym“.

— A tak. Wyzyskujemy w tej pracy element nieraz b. inteligentny. Praca ta idzie bardzo dobrze ze względu na entuzjastyczne przyjęcie, z jakim spotyka się najlżejszy odruch działalności „kółka oświatowego“ wśród wszystkich więźniów. Jest to przytem b. ważny moment wychowawczy ze względu na fakt, że tu sami więźniowie pracują dla więźniów.

Patrzę na paczkę książek związanych, leżących na krześle.

— Tak, właśnie przysły mi od pewnych dobroczynnych ludzi. Jest to jedna z najbardziej upragnionych rzeczy w tym zakładzie. Przysyłają nam co pewien czas dobrzy ludzie, ale to zawsze zamało, zamało. Żeby pan widział, jak tu witają książkę — ci ludzie.

— Ja, Panie, Dyrektorze obserwuję u Pana takie bardzo ludzkie traktowanie tych przecież żywych ludzi.

— A tak; i to ludzi bardzo w gruncie rzeczy poczciwych. Oni są wcale niegorsi od nas nieraz, proszę panów, proszę mi wierzyć. To czasem nieszczęśliwy człowiek, którego akurat kopnął garbaty los.

Do nich pan podejdzie tylko z sercem na dłoni. Z każdym z nich można mówić i dogadać się, gdy się w nim podkreśla właśnie jego ludzkość.

Wychodzimy teraz na korytarz. Otwierają się przed nami jeszcze jedne kraty i stoimy w centralnym miejscu więzienia. W trzech kierunkach prostopadle do siebie bieżą korytarze, piętro nad piętrem. Ażurowe urządzenie schodów i przejść umożliwia strażnikowi dyżurnemu widzieć dokładnie całe wnętrze więzienia, niemal każde drzwi poszczególnych cel.

Ma na swoim dyżurnym balkonie odpowiednie środki sygnalizacyjne, zapewniające zupełne bezpieczeństwo zaskoczenia.

Więzienie jest potężne i wywiera wstrząsające wrażenie. Ponieważ jest już po wieczornym apelu nie możemy już oglądać cel.

Wychodzimy więc z gmachu gdzie się wyrównuje na ludzki sposób rachunek między zbrodnią i karą.

O ŻYCIU I SPRAWACH WRONEK

mówi nam p. burmistrz Ratajczak.

Pan burmistrz oczekuje nas na progu Magistratu. Siedzimy po chwili w burmistrzowym gabinecie i słuchamy gospodarza Wroniek.

— Ilość mieszkańców Wroniek, jeśli wliczymy w nią i więzienie, wynosi obecnie ca 5.200 głów. Co do miejscowego majątku, to przedstawia on wartość ca 1 milion zł. Oczywiście dziś po deprecjacji wszystkich wartości ten milion się zmniejszył znacznie.

— A jak wygląda zadłużenie miasta?

— Właśnie, że jest ono bardzo znaczne. Mamy około 1/2 miliona zł długu. Jest to na nasze warunki zwłaszcza dzisiejsze, kryzysowe dług tak wielki, że nawet oprocentowania naszych pożyczek i długów nie możemy płacić. Przyczyna tego stanu rzeczy leży w tem, że za czasów dobrej konjunktury łatwo było o pożyczkę, a mieliśmy, rzeczy które koniecznie trzeba było zrobić, więc pożyczaliśmy. Zrobiliśmy wielkie inwestycje, ale teraz jest nam tak b. ciężko.

— Co nam Pan Burmistrz powie o sprawie miejscowego szkolnictwa?

— Stoi ono na stosunkowo wysokim poziomie. Mamy dwie siedmioklasowe szkoły powszechne oraz seminarjum duchowne OO. Franciszkanów.

Jedną z zalet naszego miasteczka, jest jego, jak pan zauważył b. ładne położenie. Leżą Wronki nad Wartą, naokoło piękne lasy, jeziora. Raj dla letników.

ŻEGNAJ ZIEMIO SZAMOTULSKA!...

I znowu pędzimy przez ciche, kładące się do wieczornego spoczynku wsie.

Minęliśmy Dobrojewo i oto jesteśmy już w Ostrorogu. Zajeżdżamy przed plebanję. Ale ksiądz jest w kościele. Właśnie słyhać dobiegające stamtąd stłumione odgłosy nabożnego śpiewu.

To nabożeństwo majowe w cichym kościółku się odprawia. Wchodzimy. Na stopniach złocistego ołtarza stoi kapłan w błyszczącym ornacie i miłym, dźwięcznym głosem mówi do zasłuchanego ludu słowo boże.

Stoją zadumani, zapatrzeni w kaznodzieję i rozjarzony światłami ołtarz.

A potem gruchnęła po kościele litanja do Najświętszej Panny. Upadł na kolana lud prosić Orędowniczkę o orędownie. Pocieszycielkę ludzi strapionych o łaskę pocieszenia.

Płyną słowa kornej modlitwy:

— Różo Duchowna...

— Wieżo z kości słoniowej...

— — — — —
Światła reflektorów kreślą na ciemnej ścianie lasu tajemnicze kręgi i zygzaki. Wyjeżdżamy znowu na pola, na których rozsiadła się wieczorna, mglista zaduma.

Szczepankowo. Przy drodze za wsią statua Matki, przy której w najpiękniejszej porze odprawiają się najpiękniejsze nabożeństwa.

Zeszły się do stóp Najświętszej Paniienki dziewczyny z wioski całej i niesie się teraz na ściemnione zmierzchem pola ich poważna, lecz radosna pieśń do Bożej Matki.

A oto w dali drżą światła Szamotuł. Na ciemnej linii horyzontu przebiega jasnym szlakiem huczący z oddali pociąg.

Odjedziemy nim za chwilę. Żegnaj więc, gościnna ziemio szamotulska, śpiewająca głosem swych wsi, miasteczek i szamotulskim motetem do Królowej Korony Polskiej. „Witaj śliczna i dziedziczna Szamotuł Pani“.

JESTEŚMY W PNIEWACH, DZIEDZICTWIE NAŁĘCZÓW.

Dojeżdżamy właśnie do Pniew. Żegnamy naszego towarzysza podróży, z którym ucieliśmy sobie w międzyczasie rozmówkę.

— Życzę panom powodzenia w waszej pracy propagandowej, którą my wszyscy „prowinejonałści” tak bardzo cenimy...

Jeszcze z poza dworca widzimy roześmianą twarz inżyniera, który nam z daleka przesyła ręką pożegnanie.

Jedziemy przez czyste schludne ulice Pniew. Stajemy przed Magistratem.

Rozmowa z burmistrzem Pniew p. Śmierchalskim.

— Najpierw powiem, co sędzę o nazwie naszego miasta. W zamierzonych czasach, o których nie mówią pisane dokumenty przyszedli tu nasi słowiańscy praojcowie, wyrabali bór, że świeciły tylko pniaki. Stąd pewnie i Pniewy.

Panami naszego grodziszczą przez długi czas byli Nałęczę, od pniow Pniewskimi się nazywający. Mocna to była rodzina i złotemi zgłoskami zapisała się w historii Pniew. Wincenty Nałęcz-Pniewski staraniami swemi sprawił, że Pniewy w końcu XIV już wieku „lokację” czyli prawa miejskie otrzymały. W tym też czasie Pniewscy wzniesli świątynię Pańską. Dwa razy pożar zniszczył świątynię. W r. 1635 i w 1772. W r. 1627 Leopold Opałiński zatwierdza statut cechu krawców w naszym mieście; w r. 1698 Bractwo Kurkowe odbiera przywilej królewski.

— A teraz o dzisiejszych Pniewach, Panie Burmistrzu.

— Miasto nasze liczy obecnie około trzech i pół tysiąca mieszkańców, z dziesięciu procentami mniejszości narodowych.

Wartość majątku obliczamy na 460,000 zł. Długi są stosunkowo niewielkie bo wynoszą 45,000. Są to w 60% pożyczki długoterminowe.

— Pan Burmistrz kieruje gospodarką miasta od r. 1922?

— A tak, od pierwszej kadencji mego urzędu trwam na tem stanowisku. Jeśli chodzi o czynniki kierownicze to rządźmy się ustrojem rady miejskiej i magistratu. Współpraca między mną, radą miejską i magistratem, muszę to silnie podkreślić jest bardzo harmonijna.

— Jakie przeprowadziliście, Panowie inwestycje w mieście?

— Zbudowaliśmy więc piękne łaźienki przy jeziorze kosztem 50.000 zł z urządzeniem plażowym. Założyliśmy w prześlicznym położeniu park.

Miejscowy komitet P. W. i W. F. oraz Sokoli budują obecnie dwa boiska sportowe, które w najbliższym czasie zostaną oddane do użytku publicznego.

Mamy tu u nas m. in. żywo się rozwijający klub tenisowy, który właśnie buduje w parku korty tenisowe.

— Widziałem, Panie Burmistrzu, świetnie się prezentujące chodniki uliczne.

— Właśnie w roku ubiegłym rozbudowaliśmy je sumptem 4.000 zł.

— Już zdążyłem Panie Burmistrzu zauważyć wielkie warunki zewnętrzne Pniew.

— A tak, Pniewy mają wybitne warunki na miejscowość letniskową. Posiadają przecież piękne jezioro, plażę, łaźienki z 24 kabinami, korty tenisowe i okoliczne lasy.

Jest także wystarczająco dużo odpowiednich pomieszczeń dla letników.

I siostry w Zakładzie św. Olafa przyjmują w sezonie letników do swych pięknych budynków.

— Jednym słowem praca idzie pełną parą. Gratuluję i żegnam, życząc dalszego rozwoju.

WĘDRÓWKA PO MIEŚCIE.

Jedziemy znowu ulicami Pniew skrętnie notując sobie w pamięci twarze ludzi i miasta. Przecież się na pewien czas rozstajemy.

Oczy patrzą z rozkoszą przez chwilę na starogotycki kościół katolicki.

Potem przelatują koło nas drzewa parku i otaczają w pewnej chwili miły kościółek św. Ducha.

A w parku poprzez listowie rozkwitających drzew błyszczy ściany pięknego pałacu. Wybudował go w 1739 roku ówczesny dziedzic pniewskich włości — wojewoda inowrocławski i generał ziem polskich — Władysław Szodrski.

Zniknął już z oczu barokowy pałac. Ale oddawna już widzimy dominującą nad okolicą, wieżę basztową. Wjeżdżamy w ulicę Poznańską. Ten dziwny, jakby zamkowy, budynek ma swoją przeszłość, nad którą się teraz cichy i spokojny głęboko zadumał.

Kiedyś był tu gwar. Zajeżdżały poszostne karoco. Trąbił pocztyljon pocztowy sygnał. Wychodziły panie w krynolinach, otoczone wieńcem cylindrów i żabotów.

Zatrzymujemy się potem przez chwilę nad brzegami wielkiego jeziora. O zmierzchu zaczyna tu nad brzegami chodzić mity i legendy, o których stare babuńce opowiadają w rozszerzone oczy wnuczków.

DOWIADUJEMY SIĘ CIEKAWYCH RZECZY O WIELKIEJ MATCE URSZULI.

Właśnie myślimy o tej wielkiej postaci kobiecej. Symbolu miłości ojczyzny i społecznej pracy. Znamy ją tylko z portretu. Siedzi przy ciemnym biurku pochylona nad tomami książek a twarz jej wieńcem bielutkich włosów okolona, słodko się i dobrotliwie uśmiecha.

Zamyśliła się matka Urszula. Robi przegląd wspomnień właśnie. Jest przełożoną SS. Urszulanek w Krakowie. Zgromadzenie wysłała ją w r. 1907 do Petersburga. Wzywa ją tam ten, którego bolszewickie kanaje postawią „pod stienku“ — ks. Budkiewicz. Ma tam objąć internat dla uczennic polskiego gimnazjum przy kościele św. Katarzyny.

W 1911 rząd rosyjski doszedł do przekonania, że matka Urszula jest zbyt wielką Polką, a w żadnym stopniu Rosjanką. Za patriotyczną robotę idzie matka Ledóchowska na wygnanie. Tuła się po Finlandji. W uroczym ustroniu nad Fińską Zatoką zakłada gimnazjum dla polskich dzieci w Finlandji.

Marentähti, wśród ciszy leśnej nad brzegiem zielonego morza polskiem życiem telnące — nazywają wszyscy rajem na ziemi.

Przychodzą tu i Finnowie i na mszy św. oni protestanci śpiewają polskie nabożne pieśni.

I lecą przez otwarte podwoje świątyni nad brzeg szumiącego morza słowa polskich pieśni, przez Finnów śpiewane „Zdrowaś Marjo“ „Gwiazdo Morza“ . . .

Wygnała powtórnie z Rosji w roku 1914 żegna Matka Urszula płacząc ciche fińskie ustronie i idzie na dalszą tułaczkę.

Potem przychodzi szkoła obcych języków w uroczym Djursholmie pod Stockholmem. Potem do Danji. Wielka serja odczytów po skandynawskich krajach i niestrudzona M. Ledóchowska zdobywszy pieniądze, jedzie do północnej Danji kupić „dom św. Antoniego“ na ochronkę.

Radowało się niepomierne serce wielkiej męczennicy patriotycznej, gdy jechała do wolnej, niepodległej Rzeczypospolitej.

Ale trzeba stanąć znowu do wielkiej pracy w wolnej już Ojczyźnie. Kupuje w Lubocześnicy pod Pniewami posiadłość od Szwalbego i Rabigera, by uczynić tu bazę operacyjną dla wielkiej, społecznej pracy. Trzeba pieniędzy. Jeździ więc zmęczona już starszka po Norwegji z trzecią już serją odczytów.

Ujęty żarem wielkiej miłości ojczyzny bijącym z uduchowionej twarzy staruszki konsul Stolt — Nielsen po odczycie w Oslo — ofiarowuje na ten cel 20.000 kor. norw.

I w Lubocześnicy staje za sprawą wielkoduszności Norwega zakład pod wezwaniem „zakładu św. Olafa“, patrona Norwegji.

I zaczęła z Olafowego zakładu promieniować wielka działalność społeczna i gospodarcza na całą Polskę.

A w roku 1923 otrzymały siostry od św. Kongregacji w Rzymie aprobatę zmienionej konstytucji, mocą której Dom Główny w Pniewach wraz ze swemi filjami zamieniony został na kongregację zakonną, co daje moc rozwojową i zdolność tworzenia nowych placówek pracy. O tych placówkach zaczynamy rozmowę z siostrą przełożoną Zakładu św. Olafa, oprowadzeni przez nią uprzejmie po pięknych budynkach, parku i urządzeniach zakładowych.

W ZAKŁADZIE ŚW. OLAFI

Nasza rozmowa z S. Przełożoną Prądzyską.

Idziemy obok siostry przełożonej pięknymi, wzorowo utrzymanymi alejami parku. Doszliśmy do parkowej granicy.

— To, co pan widzi — to nasze pola. Przejdą miesiące i pójdziemy wszystkie siostry w pole żąć to żytko, które się teraz tam zieleni. Bo my tu nasze gospodarstwo same uprawiamy. Przy zakładzie mamy szkołę pedagogiczno-gospodarczą i gospodarczą.

Szkoły te mają 80 miejsc dla panienek, które chcą się kształcić w tym kierunku. W pierwszej z tych szkół istnieje trzyletni kurs i absolwentki uzyskują państwowy dyplom nauczycielski. Drugą stanowi kurs jednoroczny gospodarstwa domowego.

Przechodzimy teraz z przełożoną poszczególne pomieszczenia zakładowe. Uderza wszędzie wzorowa czystość i porządek. Czy to w pięknym domu reprezentacyjnym, czy internacie. Przyglądamy się nowocześnie urządzonej kuchni dla uczennic i sióstr. Potem własną piekarnię zakładu, cukiernię, mleczarnię, pralnię mechaniczną itp.

Potem przechodzimy do partji budynków gospodarczych. I tu niezwykła umiejętność i wzorowość w rozplanowaniu budynków i inwentarza. Świetnie utrzymany żywy inwentarz: konie, krowy, świnie. Na większą skalę prowadzona hodowla rasowych kur.

Nakoniec idziemy do korony piękności zakładu. Przechodzimy przez ogrody i oranżerje zakładowe. Te smaczne soczyste i wonne produkty tu wytwarzane idą wszystkie na potrzeby pięknego zakładu.

Za chwilę już porywa nas auto i w zapadającym zmierzchu suniemy szosą do Poznania.

Przemierzyliśmy jedną z ziem Wielkopolski — szamotulskie włości wszcz i wzdłuż. A teraz pełni wrażeń i widzianych widoków pędzimy do Poznania.



OBORNICKA ZIEMIA BIEDNA, LE CZ ZDROWA I PIĘKNA



iedaleko od Poznania do sąsiedniego powiatu obornickiego. Ledwieśmy minęli Zielątkowo i oto jesteśmy już we włościach sąsiada. Ale u sąsiada bieda — napewno. Bo ziemia, na którą z okien wagonu patrzymy, licha jest i bezpłodna. Żytko rośnie czasami niewielkimi łanami wiotkich i rzadkich kłosów, albo ziemniaki na odmianę. Żytko i ziemniaki, ziemniaki i żyto, oto jednostajna piosenka pól, przez które przerzyna się pociąg..

Wzamian zato pyszną się co chwila w słonecznych blaskach ciemne lasy sosnowe i złocą się wielkimi płaszczyznami naturalne, piaszczyste plaże na zboczach łagodnych wzgórz.

Mimo wyraźnego zakazu, w kilku językach pisanego, wychylamy się przez okna przedziału, wdychamy czyste, aromatem żywicy wypełnione powietrze. Słońce i jego refleksy każą nam zamknąć oczy; wiatr hula sobie w zwichrzonych czuprynach.

Patrzymy przed siebie przez zmrużone powieki: ziemia tu jest jak biedna, ale piękna kobieta.

PIERWSZY KROK...

Dojeżdżamy do dworca. Mignął nam przed oczyma duży, o nowoczesnych linjach budynek Kasy Chorych, który miał być przeznaczony na cele administracyjne, a od którego urzędzenia kompletnego i użytkowania Kasa Chorych tymczasem z powodu ciężkiej sytuacji gospodarczej odstąpiła.

Na powołanie do życia tego pustego, spokojnego gmachu mieszkańcy Obornik czekają niecierpliwie.

Teraz biegną nam przed oczyma piękne domki otoczone zielenią ogrodów. To wille położone przy długiej ulicy Dworcowej.

Sprawa zaczyna się komplikować; wygląda, jakbyśmy zostawili z boku miasto i nie zatrzymawszy się w niem, jechali dalej. Okazuje się, że Oborniki chorują także na często przez nas w ostatnich podróżach spotykaną przypadłość: oto dworzec leży w przyzwoitej odległości od miasta. Za chwilę stwierdzimy to „namacalnie”, jadąc przez szmat drogi i czasu do śródmieścia. Wychodzimy z dworca, w dali, na prawo widać ciemną plamę lasu, wśród którego przeblęskują białe ściany zakładu w Miłowodach.

A tam, jeszcze dalej wysoki komin wyznacza „miejsce postoju“ letniska w Bąblinie.

Jedziemy ulicą Dworcową. Okazuje się, że „nie taki djabeł straszny”. Do miasta jest daleko, ale ulica Dworcowa jest urocza, ma b. dobry kostkowy bruk, a wille po obu bokach ulicy, są często tak ładne, że się do nich uśmiechać trzeba.

JESTEŚMY W GOSPODARCE OSZCZĘDNI, PRAWIE SKĄPI, A KAŻDY GROSZ WYDAJEMY PRODUKTYWNI I CELOWO.

O świetnie zorganizowanej pracy w powiecie rozmawiamy z jej kierownikiem p. starostą Kozłowskim.

Wysiadamy przed starostwem. Niema ono gmachu reprezentacyjnego. Ale w tych skromnych, jakby gospodarczych budynkach zobaczymy pracę zorganizowaną, jak rzadko gdzie.

Starosta jest w tej chwili zajęty. Odbywa się bowiem konferencja w sprawie kolonij dla dzieci bezrobotnych.

Ale już za chwilę p. starosta Kozłowski wita nas serdecznie i z radością.

— Bardzo się cieszę, że wpadliście Panowie zobaczyć, co się u nas dzieje.

— Właśnie radziłyśmy usłyszeć, co nam Pan Starosta o tem powie?

— Więc ogólne sprawy gospodarcze. Obszar naszego powiatu wynosi 1,088 km². Charakter posiada wybitnie rolniczo-leśny. Na terenie naszego powiatu mamy aż 4 nadleśnictwa państwowe. Jest to rekord w swoim rodzaju, lecz rekord ten odbija się ujemnie na dochodach powiatu. Na domiar nieszczęścia ziemia niezalesiona naszego powiatu jest naogół słaba. Ale przy tem wszystkim obserwujemy rzecz, zdawałoby się dziwną: oto powiat nasz nie odczuł tak dotkliwie klęski kryzysu, jak inne, bogatsze nawet. Był słaby i biedny z natury swej gospodarczo, więc dlatego poprostu nie mógł odczuć tak silnie wstrząsu kryzysowego. I dlatego, rzec możemy, że nasz powiat utrzymał niemal niezmiennione stanowisko gospodarcze.

Ogólna gospodarka powiatu, jak na kryzys, jest zupełnie zadawalająca. Nie mamy długów, a pieniądze ilekroć są naprawdę potrzebne, zawsze się znajdują. Jesteśmy oszczędni, prawie do skąpstwa, a pieniądze wydajemy celowo i produkcyjnie.

Mimo, iż budżet nasz jest stale obcinany z roku na rok, mimo to są w nim pewne aktualne pozycje, które nie tylko nie ulegają obcięciu, ale stale się powiększają. Taka np. pozycja jak opieka społeczna, a więc zagadnienie najaktualniejsze, wyrażające się m. in. w dożywianiu dzieci i dorosłych bezrobotnych — z roku na rok ulega istotnemu powiększeniu.

Wszystkim bezrobotnym okazujemy tę pomoc w zimie, w lecie zaś dajemy im tylko pracę.

— Jak zorganizowana jest walka z bezrobociem w powiecie Pana Starosty?

— Muszę to stwierdzić, że powiat nasz ubiegł „Fundusz Pracy” o 3 lata, bo właśnie od 3 lat rokrocznie stwarzaliśmy fundusz dla bezrobotnych. Rokrocznie mam przeznaczonych 50.000 złotych na opłacenie pracy bezrobotnych; pieniądze te zawsze wydajemy na tworzenie rzeczy produktywnych.

W tej chwili wpada nam w oczy szereg zdjęć b. dobrych technicznie: patrzymy na ich treść; fotografie przedstawiają uregulowanie rzeczki t. zw. „strumienia potulickiego”, która to rzeczka, jak się dowiadujemy od p. starosty, zatapiała rokrocznie kilkaset mórg łąk, czyniąc siano z tych łąk małowartościowym, bo kwaśnym.

— No, to pokażę panom i inne pozycje z dorobku naszego w 1932 r.; to np. jest nasz naprawdę ładny stadjon, obok którego urządziliśmy nowoczesną strzelnicę. Do tych wszystkich rzeczy projekty bezinteresownie robił budowniczy p. Adam a my dawaliśmy robociznę, zatrudniając bezrobotnych.

— Stwierdzam u Pana Starosty niezwykle i niespotykane zainteresowanie losami miasta a nie tylko jak zazwyczaj powiatu?

— Jest to w naszych warunkach zupełnie zrozumiałe, zważywszy na fakt, że fatalna gospodarka położyła miasto finansowo zupełnie. Możliwości przeprowadzenia przez miasto robót na własną rękę — żadne. A miasta są przecież w moim powiecie. Siłą więc rze-

czy przeprowadza się roboty i dla miast. Bo nietylko w naszej powiatowej stolicy inwestujemy i budujemy. Dzieje się to także i w innych miastach powiatu obornickiego. W Rogoźnie np. też wybudowaliśmy strzelnicę, a w Murowanej Goślinie mamy zamiar rozpocząć w najbliższej przyszłości budowę stadionu sportowego.

W tej samej mierze, w jakiej wzrastają fundusze na opiekę społeczną, w tej samej powiększają się i sumy przeznaczone na P. W. A mimo to wszystko zamknęliśmy budżet w tym roku z rzeczywistą nadwyżką kasową — 32.000 zł.

— Na zakończenie, Panie Starosto, o warunkach klimatycznych powiatu obornickiego?

— Mojem zdaniem powiat obornicki to jeden wielki teren campingowy. Jak pan widział napewno: piasek, lasy (najczęściej szpilkowe) i wody bieżące (Warta i Wełna). Warunki klimatyczne pierwszorzędne. Poza to w całym powiecie trudno było znaleźć kawałek monotonnego terenu. Nie wątpię, że piękne, uroczne zakątki w naszym powiecie weześniej czy później zrobią b. silną konkurencję Puszczykowi i Puszczykówku.

A teraz o drogach i inwestycjach poinformuje panów p. budowniczy Adam, gdyż on zna szczegółowe dane. Ja przedtem chcę podkreślić jedno. Oto pełne zrozumienia stanowisko Bractwa Kurkowego, które doceniając wartość wychowawczą stadionu sportowego, dało nam na ten cel swój teren. Przy budowie strzelnicy okazało nam także bardzo dużo pomocy.

— Więc słuchamy Pana Budowniczego.

— Z naszego „funduszu pracy“ zbudowaliśmy ośrodek sportowy, składający się z normalno-kalibrowej strzelnicy, stadionu przystosowanego do wszystkich dziedzin sportu lekkoatletycznego i futbolowego, oraz kortów tenisowych. Ostatnio przystąpiliśmy także do budowy plaży i łązienek.

Powstała nowa strzelnica w Rogoźnie, ulepszyliśmy starą w Ryczywole, gdzie osusziliśmy także i boisko sportowe.

Jeśli chodzi o meljoracje z tego funduszu pracy, to na pierwsze miejsce wysuwa się wspomniane przez Pana Starostę uregulowanie „strumienia potulickiego“; na długości 1.400 mtr., został on pogłębiony, wyprostowany i wyłaszynowany. W tym roku posuniemy się o następny kilometr. Dalej rozbudowaliśmy kanał odpływowy na długości 13,20 mtr. na terenie „Spółki odwodnienia Garbatka-Międzylesie-Rogoźno“.

Bardzo dużo zrobiliśmy w dziedzinie drogowej. Położyliśmy 300 mtr bruku na drodze powiatowej w Kamińsku, na drodze Murowana Goślina — Swarzędz.

— Robimy tylko tam — wtrąca pan starosta — gdzie gmina na drodze publicznej daje materiał. Oni materiał a my robociznę.

— Dalej 40 mtr. bruku w Maniewie. Potem regulacja drogi Rogoźno - Margonin na długości 1½ km, budowa nowego mostu drewnianego o rozpiętości mtr. na drodze gminnej Skrzetusz-Igyszyna pod miejscowością Skrzetusz nad strumieniem Flinta.

W tym roku także zrobiliśmy już dużo a łącznie z tem, co się zrobiło w ostatnich czasach z budżetu drogowego dorobek nasz przedstawia duże cyfry kilometrów dróg nowych, jeszcze większą cyfrę nowouregulowanych nie licząc, normalnej naprawy, konserwacji i renowacji.

— Dorobek imponujący tembardziej, że nie wiem, czy Panowie macie dostateczną ilość kamieni w swoim powiecie na ten cel.

— O nie, proszę pana. Kamień do budowy dróg musieliśmy sprowadzić w 90% z poza granic naszego powiatu.

NA SZANCACH DOROBKU GOSPODARCZEGO.

Ponieważ my bardzo pragniemy zobaczyć, a starosta w swojej słusznej dumie chce się przed nami pochwalić swym dorobkiem, jedziemy więc najpierw na stadion. Wita nas brama triumfalna z napisem powitalnym u góry, pozostałością po uroczystości poświęcenia sta-

djonu. Z boku widzimy wysoki świeży jeszcze nasyp strzelnicy. Zatrzymaliśmy się przed bramą. Wchodzimy. Jesteśmy mile zaskoczeni. Takiego widoku się nie spodziewaliśmy. Naturalne warunki zewnętrzne podały sobie rękę z ludzką przemyślnością i pracowitością i stworzyły jakby żywy wycinek helleńskiej kultury fizycznej.

Cały stadjon nosi na sobie przekleństwo w tym wypadku rzeczy nowej. Ale niech tylko podrosną topole włoskie wysadzone naokoło, niech stadjon otoczy ciemna zieleń żywopłotu, a na siatkach ukrytych w dole, ślicznych kortów tenisowych zacznie się wspinać barwny powój — wtedy raduj się duszo sportowca praktykującego i „teoretycznego”. Wtedy będzie tu b. pięknie. I teraz już jest ładnie. Z jednej strony, za stadjonem teren wznosi się dość stromo w górę, zamykając b. bliski widnokrąg i tworząc naturalny amfiteatr nad stadjonem. Z drugiej strony ciemny las sosnowy, z boku na ukos perspektywa na miasto.

Teraz, gdy tak chodzimy w czwórkę po murawie stadjonu, szumią opodal łany zbóż, słońce z nieba leje na nas potopy blasków i ciepła, skowronki drą się jak opętane a powietrze pachnie jakimś subtelnym aromatem. Aromat ten, synteza zapachów: rozfalowanych zbóż, rozgrzanych piasków i wylewającej się z łona sosnowego pnia żywicy — towarzyszy nam będzie w całej obornickiej podróży.

Chwilę jeszcze spędzamy na nowocześnie urządzonej strzelnicy, potem jedziemy przez miasto. I znów defilują przed nami ładne wille ulicy Dworcowej. Wyjeżdżamy trochę „w świat” kilku drogami i stwierdzamy „namacalnie” dobroć dróg obornickich. Minerva sunie wszędzie cicho, bez żadnych niemal wstrząsów. Tak jak życie w powiecie obornickim, kierowane mądrą ręką dobrego gospodarza.

Potem przerzynamy się przez piasek nieużytki i stajemy na krawędzi zbocza spadającego dość stromo w dół. A tam w dole błyszczą wody Wełny. Oddziela nas od niej przestrzeń przygotowywanej plaży, nakreślonej już teraz w regularny łuk. Na tamtym brzegu, dla odmiany zamiast piasku plaży, u krawędzi której стоимy, ciemnieje gęstwina krzaków i drzew. Dużo tu jeszcze roboty, ale plaża będzie piękna.

OBORNIKI, CZYLI MIEJSCE OTOCZONE BORAMI.

Ks. proboszcz Szymański o historii kościoła obornickiego i o rzeczach innych.

Rozmowa z uprzejmym i gościnnym ks. proboszczem zaczyna się od biadania. Biadamy mianowicie i bolejemy nad tem, że w kościele obornickim niema żadnych wazytków. Wszystko, co piękne i dawne, zniszczyły pożary. Sam kościół także był już kilkakrotnie przebudowany.

Oborniki było to stare osiedle słowiańskie; w okolicy znajdowano liczne wykopaliska świadczące o prahistorycznej przeszłości Obornik. Jest to także o tyle ciekawa miejscowość, że tu właśnie do Obornik dotarł lodowiec i nawiał w dno Warty dziesięciometrowy pokład żwiru. Znajdujemy często takie oto skamieniałe żyjątka i rośliny, jak tu widzimy.

Oglądamy z księdzem jego bogatą kolekcję tych znalezionych kamieni.

Potem mówimy o kościele.

— Obecny kościół pochodzi z roku około 1500. Od tego czasu trzykrotnie uległ pożarowi a to w latach 1655, 1657, 1819. Tyle też razy był odbudowywany. Ostatnio w roku 1829, a rozszerzony i odnowiony w r. 1926 już za moich czasów.

Od 1255 do 1822 mieszkali w Obornikach Franciszkanie, dziś dom poklasztorny należy do gminy ewangelickiej, ale parafia moja stara się usilnie o rewindykację domu.

Oprócz kościoła parafjalnego mamy tu w Obornikach jeszcze piękny kościół św. Krzyża. Od r. 1928 budujemy Kalwarię na wzgórzu, nad Wartą, tam gdzie w r. 1767 stał kościół św. Duchy.

Jedną z ciekawych cech terenowych jest fakt, że mamy tu liczne źródła solne, zamulone zresztą. Taka np. miejscowość jak Słonawy wzięła nawet swoją nazwę od tego zjawiska.

Jeśli chodzi o nazwę naszych Obornik, to mylne jest przekonanie, jakoby miała ona pochodzić od „obory“. Ponieważ naokoło miasta były wielkie bory, miasto było otoczone borami, a lasy sięgały, rzec można do okien domostw, więc stąd nazwa „Oborniki“ zupełnie analogicznie jak „Objezierze“ „Obrzycko“, „Ocieszyn“ — zwany od których się tu w naszym powiecie poprostu roi.

Jeszcze jedno należy podkreślić. Okolice Obornik jest nadzwyczajnie zdrowa. Sprawdzianem tego był dawniej m. in. fakt, że tu właśnie do Obornik chronili się zdaleka przybyli magnaci polscy w ucieczce przed zarazą.

Żegnamy gościnnego ks. proboszcza, wpadamy na chwilę do kościoła i udajemy się do burmistrza.

DOLE I NIEDOLE M. OBORNIK

Rozmowa z burmistrzem Obornik, p. mgr. A. Kuehnem.

— Myślę, że od razu wejdziemy w zagadnienia aktualne. A więc miasto ma 5.284 mieszkańców, w tem mniejszości narodowych około 7%.

Majątek miasta wynosi około 2.000.000 zł. Mamy przytem jednak poważne zadłużenie. Na majątek składają się następujące objekty: a) przedsiębiorstwa: rzeźnia z eksportem bekonu i gazownia, szpital miejski, b. ładny i ładnie położony, b) budynki: 2 większe (sąd i ratusz), 2 mniejsze oraz 5 budynków robotniczych, które nas kosztowały dużo pieniędzy, dalej 2 budynki szkolne i budynek gimnazjum miejskiego, c) wreszcie tereny leśne i ziemia.

— Radziłyśmy usłyszeć o miejscowym przemyśle i handlu.

— Jeśli chodzi o przemysł to na czoło wysuwa się liczba 5 tartaków, objaw znamieny dla Obornik, z którym zresztą łączy się integralnie nasze obornickie stolarstwo, jak wiadomo, na wysokim poziomie postawione.

Nad korytem Warty ciągnie się warstwa gliny więc mamy z tego powodu łańcuch cegielni nad Wartą. U nas tutaj jest 2: jedna państwowa, a jedna prywatna.

Przed wojną mieliśmy także wielką żwirownię, która eksportowała daleko swój materiał. M. in.: wielki Völkerdenkmal w Lipsku jest zrobiony ze żwiru, z naszej żwirowni wywiezionego.

Pozatem mamy jeszcze tutaj przemysł kamieniarski, fabrykę sztucznego marmuru, i duże młyny.

Jeśli chodzi o handel to z większego handlu posiadamy tu poważny handel zboża. pozatem handel drobny, którego konsumentem są same Oborniki i okoliczne włościanstwo.

— Teraz o dorobku słów kilka.

— Poważną pozycję stanowią inwestycje przy budowaniu i przebrukowaniu ulic. Miasto może się poszczycić zato nadzwyczajnym brukiem, zwłaszcza głównej naszej „reprezentacyjnej“ ulicy Dworcowej. Widział pan napewno, jaka jest ładna z temi swojemi dwoma rzędami pięknych willi. Miasto ma trochę dziwną konstrukcję, jest bardzo długie, ale jest to spowodowane faktem, że weisnięte jest ono między Wartą i Wełną.

Dworzec, jak pan zauważył mamy daleko od miasta, ale istnieje projekt wybudowania nowego dworca nad Wartą, blisko śródmieścia. Z dorobku naszego przy wyliczaniu majątku miejskiego wymieniliśmy już: domy robotnicze, gimnazjum także wybudowane przez miasto, dawniejszy szpital to też nasz dorobek, bo został przez miasto wykupiony z rąk niemieckich. Pozatem założyliśmy park miejski, na miejscu dawnych szpetnych rumowisk. Jeśli chodzi o majątek miejski, to jest to niemal w całości dorobek polskich czasów, poza rzeźnią i gazownią.

Wreszcie chciałbym powiedzieć kilka słów o przyszłości miasta. Nasze najbliższe poważne zamierzenie to zelektryfikowanie miasta. Mamy w tym kierunku wyjątkową zresztą lokalną sposobność, więc ostateczna kalkulacja wykaże, czy miasto otrzyma w najbliższej przyszłości światło elektryczne.

Pozatem mamy na oku umocnienie terenu targowego oraz skanalizowanie niektórych ulic; część bowiem jest już skanalizowana.

To wszystko. Zresztą zamykamy sakiewkę i nie wydajemy ani grosza, żeby móc wybrnąć z trudności gospodarczych, w które miasto nasze nieszczęśliwie zabrnęło.

Walną pomoc w tym kierunku mogłoby nam okazać społeczeństwo centralne, gdyby się przekonało do naszych niezwyklej warunków klimatycznych i zjeżdżało tu co roku na letniska.

W SPIŻARNI ANGIELSKIEJ KUCHNI.

Z młodym dyrektorem, holendrem p. Vos'em oglądamy eksportową bekoniarnię obornicką.

Przez szereg ulic i uliczek, potem przez miejski park idziemy do obornickiej fabryki bekonów. Stajemy przed biurem. N. V. Jac. Vos & Co. Fabryka Bekonów, Sp. Akc.

Za chwilę rozmawiamy o fabryce z młodym jej dyrektorem p. Vos'em.

Założona w r. 1929 może być zaliczona do najważniejszych zakładów przemysłowych w powiecie obornickim. Znajduje tu pracę wiele rąk roboczych, a b. wielu dostawców ciągnie z istnienia fabryki poważne zyski.

— Jaka jest zdolność produkcyjna fabryki, Panie Dyrektorze?

— Wewnętrzne i zewnętrzne urządzenia rzeźni miejskiej okazały się zmałe i niewystarczające do produkcji bekonów, trzeba było więc włożyć poważne pieniądze na wprowadzenie i zmontowanie odpowiednich urządzeń, które pozwoliłyby na eksport bekonowy w największej choćby ilości. Dlatego też zdolność produkcyjną naszej fabryki obliczamy obecnie na produkcję 1000 sztuk bekonowych tygodniowo.

— Za chwilę pójdziemy, Panie Dyrektorze, zobaczyć jak wygląda to w praktyce; przedtem jednak zechce Pan Dyrektor wypowiedzieć kilka ogólnych uwag o produkcji bekonów.

— Przedewszystkiem co to jest bekon? Pod nazwą tą rozumiemy, połówkę świni, przekrajanej wzdłuż kręgosłupa, bez łba i kopyt oraz bez żeberek.

Angielski rynek stawia bardzo ścisłe wymagania bekonom importowanym; i tak przewidują te reguły ścisłe wszystkie etapy przetwórcze, które musi przejść każda sztuka, od zabicia jej poprzez parzenie, (przewidziany czasokres), chłodzenie, solenie itp. aż do klasyfikacji, sortowania i wysyłki w specjalnie chłodzonych wagonach włącznie.

— Jak Panowie odczuwacie kryzys?

— O tem, że i nasz przemysł odczuwa kryzys b. boleśnie, niema co mówić. Już zalamanie się kursu funta przyniosło nam wielkie szkody tak, że r. 1932 ukształtował się dłu eksportu bekonowego b. niepomyślnie.

Przez inwestycje wielkiego kapitału można ten przemysł utrzymać na poziomie, co leży przedewszystkiem w interesie naszych rolniczych hodowców świń bekonowych, bo przecież eksport bekonowy daje tym ludziom wielkie możliwości zarobkowe.

Po otrzymaniu ogólnych informacji udajemy się z dyrektorem do zabudowań fabrycznych. Przechodzimy przez poszczególne etapy produkcji, począwszy od obejrzenia własnej bozniczy kolejowej fabryki, a na własnej wytwórni lodu kończąc. Szczególnie silne wrażenie wywiera duża hala główna, gdzie słychać łoskot zabijanego bydła, gdzie obok zwisających przepołowionych sztuk kręcą się dziesiątki robotników. Krają, czyszczą, przenoszą... Opodal stoi wielki piec. Wszystko to razem tworzy w pewnej mierze obrazek przedpiekla.

W sąsiednim pomieszczeniu wiszą setki gotowych już bekonów, a w następnym znowu leżą nasolone, bo według Anglików muszą się „odleżeć”.

Wpadamy jeszcze do własnej elektrowni fabryki, żegnamy uprzejmego dyrektora i pod wrażeniem widzianych rzeczy wracamy do miasta.

Pieniądze bezpieczne jak... w banku.

Bank Ludowy Spółdzielnia z odpowiedzialnością nieograniczoną w Obornikach, założony w roku 1898, silnie ufundowany, przetrwał zwycięsko wszystkie dotychczasowe objawy przesilenia gospodarczego, utrzymując swój stan posiadania, licząc od roku 1924, znacznie wzmocniony i rozszerzony.

Na początku 1933 roku (cyfry podane w nawiasach dotyczą roku 1924) miał nasz Bank 1400 członków (404) odpowiadających całym swoim majątkiem za zobowiązania Spółdzielni, należącej do Związku Spółdzielni Zarobkowych i Gospodarczych w Poznaniu. Rezerwy i wpłacone udziały wynosiły na początku 1933 roku 480.700,— zł (27.500 zł). Udzielone pożyczki w roku 1933 stanowiły kwotę 972.000,— zł (99.000,— zł), natomiast wkłady oszczędnościowe w roku 1933 wynosiły 348.000,— (23.000,— zł).

Odpowiedzialność członków tylko zadeklarowanymi udziałami wynosi 2.150.000 zł. Wydane pożyczki w 90% są zabezpieczone na I-szych hipotekach. W roku 1933 Spółdzielnia nasza nie poniosła na dłużnikach żadnych strat (w roku 1932 — 1.019,— zł). — Za rok 1932 wydzielono członkom 4% dywidendy od udziałów.

Zarząd stanowią od roku 1924 pp. dyrektor Dobol, Maślanka, Kasprzyca. Rada Nadzorcza stanowi $\frac{3}{4}$ zespołu niezmienionego od roku 1922. Prezes Rady Nadzorczej, ks. prob. Schmidt, zastępca L. Rosochowicz, sekret. Mroczkowski.

A CZY ZNASZ TY BRACIE MŁODY PIĘKNY BĄBLIN, MIŁOWODY?

Opuszczamy mury obornickie i przez Słonawy, miejscowość o podejrzanej, słonej nazwie pędzimy do Bąblina. Widoki po drodze pierwszorzędne. Droga bowiem biegnie wyniosłą miejscami serpentyną. Z lewej strony teren wrzyna się w strome zbocze pokryte sosnowym lasem z poza którego uśmiechają się do nas słonecznymi uśmiezkami wody poważnie płynącej Warty. Po drugiej stronie teren wznosi się również dość ostrem zboczem dla odmiany rozfalowanymi prostokątami zbóż.

Kilka pokrętnych ruchów maszyny wśród zieleni parku i oto oczom naszym ukazuje się śliczny w stylu romańskim utrzymany zameczek. A więc to jest to sławetne letnisko kolejowców. Wrażenie pierwsze jest b. miłe. A oto przed wejściem zjawia się jakiś starszy, poważny pan. Prezentacja i za chwilę serdecznie zaproszeni przez p. kierownika Dawida (on to bowiem był) wstępujemy wysokimi schodami do wnętrza zameczku. W biurze pana Dawida rozmawiamy z nim o sprawach bąblińskiego zamku.

— A więc sam zamek, to dawna siedziba szlachecka rodziny Dobrzyckich. Był to dwór o 10.000 mórg przyległej ziemi. Przedostatnim właścicielem majątku był Mikołaj Dobrzycki, major wojsk polskich, który jako powstaniec padł w roku 1848. Pruska ustawa germanizacyjna zmusiła jego dziedziców do sprzedaży majątku Niemcowi Schmidtowi. Od tego skolei kupiła majątek Komisja Kolonizacyjna a po rozparcelowaniu powstały obok Bąblina 2 nowe miejscowości: Bąblinek i Bąbliniec.

Sam zamek z przylegającym doń 31-morgowym parkiem otrzymali kolejarze pruscy, którzy urządzili tu „Eisenbahn Erholungsheim”, otwierając dom rekonwalescentów dla kolejarzy.

Po wojnie stał się Bąblin na pewien czas bezpański. Następnie objął go w posiadanie rząd, opiekę zamku powierzając poznańskiej dyrekcji kolejowej. W 1922 r. utworzyli kolejarze stowarzyszenie, którego delegacja pojechała do Berlina, wykupiła udziały kolejarzy niemieckich i objęła w posiadanie zamek bąbliński, tworząc z niego t. zw. „Letnisko kolejowców w Zamku w Bąblinie”.

Jest to całkiem sobie zwykłe letnisko wypoczynkowe, do którego przyjmujemy nie tylko kolejowców, żadnych urządzeń leczniczych tu nie mamy, bo nam i nie wolno chorych przyjmować.

— Powiedział Pan, Panie Kierowniku „zwykłe“. Zwykłe poza niezwykłymi wprost warunkami letniskowemi. Bo przecież tu u was jest naprawdę pięknie.

— Owszem pięknie, a najgłówniejsze — zdrowo. Bo okolica tu jest nadzwyczajnie zdrowa. A piękno jej zobaczycie panowie za chwilę na własne oczy. Teraz jeszcze zobaczymy wnętrze naszego zameczku.

Przechodzimy przez pokoje urządzone z dawnej pięknej sali reprezentacyjnej, potem przez inne także b. miłe i ładne. Z okien każdego z nich roztacza się śliczny widok. Wychodzimy na taras. Widok stąd wspaniały.

Zaraz za poręczami zamykającymi taras — morze opadającej silnie w dół parkowej zieleni. Wielki park, gdzie spojrzysz na prawo, czy lewo. Przed nami zieleń parkowa usuwa się w pewnej chwili i zastępują ją łąny zbóż, które otwierają perspektywę na lśniąca w dole wody Warty. Za Wartą wysokopienny sosnowy las, cel częstych spacerów letników bąblińskich. Wszystkie te wspaniałości pławią się w słonecznych blaskach, błogiej dla mieszczucha ciszy, i żywicznym aromacie bliskiego sosnowego lasu.

Ale oto ciszę i naszą kontemplację przerwały wesołe pohukiwania. „A — iha — huu!“ Za chwilę na tarasie zjawia się i radosny autor tych „tajemniczych słów wołania“. To wesoły, jowialny p. L. znany kupiec z Poznania, dopomaga w Bąblinie słońcu w sianiu radości i pogody. Pan L. jest rozkochany w Bąblinie. Weale mu się nie dziwimy. Jesteśmy od godziny a myśl, że niedługo trzeba będzie wyjeżdżać, staje się zupełnie szczerą przykrością. P. L. rozpostarł przed naszymi oczyma „kolorowy dywan“ zalet Bąblina. We wszystko szczerze wierzymy.

Na domiar wszystkiego okazuje się, że spokój i pogoda bąblińskiego zameczyska wpływają nie tylko kojąco na nerwy, ale przerabiają poważnych kupców na zupełnie niepoważnych, radosnych poetów. Bo oto p. L. czyta nam „spółkowy“ wiersz, z którego bije tyle młodzieńczej werwy i radości, że stale się zaśmiewamy. Oto jedna ze strof, parafrazująca Polową inwokację:

„A czy znasz Ty bracie stary
Bąblinowskie łąki, jary?
I ten zamek? Chodzą słuchy,
Że tam łążą w nocy duchy...“

Wiadomo jakie to duchy, ale niech im męka nocnej włóczęgi lekką będzie.

Poznajemy część bąblińskich letników i z roześmianą gromadą udajemy się na oglądanie parku. Jest piękny. Przechodzimy wiszącymi nad dolnymi alejami mostami, wszędzie tu cienista zieleń, lub bajecznie kolorowe klomby kwiatów. Idziemy zacisznymi alejami do zakonspirowanych w zielonych zakątkach ławeczek, gdzie tak łatwo można ukryć się przed resztą letników w „splendid isolation“.

Potem wspinamy się w górę, oglądamy dworek, który ma pomagać zamkowi w pomieszczeniu wyjątkowej czasami frekwencji letników. Wpadamy do ogrodu warzywnego siejąc spustoszenie wśród zarumienionych ze wstydu truskawek.

Potem okólną drożyną, nad łąkami żyta suniemy w inną stronę parku. Pachnie świeżo skoszone siano. Pachną rabaty kwietne, pachną sosny niedalekie...

Obok ładnego kortu tenisowego wspinamy się pod górę. Na szczycie wyżyny stoi wieża wyniosła. To pomnik Mikołaja Dobrzyckiego majora wojsk polskich, który w roku 1848 padł bohaterską śmiercią powstańca. Opodal jego skromny grób mieniący się barwami bratków.

Wracamy do zameczku, bo i czas już odjeżdżać. Żegnamy więc miłych letników, oglądamy się, odchodząc, za pięknym rysunkiem zameczku i za chwilę pędzimy drogą powrotną.



MILOWODY.

W wielkim, romantycznym parku zdobny w smukłą kolumnadę, stoi, błyszcząc bielą frontonu, słynny zakład leczniczy w Miłowodach. — W cieniastym parku i słonecznych pokojach snują się ludzie, którym przewlekły reumatyzm zbyt boleśnie daje się we znaki, którym alkohol spustoszenia w zdrowiu poczynił, którym szalone tempo życia stargało nerwy i odebrało spokój.



ZWIEDZAMY ZAKŁAD LECZNICZY W MIŁOWODACH.

Przelatujemy przez Oborniki i za parę minut wjeżdżamy do starego, cichego parku. Park się w pewnej chwili otwiera w wielką polaną usianą klombami, przed którą stoi piękny wsparty kolumnadą frontu gmach zakładowy.

„Krynica Wielkopolski“ leży w prastarym ca 15 ha rozległym parku nad malowniczymi brzegami rzeki Wełny. Całość otoczona lasami znajduje się na gruntach kwarcowych przepuszczalnych — a więc suchych i bardzo zdrowych.

Dom zdrojowy — piętrowy budynek o długim froncie i dwóch skrzydłach mieści 75 pokoi posiada centralne ogrzewanie kanalizację i elektryczne oświetlenie. Zajeżdżamy przed front gmachu. Dokoła otacza nas kwiecisty dywan. Zakład tonie w zieleni i kwiatach.

Wechodzimy do dyrekcji. Wszyscy mocno zajęci załatwianiem korespondencji. Wita nas administrator.

— Zaczniemy od łazienek i gabinetów natryskowych.

Długim korytarzem przechodzimy do oddziału kąpielowego. Nasz usłużny przewodnik informuje nas. Jesteśmy w oddziale kąpeli borowinowych i mułowych. O leczniczym znaczeniu tego rodzaju zabiegów, jeśli panów to interesuje, opowie panom lekarz, którego narazie niestety nie mogę przedstawić, ponieważ przyjmuje nowych pacjentów.

Oddział ten pobudowaliśmy w tym roku. Proszę dalej — oto gabinety natryskowe do polewania i hydroterapii. Tutaj znajdują się łaźnie dla kąpeli kwasowęglowych oraz zielnych.

Przechodzimy do oddziału kąpielowego.

— To, co panowie tutaj widzicie, jest zupełnie nowe. Część lecznicza jest w tym roku znacznie rozszerzona. Są to łaźnie dla kąpeli solankowych, jodłowych, siarczanych i inn.

— Z jakiego materiału zbudowano łaźnie?

— Z marmuru kararyjskiego. Łaźnie te są daleko higieniczniejsze, aniżeli kafelkowe, ponieważ nie mają wrębów i co pewien okres czasu są szlifowane, przez co zdziera się warstwę wierzchnią.

A teraz przejdziemy do oddziału elektroterapii — lampa Sollux do nagrzewania, kwarcówka, aparaty do jontoforezy, galwanizacji, faradyzacji, elektryzacji, kąpeli czterokomorowych i kąpeli elektryczno-wodnej. Te aparaty — informuje dalej pan administrator, wskazując na szereg instrumentów — służą do masażów i gimnastyki leczniczej.

Przechodzimy następnie korytarzami i zwiedzamy pokoje. Wszędzie bardzo miło i uderzająca czystość.

— Ile łóżek macie Panowie do dyspozycji pacjentów?

— Sto, nie licząc pomieszczenia dla personelu.

Mijamy pokoje frontowe i schodzimy skrzydłem północnym w dół. Zdała już dostrzegamy napis „Rentgen-Diatermja“.

Zwiedzamy urządzenia lecznicze najnowszej konstrukcji, jak diatermję krótkofalową, aparaty do elektrycznych masażów oraz rentgen zakładowy dalej sale bawialną, gdzie pacjenci wieczorami spędzają czas na czytaniu dzienników, gry w szachy, warcaby, karty i t. d.

Wychodzimy z rozległego zakładu, po drodze spotykamy naczelnego lekarza pana dr. Łazarewicz. Korzystamy z zaproszenia i wchodzimy do gabinetu lekarskiego.

Na nasze zapytanie w sprawie leczniczej informuje nas p. dr. Łazarewicz.

— Zakład nasz został w tym roku odnowiony a dział leczniczy znacznie rozszerzony. Wprowadziliśmy kąpiele borowinowe, pobudowaliśmy nowe łaźnie dla kąpeli solankowych, siarczanych, tlenowych, kwasowęglowych i t. d.

Sprowadziliśmy diatermję krótkofalową oraz rentgen dla celów diagnostycznych. Oprócz powyższych mamy na usługi lecznictwa, gabinety natryskowe różnego rodzaju dla celów hydroterapeutycznych oraz pełne urządzenie elektroterapeutyczne.

W schorzeniach przewodu pokarmowego stosujemy elektryczny masaż żołądkowo-jelitowy, lewatywę elektryczną, przepłukiwania kiszki stołcowej, ścisłe leczenie dietetyczne oraz leczenie zielne według słynnej metody Dr. Bohna.

— Jakich chorych przyjmujecie Panowie do swego zakładu.

— Wskazane do naszego leczenia to: schorzenia przewodu pokarmowego, jak żołądka, jelit, wątroby, trzustki. Dalej przeniany materji. Reumatyzm, Ischias, Artretyzm. Schorzenia serca i naczyń. Choroby układu nerwowego i dróg oddechowych. Stany wyczerpania. Cukrzycę i choroby kobiece. Przeciwwskazania: Gruźlica, niewyrównane wady serca i choroby umysłowe.

Żegnamy p. Dr. Łazarewicza i korzystając z uprzejmości p. administratora zwiedzamy uroczysko brzegi Wehny oraz zakładowy park w głębi którego znajduje się piękny dancing na wolnym powietrzu. Zakątek ten ma w sobie tyle czarunku, że trudno nam go opuścić.

Smętne tony tanga żegnają nas i zapraszają zarazem.

TAM, GDZIE PADŁ KSIĄŻĘ PRZEMKO PRZEZ ZBIRÓW OTTONA IV ZAMORDOWANY.

Rozmowa z długoletnim burmistrzem Rogoźna p. A. Smukalskim.

I znowu w przelocie spoglądamy na Oborniki. Pociąg porywa nas do Rogoźna. Droga niedługa, bo minęliśmy Parkowo i oto widać już mury Rogoźna. Za chwilę rozmawiamy o sprawach miasta, z jego długoletnim kierownikiem p. Smukalskim.

— Jeśliby chodziło w krótkim zarysie o historję naszego miasta, to przedewszystkiem nieustalona jest chwila jego powstania. Aktów odnośnych w archiwach niema, co zresztą jest zupełnie naturalne, jeśli się zważy, że od zarania swego istnienia przechodziło miasto klęski pożarów i najazdów.

Jedno jest pewne, że Rogoźno to miasto starożytne. Przecież tu w Rogoźnie banda brandenburskich zbirów, nastanych przez Ottona IV zamordowała dzielnego księcia Przemysława, władcę Wielkopolski i Pomorza.

Po śmierci Przemysława zajmują Rogoźno książęta głogowscy, wcielając je do swych ziem. Trzeba przyznać, że Rogoźno pod ich rządami doszło do niebywałego rozkwitu. Po pewnym czasie przechodzi miasto znowu we władanie królów polskich. Rozwija się dalej, stając się grodem obronnym i siedzibą starosty. Rogoźno, gród pograniczny, cieszy się specjalnemi łaskami i opieką królewską. Chociaż naród w nim mieszka hardy i bitny. Władysław Jagiełło, usiłując podnieść upadający gród odnawia stare przywileje i rozszerza je nowemi w r. 1422.

Potem przyszyły pożary, najazdy i podupadłe miasto ratować musieli królowie nowemi przywilejami. Mimo ciężkich perypetyj miasto nasze żyje, rozwija się i kwitnie.

— Jak wygląda współczesny stan gospodarezy miasta?

— Miasto Rogoźno liczy obecnie 6.300 mieszkańców, posiada własną gazownię, rzeźnię i szpital. Położone jest nad uroczyskiem jeziorem miejskiem, które zajmuje obszar około 600 mórg.

— O dorobku miasta za czasów niepodległości?

— Miasto wykonało naprawę bruków ulic, zabrukowanie dróg i położenie płyt cementowych na chodnikach przy niektórych ulicach tak, iż obecnie wszystkie ulice miasta są brukowane, a chodniki zaopatrzone w płyty cementowe. Dwie ulice zadrzewione drzewkami ozdobnemi. Założono park (drugi istnieje przy gazowni) z okazji 10-lecia Niepodległości. Kupiono dwa domy mieszkalne. Pobudowano strażnicę dla sprzętów Ochotniczej Straży Pożarnej.

Przy jeziorze postawiono łazienki i urządzono plażę. Urządzono stadion sportowy. W gazowni pobudowano dwa nowe piece retortowe i destylarnię smoły.

W Rzeźni przebudowano urządzenie wewnętrzne na nowoczesne kosztem około 30 tys. zł. W Szpitalu Miejskim dokonano większych inwestycyj i zaopatrzone dodatkowe

urządzenia. Założono Ochronkę Miejską (przedszkole) we własnym domu miejskim. Miasto subwencjonuje Ośrodek Zdrowia prowadzony przez Kasę Chorych.

Korporacje miejskie oddały w domu miejskim przy ulicy Kościuszki 8, obszerny lokal na świetlicę dla organizacyj P. W. i W.F. przyczyniając się w ten sposób wydatnie do szerzenia idei przysposobienia wojskowego. Przy szkole powszechnej pobudowano halę gimnastyczną kosztem ca 30.000 zł z własnych funduszków. Przez popieranie ruchu budowlanego przez miasto pobudowano 24 domy mieszkalne dla 40 rodzin na terenach miejskich.

Miasto przyjęło od dawniejszego zarządu niemieckiego 5.042.000 marek długów miejskich, które w całości spłacono. Obecnie miasto długów niema.

— Wydaje nam się, że Rogoźno ma ładne warunki lotniskowe.

— Owszem — zostało uznane jako miasto wycieczkowe i korzysta z ulg przejazdu kolejami państwowymi.

— Nakoniec te rzeczy, które Pan Burmistrz chciałby podnieść ze swej strony.

— Mamy kilka wspomnień szczególnie pięknych. W roku 1928 z inicjatywy Towarzystwa Przemysłowców odbyła się Wystawa Przemysłowo-Rolnicza, która przeszła wszelkie oczekiwania Komitetu organizującego wystawę. Z tej okazji gościło miasto Pana Wojewodę Borkowskiego. A w dniu 13 marca 1932 r. odbyła się w Rogoźnie wielka uroczystość odsłonięcia pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w gmachu Państwowego Seminarjum Nauczycielskiego. Z tej okazji uchwały korporacje miejskie nadać ulicy od Seminarjum do dworca kolejowego nazwę Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Żegnamy energicznego gospodarza i udajemy się do miasta. Przechodzimy przez porządnie utrzymane ulice, z obu stron których błyszczą barwnymi wystawami okna ładnych składów. Wychodzimy za miasto. Tu przy drodze na lewo w miejscu gdzie obecnie słychać odgłosy kuźni kowalskiej stał niegdyś modrzewiowy, obronny zamek księcia Przemka.

Opodal zaczyna się wielkie rozlewisko rogoźnieńskiego jeziora. Ładne ono, ale groźne. Bo chodzi legenda w mieście, że duch jeziora musi rokrocznie otrzymać ofiarę ludzką. Faktem zaś jest, że rokrocznie ktoś się w jeziorze rogoźnieńskim utopi.

Nie chcemy coprawda powiększyć ilości ofiar pochłoniętych przez jezioro, ale nie możemy odmówić sobie przyjemności kąpieli w pięknym jeziorze. Za chwilę więc pływamy już na pomarszczonych podmuchami wiatru wodach jeziora. Potem leżąc na piasku plaży patrzymy, zmrúżywszy przed słońcem oczy, na miasto leżące po drugiej stronie jeziora, na domki poukrywane w zieleni, lub zapatrzone w jezioro, na wielkie gmachy sławnych zakładów naukowych w Rogoźnie, gimnazjum i seminarjum.

Po jeziorze, na wyścigi z blaskami słońca suną barwne kajaki, z których dolatuje do nas wesoły śmiech i gwar.

O LOSACH MUROWANEJ GOŚLINY ROZMAWIAMY Z JEJ BURMISTRZEM P. LEWANDOWSKIM.

Dojeżdżamy do Murowanej Gośliny. Jesteśmy na rynku. Stoi tu kościół, a na jednym z domów widnieje tablica herbowa z herbem „Doliwa” trzymanym przez anioła. Jest to herb miasta a budynek jest miejskim ratuszem.

W chwilę po przyjeździe rozmawiamy już z burmistrzem p. Lewandowskim.

— Miasto Murowana Goślina jest jedną z najstarszych osad, na co m. in. wskazują wykopaliska, znajdujące w najbliższej okolicy, zwłaszcza wykopaliska w r. 1854, kiedy to odkryto stare cmentarzysko prasłowiańskie z urnami, wypełnionymi prochem spalonych ciał.

Według podania miasto pierwotnie było wioską i nazywało się „Górką“ ze względu na swe położenie. Najstarsza data historyczna, dotycząca Murowanej Gośliny, pochodzi z roku 1390. Wtedy już Murowana Goślina była miastem.

Dawnemi czasy do Murowanej Gośliny należał wielki klucz dóbr.

Przechodziło miasto różne koleje, smutne i radosne. Spustoszenie przez wojska szwedzkie Karola Gustawa w roku 1653, zaraza która potem przyszła, przemarsz wojsk Napoleońskich w roku 1812 i t. d.

— Obecny stan gospodarczy miasta?

— Miasto liczy obecnie 2.400 mieszkańców. Gdy w dniu 8 lutego 1933 r. obejmowałem stanowisko burmistrza w Murowanej Goślinie, zastałem miasto w bardzo trudnych warunkach gospodarczych, ponieważ gospodarka miejska była zagmatwana. Obecnie już przedstawia się ta rzecz dużo korzystniej.

Zadłużenie mianowicie miasta jest w stosunku do jego majątku nieznaczne, bo wynosi 20.000 złotych, a z tego tylko 12.500 zł jest pożyczką krótkoterminową. Majątek zaś miasta (nieruchomości i grunty) wyraża się cyfrą 290.000 zł.

Przemysł w mieście naszym reprezentują młyny i tartaki takich firm, jak Jende i Pędziński, Ignacy Kubica, W. Nowacki, oraz przemysł mięsny, któremu produkuje firma Jana Bajera. Bliskość Obozu Ćwiczelnego Biedruska wpływa w pewnym stopniu na ożywienie miejscowego handlu i rzemiosła.

— Podobno macie zamiar dużo inwestować?

— Są one następujące: urządzenie betoniarni miejskiej dla potrzeb miasta, w której wytwarzane będą rury przepustowe, potrzebne do osuszenia stawu, oraz płyty betonowe dla wykładania chodników, projektowanych przy ulicy Szkolnej.

Następnie projektuje się budowę boiska sportowego i rozbudowę szkoły powszechnej, jak również wywiercenie studni w rynku. W ten sposób zatrudni się na pewien okres czasu bezrobotnych miejskich.

— Czy dużo ich macie w mieście?

— Liczba ich wynosi 86. Z tych jednak 70 nawet obecnie zatrudniamy przy robotach miejskich.

— Warunki pracy P. Burmistrzu?

— Współpraca moja z radą miejską idzie zupełnie harmonijnie i nie odczuwamy w niej żadnej różnicy przekonań politycznych.

— Jak wygląda życie organizacyjne?

— Bardzo energiczną działalność rozwija u nas Związek Rezerwistów, który liczy obecnie 80 członków. Obok niego bardzo pomyślnie rozwija się klub sportowy „Concordia”, istniejący już od 12 lat, liczący obecnie 40 członków.

— Cóżby jeszcze Pan Burmistrz chciał dodać na koniec?

— To, że miasto położone jest na wzgórzu nad rzeką Goślinką, w ślicznej pagórkowatej okolicy, w pobliżu Poznania, stanowi wymarzoną miejscowość letniskową i wycieczkową.

W najbliższej okolicy Murowanej Gośliny leżą dwa duże nadleśnictwa państwowe: Zielonka i Kąty, razem około 9.000 ha lasów. W pobliżu miasta znajdują się również liczne jeziora, położone przeważnie w lasach, co potęguje urok i piękno krajobrazu. Miasteczko położone pośrodku tych skarbów przyrody ma idealne warunki rozwoju, tem więcej, że posiada bardzo dobre połączenia kolejowe i autobusowe z Poznaniem, oddalonym o 20 klm.

Zegnamy burmistrza i wracamy do Obornik.

LETNISKOWE PEREŁKI.

Teraz następuje najmiłsza może część podróży. Z najmańdrzejszym przewodnikiem, włodarzem powiatu, pędzimy bardzo dobrą powiatową szosą w kierunku Murowanej Gośliny. W poszukiwaniu pięknych, ukrytych, malowniczych wiosek. Na prawo od szosy ukazują się co chwila wody Warty i co chwila przesłaniają nam jej widok zalesione wzgórza. Wreszcie Warta odbiega od nas zdecydowanie na południe i tracimy ją już z oczu „na zawsze”.

Przelatujemy obok pięknych majątków ziemskich: Uchorowo, Pacholewo, Nieszawa, Białężyn... Teren, po którym biegnie szosa, bawi oczy swem urozmaiceniem. Po prawej — bliski widnokrąg, pagórami wyniosłymi stworzony. Po lewej — opadające wzgórza, rozfalowane prostokątami zbóż. Między wzgórzami otwierają się chwilami bardzo dalekie perspektywy i widoki.

Z boku szosy przykucnął teraz szereg przyzmy kamieni i piasku.

— Będziemy tu dawać nową powłokę — wyjaśnia starosta.

Jedziemy teraz jakby aleją, wysadzoną wiotkimi jeszcze, malutkimi czereśienkami.

— A była tu przed mrozami taka piękna aleja 35-letnich wielkich i płodnych czereśni — mówi P. Starosta ze szczerym żalem.

Przelecieliśmy przez Murowaną Goślinę i za Budziszewem wpadliśmy na piaszczystą, ciężką drogę polną. Maszyna pracuje teraz ciężko, szumiąc i świszcząc przerzyna się przez piasch drożyny. Patrzą na nasze usiłowania stare, spróchniałe wierzby, pochylone nad drogą, z którą tak bardzo zresztą harmonizują.

Potem przez piękny las nadleśnictwa Zielonka, znowu kawał ciężkiej drogi w pewnej chwili za lasem na jego jakby polanie zabłyśły światła rozlewiska w dole. To pierwszy stawek obok Głębozka.

Zaczynamy zjeżdżać teraz wąwozem na łeb i szyję; w pewnej chwili, zupełnie niespodziewanie, wychynęła przed naszymi oczyma wioska Głębozek. Najprawdziwszy w świecie „głębozek”.

Przejeżdżamy na drugą stronę wsi i znowu z trudem drapiemy się stromo w górę. Teraz ze wzgórza, na którym stoimy, spoglądamy na wieś. Na spadającym nam z pod stop stromem zboczu łan rzadkiego żytko, potem już szeleszczące szuwary, błyszczące jezioro, nad niem pochylony rząd wiejskich domków, a dalej jeszcze lśniące łany i na wzgórzach stojąca dumna, wysoka ściana sosnowego lasu. Pięknie tu jest i cichutko.

Jedziemy dalej. Przez gęsto poszyty, sosnowy las do Dąbrówki. Schodzą się tu 3 powiaty. A przede wszystkim schodzą się tu olbrzymie tłumy na sławny odpust w Dąbrówce. Był tu kiedyś cudowny obraz M. Boskiej. Był i kościół; ale wszystko spłonęło a teraz zdala widzimy czerwone ściany budującego się kościoła.

Wracamy przez Głębozek. I znowu na długą chwilę przykuwa nasz wzrok uroczy widok cichej wsi i jeziora. Pan starosta wyjaśnia nam, że w okolicy jest dużo takich pięknych zakątków: Czernice, Zielonka i in. Każda z tych miejscowości jest ładną perłą, dość hermetycznie zamkniętą i odgradzoną od świata „polskimi” drogami. Ale przecie nie jedzie się poto na letnisko, by robić ciągłe spacery do Poznania i spowrotem. A pozatem, każdy z letników może o sobie z dumą powiedzieć, że jest w pewnym sensie pionierem i odkrywcą. A to też coś znaczy, gdy wszystko zdaje się już być odkryte.

Starter zaczyna gwizdać. Z żalem spoglądamy na zalane słońcem: las, jezioro, pagóry i rząd lśniących małymi okienkami wiejskich chatek.



MIASTO, KTÓREGO WIELKI BLASK

PRZYCMIŁY ŁUNY POŻARÓW, WOJEN I KLĘSK.

W DRODZE.



ostatnia lustracja maszyny, która ma nas zawieść do wszystkich ciekawych zakątków ziemi kościańskiej. Potem podejrzliwie robiony wywiad oczyma po niebie. I tu i tam w porządku. Tu odświeżnie świeci bak benzynowy a na błękitie pogodnego nieba — blade majowe słońce. Za chwilę grzmi już motor, giną za nami ulice i zakręty, ostatni przystanek tramwajowy, Górczyn, podmiejskie wille, potem parę biednych domków i długa perspektywa szosy, której kawały stale zostawiamy za sobą, ale która stale wyrasta przed oczyma dalekimi zwięzającymi się odcinkami.

Z boku uderza w nas coraz silniej wiatr. Spoglądamy na niebo. Jest już mocno zachmurzone. Oto znowu chmura przepłynęła, przysłaniając na długą chwilę słońce.

Minęliśmy już Komorniki, miejscowość o nazwie pełnej aktualnych akcentów. Ale szczęśliwie załatwienie się z „komornikami” to ostatni nasz sukces. Bo oto słońca już niema. Właściwie to ono jest i prześwituje słabo przez ciężkie, szare chmury. Wiatr jest coraz silniejszy. Jeszcze raz zabłyśły pola i szosa w słonecznym blasku, potem znów szaro; pierwsze ciężkie, jak łzy, krople deszczu zaczął nam siepać w twarz — boczny wiatr.

Deszcz nabiera coraz więcej na sile. Skończyła się na domiar nieszczęścia defilada drzew po obu bokach szosy. Chłuba naszej ziemi wielkopolskiej — jabłonie i wiśnie przy drodze urwały się nagle, jakby za zjawieniem się pierwszych kropel deszczu.

Zmoczeni sami, spoglądamy z boku przez zasłonę deszczu na moknący piękny park. Przelatujemy właśnie przez Głuchowo. Mignął nam przed oczyma piękny pałac głuchowski hr. Żółtowskiego, domy i domki Głuchowa, potem droga rozstajna. Deszcz leje teraz uparcie i obficie. Patrzymy na zmieniony zupełnie świat po bokach szosy. Rozmokły, szary i zamglony. Pocieszamy się balsamem przysłowia:

„... Mokry maj, będzie żytko, jakby gaj“. A żytko rzeczywiście rośnie już w zielony falujący gaj. Motor grzmi rytmicznie. Mokry maj, żytko gaj...

Ale oto nadechodzi klęska. Po twarzy bić nas teraz zaczyna grubo - ziarnisty grad. Bije coraz boleśniej. Stop. Za chwilę стоимy już bezpiecznie w suchym kręgu ziemi pod świerkiem i patrzymy jak grad słabnąć zaczyna, jak i deszcz traci na sile. A nawet na chwilę ukazuje się słońce.

Jedziemy. Mijamy Kawczyn, kawałek szosy, zostawiamy z boku wieżę miejskich wodociągów kościańskich, przejeżdżamy przez fatalny kawałek drogi i wjeżdżamy w ulice kościańskiego grodu.

„IWAN“ I TOWARZYSZĘ...

Zwiedzamy fabrykę likierów p. Czajki.

Pomówimy z p. radcą, jako właścicielem i kierownikiem kilku poważnych miejscowych placówek handlu i przemysłu.

— Więc najpierw zaczniemy od fabryki likierów, koniaków i wódek. Fabryka istnieje od r. 1861, w mojem posiadaniu od r. 1920 a więc 13 lat. Zaletą najważniejszą wyrobów naszych jest to, że niczego nie wyrabiamy na eterach, tylko przy użyciu naturalnych, najszlachetniejszych składników, więc owoców, korzeni roślin, soków owocowych, cukru rafinowanego, wody dystylowanej i najlepszego rektyfikowanego spirytusu. Niema więc nigdzie miejsca na wkradnięcie się jakiegoś szkodliwego dla zdrowia składnika.

— Dzięki tym zaletom mogą wyroby fabryki P. Radey iść zagranicę.

— Fabryka nasza eksportowała dużo zagranicę już przed wojną, proszę pana. Linję tę usiłowałem i ja utrzymać. I rzeczywiście wyroby nasze, choć w mniejszej teraz ilości idą zagranicę.

— Napewno z tych 68 gatunków likierów, koniaków i wódek, które fabryka P. Prezesa wyrabia, niektóre z nich cieszą się specjalnymi względami ludzi pijących.

— A właśnie takim ulubieńcem, jest ten oto likier „Iwan” czyli likier gorzki, żółdkowy. Jak panowie odczujecie, jest on niesłychanie miły w smaku, nie upija, a działa świetnie na żołądek i trawienie. Jest to „pupilek” moich klientów.

A wogóle moje wyroby docierają do wszystkich zakątków Polski. W większych zaś ośrodkach mam własne przedstawicielstwa.

— Może skolei zechce nam Pan Radea powiedzieć kilka słów o innych swych zaletach.

— Mamy więc pozatem, założoną już przezemnie w r. 1923 specjalną fabrykę win owocowych, która szła nadzwyczajnie i produkowała b. dużo do r. 1931. Podwyżka jednak podatku konsumpcyjnego zahamowała gwałtownie rozwój tego oddziału.

Trzecim działem jest wyciśnięcie soków owocowych, a wreszcie mamy także hurtownię towarów kolonialnych i korzennych.

— Więc dorobek życiowy P. Radey jest naprawdę wielki. — Zwłaszcza, jeżeli się uwzględni skromne środki, z jakimi zacząłem w roku 1909.

Po długiej jeszcze chwili rozmowy przy kieliszku naprawdę świetnego „Iwana” przechodzimy zobaczyć, jak on i jego towarzysze przychodzą na świat. Wchodzimy więc do „składnicy likierów nierozlanych”. Stoją tu wielkie kadzie a na ich czarnych frontonach napisy: tu frywolna „Frou-Frou”, tam znowu barwna „Jarzębinka”.

Przechodzimy do sali, która stanowi „ciąg dalszy”. Jest to już „chleb codzienny” (tamte były to likiery lepsze), a więc pyszni się tu na czołowym miejscu „Iwan”, opodal beczka „Curacao blanc” i t. d.

Teraz znowu wchodzimy do sali, gdzie stoją przyrządy do rozlewania i mierzenia likierów. Tam się je znowu etykietuje. W tamtej piwnicy stoją beczki ze spirytusem. A tutaj już pakuje się je i wysyła w świat.

Jedziemy teraz do innego budynku. Jest to fabryka win owocowych. Idziemy przez „wytłocznnię”. Tu w dalszej ubikacji odbywa się fermentacja. Są to półfabrykaty, ale jest to właściwie wino, gotowe, które trzeba będzie jeszcze przefiltrować. I znowu czytamy różnorodne napisy, mówiące o różnaitości wyrabianych tu gatunków.

PLANTAMI NAD KANAŁEM DO WSPOMNIEŃ O KŁĘSKACH.

Zapał już wieczór. Oświetlonemi ulicami przechodzą teraz grupy mieszczuchów kościańskich, którzy korzystając ze „spokoju niebios” (przestało już padać) wybierają się na wieczorny spacer. Miejscem spacerów są miejskie planty nad kanałem łączącym Wartę z Obrą. Kanał ten przepływa przez miasto w kilku miejscach. Ujęty w wysokie brzegi wije się w dole, u stóp spacerujących alejami przechodniów.

Odeszliśmy już daleko od rynku i głównej ulicy. Tutaj jest cicho. Na tej zadrzewionej ziemi, która była kiedyś nagim, ale twardym obronnym szańcem, stał przed wielu laty w roku pańskim 1655 bohaterski starosta Krzysztof Żegocki i z hufczykiem niewielkim powstańców tłukł na łeb na szyję szwedzkich najeźdźców, którzy się odsieczy pana Krzysztofa weale nie spodziewali.

Były to wielkie chwile w dziejach Kościana. „Straszna wojna szwedzka r. 1655 dała mieszczanom kościańskim sposobność odebrania chrztu rycerskiego: im pierwszym w całej Wielkopolsce użyty los sposobności stawienia się na murach grodu kościańskiego celem jego obrony, a gdy gród padł, waleczni mieszczanie pierwszymi byli, którzy sztandar odwetu przeciw najeźdźcy podnieśli, walcząc szczęśliwie przy boku bohaterskiego Żegockiego. Krwią, obficie strumieniami się lejącą, okupili sobie miano prawdziwych Ojczyzny synów, a godnych przywilejów, które im królowie nadali”. (Kl. Koehler).

Znikł już gród warowny, niema i zamku kościańskiego; na resztkach północnych wałów szunią teraz cicho drzewa, pod którymi przechadzają się dumni z przeszłości i zatroskani przyszłością mieszczanie kościańscy.

Wracamy do miasta. Jest już noc.

PO SZEŚCIU LATACH SŁUŻBY DLA DOBRA POWIATU I PAŃSTWA.

Rozmawiamy z p. starostą Narajewskim.

Nazajutrz rano składamy wizytę staroście powiatu kościańskiego p. Narajewskiemu. Po sześciu latach i 5 miesiącach umiejętnego kierowania gospodarką i losami kościańskiego powiatu jedzie p. starosta Narajewski na inną placówkę pracy starościńskiej. Cenionemu b. wysoko przez miejscowe społeczeństwo dla wielkich zalet umysłu i serca p. staroście towarzyszy przy odjeździe powszechny żal mieszkańców.

— Jaka jest, Panie Starosto, struktura polityczna w powiecie i jakie zaszły w niej zmiany za czasów Pana Starosty?

— Rzeczy uległy bardzo poważnej zmianie. Społeczeństwo całego powiatu doceniając wysiłki obecnego rządu w kierunku utrzymania poziomu gospodarczego, widząc i doceniając wartość niezmienną, stałą wartości polskiego złotego, w coraz większym stopniu jednoczy się pod hasłem wspólnej pracy dla Państwa.

Jeśli chodzi o widoczne wyrazy tego, to takim znamienym symptomem było tu niezwykle uroczyste i przy zupełnym zjednoczeniu całego społeczeństwa obchodzone w ostatnim roku Imieniny P. Prezydenta.

Co do struktury gospodarczej, to stwierdzić należy, że powiat Kościański ma charakter wybitnie rolniczy i dlatego, kryzys, który się tak fatalnie odbił na rolnictwie, wyrządził tu pewne spustoszenia. Do przetrwania tych ciężkich chwil pomogło nam stosowanie odpowiedniej metody podatkowej: nie przeciążanie podatnika i względne tegoż traktowanie w granicach możliwości.

Dowodem tu może być porównanie liczby majątków, znajdujących się pod nadzorem czy w upadłości w naszym czy innym powiecie.

Oczywiście wpłynęła tu nie tylko odpowiednia polityka podatkowo-egzekucyjna, ale także fakt, że ziemia kościańska jest po ziemi kujawskiej drugą w Polsce co do urodzajności gleby.

— Jadąc do Kościana, stwierdziliśmy, Panie Starosto, dobry stan dróg w powiecie.

— A tak, dbamy o to. W roku 1930 nastąpiło np. otwarcie ważnej arterji komunikacyjnej, drogi, prowadzącej przez Jerkę — Dalewo — Wyrzeka — Nochowo do Śremu, a więc najbliższe połączenie Leszna ze Śremem. Wybudowaliśmy także czterokilometrowy odcinek szosy — Gryżyna — Zgliniec.

Wybudowaliśmy wreszcie kilka mostów betonowych pod Piotrowem, Wielichowem i Bojanowem, a także wiadukt kolejowy pod Dalabuszkami.

— Wchodzą tu w rachubę Niemcy, których mamy w powiecie $4\frac{1}{2}\%$. Przedtem, przed przyłączeniem dawnego powiatu śmigieckiego do Kościana w powiecie naszym było $1\frac{3}{4}\%$ Niemców. Przez małżeństwo ze Śmigłem procent ten wzrósł do $4\frac{1}{2}\%$.

— A teraz o małżeństwie ze Śmigłem?

— Otóż ostatni rok naszej pracy to wyteżony wysiłek tak na polu samorządu, jak i na polu pracy państwowej, prowadzonej pod hasłem integralnego połączenia obu powiatów w jedną całość. Nastręczało się tu mnóstwo problemów i trudności, napozór wydawałoby się błahych a w rzeczywistości trudnych do zlikwidowania. Udało się nam w dużej mierze zatrzeć różnice i obecnie mamy w obu dawnych powiatach zupełną jednolitą administrację rządową i samorządową.

Wywiad z uprzejmym p. starostą skończony. Jeszcze kilka miłych chwil spędzonych w apartamentach starościńskich i żegnamy pp. Narajewskich, których żegna także w częstych uroczystościach pożegnalnych całe oddane im społeczeństwo.

OD WIEKU XII DO ROKU 1933.

Co nam powiedział p. burmistrz Maćkowiak?

— Wiemy, że zbyt długo możnaby, Panie Burmistrzu, mówić o wielkiej, bogatej przeszłości Kościana i dlatego ograniczymy się do rzeczy najważniejszych.

— A więc początki Kościana — w pomroce dziejów legendarnych. Wiemy już jednak z Kroniki Długosza, że w XII wieku stanął na wzgórzu kościańskim zamek wzniesiony przez Sobiesława I, księcia czeskiego. Leżąc na głównym trakcie handlowym urasta szybko Kościan w siłę i znaczenie. W 1242 roku był „Costan” naczelnym grodem osobnego opola, zaś w w. XIV obejmował powiat kościański całą południowo-zachodnią połać Wielkopolski z miastami Zbąszyniem, Leszmem, Sierakowem (Rawiczem), Bojanowem i Babimostem, sięgając na północ po Puszczykowo i Mosinę, a na wschód po stare Miasto. Sam gród kościański opasany był wówczas murami obronnymi.

W wiekach średnich urasta Kościan do drugiego wielkością miasta Wielkopolski. Dźwiga go wzwyż wielki przemysł i handel kościański z sławnymi na całą Polskę wyrobami płóciennymi. Był czas, że naokół zamku kościańskiego rozłożyło się miasto o 40 tysięcy głów. Szły więc od tronu przywileje i prawa dla miasta. Król Władysław Jagiełło potwierdza przywileje samorządowe miasta i stawia Kościan na równi z miastem Poznaniem. W 1410 zakładają tu klasztor Dominikanie a w 1460 O. O. Bernardyni. Na sławne targi kościańskie przybywają kupcy z całej Polski, Czech i Śląska.

W. XVII to „wiek kłeski” Kościana. A więc na początku tego wieku — morowe powietrze. Potem najazd szwedzki. I zaczęło być pusto w powiecie.

„Gdy nieprzyjaciele (r. 1655) miasta Kościana dobywali we wsi Kiełczewie i na Kapitulę domów 42 przez nieprzyjaciela ogniem są z gruntu zniesione; także folwark Chorablewski przez tegoż nieprzyjaciela jest zniesiony i cztery ślady roli i pół kwarty spustoszało, także młyny wietrzne puste są dwa...” — czytamy w starych kronikach.

Nie pomogło bohaterstwo starosty Krzysztofa Żegockiego, który oswoodził miasto od śmiertelnego najeźdźcy. Miasto szło już do upadku. Potem przyszedł znów mór, pożary. W 1704 nowy najazd szwedzki; w wojnie w roku 1704—1761 „wykańczali” upadek miasta kwaterujący tu Prusacy i Rosjanie...

— I teraz...

— Teraz, proszę pana, jesteśmy sobie trzeciorzędem miastem, poważnie zadłużonym, łamiącym się z trudnościami, które pogłębił kryzys. Miasto liczy według ostatniego spisu ludności 10.288 mieszkańców. Posiadamy 3 poważniejsze zakłady miejskie: gazownię miejską, rzeźnię z nowoczesnie urządzoną bekoniarnią eksportową oraz miejskie wodociągi.

— Zauważyłem P. Burmistrzu zaraz przy naszym wjeździe do miasta wczoraj, że Kościan dużo buduje?

— A tak, dużo tu robi inicjatywa prywatna, chociaż my ze swojej strony także nad tem czuwamy. Mamy fachowca urbanistę, który ze sztabem współpracowników opracowuje racjonalny i estetyczny plan rozbudowy miasta.

— Co notuje P. Burmistrz w ostatnim dorobku miasta?

— Otwarliśmy więc łaźienki miejskie, budujemy stację pomocniczą Pomp i Wodociągów, kupiliśmy samochód strażacki z metopompą.

— A na zakończenie?

— Powiem rzecz radosną. Do wzbudzenia jeszcze większego zaufania w posunięcia Rządu przyczyniło się ostatnie Rozporządzenie Prezydenta R. P. o obniżce stawki procentowej w bankach państwowych. My wszyscy odczuwamy to jako ogromną ulgę, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

„LA PINTURY” IDĄ!...

Włóczymy się teraz po mieście. Uderza wielka stosunkowo ilość kościołów i kaplic. Więc kościół parafjalny współcześnie z miastem wybudowany, kościół św. Ducha, kościół św. Krzyża i kaplica O. O. Redemptorystów, która posiada najcenniejszy zabytek z dawnych czasów — cudowny krucyfiks, któremu kaplica zawdzięcza ocalenie od zagłady.

Stajemy na chwilę przed jednym z najpiękniejszych gmachów szkolnych w całej Polsce, przed budynkiem gimnazjum kościańskiego. Potem chwila wędrówki nad kanałem skrytym w zieleni drzew. Skręcamy w jedną z ulic.

Jest godzina 3-cia popołudniu. Właśnie z zielonej bramy wysypują się tłumy dziewcząt i kobiet. Przechodnie obok mnie idące stwierdzają:

— Idą już „La Pintury“ na obiad...

Tak nazywane są w Kościeńcu pracowniczki cygar Państwowego Monopolu Tytoniowego. Z pod ich to wprawnych rąk kobiecych wychodzą wonne, miłe cygara, popularne „La Pintury“.

Przed bramą oczekują swych żywicieli bezrobotni małżonkowie. Niektóre z nich wychodzą z fabryki dźwigając na ramieniu, małe dziecko, które wychodząc z fabryki zabrały z fabrycznego „żłóbka“. Twarze zmęczone, czasem uśmiechnięte i roześmiane, czasem znów smutne...

U LUDZI, KTÓRYCH MYŚLI BŁĄDZĄ ODREBNEMI SCIEŻKAMI I MANOWCAMI

Zwiedzamy słynny zakład psychiatryczny.

Piękną aleją kasztanową jadąc defilujemy przed szeregiem pawilonów zakładowych, wybudowanych w szachownicę.

Za chwilę rozmawiamy z zastępcą dyrektora p. dr. Berezowskim. Dyrektor dr. O. Bielawski korzysta właśnie z urlopu.

— Ilu w tej chwili macie pacjentów, Panie Doktorze?

Zakład w tej chwili posiada 800 pacjentów psychicznie i nerwowo chorych. W osobnym pawilonie znajdują się narkomani (alkoholicy, morfimiści, kokainiści).

Zastosowana jest u nas zasada do pewnego stopnia specjalizacji, w tym sensie, że chorych dzielimy na kategorię i rodzaje chorób i umieszczamy w odpowiednich oddziałach. I tam mamy oddziały obserwacyjne, gdzie poddaje się obserwacji nowoprzyjętych pacjentów, oddział dla nerwowo chorych niespokojnych, oddział dla chronicznych; „oddziały o drzwiach otwartych” dla pracy i oddziały dla cieleśnie chorych.

— Ilu lekarzy ma zakład.

— Oprócz dyrektora lekarza posiada zakład 5 lekarzy dyplomowanych specjalistów i czterech lekarzy odbywających praktykę psychiatryczną.

— Jakie urządzenia dodatkowe ma zakład do dyspozycji?

— Mamy więc park zakładowy, stadion sportowy z pływalnią i bieżnią, boisko footballowe i t. p., nowoczesnie urządzonej salę gimnastyczną, kompletnie nowoczesnie urządzonego instytutu leczenia fizykalnego, salę teatralną i t. d.

— Na czym polega ta słynna metoda leczenia, którą Zakład w Kościanie leczy swych pacjentów?

— Podstawową naszą metodą jest terapia pracy. W warsztatach pracy naszego zakładu zatrudniamy ca 55% leczonych pacjentów. Poza warsztatami rzemieślniczymi mamy także i folwark zakładowy, gdzie prowadzimy specjalną kolonję rolniczą. Folwark ten ma 400 mórg magdeburskich ziemi.

Tam zatrudniamy część naszych pacjentów. Pozatem pracuje mnóstwo naszych pacjentów w poszczególnych warsztatach rzemieślniczych a więc: kowalskim, stolarskim, krawieckim, introligatorskim, ceramicznym, tekstylnym, koszykarskim i warsztacie prac artystycznych. Każdy warsztat jest prowadzony przez pielęgniarkę i fachowca zarazem.

Ten czynnik terapii pracy jest tu niesłychanie ważny dla naszej metody leczenia. Zważa się przytem na wszystkie ważne momenty. Takim np. jest pewnik, że nie wolno zatrudniać w jednej i tej samej dziedzinie pracy jednego i tego samego pacjenta. Leczenie minęłoby się tutaj z swoim własnym celem. Zamiast odwrócić go od myśli chorobowych i wrócić do świata rzeczywistego osiąga się skutek przeciwny: z pacjenta staje się autentyczny zasklepieniec.

Nasza ogólna metoda leczenia nazywa się metodą reedukacji psychiatrycznej. Stan rozumowania jest tu taki: ktoś został wychowany społecznie na jednostkę produktywną. Popadł w chorobę psychiczną i stał się aspołeczny, albo nawet antyspołeczny. Metoda reedukacji ma za zadanie wrócenie tego człowieka na łono społeczności. Ma zgubić przez stosowanie odpowiednich sposobów to, co wywołała choroba.

Poddziałem tej metody reedukacji jest t. zw. „opieka rodzinna”. Polega na tem, że po pewnym czasie leczenia, po podleczeniu oddaje się go do odpowiednich ludzi obcej rodziny. Znajduje się on wtedy pod opieką lekarza, aż do stwierdzenia, że jest zupełnie zdrowy.

Urządzamy także zawody i wielką karą dla chorego jest skazanie go na pozostawanie w zakładzie, gdy jego koledzy grają. Rozdajemy także w odpowiedni sposób prezenty.

Pozatem mamy w Zakładzie naszą zakładową walutę obiegową. Jest to „bon”. Dostaje się taki „bon” za pracę i bony te mogą pacjenci realizować w kantynie zakładowej.

— A w całym psychoanalitycznym naszym systemie leczniczym przyświeca nam jedna myśl. Odszukać przyczynę choroby, źródło myśli chorobowych i przyczynę tą wyleczyć, zlikwidować.

Żegnamy dr. Berezowskiego, bierzemy w środek jednego z lekarzy zakładowych i odbywamy wędrówkę po pawilonach.

Idziemy najpierw alejami parku zakładowego. Z boku świecą białą plamą tenisowe korty. Potem wchodzimy oparkanioną drożyną, między rozkwitłe drzewa sadu. Nad zagonami i grządkami pochyleni siedzą pacjenci zakładu i wytężając słabutkie władze swego umysłu oporządzają ziemię, którą przecież inaczej rozumieją niż my, jeżeli ją rozumieją wogóle.

Szare postacie w zakładowych ubraniach, nad szarą ziemią pochylone, gdy na wszystko pada ciepły, łagodny deszcz robią smutne wrażenie.

Teraz weszliśmy na stadion sportowy. Włóczą się po nim zgięte lub pochylone postacie. Tamten podskakuje od czasu do czasu, a ten wita nas jakimś obłąkanem pytaniem.

— Jaką rolę odgrywa w leczeniu wychowanie fizyczne?

— Wielką, proszę pana. Zachęcamy chorych do ćwiczeń cielesnych. Poddajemy ich gimnastyce szwedzkiej i koncentracyjnej.

— To są najejcież dotknięci — wyjaśnia nam lekarz. Przechodzimy obok trybun. Na jednej z ławek siedzi młody chłopak, o chudej, kościstej twarzy i kiwając rytmicznie głową bełkoce jakieś niewyraźne słowa.

Oglądamy następnie ze szczerym zachwytem symboliczne obrazy postaci sportowych, malowane na murze stadionu przez jednego z pacjentów. Rzeczy skończone pod względem artystycznym i bardzo ciekawe w ujęciu kompozycyjnym.

Przechodzimy przez poszczególne warsztaty w których pracują rzemieślnicy o podejrzanie tępym wyrazie twarzy. To wszystko pacjenci zakładu. Jesteśmy właśnie na terenie działania — terapii pracy.

Potem świetnie urządzonego zakładu lecznictwa fizykalnego; idziemy następnie starymi korytarzami, niegdyś refektarzami klasztoru OO. Bernardynów, zaglądamy do cel z judaszem w grubych drzwiach i oknami ze szkła mocnego jak kamień. Były to niegdyś cele, w których trzymano nagich tarzających się w brudnej słomie chorych umysłowo. Jeśli się ogarnie z jednej strony ogrom postępu jaki oddziela te nowoczesnie przyjemnie, jasno i czysto urządzone pawilony obecnego zakładu z metodami, i sposobami leczenia, których ślady oglądamy właśnie a z drugiej strony stosunkowo niewielką odległość czasową tych rzeczy, wzbiera w nas podziw dla wielkości umysłu ludzkiego i ludzkiego serca.

Jeszcze chwila wędrówki po oddziałach kobiecych, potem w uroczystym nastroju spędzonych parę minut w ciekawie zapowiadającym się muzeum zakładowym, serdeczne pożegnanie z lekarzem, warkot motoru i przez główną aleję zakładową wyjeżdżamy na ulicę.

Wpadamy skolei do wielkiej eukrowni kościańskiej, by w rozmowie z dyr. Godlewskim dowiedzieć się m. inn., że jest to pierwszorzędnie urządzone zakłady przemysłowe o dziennej zdolności wyrobowej około 2.000 tonn buraków i zatrudniający w czasie kampanji 1.300 robotników.

WIT STOSZ CZY NIE ON?

W starożytniej świątyni pańskiej.

Przez chwilę spoglądamy na kościół z pewnego oddalenia. Surowy, pierwszy gotyk. Uderza niemiłe brak wieży. Za chwilę pasterz tej świątyni wyjaśni nam, że wieża kilka razy się zapadała i teraz kościół wygląda trochę na kalekę.

Wchodzimy do wnętrza świątyni w towarzystwie ks. Hałasa. Ks. proboszcz Bednarkiewicz jest obecnie w Zakładzie św. Zofji. Zawiadomiony o naszej wizycie przybywa czeigodny kapłan, by nam przybyszom, ciekawym piękna kościoła, pokazać wszystkie jego krasy.

I zaczyna się wędrówka po zakątkach starego zabytku i rozmowa, którą tak bardzo lubimy.

O zamierzonych czasach powstania kościoła, o przyczynie, dla której kościół farny, który oglądamy ma aż 17 ołtarzy. Że to była przecież kolegjata rycerzy maltańskich, więc wszędzie w okolicy dlatego tak dużo figur św. Jana. Że 17 jest ołtarzy w kościele, bo tyłu było „kapelanów“ t. zw. altarystów i każdy odprawiał nabożeństwo przy swym ołtarzu.

Rzucamy ogólne spojrzenie na wnętrze świątyni. Prześliczne gotyckie wiązania stropu, surowy gotyk ścian, a w tej gotyckiej oprawie barokowe cačka ołtarza głównego i bocznych. Dwa djamentralnie różne style a jednak tak ze sobą harmonizują. Stoimy przed głównym ołtarzem. Wszystko to, co wnętrze świątyni stanowi, to rzeczy z XVI i XVII w. — informuje nas ks. proboszcz Bednarkiewicz.

Zapatrzyliśmy się w niezwykle bogatą i harmonijną kolorystykę postaci świętych z ołtarza. Z pewnej odległości ołtarz główny gra w oczach tylko gamą mocnych, soczystych i harmonizujących ze sobą barw.

Potem wspólnie odczytujemy napis na b. ładnym kenotaphium małżonków Orzelskich. Obie rzeźby pochodzą z 1595 r.

Odwracamy się. Na łuku triumfalnym ciekawe ujęcie Kalwarji z 1781 r.

A teraz stajemy przed bocznym ołtarzem. W szafie z drzewa lipowego piękna płaskorzeźba przedstawiająca Bożą Matkę w otoczeniu świętych. Ołtarz ten nazywa lud „ołtarzem wszystkich świętych“.

Na ścianach drzwi zamykających szafę obrazy naturalistyczne, przedstawiające fragmenty Męki Pańskiej.



SKARB POLSKIEGO MALARSTWA CECHOWEGO.

Przed „ołtarzem Wszystkich Świętych“ jak go lud nazywa, przed piękną szafą z lipowego drzewa, w szkatule, w której kryje się skarb polskiego malarstwa cechowego, kłęczeli zamyśleni konserwatorzy muzealni i znawcy malarstwa, usiłując rozstrzygnąć pytanie: „Wit Stosz, czy też nie on?“



O ołtarz ten toczył się oddawna spór. Najpierw stwierdzono, że to arcydzieło Wita Stosza (Stwosza). Potem przyszli konserwatorzy i znawcy i orzekli: nie sam mistrz Wit ale jeden z najbliższych mu uczniów. Wreszcie ks. Dettloff z Poznania twierdzi, że to jest arcydzieło polskiego malarstwa cechowego.

My widzimy jedno: rzecz jest piękna.

Potem słuchamy jeszcze księdza proboszcza, chwającego piękną rejestrację cichych teraz, w górze lśniących organów, przebudowanych tu przez jego poprzednika, słynnego znawcę muzyki kościelnej ks. Surzyńskiego.

Ostatnie spojrzenie na dziesiątki ołtarzy i ołtarzyków, z których dwa mieszczą się na górze, co jeszcze bardziej upodabnia kościół farny do wnętrza kościoła Marjackiego w Krakowie, serdeczne pożegnanie ks. proboszcza i jedziemy w powiat.

KRZYWIŃ — GRÓD BUDOWANY W „PORZĄDKU WOJSKOWYM”.

Pędzimy pełnym gazem wielkiego „Steyera”. Strugi deszczu i bieg samochodu nie pozwalają nam przyglądać się widokom i rzeczom po drodze.

Parę wiosek, kilka wirazów szosy i wpadamy do Krzywina, miasteczka, które niegdyś budowane było „in acie ordinata”, cztery ulice w cztery świata strony i wały obronne domów.

Rozmowa z burmistrzem Krzywina, p. Kabschem.

— O historii miasta kilka słów P. Burmistrzu.

— Miasto powstało na gruncie opactwa O. O. Benedyktynów w Lubiniu. W r. 1262 otrzymało prawo magdeburskie. A w r. 1458 wysłało już królowi 10 zbrojnych, co mówi o znaczeniu ówczesnego Krzywina.

— Jak się przedstawia obecny stan miasta?

— Miasto posiada własną elektrownię, rzeźnię, mamy także 40 mórg majątku miejskiego. Ogólna wartość majątku miejskiego wynosi około 120.000 zł z zadłużeniem na wysokość 26.000 zł.

Mieszkańców liczy Krzywiń ca 1.800 głów, w tym tylko 2 rodziny niemieckie.

— Jakie bolączki trapią Krzywiń?

— Najważniejszą jest to, że odcięci jesteśmy od świata. Wzdychamy za kolejną, która nam zresztą przechodzi prawie przed nosem, tak, że stosunkowo niewielkim sumptem możnaby ją doprowadzić do nas. A ta komunikacja autobusowa, z jakiej obecnie korzystamy, jest za skromna.

W kościele krzywińskim rozmawiamy z ks. dziekanem Wesółowskim.

Przez długie chwile wędrujemy po nawach kościoła w Krzywiniu w towarzystwie ks. dziekana. Pokazuje nam, tłumaczy.

Na łuku triumfalnym przepiękny krucyfiks, nad którego misterną robotą i pięknem zastanawiają się długo konserwatorzy i znawcy, którzy tu często do kościoła zaglądają. Roi się tu w kościele od prymitywnych rzeźb w drzewie, od nieodgadnionego pochodzenia i czasu obrazów...

Potem chwila pogawędki z kapłanem o historii Krzywina, o jego aktualnych potrzebach i czas nam już jechać dalej.

ŚMIGIEL I WIELICHOWO.

Przelatujemy przez miasto Śmigiel. Dawniej życie tu szło w innym tempie, było go wogóle więcej. Odkąd Śmigiel pozbawiony został władzy starościńskiej życie w nim zamarło.

Jeszcze kwadrans wędrówki i wjeżdżamy w mury starożytnego miasteczka Wielichowa.

NA RATUSZU.

Rozmowa z p. burm. Tomczakiem.

Z burmistrzem znamy się osobiście. Kiedyś losy zagnały nas do Wielichowa w żołnierskiej tułaczce. Całe kulturalne życie wojska, które „rozbiło namioty” w pobliżu, skupiało się wtedy u gościnnego burmistrza.

— O historii Wielichowa, panie Burmistrzu.

— Wielichowo, liczące obecnie 1,630 mieszkańców, położone w nizinie Obry jest miastem od 15 lipca 1429 r. na mocy przywileju, nadanego mu przez króla Władysława Jagiełłę. Sama osada jest stara, bo wykopaliska odkryte na jej terenie, pochodzą z młodszej epoki kamiennej, czyli neolitu, tj. około 5 000 do 2 000 lat przed Chr. Wielichowo było przed podniesieniem do rzędu miast, wsią stołową biskupów poznańskich, a herb miejski „Ciółek” przejęło miasto od Stanisława Ciółka, biskupa poznańskiego. Miasteczko to jest też jednym z najbardziej polskich miast wogóle, liczy bowiem wśród ludności swej tylko 9 osób mniejszości. Nadanie praw miejskich przez króla Władysława Jagiełłę, pogromcę krzyżaków, wyewidowało na mieszkańcach wrogię nastawienie do Niemców, bo z chwilą wybuchu rewolucji niemieckiej w listopadzie 1918 r. Wielichowianie wydali burmistrz Niemca (właściwie Polaka-renegata, który nawet nazwisko polskie i imię zmienił dla kariery — na niemieckie) i urzędników-Niemców, równocześnie organizując Radę Robotniczo-Żołnierską, później Ludową, czysto polską, a także Straż Obywatelską, późniejszą kompanię powstańczą. To też z chwilą wybuchu powstania w Poznaniu Wielichowianie byli zorganizowani, i brali w pierwszych dniach stycznia 1919 r. udział w walkach o Wolsztyn, Kopaniec i Kargowę, wszystkie te miasta, szczególnie Kargowę, zajmując z innymi kompaniami wzgl. drużynami powstańczymi. W dniu 12 lutego 1919 r. poległo pod Kargową 8 Wielichowian, których pochowano na ementarzu ew. w Kargowie. Stamtąd sprowadzono zwłoki ich i pochowano na ementarzu w Wielichowie w dniu 12 lutego 1928 r., 9-tą rocznicę ich śmierci.

— A stan dzisiejszy Wielichowa?

— Obecnie miasto Wielichowo i mieszkańcy jego walcą, jak ogół społeczeństwa Rzeczypospolitej, z trudnościami życia gospodarczego. Jednak trzyma się ono wedle możliwości na dawnym poziomie. Powstała tu nawet w czasach niepodległości fabryka kilimów, jedyna obecnie w Wielkopolsce spółdzielnia kilimiarska, dalej mleczarnia spółdzielcza; istnieje także młyn parowy, wybudowany w 1913 r. Dominuje tu rolnictwo i handel bydłem i sianem. Miasto uzupełnia, choć z trudem, swe 12 km długie aleje owocowe, które w 1928/9 r. bardzo poważnie ucierpiały od mrozów, i zalesia nieużytki; obecnie ma zalesionych już przeszło 4 hektary, corocznie obszar zalesień zwiększając.

W mieście istnieją 3 kościoły katolickie i 1 zbór ewangelicki. W kościółku św. Walentego znajduje się cudowny obraz patrona kościółka, i coroczny odpust gromadzi szerokie rzesze wiernych, szukających zdrowia.

Wielichowo ma 3 instytucje finansowe, i to Komunalną Kasę Oszczędności miasta Wielichowa, Bank Ludowy i Spółdzielnię Kredytową „Ul”. Przez nie ma Wielichowo wpływ pewien na dalszą okolicę, sięgając oszczędności i zasilając kredytem okolicznych włościan.

WZDŁUŻ I WSZERZ ZIEMI KOŚCIAŃSKIEJ.

Pędzimy znów szosą na Kościan wiodącą. Niebo jest dla nas niełaskawe. Leje na przemokły świat strugi deszczu. Ledwo widać w niedalekiej perspektywie zbliżające się czerwone domy Jerki.

Zostawiamy z boku w deszczowej mgłę Kopaszewo, majątek pp. Chłapowskich.

Te pola to państwowa domena, dzierżawiona przez p. Witolda Wańkowieza.

Tam na prawo, w dali, w szare niebo smukła wieżycyca strzelająca, to sławny klasztor O. O. Benedyktynów, niegdyś panów na Lubiniu i okolicy.

Potem zjawiają się rzędy czerwonych budynków w polu; to Daroszewo, gdzie znajduje się filja Racoekiej Stadniny Państwowej. A oto i Racot wyrasta już przed nami wielkimi drzewami parku. W tym parku drzemie opuszczony teraz i próżny, piękny pałac racoeki, doniedawna rezydencja Pana Prezydenta.

W REZYDENCJI, Z KTÓREJ WIELKI PREZYDENT ZREZYGNOWAĆ ZECHCIAŁ

Samochód zajechał i stanął przed biurami Administracji Dóbr Stadnin Państwowych w Racocie.

My sami przez boczną furtkę wnikamy w wielki, dostojny park pałacowy. Kołując i klucząc podchodzimy z frontu do pałacu racoekiego. Przytuleni do jednego z filarów słuchamy, jak w drzewa pluszcze drobny deszcz, nasz nieodłączony w podróży kościąńskiej towarzysz. Wstają wspomnienia z przeczytanych aktów.

Zwał się najpierw Radsad, po r. 1600 Racat. Za rządów pruskich przyjął się gwarowy Racot. Pierwsze wspominki „Raczsati in insula” („Racat na ostrowie”) spotykamy w aktach z 1366 r. Dziedzicami wówczas byli Borkowie z Gryżyny. Szły lata, wieki, zmieniali się panowie Racatu.

I pewnego dnia przyjechał tu w samochodzie z proporczykiem, na którym błyszczał biały orzeł w amarantowej otoczce — siwy, wysoki pan. Chodził po parku, jechał na polowanie a wieczorem pisał, pisał w pałacu. I znów wyjeżdżał do dalekiego warszawskiego zamku.

Leżąc gdy przyszyły ciężkie dni i dla polskiego kraju, wysoki, siwy pan zrezygnował z pięknych pałacowych apartamentów. Dostojny Gość przestał przyjeżdżać do Racotu.

O „FAUSCIE” I INNYCH KONIKACH INFORMUJE NAS DYR. P. GODLEWSKI.

Siedzimy w biurze naprzeciw p. Władysława Siemieńskiego.

— Więc najpierw ogólnie o gospodarstwie racoekim?

— Dobra Stadnin Państwowych Racot obejmują obszar 900 ha. Należą one od roku 1923 do Wydziału Chowu Koni Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w Warszawie:

Gospodarstwo nasze nastawione jest wyłącznie w kierunku hodowlanym, a mianowicie posiadamy t. zw. Państwową Stadninę Koni półkrwi angielskiej, oraz zarodową oborę czystej krwi wschodnio-fryzyjskiej.

— A teraz pójdziemy to wszystko zobaczyć.

Wchodzimy do budynków, w których stoją konie.

— Państwowa Stadnina Koni w Racocie założona jest w roku 1928 — informuje p. kierownik — typ konia naszego, to półkrew angielska. Mamy tu w stajniach obecnie 150 sztuk.

Podchodzimy do jakiejś separatki.

— Tu panowie zobaczycie chlubę naszej stadniny, najcenniejszego reproduktora — ogiera „Fausta”, pełnej krwi angielskiej.

Jeszcze „Fausta” nie widzimy dobrze, ale już go słyszymy. Jest niespokojny. Ciągłe coś tam w stajni potraça. Teraz uchylono drzwi. Widzimy piękne, ciemne zwierzę o ślicznej głowie z rozdetymi chrapami. Leci zaraz na koniuszego. Trzymany mocno za uzdę, szarpie się i wierzga. A w każdym poruszeniu jest piękny.

— Jest to jeden z najlepszych ogierów folblutów młodszej generacji urodzonych w Polsce — wyjaśnia dalej p. Siemieński — w swej karierze wyścigowej, odbytej na torze warszawskim w latach 1928 — 1930 wygrał zgórą — 214 000 złotych.

Potem oglądamy klacze: więc bardzo wytrzymała „Zorza”, dalej piękna, czarna klacz kozacka „Wiera”, a tam znów frywolna „Lou-Lou”. Obok pięknych matek stoją przemiłe źrebięta, bardzo chętnie odbywające ze zwiedzającymi konferencje ponad bramką boksu.

Skolei przechodzimy do obory.

— Jest to zarodowa obora czystej krwi wschodnio-fryzyjskiej, założona w r. 1927, zapisana do ksiąg rodowodowych T-wa Hodowców Bydła Nizinnego w Poznaniu. Jest tu sztuk 115, w tem krów matek 60, młodzieży 53 i 2 buhaje reproduktory.

— Jaką osiąga, Pan Dyrektor, przeciętną mleczność od krowy?

— W roku 1931/32 wynosiła ona 5,328 kg. mleka o zawartości tłuszczu 3,36%, za który to wynik hodowlany została nasza obora nagrodzona „Złotym medalem” przez Wielkopolską Izbę Rolniczą w Poznaniu.

Jest to jedna z pierwszych zarodowych obór bydła nizinnego w woj. poznańskim i Polsce — kończy p. Siemieński.

My także skończyliśmy oglądać piękne czarno-białe krowy o imponujących wymionach.

Pożegnanie serdeczne i odjazd naszej ekipy na rasowych koniach H. P. — Steyera...

Skrywamy teraz w bok, jedziemy przez chwilę w kierunku Witkówek sławną 500-letnią aleją lipową Jabłonowskich. Wracamy znowu na szosę do Kościana. Chcielibyśmy zobaczyć sławne dęby w Kopaszewie, sadzone rękoma Mickiewicza i Kościuszki.

W ziemi Kościańskiej jest zbyt dużo pamiątek i zabytków, by móc wszystkie zobaczyć w krótkiej wędrówce. Przypominamy sobie bogate zbiory wykopalisk z Szezodrowa, Kokorzyna, Iwibinia, Kąt i in., oddane do Muzeum Wielkopolskiego.

A przecież w Ziemnicach znaleziono ementarzysko z kulturą średniołużycką z 1400 lat przed Chr.

Wjeżdżamy do Kościana, poto, by pożegnać miasto, którego los nie oszczędzał, miasto, którego blask przyćmiły łuny pożarów i wojennych łun.

Przesiadamy się na naszego „Rudge’a” i sypimy w kierunku na Czempień.

KOLEJE LOSÓW CZEMPIŃSKIEGO MIASTA.

Rozmawiamy z zasłużonym burmistrzem miasta, p. Szpopperem.

— Jak się przedstawia, Panie Burmistrzu, historia m. Czempinia?

— A więc o nazwie. Nazwa Czempień pochodzi od nazwiska kmiecego Czempa.

— W roku 1403 spotykamy pierwszą wzmiankę „de oppido Czampino” w księgach ziemskich kościańskich; w księgach zaś ziemskich poznańskich występuje w roku 1410 Jan Czempiński. Rok 1434 jest najstarszą datą Łodziów na Czempiniu a jako posiadziciel Czempinia zapisany jest tegoż roku w księgach wiczyzystych poznańskich Jan Bniński, herbu Łodzia, kasztelan międzyrzecki, syn Małgorzaty.

Wojewoda poznański Stanisław Górka nadał miastu w roku 1561 prawo magdeburskie i od tego czasu istnieje obecny herb miasta. Obecnie liczy Czempień 2100 mieszkańców w 96% polskich.

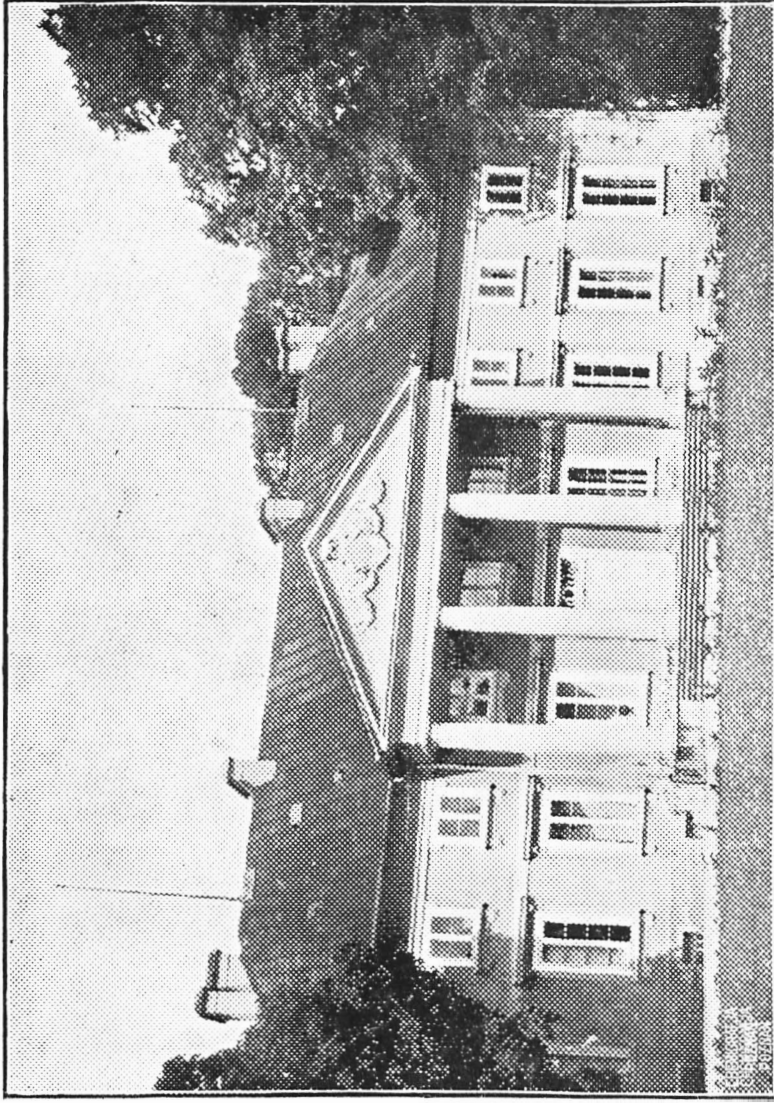
— A jaki jest stan majątkowy?

— Czempień posiada majątku ca 300.000 zł. Długów nie mamy. Na majątek składa się m. in. gazownia, schronisko dla starców, ochronka, przedszkola, ratusz i t. p.

— A co dla Czempinia zrobiono w ostatnich czasach?

— W ubiegłych latach dokonano gruntownego remontu Gazowni Miejskiej kosztem 20 000 złotych, pozatem założyłem na poprzednio odłogiem leżącym starym targowisku park miejski. Projektuję dokończenie nowej targowicy miejskiej i przebrukowanie ulic oraz rynku.

Teraz poruszę w ogólnych zarysach handel i przemysł. Z pośród zakładów przemysłowych wymienię fabrykę tlenu „Sawja”, fabrykę maszyn i młyn parowy — których właścicielem jest długoletni prezes Rady Miejskiej pan inż. Antoni Jezierski. Pozatem istnieją młyn motorowy, Bank Ludowy, dwie firmy rolniezo-handlowe oraz niestety nieczynne od kilku lat Czempińskie Zakłady Hutnicze, co jest naszą największą bolączką;



RACOT.

Na theatrum w pałacu racockim przez Antoniego ks. Jabłonowskiego urządzonem, dawane były dramaty twórcy Legjonów i autora „Jeszcze Polska...” Józefa Wybickiego. — Miesiące lata i po pokojach swej rezydencji racockiej chodził dostojny, siwy Pan — Prezydent I. Mościcki...



mamy ich zresztą więcej, a więc: brak wody do urządzenia pływalni i wogóle sportu wodnego oraz odpowiedniego terenu pod boisko.

Zanika także ruch budowlany mimo świetnych warunków terenowych. Miasto bowiem posiada liczne parcele budowlane położone tuż przy dworcu osobowym z ładnym widokiem na lasy majątności Borówko Stare. Czempień, mając dogodną komunikację kolejową, leży bowiem na ruchliwej linii kolejowej Poznań—Leszno—Rawicz i Czempień—Śrem—Jarocin, nadaje się na pobyt dla osób dojeżdżających do pracy do Poznania i innych miejscowości.

Z miłego w wyglądzie nawet deszczowym Czempinia jedziemy już do Poznania, którego nie widzieliśmy od dni kilku.

Jedziemy podmokłymi drogami w towarzystwie przydrożnych rozkwiecionych drzew i zieleni pól po obu stronach dróg.

Jedziemy przez zapłakany świat. Ale nie martwimy się. „...Mokry maj, będzie żytko jakby gaj...” Zwłaszcza na urodzajnej kościańskiej ziemi, której granice w tej chwili mijamy...



WOLSZTYN — KRAINA LEŚNYCH DRZEW I WÓD JEZIORNÝCH



Ma ławkach przedziału rozpostarliśmy mapę województwa poznańskiego i szukamy ziemi, do której wiezie nas właśnie pociąg. Oto i ona. Mały powiacik o poszarpanej linii granicznej, przytulony na dziesiątkach kilometrów do zachodniej granicy Rzeczypospolitej. Wielkie plamy zielone — to lasy wolsztyńskie. A te bardzo duże plamy niebieskie, to wolsztyńskie jeziora. Lasy i jeziora. Wyglądamy przez okno. Konfrontacja wypada na korzyść prawdomówności mapy. Bo oto przedzieramy się przez wąski tunel, utworzony przez duże, gęste i ciemne ściany lasu.

Minęliśmy już Rostarzewo. Teraz spostrzeżenie, którego nie mogło nam dać studjowanie mapy. Maleńkie, wątle rzadkie żytko wymownie świadczy o jakości ziemi. Zapowiada nam biedę, którą po wolsztyńskich wsiach spotkać nam przyjdzie. Wiadomo. Nie szli braciszkuwie Cystersi do ziem pszenicznych, do ziem łatwych w zdobyteiu i płodnych. Szli nad jeziora i bagna, szli przetrzebzać i karczować puszcze.

Przywędrowali więc z Paradyża do Obry, poszli potem do Przemętu.

Dojeżdżamy do Wolsztyna. Mijamy pierwsze zabudowania. Poprzez las po lewej stronie toru przebłyskuje, lśniące teraz w blaskach słońca, olbrzymie jezioro Beżyńskie. Stajemy w Wolsztynie.

BIEDA U NAS SZCZEGÓLNA, ALĘ NIE ŻYJEMY NAD STAN I NIE MAMY DŁUGÓW.

Dobry gospodarz powiatu p. starosta J. Kaczorowski mówi o swym powiecie.

— Zdaje się, że lasy i jeziora to jedyne bogactwo powiatu wolsztyńskiego, Panie Starosto?

— Powiat jest bardzo biedny, proszę panów. Jest to zresztą najbiedniejszy powiat na ziemiach zachodnich. Traktat wersalski odciął nam przecież $\frac{1}{3}$ terenu dotychczasowego powiatu (babimojskiego). Cały nasz powiat to obecnie 757,02 km² i 48 tysięcy ludności. Zjawiskiem charakterystycznym u nas pod względem ludnościowym był fakt ustawicznego zmniejszania się liczby ludności powiatu. Pochodziło to stąd, że proces „wynoszenia się” Niemców odbywał się u nas w silnym tempie i przez długi czas. Jeszcze dziś, choć stan ten uległ i ulega zasadniczej zmianie, północno zachodnia część powiatu jest dość silnie zniemczona. Przyczyną tu jest m. in. fakt, że jeszcze za Rzeczypospolitej istniał tam poważny napływ ludności niemieckiej.

Naskutek wyjątkowej biedy w powiecie, o jakiej Pan Starosta wspomniał, musi Pan Starosta mieć wyjątkowo silne bezrobocie.

— A owszem jest to po ogólnej biedocie naszego powiatu drugą z rzędu bolączką. Z tą pierwszą zresztą integralnie się wiąże: dawniej bowiem wielka ilość ludzi mojego po-

wiatu szła w lecie na roboty do głębi Niemiec, „szła na Sachsy“. Skończyło się „chodzenie na Sachsy“, ludzie siedzą teraz bez pracy, tworząc wielkie szeregi bezrobotnych. Na domiar nieszczęścia nie mamy przecież żadnego przemysłu, żadnego większego ośrodka fabrycznego. Niema więc rezerwoaru, gdzieby można bezrobocie likwidować, czy zmniejszać.

— Pewnie ta bieda odbija się na wysokości budżetu.

— A tak, nasz budżet graniczy poprostu z nędzą. Wynosi on na cały powiat trzy-
sta kilkadziesiąt tysięcy zł. Ratuje nas tylko oszczędna gospodarka. Budżety są opraco-
wane rozsądnie i zawsze realizowane. Te oszczędności nasze pozwalają nam wygospoda-
rować pewne sumy, które idą na pomoc bezrobotnych. Dzięki temu mogliśmy zatrudnić
naszych bezrobotnych przy budowie 3-kilometrowego odcinka szosy Kęblów — Widzim.
Dla zatrudnienia bezrobotnych budujemy drogę Błotnica — Radomierz.

Jak powiedziałem wyżej, w drodze oszczędności udawało nam się uzyskiwać fundu-
sze, dzięki którym mogliśmy dotąd zatrudniać przy budowie dróg naszych bezrobotnych.
Obecnie stanął powiat wobec problemu oddania z budżetu 17 tysięcy zł do Funduszu Bez-
robocia i niepewności, czy te pieniądze w całości wrócą na zatrudnienie naszych bezro-
botnych.

— Ze słów i cyfr, podanych przez Pana Starostę wynika, że powiat jest naprawdę
biedny. A z powierzchownej obserwacji, z porządku, jaki się wszędzie widzi, z oczu ludzi,
z których wygląda raczej poczucie dobrobytu, możnaby wnosić inaczej.

— Bo proszę pana, ludność powiatu wolsztyńskiego, chociaż wyjątkowo silnie od-
czuwa kryzys, nie poddała się psychozie kryzysowej. Istnieje tu u nas dużo zrozumienia
tego stanu rzeczy, mimo silnej, u nas wyjątkowo szkodliwej z punktu widzenia interesów
społecznych i państwowych, kontrakcji pewnych ludzi, którzy usiłują kryzys i biedę wy-
zyskać dla brudnych, partyjnych interesów.

Jestem tu od dwóch lat i obserwuję. I nie widzę tego przygnębienia, które spo-
strzegłem jeszcze przed 2 laty w byłym Królestwie Kongresowym. Przeciwnie — na-
strój tu u nas dobry, ludzie wierzą w koniec kryzysu i poprawę bytu, nawet budują się
i inwestują. Wszędzie u nas i wśród rzemiosła obserwuje się nawrot do zdrowego patrze-
nia na rzeczy. Fałszywe argumenty opozycyjne coraz częściej trafiają w próżnię.

— Jeszcze kilka słów, Panie Starosto, o problemach związanych z nadgranicznością
powiatu?

— Granica, proszę pana, poprzecinała zwarte jednostki gospodarze, stąd obser-
wuje się u nas duży pęd zagranicę. Ułatwia rzecz fakt, że jesteśmy jeszcze w pasie gra-
nicznym (do granicy niemieckiej z Wolsztyna mamy 8 km).

Stosunki nasze z sąsiadami naogół poprawne. Jeśli chodzi o stosunki bezpieczeń-
stwa, to ludność nasza stoi pod tym względem na b. wysokim poziomie, przestępstw jest
niesłychanie mało, a nawet bójkki są u nas zjawiskiem stosunkowo rzadkiem.

— Jednym słowem, gdyby nie bieda i szkodliwa robota antypaństwowa ludzi, o któ-
rych Pan Starosta wspominał, byłoby w wolsztyńskim powiecie b. dobrze?

— Czekamy proszę pana na parcelację dawnego powiatu śnigielskiego. Został
on, jak panu wiadomo, po zniesieniu go w całości wcielony do Kościana. Przy parcelacji,
która kiedyś nastąpi, zostanie nam się może kawał ziemi urodzajnej, która jest zresztą
z nami bardziej gospodarczo i komunikacyjnie związana niż z Kościanem.

— No, to już chyba omówiliśmy wszystko, co ważne, Panie Starosto i możemy
już podziękować i pożegnać.

Żegnamy mądrego gospodarza ważnej nadgranicznej placówki administracyjnej
i opuszczamy ładny gmach starostwa.

Na ulicach czystego, schludnego miasta spotykamy co krok naszych dzielnych żoł-
nierzy K. O. P.-u.

Przyjechali pod wieczór, załatwili codzienne sprawunki i wracają do swych samotnych strażnic, by nieraz z narażeniem własnego życia stać niewzruszenie na straży interesów państwa i jego udzielnych praw.

Przystanęliśmy przed dużym domem, z którego obecnie przez otwarte okna dola- tuje pieśń, cienkimi głosikami dzieci śpiewana: „Witaj maj, trzeci maj...“.

Tu obok tej ściany padł bohaterską śmiercią powstaniec, wolsztyniak Antoni Przybylski.

Mówią o tem teraz słowa pisane na marmurowej tablicy, na ścianie u góry.

Wolsztyn wieczorem.

Zapadł już mrok wieczorny. Zapłonęły gazowe, uliczne światła. Chodnikami ulic idą grupy młodzieży szkolnej z majowego nabożeństwa, wracają z biur zapóźnieni urzęd- nicy. Błyszcza rozświetlone szyby kilku kawiarenek.

Minie jeszcze godzina i ciche miasto położy się do snu.

Siedzimy w grupie przedstawicieli miejscowego społeczeństwa, stałych i niesta- łych bywalców „Grandki“. Rozmowa jest tym razem poważna, choć przeszkadzają nam wesołe dźwięki fokstrotta.

Mówimy więc o naszych podróżach po Wielkopolsce i słuchamy miłych słów uzna- nia dla wartości naszej propagandy ziemi wielkopolskiej.

Potem znowu dajemy wyraz swojemu zachwytowi dla wyjątkowych warunków letni- skowych Wolsztyna, o pięknie lasów i jezior wolsztyńskich. Mówią nam o stosunku war- tości tego co robią nasze artykuły o Wielkopolsce dla propagowania letniskowych miej- scowości Wielkopolski do sztucznie wydmuchanej akcji handlowo - letniskowej jednego z pism poznańskich.

U WOLSZTYŃSKIEGO DUSZPASTERZA

Z ks. proboszczem Bąbickim rozmawiamy o sprawach religijnych i społecznych Wolsztyna.

Jasnemi od rannego słonecznego światła uliczkami zdążamy do świątyni, której smukła wieżycia zdaleka widna na błękitie nieba.

W kancelarji ks. proboszcza zaczynamy rozmowę o organizacjach w których sku- pia się życie społeczne Wolsztyna i jego powiatu.

Potem z ks. wikarym idziemy obejrzeć kościół. Patrzymy z pewnej odległości na rysunek kościoła. Uderza swem niesharmonizowaniem z całością wieża kościelna. Jest zbyt wysoka i zbyt cienka i zbyt banalna.

Wieża pierwotna była podobno b. piękna, ale spłonęła w roku 1810 i po kilku la- tach została przez Schüllera wybudowana w tej formie, w jakiej ją widzimy.

Wechodzimy do wnętrza kościoła. Zarówno architektura jak i ornamentyka ko- ścioła wolsztyńskiego wykazują silne wpływy jezuickie. Panuje wszędzie harmonijnie i konsekwentnie przeprowadzony styl barokowy a w ornamentyce przebija łagodne rokoko.

Jedna z najładniejszych ozdób, rzucających się w oczy w kościele wolsztyńskim jest niezwykle w konstrukcji chór z wysuniętym balkonem, wspartym na dwu filarach, pod- trzymywanym przez dwie karjatydy anielskie.

Cztery ośmiokątne filary, dzielące wnętrze kościoła na 3 nawy charakterystyczne dla kościołów jezuickich, przypominają wnętrze innego kościoła, budowanego przez jezuitów — kościół św. Jana w Wilnie.

Piękna kompozycja fresków zdobiących 11 sklepień kościoła jest dziełem znanego za Stanisława Augusta malarza polskiego Jana Byszkowskiego, który freski wykończył w roku 1778.

Obejrzelismy już piękne plafony; jeszcze jeden rzut oka na całość i opuszczamy świątynię wolsztyńską. Z ementarza kościelnego pokazuje nam ks. wikary gniazdo bocianie, uwite na jednym z rogów dachu kościelnego. Właśnie urzęduje w nim białocezar-ny ptak, który mieszkańcom Wolsztyna przyczynił swego czasu wiele troski. Gdy mianowicie odnowiono kościół pod nieobecność boćka, zachodziła obawa, czy na nowym, blaszanym dachu zechce po powrocie uwić „gniazdo rodzinne“. Nawet mu dla zachęty powbijano laki, które miały zabiegi budowlane uprościć. Na św. Józefa miasto żyło jednym problemem: „przyleci, czy nie przyleci; a jeśli przyleci, czy zostanie na nowym miejscu“. Przyleciał i nie odleciał. Przywiązany do swego kościelnego boćka mieszkańcom Wolsztyna spadł ciężar z serca.

Potem rozmawiamy o niezwykłej religijności społeczeństwa wolsztyńskiego. O doniosłej roli łącznika między zwaśnionymi politycznie odłamami społeczeństwa, jaką w Wolsztynie odgrywa właśnie kościół i religja.

Kwadrans mijają szybko na rozmowie o problemach ogólnospołecznych.

WOLSZTYN OZNACZA „KAMIEŃ” WEŁNY.

Rozmawiamy z gospodarzem miasta, p. burmistrzem Modlińskim.

— Bardzo się cieszę, że i do nas panowie wpadli.

— Więc krótki rzut oka na historję miasta, a zaraz potem pomówimy o sprawach majątkowych.

— Chociaż pierwszą wzmiankę o Wolsztynie znajdujemy w spisie miast wielkopolskich z r. 1458 a prawo magdeburskie nadaje miastu Andrzej Sezno w r. 1469, to jednak według przypuszczeń najnowszych badaczy dziejów Wolsztyna pewnem jest, że czas powstania Wolsztyna przypada na koniec w. XIV. Prawdopodobnem jest, że do powstania miasta przyczynili się skrzętnie i zapobiegliwi niemieccy Cystersi, z Paradyża do Obry sprowadzeni, przez ściągnięcie do Wolsztyna sukienników i rzemieślników, swych rodaków. Niemiecka nazwa miasta też staje się łatwo zrozumiałą w razie przyjęcia tej hipotezy. Wolsztyn — oznacza „kamień wełny“ a wiadomo, że właśnie wełnę potrzebną do przedzalni, których Wolsztyn posiadał potem aż 12, kupowano dla sukienników na „kamienie“, dawną miarę wełny. Przez całe następne wieki aż do upadku fabryk sukienniczych w naszych wielkopolskich miastach granicznych odbywały się w Wolsztynie wielkie jarmarki na wełnę.

Herb Wolsztyna przedstawia Najśw. Marię Pannę z Dzieciątkiem na ręku i on wskazuje na to, że duchowni go miastu nadali.

Dobrobyt Wolsztyna i jego znaczenie wzrasta aż do połowy XV wieku. Potem przychodzą częste pożary (1543, 1611, 1634), w 1777 r. zniszczyła miasto dzuma i wielkość Wolsztyna chylić się zaczyna do upadku.

— Teraz pomówimy o Wolsztynie dzisiejszym.

— Cały majątek miejski przedstawia wartość ca 3.800.000 zł. Wchodzą tu nieruchomości miejskie z wartością 1.612.610 zł. place niezabudowane i majątek ruchomy ca 1.800.000 zł. wartości.

Oprócz tego posiada miasto własne zakłady miejskie, b. dobrze prosperujące i urządzone nowoczesnie: gazownię, rzeźnię, wodociągi, elektrownię.

Na całym tym majątku miejskim ciąży dług o stosunkowo nieznacznej wielkości ca 1/2 miliona zł do czego zresztą w wielkiej mierze przyczynia się zadłużona elektrownia.

— Jak wygląda przemysł i handel wolsztyński?

— Większych placówek przemysłowych Wolsztyn wogóle nie posiada. Handel nasz miejscowy ma też szczególne cechy ze względu na swego odbiorcę — rolnictwo.

— Sprawa szkolnictwa.

— Posiadamy w mieście gimnazjum, seminarjum, szkołę rolniczą i kilka szkół powszechnych.

— Nakoniec zechce Pan Burmistrz pochwalić się dorobkiem miasta za czasów niepodległości.

— Przebrukowaliśmy więc szereg ulic, wybrukowaliśmy także niektóre nowe. Położyliśmy chodniki na wielu ulicach. Pozakładaliśmy planty w wielu punktach miasta, dodając miastu uroku przez zadrzewienie go. Wybudowaliśmy rzeźnię z nowoczesną bекoniarnią eksportową. Wybudowaliśmy także w r. 1928 nową elektrownię miejską.

Miasto przyczyniło się także wydatnie do budowy stadjonu sportowego, wydzierżawiając plac na 30 lat, oraz przez utrzymanie stadjonu, co obecnie jest troską właśnie miasta. Założyliśmy wreszcie piękne łązienki nad jeziorem.

Teraz następuje 20 minut wędrowki z burmistrzem po jego mieście. P. Modliński pokazuje nam z dumą dobre bruki uliczne, ładne planty rozłożone w różnych punktach miasta, wielkie budynki zakładów miejskich, gmach wielkiego sierocińca...

NIECH BĘDZIE POCHWALONY!...

Z siostrą przełożoną Stefanją Józwiak zwiedzamy wielki wolsztyński sierociniec.

Chwilę spoglądamy z ulicy na wielki regularny gmach sierocińca w którym pod opieką SS. Wincentek wychowują się setki dzieci, które nie znają ciepła rodzinnego.

Z boku stoi gotycka kaplica sierocińca. Wehodzimy do biur. Za chwilę w kancelarii zjawia się niezwykle uprzejma siostra przełożona Stefanja Józwiak. Rozmawiamy chwilę o historii zakładu, o zasługach ludzi o dobrym sercu, o ciężkich czasach, jakie przeżywa sierociniec do którego teraz garną się i biedni i bezrobotni, żebrząc o pomoc, o wsparcie...

Więc najpierw w r. 1837 powstaje „Dom sierot” — fundowany przez rotmistrza Dziembowskiego, dr. Jacobo z Poznania i barona Kottwitza z Tuchorzy. W r. 1846 angielska — towarzyska na dworze Gajewskich Marja Paeree rodem z Shenby w hrabstwie Buckingham w Anglii funduje skrzydło drugie zakładu t. zw. „Dom pod Samarytaninem”. Spoczątku mieszcili się tam biedacy okoliczni, a obecnie mieszka tam z 50 starców.

Wreszcie w r. 1855 Adela Gajewska funduje „Dom dla Sierot”, katolickich dziewczynek, oddając to w opiekę SS. Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. Wielka filantropka sprzedała specjalnie na ten cel majątek swój Tłoki bratu — Apolinaremu.

Potem przyszły zasługi ks. Benedykta Tomiaka z Tłok pochodzącego, który został proboszczem w Ameryce Północnej, lecz o swej ziemi rodzinnej nie zapomniał, przeciwnie dał dowody wielkiej o niej pamięci. I tak jego to sumptem stanęła w 1913 r. piękna i obszerna kaplica zakładowa. On też pomagał wydatnie przy budowie wielkiego sierocińca, który w r. 1926 został poświęcony.

Przy budowie sierocińca poza ks. Tomiakiem, który w połowie poniósł koszt budowy sierocińca, w wydatny sposób przyczynili się pomocą materialną Magistrat m. Wolsztyna i Wydział Powiatowy.

— A teraz Siostra Przełożona zechce nas oprowadzić po sierocińcu.

Przechodzimy więc przez ambulans, mieszczący się przy zakładzie, potem obok poczekalni, w której już siedzą bezrobotni młodzi ludzie z miasta, czekając na łyk gorącej stawy.

Potem wehodzimy do pięknie urządzonej kaplicy zakładowej, a stąd już idziemy obok dużego ogrodu warzywnego do wielkiego budynku sierocińca.

— Jesteśmy właśnie w stadjum oczekiwania na kolonję dzieci, które nam od zeszłego roku zaczęła „Stella” przysyłać — wyjaśnia siostra przełożona.

Wehodzimy do podziemi gmachu. Mieszczą się tu czyściutki i w najnowszy sprzęt techniczny zaopatrzone kuchnie, łaźnie, pralnia i t. p.

Spotykane po drodze dzieciaki witają nas głośnym „niech będzie pochwalony“ i z radością garną się do rąk siostry przełożonej.

Przechodzimy obok, miłe wrażenie wywierających „rozmówniczek”, potem biblioteka, sala muzyczna, duża sala teatralna, ładne holle. Wchodzimy skolei do zbiorowej umywalni, gdzie każde dziecko ma swoją umywalkę, potem do sypialni jasnych, słonecznych, z niebieskimi miniaturowymi łóżeczkami. Dzieciaki właśnie gdzieś opodal śpiewają na wspólnej lekcji. W sypialni leżą tylko 2 dziewczynki. Podchodzimy do jednego łóżeczka.

— No cóż Tereniu, nawet się nie przywitasz. Chora Terenia prawda.

— Chola.

— Na ośpicę chora Terenia i boli Terenię.

— Baldzo.

Leży biedna Terenia bledziutka w niebieskim łóżeczku. Chore biedactwo, któremu ciche siostry miłosierdzia muszą zastąpić i ojca i matkę, których niema...

Przechodzimy teraz przez inne sypialnie. Siostra Przełożona otwiera jedne z drzwi i zaraz uderza w nas jednym głosem przez setkę dziewczęcych ust wypowiedziane.

„Niech będzie pochwalony...”

Dzieci zobaczyły siostrę przełożoną. Nie ich już w ławkach nie utrzyma. Pędzą na wyścigi. Pierwsza dopada do siostry ładna, wesoła dziewczynka o czarnych mądrych oczkach. Warszawianka — Jesia Sobieraj. Ogarnęła kolana siostry przełożonej patrzy do niej w górę i śmieje się radośnie.

Przechodzimy teraz na piękną terasę, na II piętrze z frontu gmachu położoną, o wysokim obramowaniu. W słoneczny dzień musi tu być bardzo dużo blasków i śmiechu dzieci, które tu się bawią.

Wychodzimy znowu przez pokój, w którym dziewczynki na pożegnanie śpiewają nam piękną bajkę...

Śpiewają wesołymi głosikami sieroty ze wszystkich stron świata. Bo wśród tych 150 dziewczynek są takie, które tu przywędrowały z dalekiego Charbina, Londynu, Berlina.

W poszukiwaniu ciepła rodzinnego, którego dzieciom tak bardzo potrzeba...

Z JEDNEGO KOŃCA POWIATU NA DRUGI...

Ostatnie domy Wolsztyna zostają za nami. Wpadamy w las, potem mkniemy obok toru kolejowego. Jedziemy prostą szosą na zachód. Każdy kilometr zbliża nas do linii granicznej Państwa. A oto i małe domeczki miniaturowego miasteczka. Wjeżdżamy do najmniejszego naszego miasteczka, Kopanicy.

W KOPANICY

Stajemy przed plebanją. Ks. Jordan zjawia się dopiero po długiej chwili. Miał właśnie „naukę” i jest trochę zmęczony. Poza to, jak nas informuje brat ks. proboszcza, renowacja zniszczonego czasem i wojną kościoła pochłania księdzu mnóstwo czasu i pracy.

Rozmawiamy chwilę o Kopanicy, mieście do pewnego stopnia „bez historii”, bo dokumenty dawniejsze poginęły i nie można rysunku historycznego miasta w żaden sposób odtworzyć. O samej parafji też wiemy niewiele; zachował się dokument erekcyjny parafji kopanieckiej, która powstała w r. 1408 przez odłączenie od Niałka.

Z niewiadomych bliżej względów przeniósł się do niej w r. 1408 pierwszy znany pleban kościoła parafjalnego w Komorowie ks. pleban Jan.

Ks. proboszcz Jordan mówi nam w krótkich słowach o obecnym stanie Kopanicy, która jest miasteczkiem wybitnie rolniczem; potem idziemy obejrzeć odnowiony kościół kopaniecki. Ks. proboszcz mówi po drodze o trudach jakie zwalczać musi, by móc dźwigać renowację kościoła coraz dalej. Ofiarność publiczna tak się przecież gwałtownie zmniejszyła. Z drugiej zaś strony kościół w Kopanicy, cel kanonady artylerji niemieckiej, która w wandalski sposób nadszarpnęła w wielu miejscach mury świątyni pańskiej, kościół ko-

panieki szczególnie wymaga szybkiej renowacji. Ks. Jordan zdążył zresztą zrobić bardzo wiele. Kościół został odnowiony wewnątrz, dach został świeżo pokryty.

Patrzymy na głębokie wyrwy w murze kościelnym. Na tle wielkich i tyłu zbrodni niemieckich, dokonanych podczas wojny europejskiej ten świętokradzki występek wydaje się stosunkowo nikły.

Idziemy teraz na miejscowy ementarz, opodal kościoła położony. Rzuce się nam w oczy szereg zdruzgotanych i nadszarpiętych nagrobków. Ks. Jordan wyjaśnia nam, że w czasie powstania wielkopolskiego ementarz kopanicki był fortecą powstańczą, pociski trafiały nie tylko powstańców i oto przyczyna, dla której tyle nagrobków leży w gruzach.

Zadumani nad pięknem ofiary z życia u młodziutkiej dziewczyny, stoimy nad grobem siedemnastoletniej Anny, która, biorąc czynny udział w powstaniu (przeprowadzała powstańców przez lasy, przewoziła pocztę), padła rażona śmiertelnie. Tragedję młodej dziewczyny powiększył fakt, że kula która jej młodziutkie życie przerwała, to była kula wystrzelona przez fatalną omyłkę przez jednego z polskich powstańców, dla których tyle razy życie narażała.

Stoimy za ementarzem, skąd przed oczyma roztacza się daleki widok pól i łąk. O kilkaset metrów przed nami przebiega granica państwa.

Po granicznej linii idzie właśnie zielona postać naszego strażnika. Zawiesił karabin na pasie, idzie rytmicznym krokiem. Przystanie czasem popatrzy w przestrzeń uważnie i czujnie... Strzeże... Pilnuje zielony żołnierz granicy Rzeczypospolitej.

W RAKONIEWICACH.

Rozmowa z burmistrzem m. Rakoniewic, p. W. Grzybowskiem.

Przemierzamy w powrocie tę samą drogę. Zostawiamy z boku starożytną Obrę, skąd od r. 1222 zaczęły na całą ziemię wolsztyńską promieniować wpływy sprowadzonego do Obry z Paradyża zakonu Cystersów. Sprowadził ich „zaczny mąż z rodu Jeleni — Niałków, kanonikantor gnieźnieński, Sędziwój”.

A Cystersi — „wierni swemu powołaniu i przepisom swej reguły brali się wszędzie, gdzie ich los rzucił, do siekiery, rydla i pługą, a dzikie ustronia, które im służyły za siedzibę, w niedługim czasie pod pracowitą ręką zakonników zaczynały coraz obfitszym pokrywać się plonem”.

Przejeżdżamy przez Wolsztyn i pędzimy teraz na wschód. Mijamy Komorowo, zostawiamy za sobą duże i ładne Rostarzewo i zatrzymujemy się przed magistratem miasta Rakoniewic.

Burmistrz p. Grzybowski zaczyna mówić o swoim mieście:

— Miasto nasze liczy obecnie 2.300 mieszkańców, jest to więc największe po Wolsztynie miasteczko w powiecie. Jeśli chodzi o daty historyczne to mamy ich niewiele. Zachował się dokument erekcyjny króla Jana Kazimierza z r. 1662.

— Jak przedstawia się majątek miasta?

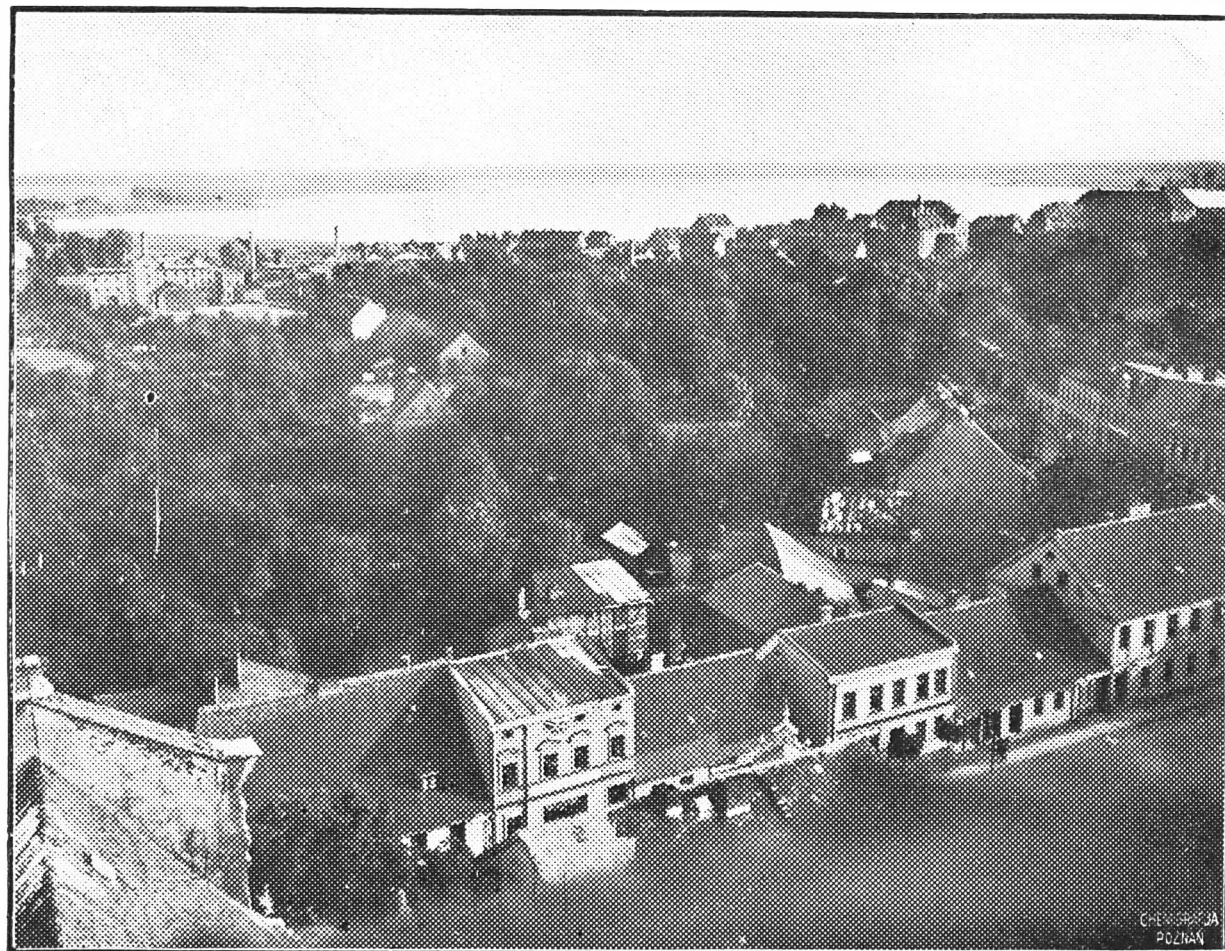
— Wynosi on około 600.000 zł. Oprócz tego posiadamy b. dobrze prosperującą Kasę Oszczędności oraz miejską gazownię. Muszę także w tem miejscu wspomnieć o dużej strażnicy Miejskiej Straży Pożarnej, którą w swym inwentarzu posiada m. in. piękną motorową gaśnicę.

— Czy istnieją na terenie Rakoniewic ważniejsze placówki przemysłowe.

— Mamy w naszym mieście bogaty młyn parowy z własną boczną koleją, będący własnością p. Szymańskiego St.; pozatem duży tartak p. Kaczmarska. Mamy w mieście dobrze rozwinięty drobny handel, którego głównym odbiorcą jest zawsze wieś.

Na jesieni odbywają się u nas jedne z największych w Wielkopolsce targi na owoce, wówczas zakupione owoce idą od nas całymi wagonami.

— Nakoniec, Panie Burmistrzu, kilka słów o dorobku ostatnich czasów miasta.



Położył się Wolsztyn, jak nadmorskie miasteczko u brzegów wód a nieme jezioro patrzy wiernie na czerwone domki swego miasta.



— Postawiliśmy piękny pomnik ku czci poległych bohaterów. Ma to dużą, jak wiadomo, wartość wychowawczo-obywatelską, wybudowaliśmy bardzo ładny stadion miejski wraz z świetnie urządzoną strzelnicą wojskową. Wybudowaliśmy także b. ładne targowisko na których odbywają się nasze wielkie jarmarki bydła.

Burmistrz opuszcza nas na chwilę. Z piętrowego okna gabinetu poprzez drzewa ogrodu widzimy fronton kościoła rakoniewickiego z dwupiętrową białą, kolumnadą.

Właśnie dochodzą do nas stamtąd oddalone głosy pieśni majowego nabożeństwa...

JEDZIEMY DO PRZEMĘTU.

Musimy znowu wrócić do Wolsztyna. Nie jest to przykra konieczność. Wrócimy przecież do Wolsztyna nie tylko z Rakoniewic, ale wrócimy i z Poznania. Na urlopowe wywезasy. Po dni słoneczne na plaży wolsztyńskiej, na wieczory nad jeziorem spędzane...

Skracamy teraz w bok i po pewnym czasie przez prześliczną aleję wyjeżdżamy do Gościeszyna, mijamy rząd kolumn, o których wiemy, że dużo trudu kosztowało Zygmunta Kurnatowskiego skopjowanie autentycznych kolumn peloponeskich. Szelest kół po żwirze zajazdu i stajemy przed wejściem do pięknego pałacu Kurnatowskich. U góry frontonu pałacowego nie herb rodowy a wielkie obywatelskie zawołanie: „Ora et labora...”

Spędzamy miłą godzinę na oglądaniu skarbów pałacu, na rozmowach o przełomowych chwilach państwa, w których, starzec obecnie, Zygmunt Kurnatowski żywy brał udział.

O tych wszystkich rzeczach mówi p. Kurnatowski z młodzieńczym temperamentem, z ogniem w oczach w sposób porywający. Odjeżdżamy z żalem, bo z obejrzenia wielu rzeczy musieliśmy zrezygnować.

Pędzimy teraz drogą z Wolsztyna do Przemętu. Przez chwilę towarzyszą nam z boku za przerzedzoną ścianą drzew blaski złoczonego słońcem jeziora Beżyńskiego. Mijamy Berzynę, Adamowo, Widzim...

Na wysokim gołym pniu, w szczerem polu stoi w swem gnieździe zadumany bociek. Nikną coraz bardziej zbożowe łany Teraz miejsce ich zajęły podmokłe łąki i widok błyszczącego jeziora. Przejechaliśmy wieś Mochy.

Teren dla odmiany robi się piaszczysty. Na piaszczystych wydmach porastają zrzadka drzewa. Wpadliśmy między pierwsze, biedne domki Perkowa. „Napewno się tu nie przelewa“ — konkludujemy wjeżdżając do wsi.

Stajemy przed szkołą powszechną i spędzamy kilkanaście minut na rozmowie z kierownikiem szkoły p. Mączyńskim, serdecznie przez niego podejmowani.

W Przemęcie wpadamy do wójta Śniateckiego, który nam mówi o biedzie ludności przemęckiej, szczególnie części osadniczej tejże ludności. O wzrastającej coraz bardziej wierze w poprawę sytuacji gospodarczej.

W PIĘKNYM KOŚCIELE KLASZTORNYM.

Auto staje przed plebanją. Jest to surowy w wyglądzie domek otoczony ze wszystkich stron ogrodem. Mury grube i mocne mówią, że plebanja przed wielu laty była częścią budynku klasztornego.

W tej kancelarji probostwa, do której weszliśmy mieściła się niegdyś samotna cela zakonna. Wstawał tu o świcie braciszek zakonny, zabierał siekierę czy łopatę i szedł z innymi braćmi pracować nad poprawą ziemi na której osiedli.

Chwila rozmowy z proboszczem przemęckim, o roli zakonu Cystersów w rozwoju kultury wogóle i kultury rolniczej w szczególności o pięknie kościoła przemęckiego i niecierpliwym krokiem przemierzamy ogródek, dzielący plebanję od kościoła. Mieściło tu się niegdyś podwórze klasztorne zamknięte ze wszystkich stron w claustrum. Teraz stoją naprzeciwko siebie dwie części „claustrum“: plebanja i potężny, dwuwieżowy, około 65 me-

trów wysoki kościół klasztorny. Jeden z hełmów wieżowych został z wieży zrzucony przez burzę w r. 1792 i już nigdy nie zabłysnął na osamotnionem ezole jednej z wież.

Odszukujemy w kościele napis głoszący krótką historję pięknej świątyni. Takby mniejwięcej wyglądała: w r. 1278 przywędrowali Cystersi z klasztoru w Paradyżu do Wielenia Zaobrzańskiego i tam pod protektoratem wojewody Benjamina wzniesli kościół i klasztor. Pozostali tam około 140 lat, ażeby w r. 1409 przesiedlić się do Przemętu. Pierwotnie zbudowany przy hojnej pomocy Jagiełły w 1410 kościół nie ostał się i na jego miejscu stanął w 1651 inny który po pożarze w r. 1742 został odbudowany i trwa do naszych czasów z minimalnemi zmianami.

Świątynia poklasztorna, do której weszliśmy, a którą nazywają najpiękniejszym kościołem Wielkopolski czyni na nas ogromne wrażenie. Budowana w kształcie krzyżowej, trzynawowej bazyliki z prostolinijnym zamknięciem chóru we wschodniej części jest skarbcem mieszczącym w sobie bezcenny zabytek barokowej architektury.

Cztery kolumny oddzielają nawę główną od bocznych, dźwigając na sobie 14 pięknych reliefów, przedstawiających „Drogę krzyżową” — Chrystusa.

Szczególny zachwyty budzą rzeźbione w drzewie stalle, ławy klasztorne chóru, oraz tron z boku ołtarza. Wszędzie tu roi się od misternych rzeźb, przedstawiających Apostołów, Ojców Kościoła i dostojników; wszędzie przewija się stały motyw, sztuki Cystersów, ich symbol i herb — lilja wodna. Obraz głównego ołtarza przedstawia Wniebowstąpienie Marji Panny.

Stoimy teraz pod amboną na której wyczelowane są obrazy, przedstawiające fragmenty z życia patrona Zakonu św. Bernarda. Są one w wykonaniu zupełnie szarmonizowane z rzeźbami chóru i stali.

Ogólnie — wewnątrz świątyni przemęckiej wywiera nieodparty urok. Opuszczamy ją pod wrażeniem tego uroku, chwilę spoglądamy na łąki i jeziora, nad którem niegdyś osiedli pracownicy braciszkuwie św. Bernarda.

Wracamy do Wolsztyna, zostawiając z boku niezobaczony „cud” miejscowy — „wyspę konwalji”.

UROCZY WIECZÓR NAD JEZIOREM.

W wędrowce po powiecie uciekł nam i jasny dzień. O zmierzchu więc oglądamy piękny park pałacu hr. Mielżyńskich w Wolsztynie.

A już nocą pogodną i rozgwiażdżoną wybieramy się nad wolsztyńskie jezioro.

Obchodzimy półkolem plantów i aleji krąg wielkiego jeziora. Jest wszędzie tutaj bardzo cicho. Co pewien czas staczam walkę z moim przyjacielem. Zatrzymuje się, bo akurat wśród nadjeziornych drzew otworzyła się piękna daleka perspektywa na jezioro i miasto w dali. Przyjaciel jednak z tajemniczą miną ciągnie mnie dalej.

— To już tu niedaleko — słyszę jego szept. Jeszcze chwila przedzierania się wśród krzewów i drzew. Rozkunkały się już teraz na dobre w wieczornym chórze — żaby.

Kilka kroków po lekko trzeszczącej podłodze tarasu i pociągnięty ręką przewodnika siadam na krześle. Opieram się na poręczy balustrady.

U moich stóp szmerzą dyskretnie fale jeziora. Na fali kładą się blaski księżycy, migocą refleksy dalekich słabych światel miasta z drugiej strony jeziora, ciemnym rysunkiem kompleksów domów na niebie zarysowanego.

Daleko, z boku ciemnieje piękna wysepka, cel ciągłych wędrowek kajakowych Wolsztyniaków.

Mijają długie chwile. Siedzimy nie do siebie nie mówiąc. Zastłuchani w wieczorny koncert żabi i zapatrzeni w drugie gwiaździste niebo, które nam jezioro położyło u stóp.

W NOWYM TOMYŚLU, STOLICY NADGRANICZNEGO POWIATU



Wsiadamy na schludnym, czystym dworcu nowotomyskim. Stwierdzamy fakt, który jest przykry dla miasta i dla nas. Dworzec kolejowy znajduje się zdala od miasta. Niema czasu na wylewanie łez z tego tytułu. Wsiadamy więc do nadwątlonego już, leciwego autobusu i za chwilę podskakujemy z nim na dość długiej drodze z dworca do miasta. Samo miasto jest uderzająco czyste. Wreszcie zaczynają się szeregi domów i domków, przed którymi defilując, próżno nasz podskakujący autobus usiłuje utrzymać powagę. Wjechaliśmy na jeden z rynków Nowego Tomyśla. Czysty, ładnie wybrukowany. Jedziemy dalej. Patrzymy na szyldy sklepów. Roi się od nazwisk niemieckich. Nietrudno stwierdzić, że kupiectwo polskie ciężką tu walkę staczać musi ze zorganizowanym handlem niemieckim.

Zatrzymujemy się na drugim rynku, na środku którego stoi okazały, charakterystyczny budynek magistratu miasta Nowego Tomyśla.

Po chwili idziemy bardzo czystymi ulicami miasta do starostwa. Małe domki poprzytulały się do siebie zwarecie, że ledwo od czasu do czasu z pomiędzy dwóch sąsiadów wychyla się i zwisa nad chodnikiem gałąź obsypana kwieciem bzu albo jabłoni.

O ROZMACHU PRACY W POWIECIE

informuje nas szczegółowo p. starosta dr. Cichocki.

Ładny budynek starostwa stoi tuż za miastem. Z okien jego widać po drugiej stronie za kortami tenisowymi falujące łany żytnie.

P. starosta dr. A. Cichowski pracuje właśnie w gabinecie. Chwila wstępnej pogadanki.

— A teraz zaczniemy mówić o powiecie, Panie Starosto?

— Obszar mego powiatu wynosi 1.272,5 km², granica na linji około 39 km. Ludności — 88.455, z tego na miasta przypada 24908. Imponującą pozycją dorobku polskiego jest porównanie stosunku narodowościowego. Już według spisu ludności z 1931 r. wynikało, że Polacy tworzą 81% ludności, a Niemcy — 18,0%; stosunek ten obecnie jeszcze bardziej zmienił się na korzyść pozycji polskiej. Z tej mapki narodowościowej, którą pan redaktor widzi wynika, że największe skupienie ludności niemieckiej spotykamy w północno-zachodniej części powiatu i w rejonie Nowego Tomyśla.

Gorzej przedstawia się stosunek narodowościowy, jeśli chodzi o stan posiadania. Ale dużo się u nas pracuje nad przemianą tego stosunku w kierunku podniesienia stanu polskiego posiadania. Dużo zasługi na tem polu ma Zw. Obr. Kresów Zachodnich.

— A teraz krótki zarys gospodarezy powiatu, Panie Starosto.

— Więc cyfry: z 125.136 ha powierzchni naszego powiatu przypada na własność polską 73.665, czyli 66,4%. Jeśli chodzi o ilość gospodarstw rolnych, to stosunek pozostaje podobny.

Pod względem gospodarczo-ekonomicznym jest nasz powiat powiatem o wybitnej przewadze rolnictwa nad innymi gałęziami gospodarczymi. Posiada dobrze rozwinięte jedynie przemysł związany z rolnictwem, a więc cukrownię, gorzelnię, browary, młyny, tartaki i mleczarnie. W samym Nowym Tomysłu mamy poza tym fabrykę żarówek i bekoniarnię.

— Jak wygląda kultura rolna powiatu nowotomyskiego?

— Stoi ona na dość wysokim poziomie (system gospodarstwa intensywnego) przy ziemiach przeciętnie średnich, a miejscami nawet dobrych.

Na uwagę zasługuje uprawa chmielu i wikliny, co dzieje się u nas na dużą skalę. Dobrze także postawiona jest kultura lasów, których mamy 27.724 ha.

— Stan powiatu pod względem komunikacyjnym zdaje mi się być bardzo dobrym?

— Mamy 5 linii komunikacyjnych kolei państwowych, 3 linie kolejki prywatnej, 9 linii dróg bitych.

— Chcielibyśmy skolei usłyszeć o sprawie bezrobocia w powiecie?

— Mamy około 2.400 bezrobotnych w całym powiecie. W okresie letnim stan ten maleje, by przybrać na sile zwłaszcza w zimie i na początku wiosny. W ubiegłym roku w celu łagodzenia klęski bezrobocia, powołanych zostało do życia 14 komitetów lokalnych (6 miejskich i 8 wiejskich) z Komitetem Powiatowym na czele. Wartość pomocy udzielonej w naturze i pieniądzu wyniosła w r. 1932/33 około 30 tysięcy zł, t. j. była o 50% mniejsza, niż w r. 1931/32. Przebieg bezrobocia w minionym okresie był łagodny, przy zupełnie spokojnym nastroju robotników.

Sama akcja była bardzo sprężyste zorganizowana. Fundusze pieniężne szły w pierwszym rzędzie na dożywianie dzieci, co robiło się w szkołach. Reszta szła na roboty koło dróg, co istnieje jeszcze do dzisiaj. Komitety poszczególne rozdzielały dary w naturze, które zresztą były przez bezrobotnych odpracowywane.

— Kilka słów o życiu społecznym, kulturalnym i towarzyskim?

— Skupia się ono proszę pana w różnych organizacjach zawodowych, jak: towarzystwo restauratorów, przemysłowców, cechy rzemieślnicze, Towarzystwo Kupców Samodzielnych, Związek Włościański, kółka rolnicze, towarzystwo kolejarzy i t. p. kulturalno-oświatowych jak: Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, Tow. Kobiet Pracujących pod wezw. św. Jadwigi, Towarzystwo chórów kościelnych, Czytelnie Ludowe, Kółka oświatowe i t. p. charytatywnych jak Komitety do spraw bezrobocia, Tow. św. Wincentego à Paulo.

Wniosek, który się nasuwa przy obserwowaniu tego życia zbiorowego w powiecie to fakt, że istnieje u nas niewątpliwy i moim zdaniem szkodliwy przerost ilościowy organizacji. Dość powiedzieć, że Grodzisk, jedno z naszych miast, na 6.200 mieszkańców, ma przeszło 70 organizacyj.

— A teraz na zakończenie może Pan Starosta powie o jakiejś radosnej obserwacji?

— Te radosne refleksje nasuwa proszę Pana obserwowanie życia gospodarczego. Obudził się wszędzie pewien optymizm gospodarczy i rozszerza się z dnia na dzień przekonanie, że idą czasy lepsze, że kryzys się „wykańcza”. Powód do tego uczucia daje fakt, że z jednej strony podniosły się ceny produktów rolnych, z drugiej zaś strony uległy niższe ceny produktów przemysłowych.

Żegnamy gospodarza, o którym nam w mieście i powiecie mówić będą, jak bardzo dla swego powiatu pracuje, jak każdą akcją kieruje osobiście, wkładając w nią całe swe doświadczenie i dużo pracy.

MAGISTRAT, KTÓRY REZYGNUJE DOBROWOLNIE Z PODATKÓW.

Dowiadujemy się ciekawych rzeczy od zastępcy burmistrza, p. Wydry.

— Jeśli chodzi o historję Nowego Tomysła, to nie sięga ona daleko w przeszłość. W r. 1786 akt erekcyjny króla Stanisława Augusta powołuje do życia miasto Nowy Tomysł; w r. zaś 1788 nadaje ówczesny właściciel Nowego Tomysła, Feliks hr. Szodrski, syn starosty łączyckiego, prawa obywatelskie mieszkańcom Nowego Tomysła. Stąd też pochodzi herb miasta — Łozdia, który jest herbem Szodrskich.

Potem przyszły inne przywileje i, miasto rozpoczęło się normalnie rozwijać.

— Jak wygląda obecnie Nowy Tomysł, zaczynając od jego stamu gospodarczego?

— Miasto nasze liczy 2657 mieszkańców, w tem 1797 rzym.-kat. wyznania, 823 — ewangelików i 37 — wyznania mojżeszowego.

Ogólny majątek miasta wynosi 1.140.500 zł, z bardzo niewielkiem zadłużeniem 62 tysięcy zł dŁugu, zresztą przedwojennego jeszcze; sŁą to długoterminowe pożyczki inwestycyjne, zaciĄgnięte w latach 1910, 1912 i 1914.

Na majątek miejski składają się: ratusz, gazownia, wodociĄgi, budynki szkolne i 4 budynki magistrackie. Poza tem posiada miasto ładny park miejski.

Charakterystycznem u nas jest to, że nie pobieramy całego szeregu podatków, przede wszystkim więc obrotowego, od nieruchomości, od placów niezabudowanych, od sprzedaży trunków alkoholowych, od ładunków kolejowych i szeregu innych. Jest to zwłaszcza w czasach kryzysowych ogromną ulgĄ dla obywateli miasta.

Mimo to miasto duŁo wydaje rokrocznie na inwestycje: w r. 1930 na pobudowanie łazienek — 20.925 zł, w r. 1931 na przebrukowanie ulic, poŁożenie chodników, na strzelnicę Braetwa Kurkowego, w r. 1932 na inwestycje, zwiĄzane z urzĄdzeniem gazowni miejskiej.

— Jak przedstawia się przemysł i handel Nowego Tomysła?

— Jeśli chodzi o handel, to mamy u nas przede wszystkim handel drobny; poza tem bardzo oŁywione jarmarki wielkie, których jest 6 rocznie, a co tydzień odbywają się takŁe z duŁĄ frekwencjĄ jarmarki tygodniowe. Kwitnie u nas handel bydŁem, nierogaciznĄ, poza tem rozwinięty jest handel wyrobami wiklinowemi, skup jaj i owoców.

Przemysł nasz reprezentują: fabryka żarówek „Żar”, fabryka cukierków, mebli, tartaki parowe, mŁyny, olejarnia, fabryka maszyn rolniczych, browar i fabryka wyrobów drutowych.

Dawniej sŁynął Nowy Tomysł z plantacyj chmielu, który odznaczał się niezwykle łynym aromatem. Produkcja jego w r. 1931 wyniosła 60.000 kg. Magistrat rokrocznie przeznaczala nagrody dla dwóch najlepszych producentów.

— Jak zŁoŁaliśmy zauwaŁyć, Nowy Tomysł jest niezwykle czysty.

— A tak, bardzo dbamy o porzĄdek i estetyczny wyglĄd miasta; utrzymujemy w tym celu specjalnie 10 zamiataczy miejskich, na pensjĘ których Magistrat przewidzala w budŁecie miejskim 12.000 zł. W ten sposŁb 10 bezrobotnych ma staŁe zatrudnienie.

Jeśli chodzi o opiekę spoŁecznĄ to w budŁecie rocznym przewidzamy 14.000 zł na stareców i biednych. Dostają oni po 36 zł miesiĘcznie, co jest sumĄ bardzo powaŁnĄ.

— Czy miasto odczuwal jakies szczególne bolĄczki?

— Tak. Przede wszystkim nie mamy wody. Poza tem staramy się o zbudowanie stadionu miejskiego, boiska dla dzieci i targowiska.

Żegnamy energicznego kierownika spraw miejskich, Życząc miastu dalszych sukcesów w pracy spoŁecznej i gospodarczym rozwoju.

DO LWÓWKA — MIŁA WĘDRÓWKA.

Nazajutrz weczesnym ranem wyjeżdżamy do Lwówka. Maszyna równiutko „pokrywa” szosę, motor szumi rytmicznie, w przydrożnych drzewach wrzeszczą, jak opętane, ptaki, a na wszystko spływają z niebieskiego nieba potopy pierwszych letnich słonecznych promieni.

Minęliśmy strzelnicę P. W., potem już zdala za miastem położony cmentarz ewangelicki. Pojawiły się po bokach szosy piaszczyste wzgórza i znikły. Teraz naokoło panoszy się równina z wysokim już rozfalowanym zbożem. W pewnej chwili gasną nam w oczach blaski słoneczne — ogarnął nas gęsty, liściasty las. Minęła chwila jazdy w ciemnym tunelu drzew. Auto stanęło szybko i niespodziewanie. Wyszliśmy.

Kilka kroków po zboczu nasypu szosy i oto stoimy pochyleni nad pagórkiem o regularnym kształcie, obsypanym fiołkowym kwieciami. U węgłowia prosty napis bez nazwiska i imienia „grób powstańca z 1863 r.”. Zdala od gwaru miasta, od pokrzyków wsi, w szumiącym, ciemnym lesie...

Pędzimy dalej; minęliśmy Bolewice. Tuż za wsią wychynęły przed naszymi oczyma wysoko już wzniesione w szczytach polu ściany budującego się kościoła.

Potem zostaje za nami jeszcze Grońsko, zjawiają się pierwsze domy Lwówka, po lewej stronie szosy duży tartak, po prawej mijamy żwirownię i oto jesteśmy we Lwówku.

DOKĄD IDZIESZ? — NA LWÓW !...

Rozmawiamy o kolejach nazwy i losu Lwówka z burmistrzem, p. Schmidtem.

Z młodego miasta, jakim jest stolica powiatu — Nowy Tomyśl, wpadliśmy do sądziwego Lwówka, który w swoim długim żywocie zdążył już kilka razy zmienić nazwisko i wygląd.

P. burmistrz Schmidt, u którego właśnie siedzimy, powyciągał stare dokumenty i nowe broszury. Siedzimy teraz nad tem i wyciągamy na słoneczne światło dnia rzeczy ważne.

Że do r. 1414 na miejscu dzisiejszego schludnego miasteczka istniały dwie wsie: Woyszyno i Wiciewyszyno. Że król Władysław Jagiełło zezwolił w tym właśnie roku wojewodzie poznańskiemu Sędziwojowi Ostrorogowi na połączenie obu wsi i utworzenie jednego miasta. Że miasto miało otrzymać nazwę jednej z wsi.

Miasto jednak wyrosło sobie pod bokiem wsi i otrzymało nazwę „Lwów”.

— Jeszcze dzisiaj istnieje stara dzielnica miasta, o której słyszy się taką rozmówkę: gdzie idziesz? — na Lwów! — wyjaśnia nam burmistrz.

W miejsce nazwy „Lwów” przyjmuje się w I połowie XVI w. nazwa „Lwówek”. Przytem od początku obok tego — występowała inna nazwa „Nowe Miasto” (nova civitas, Neue Stadt). Tyle co do nazwy.

W r. 1419 otrzymało miasto przywilej erekcyjny z rąk Sędziwoja Ostroroga. Rzadkim zabytkiem archiwalnym jest zbiór korespondencji z 18 w. kierownictwa do panów miasta i vice versa.

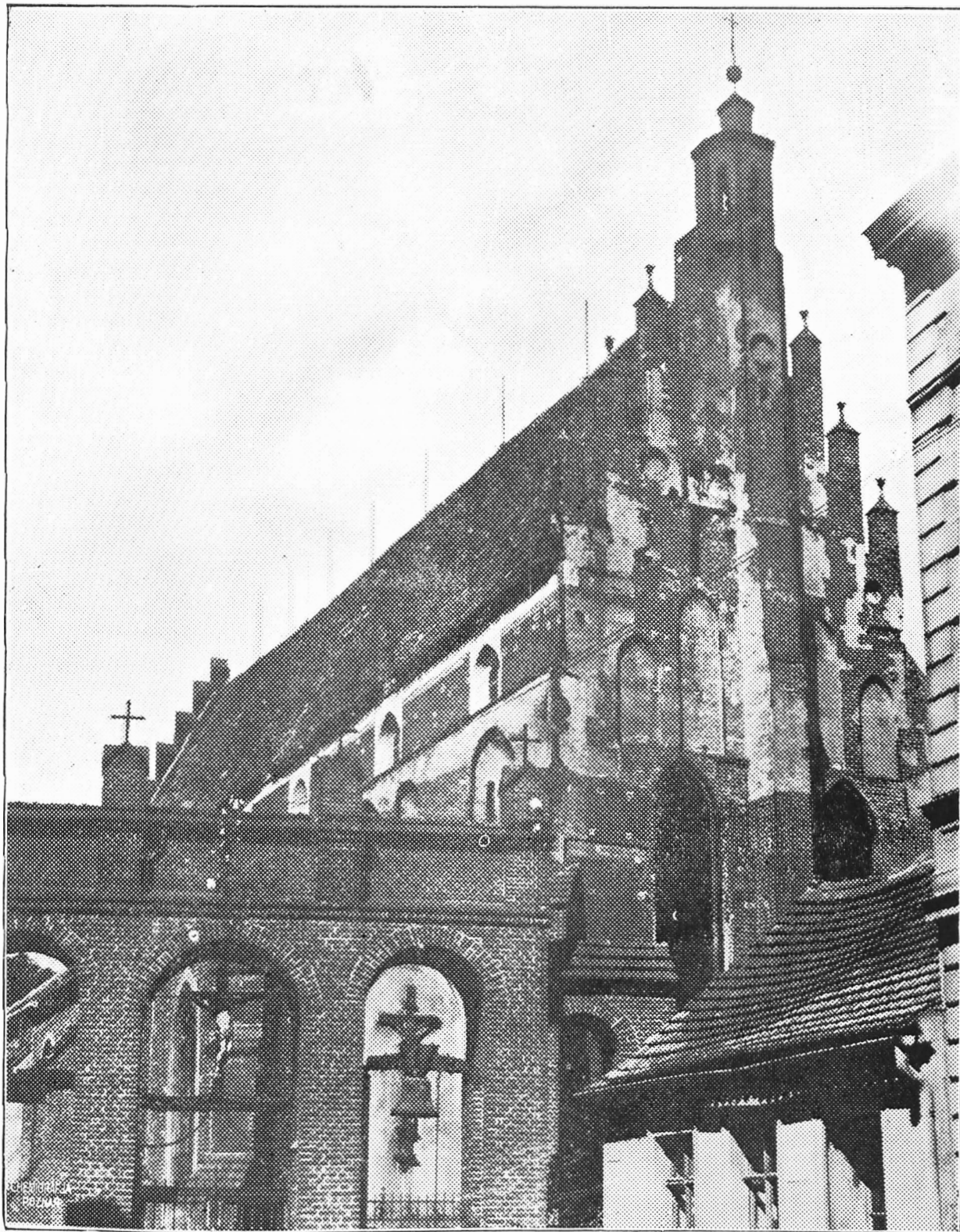
Panowały Lwówkowi wielkie, możne rody magnackie i szlacheckie.

Od zarania swego istnienia żyło miasto bardzo intensywnym życiem swego rzemiosła i handlu. Odbywały się we Lwówku wielkie jarmarki o olbrzymiej, jak na owe czasy, frekwencji.

— Jak wygląda „dzień dzisiejszy” Lwówka, Panie Burmistrzu?

— Jeszcze dziś, proszę pana, mamy w naszym mieście sześć bardzo ożywionych jarmarków kramnych oraz na bydło i konie.

Dziś jednak miasto gospodarczo się nie rozwija, nie ma bowiem normalnych warunków rozwojowych. Jesteśmy naokoło otoczeni majątkami hr. Łąckiego, który na potrzeby swych majątków ma własne warsztaty rzemieślnicze i przemysłowe, tak, że nasz handel i rzemiosło nie mają zaplecza gospodarczego. Warto zaznaczyć jednak, że w ostat-



DZWONY KOLEGJATY SZAMOTULSKIEJ.

Pobożny lub szamotulski w wioskach słucha, gdy 6 dzwonów pięknej gotyckiej kolegiaty szamotulskiej śpiewa zgodnym, potężnym chórem pieśń hołdu dla Najświętszej Panny:
„Witaj śliczna i dziedziczna Szamotuł Pani”.



nich latach miasto nasze zyskało żywy kontakt ze światem dzięki wprowadzeniu regularnej i sumiennie obsługiwanej prywatnej linii autobusowej, posługującej się luksusowym autobusem „Minerwa” i drugim wozem „Chevrolet”. Odpadło w ten sposób pewne komunikacyjne upośledzenie Lwówka, leżącego zdala od głównych linii kolejowych.

— A jednak słyszałem, Panie Burmistrzu, że przez 12 lat pańskiego kierowania losami miasta, nie tylko się ono nie zadłużyło, ale nawet spłaciście stare długi.

— Jesteśmy rzeczywiście o tyle wyjątkowym zjawiskiem wśród miast, że nie mamy żadnych długów.

— A teraz ogólnie o majątku miasta.

— Majątek Lwówka wynosi ca 500.000 zł. Składają się na to różne objekty, jak: 162 morgi roli, gazownia, 3 szkoły, ratusz, nowy dom ubogich, strażnica z przyrządami dla straży pożarnej. Ponadto posiada miasto piękny park miejski dziewięciomorgowy oraz boisko sportowe.

— Czy dużo rzeczy nowych zrobiło miasto za czasów urzędowania Pana Burmistrza?

— Wybrukowaliśmy 3 nowe ulice, zasadziliśmy 5 alei o ogólnej ilości 2.000 drzew owocowych. Położyliśmy nowy wielki chodnik do drugiego kościoła św. Krzyża. W najbliższym czasie mamy zamiar budować nową targowicę.

Jeszcze odnośnie ogólnych danych o Lwówku: jak pan tu widzi, mamy w pieczęciach choćby najstarszych miasta w herbie swoim lwa. Ludności obecnie Lwówek liczy 2543, przyczem jest ona w 96% polską.

— Jak wygląda u was bezrobocie?

— Zimą miewamy do 140 bezrobotnych, ale ponieważ społeczeństwo miejscowe jest bardzo ofiarne, więc możemy im udzielić wydatnej pomocy, otrzymując wzamian jako rekompensatę — pracę. Teraz mamy w mieście 80 bezrobotnych, których w różny sposób zatrudniamy. Dlatego nasi bezrobotni są bardzo spokojni i los swój z rezygnacją a pomoc naszą z wdzięcznością przyjmują.

Wniosek z tego taki: nie jesteście miastem wielkiem, ale życie i życie oszczędne i pracowite.

PÓŁ GODZINY PO MIEŚCIE.

Z uprzejmym p. burmistrzem wybieramy się następnie popatrzeć na miasto. Najpierw więc trzeba zobaczyć stary kościół we Lwówku. Wąskimi, bocznymi uliczkami podchodzimy do frontowych drzwi kościelnego cmentarza. Stary kościół ma trochę dziwny wygląd na pierwszy rzut oka. Wrażenie to spowodowane jest brakiem wieży.

Spędzamy w wnętrzu świątyni kwadrans na oglądaniu rzeczy pięknych, a potem znowu wędrówka w ciche miasteczko. Potem przelatujemy około znikających szybko domków i znajomą już drogą pędzimy do Nowego Tomysła.

TAM, GDZIE ŻYCIE TĘTNI MOCNYM PULSEM PRACY OBYWATELSKIEJ I SZCZEREJ PATRYOTYZMU.

Znikł nam już z oczu dworzec nowotomyski. Mijamy Jastrzębsko. Pociąg szybkim trucheikiem unosi nas coraz bliżej Zbąszynia. Wiemy, że żadne z widzianych dotąd nadgranicznych miast nie miało w sobie tak wyraźnego i żywego charakteru granicznego jak miasto, do którego szybko pędzimy po dwu liniach kolejowych szyn. Zbąszyń — wrota, przez które wjeżdżają we włości Rzeczypospolitej mniej i więcej przyjemni goście, których gościnna ziemia polska z jednaką, znaną uprzejmością przyjmuje.

Przez wrota te wyjeżdża w świat po rynek zbytu — polski kupiec, po obserwacje i wrażenia polski globe-trotter, po studia w starych bibliotekach zachodniej Europy — polski uczony.

Wiemy zgóry i jeszcze jedno, że w Zbąszyniu spotkamy ludzi, którzy na tej bardzo ważnej placówce polskości pracują nad polską sprawą z zakasaniem rękawami, twardo, konsekwentnie, nieustępliwie.

Cieszymy się zgóry na rozkosz rozmowy z ludźmi o duszach, oddanych wyłącznie sprawie patrijotycznej.

Ale oto zajaśniały na lewo przed nami blaski wielkiego jeziora Zbąskiego, potem zaśnił jasny wielki gmach dworca i pociąg stanął przy dworcowym peronie.

Przypatrzmy się jeszcze dziś dokładnie ślicznemu reprezentacyjnemu dworcowi zbąskiemu, ale teraz jedziemy do burmistrza Ferfeta.

MIASTO LUDZI PRACY.

Zbąszyń nie ma bezrobotnych — mówi nam niezwykle energiczny i zapobiegliwy gospodarz miasta p. burmistrz Ferfet.

Szofer, który nas wiezie do burmistrza nie może się powstrzymać od chęci wypowiedzenia się co do osoby burmistrza. Wychwała więc w prostych, szoferskich słowach mądrość i energję ojca miasta.

Zajechaliśmy przed Magistrat. Uprowadzony przez nas p. Ferfet czeka na nas w gabinecie. Odrazu przy powitaniu widać, jak się cieszy z naszego przyjazdu. Radość ta udziela się nam i już za chwilę zatopieni jesteśmy w rozmowie o żywym nurcie życia w zbąskim bastjonie polskości.

— Ale najpierw musimy pomówić trochę o historii Zbąszynia.

— Więc piszą kroniki, że w XIV w. zajęli Zbąszyń na krótki czas Brandenburczycy. Zbąszyń tworzył wówczas kasztelanję pograniczną. Przemysław I buduje zamek obronny. Kazimierz Wielki otoczył zamek wałami obronnymi i fosą, by obronny zamek oddać swemu synowi z Esterki — Abrahamowi. Od tego ostatniego wywodzi się sławny ród Zbąskich. Najwybitniejszym członkiem tego rodu był Abraham Zbąski w XV w., który wraz z Spytkiem z Wolsztyna był głową sekty husyckiej w Polsce.

Potem panami Zbąszynia stali się Ciświccy. Przyszły czasy burzliwe, które trawiły nasz kraj „ogniem i mieczem”. Jeden z Ciświckich, kasztelan śremski w r. 1627 wzmacnił i rozbudował zamek obronny. Niewiele to pomogło, bo haniebna ugoda w Ujściu oddała w r. 1655 zamek w ręce Szwedów, którzy z zamku wywieźli broni za złotych polskich 500.000.

Ciświccy także ufundowali szpital katolicki, w którym według przywileju fundacyjnego miało znaleźć przytułek 12 starców. „Mieszczanie i mieszczki spracowani albo kalectwem uwiedzeni albo też z majątności zbąskiej poddani”. Los kazał teraz mnie kierować tym szpitalem. Do pomocy w zarządzie mam 3 obywateli Zbąszynia, pp.: Zuwałskiego, Frackowiaka i Szaferskiego.

Po Ciświckich przyszli Garezyńscy, z których Edward ufundował w 1756 r. piękny nasz rokokowy kościół. Po Garezyńskich majątek przechodził z rąk do rąk, a gdy wpadł do rąk Niemki Jadwigi Klitzing, ta w r. 1907 kazała sprowadzonym przez siebie saperom niemieckim piękny historyczny zabytek polski, dobrze jeszcze wówczas zachowany zamek zbąski zrównać z ziemią.

Ale na ziemi dookoła ruin zamku, na ziemi skropionej obficie krwią powstańców zakwitło bujnie polskie życie i przetrzebiło Klitzingów i innych Niemców. Teraz Zbąszyń jest zupełnie polskim miastem.

— Bardzo ciekawe są dzieje Zbąszynia, Panie Burmistru. A teraz Zbąszyń dzisiaj ma głos.

— Miasto Zbąszyń, które liczy około 6.000 mieszkańców objęte zostało przez władze polskie w myśl traktatu wersalskiego dn. 17 stycznia 1920 r. i od dnia tegoż stanowi główny punkt graniczny, handlowy dla eksportu i importu polsko-niemieckiego. Przed objęciem przez władze polskie Zbąszyń był znany jako jedno z najbardziej zniemczonych miast w b. zaborze pruskim. Żywiłowy rozwój polskości Zbąszynia za czasów niepodległościowych doprowadził wręcz do przeciwnego stosunku narodowościowego. Mamy teraz mały odsetek Niemców.



ZBASZYŃ.

W murach starej świątyni strzeżonej dwoma dumnymi wieżycami kryje się skarb: cudowny obraz Matki Boskiej Zbąskiej.



Z uwagi na reprezentacyjne znaczenie Zbąszynia wybudowany został za czasów polskich już piękny, okazały dworzec kolejowy z własną elektrownią, urządzeniami celnymi i t. p.

— Stan gospodarczy miasta, Panie Burmistrzu.

— Majątek miasta wynosi około 2.000.000 zł. przy zadłużeniu około 330 tysięcy zł. Na majątek nasz składają się: lasy miejskie, łąki, 12 domów mieszkalnych, gazownia, szpital miejski, wielki stadjon sportowy, nowe piękne łązienki nad jeziorem.

— O bezrobociu niedługo nam Pan Burmistrz będzie mówił.

— A tak. Cieszę się, że bardzo krótko. Poprostu Zbąszyń jest jednym z niewielu miast, które nie mają bezrobotnych. Zatrudniliśmy ich wszystkich dzięki nadzwyczajnej ofiarności naszego społeczeństwa.

— Ale zato, o ile zdołaliśmy się już zorjentować, długa będzie nasza pogawędka o wielkim dorobku Zbąszynia.

— To także powód do radości. Kilka pozycji w naszym dorobku wyróżniają się na pierwszy plan. Wśród łązienki miejskie. Mieliliśmy wielkie, piękne jezioro, mieliśmy Obrę, a jednak wartości zdrowotne plaży były dla nas niedostępne. Zarząd miasta, idąc po linii usuwania najdotkliwszych braków, wybudował w roku 1932 łązienki miejskie. Walcząc z trudnościami finansowymi, wybudowaliśmy i oddaliśmy miastu na użytek łązienki o 20 kabinach pojedynczych, 2 dużych, wspólnych, plażę o rozmiarze ca 450 m² i pomoście długości 106 mtr. Przy pomoście 2 ślizgawki i skocznia o wys. 6 mtr.

Drugą bardzo ważną pozycję dorobku naszego miasta stanowi wybudowanie w roku 1933 mostu, który prowadzi nad rzeką Obrą, o długości 34 mtr. i szerokości 6 mtr. Przerzucił on miasto na drugą stronę Obrę i pozwoli wreszcie kiszec, jaką z lotu ptaka tworzy Zbąszyń rozrosć się, spotężnić wszcz.

Trzecim punktem dorobku naszego jest wielki stadjon miejski. Zbudowany on został za składowe pieniądze całego społeczeństwa Zbąszyńskiego i z subwencji, udzielonych przez Magistrat i Wydział Powiatowy w Nowym Tomysku. Jest to zupełnie nowoczesnie urządzone stadjon, z kortami tenisowymi i ogródkiem jordanowskim z boku. Ma to dla wychowania fizycznego naszej młodzieży ogromną wartość.

Wartość znowu gospodarczą, wielką dla miasta posiada wybudowanie rynku, co zrobiliśmy minimalnym sumptem, dzięki wyzyskaniu specjalnego surowca i naszych bezrobotnych. Na miejscu dawnego rynku, rojącego się od wyrw, dołów, stoi jak pan zobaczy pięknie zniwelowany i bardzo trwały plac rynkowy.

Pozatem położyliśmy moc chodników, wybrukowaliśmy lub przebrukowaliśmy 10 ulic, posadziliśmy w zeszłym roku 800 drzewek itd.

— Dorobek naprawdę imponujący; a teraz jeszcze o P. W. i W. F., o czym jako kapitan W. P. w st. sp. pamięta Pan napewno.

— Po oswojeniu Zbąszynia zawiązały się liczne organizacje P. W. i W. F., które stale się rozwijają, przygotowując szeregi dzielnych, wyrobionych młodych ludzi, gotowych na zawołanie.

Reasumując wszystko muszę stwierdzić, że miłą jest rzeczą współpracować z takim społeczeństwem, które docenia w najwyższym stopniu wartość i potrzebę obywatelskiej pracy dla Państwa i jego potęg.

— A my ze swej strony na ręce Pana Burmistrza składamy serdeczne gratulacje i życzymy dalszego rozwoju.

PRZED OBRAZEM CUDOWNYM MATKI BOSKIEJ ZBĄSKIEJ.

Rozmowa z ks. dziekanem Płotką.

Po drodze pokazuje nam p. burmistrz b. miłe skwery, pełne kwiatów i zieleni, także dorobek ostatni miasta, chwilę patrzymy na nowowbudowany rynek, my z podziwem a p. Ferfet ze słuszną dumą.

Ks. dziekan, wybitny działacz społeczny i zasłużony patron Towarzystwa Opieki nad Emigrantami przyjmuje nas z ujmującą gościnnością.

Przez długie chwile rozmawiamy w gabinecie o starych dziejach Zbąszynia. W pewnej chwili ks. dziekan wyciąga z biblioteki stare dokumenty odręcznie pisane przed wiekami „cum sigillo” i podpisane „manu propria” ze zwisającymi pieczęciami.

Czytamy np. dokument statutowy z r. 1737 nadawany Bractwu Kurkowemu w Zbąszyniu przez ówczesnego — Andrzeja Garczyńskiego. Czytamy poszczególne „capita” i niezawsze możemy powstrzymać się od śmiechu.

Bo oto jeden z rozdziałów głosi np.:

„Inquantum by któremu bez nagotowania się strzelba z nieostrożności puściła otrzymać może strzelanie a jeżeli by się trafiło że jusz na gotowany to przepada. Także gdy mu po trzy razy przytknie albo z panewki spali. Ochraniając nieszczęścia powinien strzelbę na stronę ustawić asz drugi wystrzełił... Śmieje się ks. dziekan z tego trzykrotnego psztykania i puszczenia się strzelby, śmiejemy się i my z burmistrzem.

Potem idziemy do kościoła. Naokoło dawnej kolegiaty rozsiadły się małe drewniane domki, z których niektóre mają już po lat 150. Spoglądamy z pewnej odległości na kościół. Piękna, rokokowa fasada z lecącymi w niebo dwoma strzelistymi wieżami lśni teraz swoją bielą w słońcu południa.

W białej tonacji utrzymane jest także wnętrze kościoła, odnowione przez ks. dziekana Płotkę. Wywiera to szczególny urok. W górze fasady czernieje ciemna rzeźba Kazimierza Wielkiego, rzecz b. wartościowa, ufundowana podobno przez królewskiego basterda z Esterki Abrahama Zbąskiego.

Wehodzimy do wnętrza kościoła. Uderza jego dziwna konstrukcja, rozplanowana w powierzchni nieregularnego koła. Dlatego kościół jest taki jasny, prześwietlony i wszystko wydaje się w nim pierwszoplanowe. Stoimy chwilę przed obrazami fundatorów Edwarda Garczyńskiego i jego żony Katarzyny z Radolińskich. Postacie obie na tle dwuczłonowych, koszmarnych emblematów i symboli śmierci. A potem kłękamy. Bo oto z eichym szumem osunęła się srebrna sukienka, zakrywająca cudowny obraz i wyjrzało ku nam, kłęczącym słodkie oblicze Matki z Dzieciątkiem. Chwila zamyślenia. Zakrystjan przynosi nam świece. Odwalamy płytę, przykrywającą wejście do garderoby i z zapalonymi świecami zstępujemy do starych podziemi. Migocą, drżąc słabe światelka świec. W blasku ich rysują się mgliste kontury naszych postaci i kształtów wielu trumien. Kościelny odsuwa wieko po wieku. Wyglądają ku nam wyschłe głowy ubrane w kołpaki i barwne jeszcze czasem czapy. Zamigocze czasem jeszcze świeżą barwą, delja albo kontusz. Czasem patrzą na nas suche już czaszki ciemnymi oczodołami.

Leżą tu zwłoki Garczyńskich, m. in. wojewody poznańskiego Garczyńskiego, autora dzieła o reformie Polski p. t. „Autonomja Rzeczypospolitej”.

Wychodzimy z grobowców, opuszczamy i kościół i z rozkoszą chwytamy w oczy blaski słonecznego dnia.

ZBĄSZYŃSKIE ROZMOWY.

NA STRAŻY SKARBU PAŃSTWA I POLSKIEGO PRZEMYSŁU.

Rozmowa z kierownikiem urzędu celnego, p. Sobańskim.

O kilkaset metrów od dworca, przy szosie, wiodącej na „tanią drogę”, stoi ładny domek, ukryty wśród zieleni i kwiatów. To biura urzędu celnego. W gabinecie kierownik p. Sobański rozmawia z Poznaniem. Stuelawka na widelkach. Serdeczny uśmiech, krótka prezentacja, trochę wesołej rozmowy. A potem:

— Czy szosą, którą tam widać za oknem, odbywa się poważny ruch międzynarodowy?

— Nie, proszę pana, szosa ta służy tylko do t. zw. „małego ruchu granicznego”, a więc dla ludzi, posługujących się przepustkami, więc bez bagażu i towaru.

Zdarza się, że czasem zabłąka się tu do nas jakie auto z korpusu dyplomatycznego. Wówczas odbywa się tu u nas odprawa celna. Ale to jest rzadkość. Właściwą naszą rolą jest celna obsługa ruchu kolejowego dworca zbąszyńskiego.

Do tego celu mamy u siebie 60 urzędników i personelu niższego.

— Praca urzędników celnych jest naogół niedoceniana, Panie Kierowniku.

— Właśnie, a jest to praca ciężka i wyczerpująca. A trzeba Panu wiedzieć, że ci ludzie, którzy przyjeżdżają z zagranicy i wiozą coś ukrytego w nadziei, że uda im się rzecz ukryć przed okiem celnego urzędnika, używają niezwykle chytrych nieraz sposobów, by nas wyprowadzić w pole. Nasza praca to teren ciągłej walki, bezkrwawej coprawda, ale bardzo wytężonej i wyczerpującej. Przemysłność i wyszkolenie urzędnika celnego walczy tu z chytrą i rutyną „szwarcującego”.

Gdyby pan poszedł teraz na dworzec, zobaczyłby pan w sali rewizyjnej wielką klatkę z ptakami a przy niej kręcącego się urzędnika. Zdziwiłaby pana ta obserwacja przejrzystej klatki. A jednak jest to uzasadnione. Swojego czasu głośna była epidemia choroby papuziej. Został więc zakazany import papug. I zdarzało się, że w klatce pełnej ptaków egzotycznych była ukryta komórka, w której siedziały papugi.

Umysł celnika musi znajdować się w ciągłym napięciu. Nie wystarczy mu też zwykła rutyna. Musi być pełen inwencji, by móc przewidzieć perfidne nieraz sposoby walki oszustów.

Wogóle mamy tu bardzo trudne zadanie, tem trudniejsze, że przez Zbąszyń odbywa się bardzo silny ruch osobowy.

Nasza dzienna odprawa wynosi około 650 osób. (W czasie P. W. K. dochodziła do 1000 osób dziennie).

Nabrałby pan właściwego wyobrażenia naszej pracy, gdyby pan zechciał być obecny w nocy, gdy przyjeżdża międzynarodowy ekspres i trzeba „odprawić” 450 osób w przeciągu 55 minut. Oczywiście nie może być mowy w tych warunkach o dokładnym, szczegółowym badaniu. Tu już zostawia się urzędnikom do pewnego stopnia wolną rękę: kogo podejrzewają tego bagaż poddaje się rewizji. Nasi urzędnicy poza niezwykle pracowitością i ofiarnością, mają w tem zresztą dużo wyczucia i rutyny.

Notabene gros rewizji odbywa się w pociągu. Na dworcu badamy tylko wielkie bagaże, które idą z cedulą. Rewizji osobistej dokonywujemy bardzo rzadko, tylko w wypadkach wyjątkowych.

I tak zresztą utrudnia nam ciężką pracę jakieś konsekwentne niezrozumienie naszej roboty przez publiczność. Urzędnik nasz to człowiek niesłychanie opanowany. Bo gdy tylko otworzy przedział w nocy i obudzi kogoś, już spotyka się z ogromnym oburzeniem, a jeśli nadomiar złego prosi o otwarcie kufrów, naraża się na bardzo przykrą i bardzo niesłuszną nazwę „gbura”.

A przecież ten biedny, zafrasowany urzędnik robi to z obowiązku: musi strzec Skarbu Państwa i interesów polskiego przemysłu. Gdybyż to ludzie zechcieli zrozumieć. Jakże łatwiejsza stałaby się nasza praca.

— Ze swej strony, Panie Kierowniku, życzymy tego naszym dzielnym urzędnikom z całego serca.

Przemiliły gospodarz odprowadza nas do progów swej strażnicy, serdeczny uścisk dłoni i odbywamy krótką wędrówkę na dworzec.

KOLEJARZE, TO NARÓD BARDZO OFIARNY...

Na pięknym dworcu zbąszyńskim rozmawiamy z bardzo zasłużonym w pracy obywatelskiej naczelnikiem stacji Marciniakiem.

Teraz znowu rozmawiamy z kierownikiem reprezentacyjnego sztabu pracowników kolejowych.

P. naczelnik Marciniak to jeden z tych ludzi, których w Zbąszyniu jest cała garść: dobro sprawy obywatelskiej mieć zawsze na oku, w pracy dla państwa nie ustawać na

chwile, polskość Zbąszynia utrwałać i rozwijać uparcie i konsekwentnie. — Oto ich dewiza. Założył Towarzystwo Kolejarzy w Zbąszyniu, które stało się ogniskiem, skąd promieniowała polskość. Był założycielem i komendantem K. P. W., które od razu przy zorganizowaniu liczyło 550 ludzi. Budował boisko, strzelnicę i świetlicę dla K. P. W. Brał i bierze udział wybitny w Z. O. K. Z.

— Niech Pan Naczelnik opowie o swych kolejarzach, których zna i kocha.

— Cóż, proszę pana; kolejarze to naród niezwykle ofiarny i oddany sprawie dobra Państwa sercem i duszą. Ma hojną rękę, jeśli chodzi o ofiarność w stosunku do nędzarzy, czy bezrobotnych. Nie szcędzą grosza na pomaganie akcji bezrobocia, idą ławą w pracy L. O. P. P.-owej, zawsze są gotowi, jeśli idzie o sprawę społeczną.

Wśród kolejarzy naszych mamy dużo powstańców, którzy brali udział w krwawych zapasach powstańczych o Zbąszyń, tem silniej są z nim teraz związani.

— A wogóle, to naszego kolejarza cechuje wybitne wyrobienie społeczne. Braliśmy bardzo poważny udział w akcji dla bezrobotnych i dużo szło od nas pieniędzy do Funduszu dla Bezrobocia. A potem energiczny kierownik miasta pan burmistrz Ferfet wspólnie z Radą Miejską budowali za to rynek, ulice, łaźienki, chodniki, skwery, a przede wszystkim nasz nowy most na Obrze.

Stoimy na jednym z peronów. Patrzymy na bardzo ładny w ujęciu architektonicznym, wielki symetryczny gmach dworca. Na frontonie rozpostarł skrzydła duży orzeł biały i zawiadania cudzoziemców, wyglądające ciekawie z okien pociągu stojącego opodal, że są już na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej.

— Dworzec, który pan podziwia, został wybudowany w t. zw. dawniej „tempie amerykańskim”. W przeciągu paru miesięcy stanął ten olbrzymi gmach, tak, że ludzie, którzy w miesiącach jesiennych wybrali się na południe, wracając nie wierzyli, że jadą przez Zbąszyń — wyjaśnia nam naczelnik.

Z boku pięknego polskiego stoi charakterystyczny, szpetny, dawny dworzec niemiecki. Naczelnik Marciniak urządził tam teraz m. in. świetlicę K. P. W. Tam znowu elektrownia własna dworca, a tam dalej schronisko Tow. Pom. dla Emigrantów.

Na peronie zjawił się kierownik parowozowni p. Klauziński. Jedzie do Poznania. Z wybitnym członkiem społeczeństwa zbąszyńskiego, prezesem Rady Miejskiej, b. przewodniczącym Kom. Bezrobocia musimy chwilę porozmawiać.

Zaledwie zaczęliśmy rozmowę na stopniach pociągu o życiu zbąszyńskim, o świetnie prosperującej Komunalnej Kasie Oszczędności w Zbąszyniu, której Rady jest p. Klauziński przewodniczącym, o jej wyjątkowym znaczeniu, o rozwoju którego wykładnikiem jest wzrost wkładek od 8.500 zł. w r. 1924 do 600.000 zł. w roku bieżącym — gdy nam bezwzględny i punktualny rozkład jazdy pociągów porywa „Mitropę” a z nią pp. Klauzińskiego i dyr. K. K. O. — Kliksa.

Na pocieszenie p. naczelnik Marciniak oprowadza nas po wnętrzu dworca. Więce do sali recepcyjnej, do gabinetów rewizji osobistej, do kontroli paszportowej; stajemy na chwilę w wielkim, pięknym holu.

Kantor wymiany walut, czynny przez całą dobę, misja dworcowa; na ścianie z boku tablica z kierunkami pociągów: Poznań, Leszno, Frankfurt, Gubena, Berlin...

A oto przyjechali po nas p. burmistrz Ferfet ze znanym działaczem powstaniowym i cenionym obywatelem Zbąszynia p. aptekarzem Koehlerem.

Żegnamy więc p. naczelnika Marciniaka i za chwilę jedziemy ulicami Zbąszynia.

Mijamy ładne skwery, domki-wille otulone zielenią, pomnik Serca Jezusowego i zatrzymujemy się przed domem, nad drzwiami którego wisi lampa ozdobiona szybami witrażowymi.

P. burmistrz wprowadza nas do pracowni, gdzie węgierski art. mal. D. Mocznay i poznański art. mal. witrażysta p. Powalisz w małym piecu wypalają, w małych ubikacjach montują prześliczne witraże do kościołów. Wpadliśmy tu na chwilę, ale rzeczy są tak ładne,

a obaj artyści i ich warsztat tak przypominają pracownię średniowiecznych mistrzów, że z przyjemnością spędzamy tu przeszło pół godziny.

Potem dalsza wędrówka po wydłużonym i wieśniętym między jezioro a Obrę mieście. Pełno tu śladów ostatnich prac inwestycyjnych. To zupełnie nowa ulica „prosto z pod igły”, to nowy budynek, to skwer ze świeżą zielenią. A teraz wjechaliśmy na piękny nowy most, chlubę kierownictwa miasta. Kwadrans spędzamy na wielkim, dobrze urządzonej boisku sportowym, obok którego w ogródku jordanowskim bawią się teraz zbąszyńskie dzieciaki. Wracamy do miasta. Na Senatorskiej oglądamy ściany domu, na którym kule „Grenzschutzu” piwały otworami i szczyrbami martyrologję powstańca.

Jedziemy teraz obejrzeć ślady po zamku obronnym, które zostawił dynamit saperów sprowadzonych przez Jadwigę Klitzing. I gruzy kazała wywieść do jeziora niemiecka ha-katystka.

Dzisiaj błakają się tylko wspomnienia wielkiego zamku zbąszyńskiego w rowie wyschłej fosy, na wysokich wałach obronnych i dokoła bramy wjazdowej o renesansowej wieży z datą 1627 i herbem Zbąskich. I herb nawet zmasakrowały rozmyślnie niemieckie kule „Grenzschutzu”...

NA WERANDZIE ŁADNYCH ŁAZIENEK I NA FALACH ZBĄSKIEGO JEZIORA.

Zajechaliśmy przed nowe łazienki miejskie, urządzone przez miasto nad jeziorem, które stanowi prywatną własność p. Skórzewskiego, znanego ziemianina i pierwszego pilota-sportsmena w Polsce. P. Skórzewski umożliwiając budowę łazienek nad swym jeziorem, dał dowód dużego poczucia obywatelskości i należy mu za to wyrazić szczerze uznanie. Łazienki, pomysłowe w konstrukcji, kompletnie urządzone, mogą być powodem dumy Zbąszyniaków i kierownictwa miasta.

Zwiedzamy wszystkie urządzenia i na werandzie, z której roztacza się wspaniały widok na olbrzymie jezioro, rozmawiamy z aptekarzem Koehlerem, znawcą miejscowego handlu o bolączkach kupiectwa.

BRAK NAM ZAPLECZA GOSPODARCZEGO.

— Handel nasz przez sam kryzys został poważnie podważony — zaczyna p. Koehler — pozatem jednak główną rolę w przykraj sytuacji naszego handlu odegrało nieszczęśliwe pociągnięcie granicy. Najlepsze grunty, które były gospodarczo związane z nami, zostały „po tamtej stronie”. Odcięto od nas jak od pnia gałęzie 13 gmin. Zostały „tam” takie miejscowości jak rdzennie polska Dąbrówka, posiadająca 1500 gospodarstw o bardzo dobrej ziemi, gdy my tu znów mamy piachy.

— Nie mamy, proszę pana, zaplecza gospodarczego i tego nam najbardziej brak.

Istniał u nas dawniej przemysł, ale i ten upadł. Taką wielką mączkarnię rozbiły kule artylerji niemieckiej.

Dobrze, że chociaż ruiny na coś się przydały Wyłożono niemi bruk.

— Jak wygląda handel w Zbąszyniu?

— Także mocno podupadł. Mógł pan to poznać dzisiaj po naszym „błyskawicznym” targu. Trwał od 8—9 rano. Osłabł także ruch międzynarodowy, osobowy i towarowy, co się także gospodarczo źle odbija na mieście.

— Szczęściem w tem położeniu jest pełne zdrowego optymizmu, popieranego wielką pracą i ofiarnością, stanowisko miejscowego społeczeństwa — kończymy rozmowę o bolączkach handlu i przemysłu zbąszyńskiego.

ZESPÓŁ LUDZI Z ENERGJĄ I AUTORYTETEM.

Rozmowa z kierownikiem szkoły p. Wojciechowskim.

Kajak nasz odbija od pomostu, wiosła rytmicznie odgarniają płaty wody. Daleko od brzegów, pośród blasków, które na jezioro i na nas położyło zachodzące słońce, stajemy zlekka zmęczeni.

— Życie społeczne tu u Was tętni i wre.

— Praca nasza idzie w kierunku gromadzenia ludzi w organizacjach, ale i po linii wyteżonej realnej roboty. To nam się zresztą nagradza, bo daje mir, autorytet. I tak tu pracuje u nas wszystko. Zw. Pracy Obyw. Kobiet dożywia dzieci w szkołach powszechnych, ubiera najbiedniejsze dzieci, urządził gwiazdkę dla 450 dzieciaków. Pracuje realnie Związek Weteranów z 156 ludźmi pod przewodnictwem por. rez. Frąckowiaka. Liga Morska i Kol. skupia u nas całą miejscową inteligencję i rozwija niezwykle sport wodny w naszym mieście.

Wybitną pozycją naszego życia społecznego jest L. O. P. P. bardzo szeroko rozwinięty, z bardzo szeroko zakreśloną działalnością. Dowodem jego żywotności jest fakt, że ostatnio powstają przy nim drużyna sanitarna, złożona z 18 dziewcząt.

Tak się szczęśliwie złożyło, że jest tu w naszym mieście grupa ludzi z otwartą głową, energią i autorytetem, która prowadzi pracę na realne tory. Ułatwia im ogromnie zadanie solidarne, patriotyczne nastawienie całego społeczeństwa zbąszyńskiego.

DO WIDZENIA!

Ukradkiem od dalekich lasów, po drugiej stronie jeziora zaczął się ku nam skradać zmierzch. Jeszcze na jeziorze migocą ostatnie blaski ginącego w ciemnej, zwartej masie leśnych drzew — zachodzącego słońca. Ale już na migocące coraz matowiej fale jeziorne, kładą się fiolety i ultramaryny wieczornych barw.

Uciekamy więc ku lśniącemu pomostowi, na piaszczystą plażę i werandę, na której ciemnieją sylwetki znajomych ludzi.

Za chwilę pożegnamy ludzi, jezioro i słońce. Trzeba nam dalej... Więcej — do widzenia!

GRODZISKIE — KRAINA CUKREM I PIWEM PŁYNĄCA.

GRODZISK — MIASTO LEGENDY O CUDZIE ŚW. BERNARDA.

Odwróceni do tyłu długo jeszcze spoglądamy na znikające za krzywizną szosy blaski stęszewskiego jeziora.

Dzień jest piękny, lśni przed nami szosa prosta, jak strzeł. Pędzimy więc między ścianami zboża z jakąś tam niesamowitą szybkością. Boję się nawet spojrzeć na miernik szybkości.

A zboże jest już nie tylko wysokie, ale robi się w oczach coraz cięższe. Z pewną więc dumą wahlują w rytmicznym falowaniu wysokie łany żyta lśniąca szosę, starą towarzyszkę, która widziała ich narodziny i zobaczy niedługo — zgon.

Teraz znowu po obu stronach szosy zaczynają przed nami tańczyć równe rzędy buraków, nad którymi tu i owdzie siedzą grupki pochylonych kobiet. Przelatujemy przez Granowo, kwadrans jazdy wśród rozfalowanych zbóż, Ptaszkowo a oto w dali zjawiają się najwyższe budynki Grodziska. Są coraz bliższe i większe.

Zwalniamy tempo przy pierwszych zabudowaniach gospodarczych, jeszcze dwa pola żyta po obu stronach drogi i oto zaczynamy lekko podskakiwać na brukach ulicy. Jesteśmy w Grodzisku.

SZKODA NAM BARDZO POWIATU.

O sprawach radosnych i bolesnych Grodziska z jego burmistrzem, p. Krzowskim.

— Bardzo mi przyjemnie powitać panów w murach naszego ratusza. Czytamy o waszych objazdach i czekaliśmy tu na was oddawna.

Po chwili rozmowy ogólnej mówimy już • historii Grodziska.

Prawa miejskie otrzymuje Grodzisk w r. 1303. Miastem samorządowym zaczyna być w roku 1312. Grodzisk było to jedno z miast królewskich. Z tego powodu zachowała się do naszych czasów pieczęć herbowa miasta, na której uwidoczniła jest postać królewska. Trudno jest zidentyfikować tę postać, ale zdaje się, że jest to Przemysław II. Postać królewska przetrwała na pieczęci wszystkie czasy. Nawet niemieckie. Niemcy tylko pozbawili go insygniów królewskich i jabłka a dały mu jako rekompensatę orła.

W wieku XV traci Grodzisk miano miasta królewskiego i przechodzi w ręce rodu Ostrorogów. Za Zygmunta Augusta jest miasto nasze głównym ośrodkiem Reformacji. Charakter ten traci z chwilą powrotu Ostroroga na łono Kościoła.

Koleje losów oddają Grodzisk w ręce rodziny Opalińskich. Świadcami sławy Grodziska były wieki średnie. Potem zaczął się pewien stały upadek znaczenia miasta

Jeśli chodzi o nazwę, to w w. XV i XVI miasto nasze nazywało się Grodzisko a nie Grodzisk. Nazwa ta dochowała się do naszych czasów na starych łacińskich pieczęciach.

— A teraz o r. 1933 w Grodzisku?

— Wysuwa się tu na pierwszy plan nasza najboleśniejша sprawa, rzecz, którą w bardzo mocny sposób odczuwamy: odebranie Grodziskowi godności miasta starościńskiego, powiatowego. Odbiło to się w przykry sposób na całym szeregu dziedzin naszego życia: więc przede wszystkim skutek gospodarczy; stracił Grodzisk dużo na znaczeniu ekonomicznym. Odpadł od dochodów miasta element urzędniczy, straciło miasto cennych konsumentów, jakimi byli interesanci, załatwiający sprawy w starostwie. Najboleśniej gospodarczo odczuło to na sobie nasze rzemiosło.

Że miasto straciło na znaczeniu politycznym o tem niema co długo rozprawiać. Do tej najważniejszej przyczyny dołącza się na domiar nieszczęścia kryzys.

Wszystko to złożyło się na fakt, że Grodzisk jest obecnie nie do poznania.

Dawniej byliśmy miastem dostatkiem, mieliśmy swój przemysł, rzemiosło grodziskie prosperowało znakomicie, mając za swych konsumentów dobrze zagospodarowane rolnictwo dookoła. Rolnictwo likwidowało w mieście swe przeciętne potrzeby, zarówno materialne jak i kulturalne.

— Jak więc wygląda obecny stan gospodarczy?

— Majątek jego wynosi około 4.200.000 złotych. Na majątku tym ciąży dość znaczny dług w wysokości 1.000.000 zł. Majątek miejski stanowią: elektrownia, wielka i najnowocześniejsza bekiarnia o 100.000 sztuk rocznego uboju (jedna z największych w całej Polsce). Posiadamy własny, duży i piękny gmach sądu, 4 bardzo ładne domy urzędnicze, szpital miejski na 40 łóżek, dom starców (te dwa ostatnie stanowią fundację Mossego), 8-klasowe koedukacyjne gimnazjum, którego dyrektorem jest p. Borszewski: gmach szkoły powszechnej oraz halę gimnastyczną.

— Garść informacji o przemyśle i handlu grodziskim, Panie Burmistrzu?

— Na pierwsze miejsce wysuwają się tu browary grodziskie, produkujące piwo, znane nie tylko w Polsce, ale i w wielu innych państwach europejskich, a nawet ostatnio i Ameryce. Pozatem istnieje u nas wzmiankowana wyżej wielka bekiarnia, mamy także tartak i parę jeszcze placówek mniejszych przemysłowych. Handel pozostał u nas aż do chwili obecnej znaczny, gdyż Grodzisk dominuje przecież swoją wielkością na dużą połać ziemi okolicznej.

— Nakoniec, Panie Burmistrzu, kilka uwag ogólnych.

— W takim razie podkreślę trzy rzeczy: przede wszystkim niezwykłą ofiarność grodziskiego społeczeństwa, dalej fakt, że miasto nasze jest rzadkością na ziemiach polskich — ma bowiem „aż” 0,2% mniejszości narodowych i wreszcie najważniejsze: byliśmy szczęśliwi, gdyby do nas wróciło starostwo.

W KOŚCIELNYCH NAWACH.

Stoimy właśnie w kruchej parafianego kościoła, podziwiając ciekawą rzeźbę w drzewie, pełen ekspresji wielki krucyfiks.

Zjawia się ks. proboszcz Kruszką.

— Kościół bardzo stary. Na miejscu obecnego stał najpierw drewniany, a już w w. XV stał pierwszy murowany, z którego część się zachowała dotąd. Oto w tej części kościoła widzicie panowie szczegóły wskazujące, że jest to gotyk. W roku 1605 był kościół przebudowany, dobudowano wtedy kaplicę i tu dalej mamy już kościół późniejszy.

Oglądamy, przypatrujemy się, a ksiądz nam tłumaczy.

W starej części kościoła stoimy przez chwilę przed świątynią zachowaną, gotyką Kalwarją, skonstruowaną z małych kawałeczków drzewa.

Potem podziwiamy w głównym ołtarzu piękny obraz „Trzech Króli”.

Następnie oglądamy ołtarzyki boczne. Wszystko to ma za sobą już przeszło 300 lat życia. Nawet odnowione świeżo w złoty-białym kolorze nosi na sobie patynę starości. W tym kierunku zresztą renowacja była przeprowadzona. W ołtarzu głównym, za krucyfiksem widać ciekawy obraz Matki Boskiej z białym orłem, na piersiach charakterystyczny zabytek malarstwa z czasów Stanisława Augusta.

Uderza nas niezwykle bogactwo starych pięknych obrazów na kościelnych ścianach.

— Stary kościół, więc się i nagromadziło tego — tłumaczy poprostu ks. Kruszką.

Rzucamy jeszcze jedno ogólne spojrzenie na wnętrze świątyni, która odnowiona w białoceglanych kolorach, sprawia b. miłe wrażenie i wychodzimy.

Teraz znowu przykuwa naszą uwagę dziwny wygląd zewnętrzny kościoła. W Polsce mamy 3 takie kościoły. Charakterystyczną dla nich rzeczą jest cały szereg wnęk, nagromadzonych obok siebie na kawałku zewnętrznej ściany bocznej kościoła.

Teraz przy obserwacji z zewnątrz spostrzegamy nowy szczegół gotyckiego pochodzenia świątyni. Oto zarys charakterystycznego łuku wejściowych drzwi do gotyckiej świątyni.

Spoglądamy ku górze: nieodpowiednia zupełnie kopulasta wieża kościoła. A tam na dachu nad głównym ołtarzem stoi podparty dla ostrożności t. zw. popularnie św. Florjan. Tradycja mówi, że jest to giermek, który stał przed pałacem Opalińskich.

Jeszcze jedno spojrzenie na opodal stojący pomnik św. Jana Nepomucena z piaskowca z r. 1766 z 2-ma płaskorzeźbami z pierwszej połowy XVII wieku i żegnamy ks. Kruszkę.

Potem samopas oglądamy kościół pobernardyński, zbudowany w latach 1662—1739 z marmurowym grobowcem ostatniego z Opalińskich — Wojciecha.

Wreszcie kościół ewangelicki w obecnej formie wybudowany na schyłku 19-go i 20-go wieku.

A SKORO JUŻ SAM ŚW. BERNARD POMÓGŁ...

W najstarszym polskim browarze.

Stare podanie grodziskie głosi, że w w. XV stały się w Grodzisku rzeczy dziwne. Najpierw przywędrowało tu kilku „farmazonów” z dalekiego kraju — grupka kolonistów czeskich. Potem przyszła okropna susza. Uciekali od grodziskiej posuchy i najstarsi grodziszczanie. A wtedy stał się cud. Nad opustoszałym miastem ulitował się św. Bernard i w mieście wytrysnęło kilka źródeł. Jedno z nich, studnia św. Bernarda stoi jeszcze dziś na rynku grodziskim.

— Czesi — znani piwosze, nuże warzyć ulubiony trunek na cudownej wodzie. I zaczął się w beczki i kadzie lać jasno-złoty napój, w naczyniu musujący, niczem urodzony szampan. A wdzięczni mieszkańcy Grodziska odnieśli w procesji beczkę piwa do klasztoru Bernardynów w Lubiniu. I rokrocznie szła beczka piwa do klasztoru. Dziś jeszcze posyłają Grodziskie Browary beczkę piwa do Lubinia.

Produkcja piwa wzrasta w szybkim tempie z roku na rok. Zwiększyła się także ilość rynków zbytu. Po pewnym czasie świetne piwo grodziskie zaczęło sobie swoją drobiażką torować drogę w szerokim świecie. Przed wojną najważniejszym konsumentem były Niemcy. Ale olbrzymie transporty szły wszędzie: pili je w Afryce — Togo, Kamerun

run, Lome, Omala, Swakopmund, piją w Australji — w Sidney, Rabaul, Melbourne i w Azji, w Japonji i Chinach. Co do dobroci grodziskiego piwa Japończycy i Chińczycy zupełnie się zgadzają. Ostatnio Browary Grodziskie zaczęły wysyłać piwo swe do Stanów Zjednoczonych.

Wartości piwa grodziskiego docenia i Rzplita. Królowie obdarzali browary grodziskie licznemi przywilejami, a w w. XVIII trzy Porządki Miasta Poznania postanowiły w nagrodę za trudy i pracę obdarowywać obydwu burmistrzów 500 złotymi i beczką piwa grodziskiego — co pół roku.

Wojna światowe zahamowała rozwój Browarów. Ale ostatnie, nawskroś nowoczesne urządzenia techniczne powiększyły wielokrotnie możliwości produkcyjne browarów grodziskich. Zdolność produkcyjna ich wynosi obecnie 70.000 hl. piwa i 50.000 etn. słoju tak jęczmiennego jak i pszenicznego. Browary Grodziskie są więc zarazem i jedną z największych słodowni w Polsce. Mają pozatem fabrykę słodów karmelowych i barwiących.

Z dnia na dzień rosnąca popularność i popyt na piwa grodziskie pozwoliły energicznemu kierownictwu Browarów na uzyskanie utraconych przed kilkunastu laty rynków zbytu. We wszystkich większych miastach Polski hurtownie, w wielu stolicach i miastach zagranicą reprezentacje, oto droga rozwoju Browarów.

Ostatnio otworzyły Browary Grodziskie własną składnicę w Poznaniu na Grochowych Łąkach.

A teraz o zaletach „porannego trunku restauratorów”, jak Niemcy nazywają piwo grodziskie. Wyśmienity smak. Charakterystyczny zapach, pochodzący stąd, że do jego wyrobu używa się specjalnie dymionego słoju. A najważniejszą ze wszystkich zalet są własności lecznicze piwa grodziskiego. Lekarze zalecają używanie piwa grodziskiego jako skuteczny środek na niedyspozycje żołądka, niestrawność, cukrzycę. Jest to pozatem środek orzeźwiający, pobudza apetyt i nie upija (1,7% alkoholu).

Jakże tu nie pić piwa grodziskiego. Zresztą, skoro już sam św. Bernard pomógł....

OBSERWACJE NA ODJEZDNEM.

Nazajutrz wczesnem ranem wyjeżdżamy w okolicę. Przyjrzeć się biegowi życia większych ośrodków dawniejszego powiatu grodziskiego. W słońcu poranka jedziemy więc po ulicach Grodziska i oglądamy.

Skromna, charakterystyczna studzienka św. Bernarda na wielkim rynku opodal ładnego ratusza, miejskiego. Jest to rynek nowy, naokoło którego skupiła się nowsza część miasta, w odróżnieniu do rynku starego, który znowu otaczają stare domy i wąskie uliczki — stare miasto. Przejeżdżamy obok drugiego katolickiego kościoła, obok którego biegnie cienista aleja lipowa a zielone planty przytulają się do jednej ze ścian kościoła. Dużo tu zieleni, bo oto tutaj znowu skwer i znowu malownicza grupa drzew na tle czerwieni domów.

NA PIĘKNYM STADJONIE.

A oto doszliśmy i do stadjonu miejskiego. Zaraz od wejścia uderza napis na ścianie trybun, treść którego realizują właśnie te lśniące tam w blaskach słońca na zieleni boiska młode chłopaki. „W zdrowem ciele — zdrowy duch”. Potem wita nas białą swoich betonowych placyków — tenisowy kort. Dalej to już ogródki jordanowskie a opodal przyrządy gimnastyczne. Czarna elipsa bieżni zamyka zieleni boiska, na którym teraz uwiązają się dwie grupy ćwiczących. W słońcu letniego rana gną się młode ciała w rytmicznych, gimnastycznych gestach. Chwilę jeszcze spędzamy nad wielkim, próżnym teraz basenem, potem warkot motoru, drzewa zaczynają swoją coraz szybszą defiladę, parę domków jeszcze i zagubiliśmy się oto wśród łanów zbóż.

W RODOWYM GRODZIE OPALIŃSKICH.

Na widnokregu pojawiają się kominy fabryczne i kościelna wieża. Coraz są bliższe i większe; wreszcie wjeżdżamy na uliczki opalenieckiego grodu. W magistracie nie zastajemy burmistrza: panuje do pewnego stopnia bezhołowie. Chwytny więc w swe obroty sekretarza magistratu.

— Chcemy wiedzieć krótko o historii Opalenicy.

— Było to odwieczne gniazdo sławnego rodu Opalińskich herbu Łodzia. Miasto miał założyć na początku wieku XV Andrzej Bniński, biskup poznański. Już w I połowie XV wieku otrzymuje Opalenica od Jagiełły prawa miejskie. A jednak nigdy Opalenica nie wyrosła ponad przeciętne miasteczko ze względu na brak warunków rozwojowych. Dlatego też w r. 1458 np. dało miasto na wojnę jednego zbrojnego.

Najstarsza zachowana pieczęć herbowa miasta wyobraża w tarczy drzewo o 3 koleniach i 3 rozetkach, skrzyżowanych z kluczem poziomo położonym.

— Jak wyglądają współczesne stosunki Opalenicy?

Więc majątek: wynosi on ca 1.400.000 zł. przy zadłużeniu b. małym — 12.000 zł. W majątku naszym mieszczą się takie objekty, jak: elektrownia, budynki miejskie i place niezabudowane i t. p. oraz ruchomości (m. in. nowoczesne urządzenie strażnicy pożarnej). Budżet nasz administracyjny na rok bieżący wynosi 83.152 zł, budżet zaś elektrowni — 36.320 zł.

— A teraz o dorobku ostatnich czasów.

— Już po uzyskaniu niepodległości wybudowaliśmy elektrownię, strażnicę straży pożarnej, świetnie wyposażoną (drabina mechaniczna, motorowa sikawka i t. p.). Rozpoczęliśmy nasz park miejski i wybudowaliśmy przy nim boisko sportowe. Dalej wykupiliśmy z rąk niemieckich 2 domy i założyliśmy w jednym z nich ochronkę dla 150 dzieci. Ostatnia pozycja jest o tyle ważna, że nasza ludność robotnicza odczuwa ją jako bardzo poważną ulgę. Wreszcie przebrukowaliśmy cały szereg ulic.

— Wydaje mi się, że panuje u was ożywiony ruch budowlany.

— A tak. Powstała u nas w pewnej części miasta cała dzielnica nowych domów i domków. Opalenica rozbudowuje się i potężnieje, ma bowiem centralne położenie w dawnym powiecie grodziskim i z tego tytułu spodziewamy się w związku z ewentualnością przeniesienia starostwa z Nowego Tomysła, że przywędrowałoby ono do nas.

Wychodzimy z magistratu. Tuż obok niego, na tle drzew skweru stoi ładny pomnik Serca Jezusowego. Skracamy w bok i wchodzimy do mieszkania ks. dziekana Chudzińskiego.

W ODNAWIANEJ ŚWIĄTYNI.

Z gościnnym ks. dziekanem zaczynamy rozmowę o odnawianej właśnie starej, gotyckiej świątyni opalenieckiej. Potem z ks. dziekanem na przedzie idziemy obejrzeć stary kościół Nazewnątrz czerwony, surowy mur powiązany w typową gotyką konstrukcję. Teraz, gdy wchodzimy do wnętrza, obserwujemy niezwykłą grubość muru. Kłękamy przed głównym ołtarzem, w którym wisi piękny obraz praskiego malarza, wyobrażający św. Mateusza, od którego kościół opaleniecki wziął swoje wezwanie.

Cały kościół wewnątrz jest przygotowany do renowacji. W jednym z bocznych np. ołtarzy stoją gotyckie ramy tryptyku, w którym niema teraz obrazów. Znajdują się właśnie w Poznaniu.

— Dopiero po renowacji załśni mój kościół blaskami polichromji — cieszy się zgóry ks. dziekan.

Potem mówi nam o trudzie odnawiania kościoła, o pracy, ofiarach i przeszkodach. Wspomina o prześlicznym kościółku w Wielkich Łękach.

Oglądamy jeszcze typową gotyką, piętrową kaplicę z boku, wychodzimy z kościoła, żegnamy ks. dziekana i idziemy w uliczki miasta.

JEDZIEMY DO BUKU.

Wpadamy teraz jeszcze do wielkiej opalenickiej cukrowni. Stoją wielkie kompleksy gmachów fabrycznych ciche i spokojne. Nie dudni w nich to potężne tempo życia, które dolatuje do nas z cukrowni podczas kampanji. Wchodzimy do wnętrza głównej hali maszynowej. Wywiera przykre wrażenie. Stoją olbrzymie warniki i inne maszyny wielkie a ciche, tam znowu rury, koła, tryby w nieładzie rozmontowania. Wszystko to razem wywiera wrażenie trochę makabryczne. Prosektorjum, czy czegoś w tym rodzaju.

Uciekamy więc na słoneczny świat, przytulamy się do naszej maszyny, która właśnie zaszumiła życiem motoru, porwała nas z miejsca i unosi przez uciekające z oczu ulice opalenickie.

Uciekają teraz i drzewa przydrożne i prostokąty pól, przelatujemy przez Wojnice i otośmy już w Buku.

Rozmowa z burmistrzem m. Buku, p. Hollandem.

Burmistrza Hollanda nie zastajemy już w magistracie. Odszukujemy go więc w jego zacisznej willi i „wyciągamy na zwierzenia”.

— Tak. Panie Burmistrzu, najpierw trochę historji miasta.

— Buk jako miasto zaistniał w pierwszej połowie XIII w., przez Przemysława I, miastem ustanowiony. Zbudowane zostało miasto planowo z regularnym czworobokiem rynku; na którym jeszcze dotąd stoi starożytny ratusz i systemem ulic w czterech kierunkach prostopadłe od rynku biegnących. W XVI stuleciu, jak kroniki podają, miasto już miało 534 właścicieli domów, a że w r. 1458 dostarczyć musiało 15 umundurowanego i uzbrojonego chłopca na pospolite ruszenie, wymownym być zdaje się dowodem ówczesnego znaczenia miasta.

Już w tym czasie istniały mocno zorganizowane cechy, które w sprawach miasta miały głos decydujący.

Na firmamencie historycznym miasta pierwszą wielkością jaśniała gwiazda ks. Stanisława Reszki. Był to protegowany, bliski pupil kardynała Hozjusza, za którego można protekacją skończył karierę życiową jako sekretarz Stefana Batorego. W końcu zaś otrzymał opactwo, które mu dawało duże dochody. I tu zaczyna się jego znaczenie dla miasta Buku. Ks. Reszka bowiem poważną część dochodów lokował w inwestycjach miejskich, pomagając miastu wydatnie w jego rozwoju.

— Miasto, Panie Burmistrzu, ulegało częstym pożarom.

— A tak; straszny pożar w r. 1858 spalił całe ulice i dzielnice. A tu oto ma pan akt miejski z r. 1819, mówiący o odrestaurowaniu wieży ratuszowej.

Czytamy więc akt, pisany przez Magistrat wraz z „Radą Muncyपालną Miasta Narodowego i Powiatowego Buku”. W samym zakończeniu protokołu wzmiankowane wyżej czynniki dochodzą do przekonania, że protokół trzeba manu propria podpisać i zakończyć „nie mając nareszcie więcej do nadmieniania”.

— A teraz jeszcze chcielibyśmy usłyszeć Panie Burmistrzu o sławnej wyprawie bukowskiej kosynierów w r. 1848.

— Tak, miasto nasze w powstaniu 1848 r. wzięło wybitny udział. W dniu 4 maja 1848 od strony Stęszewa i Konarzewa wtargnęło do Buku 500 kosynierów pod wodzą Eugenjusza Szczanieckiego i Kazimierza Niegolewskiego. Uzbrojeni byli w kosy. W krwawych długich zapasach z 2-ma kompanjami pruskiego żołdactwa padło wielu powstańców i ludności cywilnej. Samych powstańców zginęło 30. Ale sława wyprawy kosynierów wiecznie żyć będzie w pamięci mieszkańców Buku.

— Jak przedstawia się współczesny stan gospodarezy miasta?

— Miasto liczy 3.800 mieszkańców, jest więc niewielkie. Mimo to mamy własną miejską kanalizację, wodociągi i elektrownię (zbudowaną w r. 1927). Majątek nasz netto wynosi 2.354.105 zł, po potrąceniu długów. Przemysłu znaczniejszego w mieście nie po-

siadamy. Nasze kupiectwo jest b. silnie związane z rolnictwem i z tego tytułu znajduje się obecnie w b. ciężkiej sytuacji gospodarczej. Tu nasuwa się także refleksja natury ogólnej, oto, że miasteczka leżące blisko Poznania, nie mają wielkiej przyszłości gospodarczej, czy handlowej, bo całe społeczeństwo miejscowe zakupuje potrzebne rzeczy w Poznaniu.

— Na zakończenie chcielibyśmy usłyszeć co miasto dla siebie za czasów niepodległościowych zrobiło?

— Jestem tu burmistrzem co prawda już od r. 1919; ale gdy w tym roku tu przyszedłem zastałem przykry stan rzeczy. Przedewszystkiem razły fatalne bruki. Od tego czasu przebrukowaliśmy niemal całe miasto za wyjątkiem 2 ulic.

W r. 1927 wybudowaliśmy elektrownię sumptem 500.000 zł.

Pozatem takie pozycje jak ułożenie chodników, zasadzenie drzew itp. Razem przebrukowanie i położenie chodników odbyło się na długości 7½ km.

Pod koniec muszę stwierdzić, że istnieje nadzwyczaj harmonijna współpraca magistratu i rady miejskiej, rzecz która nam kierowanie losami miasta niesłychanie ułatwia.

„NIE MASZ NIEPODOBNYCH RZECZY DLA POLAKA”.

Wędrówka po kościołach.

Stoimy przed kościołem o niewidzianej dotychczas architekturze. Za żelaznym płotem bramy wejściowej kawałek brukowanego cmentarza, kilka szerokich schodów i wysoki ganek podtrzymywany czterema jońskimi kolumnami. Nad tem kapitele, architrawy, regularne trójkąty frontonów. Wszystko razem tworzy front świątyni, która była widokiem zupełnie naturalnym na półwyspie peloponeskim w wieku Sokratesa. Teraz sprawia trochę dziwne, chociaż b. miłe wrażenie.

Wchodzimy do wnętrza kościoła. Jest on długi, wąski i prostokątny. Nawę główną od bocznych oddziela 12 kolumn. Sklepienie nawy głównej — beczkowe a nad nawami bocznymi wznoszą się stropy zupełnie płaskie.

Kościół ma aż trzech patronów pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa, św. Piotra i Pawła oraz Wniebowzięcia M. Boskiej.

Na miejscu kościoła, w którym oglądamy teraz piękne rzeczy stał przed wiekami kościół drewniany. Stał aż do początku w XV. W r. 1418 na miejscu jego stanął kościół murywany. Wreszcie kościół właśnie przez nas zwiedzany został w r. 1806 konsekrowany.

Oglądamy w krucheie kamienną tablicę wmurowaną w r. 1883 na pamiątkę dwusetnej rocznicy bitwy pod Wiedniem.

Idziemy długim korytarzem bocznej, prawej nawy. A oto właśnie płyta kamienna pod naszymi nogami. Przykrywa wejście do podziemi, w których leżą zwłoki wielu Niegolewskich. Sławna ta rodzina związana jest mocno z świątynią.

Bo tutaj znowu marmurowa tablica w ścianie głosi złotymi zgłoskami o życiu i czynach bohaterskich Andrzeja Niegolewskiego. Gdy czytamy tablicę, która mówi i o wawozach Samosierry i o polskich szwoleżerach przypominają się proste zwrotki wojskowej piosenki:

„A wtem Napoleon na Polaków skinął
skoczył Koziętulski w czwórki jazdę zwinął”...
...nie masz niepodobnych rzeczy dla Polaka!”...

Oglądamy jeszcze obraz Matki Boskiej Literackiej w głównym ołtarzu, potem ołtarz, Matki Boskiej Różańcowej w bocznej nawie, pozostałość po starym kościele, poprzedniku obecnego.

Wychodzimy, ogarniamy ostatniem spojrzeniem dziwną całość konstrukcyjną kościoła i dreptamy do innego zakątka miasta.

Otoczony, grobami i grobkami, których krzyże podejdują aż pod jego okna, stoi stary drewniany kościółek św. Krzyża. Zbudowany w kształcie krzyża, kryty łupkiem stoi sobie zezerniały kościółek z 18 w. z wyglądu zabiedzoną sierotą przypominający.

Chwila w skupieniu i powadze spędzona u wielkiego grobowca bohaterów powstańców-kosynierów z 1848 i powstańców z r. 18/19.

Zegnamy uprzejmego naszego przewodnika p. M. Bączkowskiego, który nas w zastępstwie nieobecnego proboszcza ks. Kuliszaka oprowadzał po kościołach i opuszczamy kościół i ementarz.

POD WIECZÓR.

Wracamy teraz w „tempie amerykańskim“ bo zmierzch zbliża się do nas od ciemnych lasów „uparcie i skrycie“, jak mówi jakaś piosenka tangowa.

Przelatujemy przez Opalenicę, niecałe lekkie popłoch wśród kur i innego upierzonego inwentarza.

Przypomina nam się podanie miejscowe, które zarazem tłumaczy nazwę Opalenicy. Ponoć miasto dawnymi laty Rzechownicą zwać się miało. Aliści był pan na Opalenicy — Tyczybor, którego lud nie wie gdzie daczego „moskiewskim księciem“ nazwał.

Ponieważ w mieście arjańska zaraza szerzyć się zaczęła, Tyczybor pobożny in nomine Domini — Rzechowicę podpalić w czterech rogach kazał. Spalona Rzechowica raczej na jakąś „opalenicę“ wyglądała teraz. Odbudowanie na jej miejscu miasto tak też nazwano: — Opalenicą.

Przeleciała nam szybko droga powrotna. Idziemy już oto uliczkami miasta do starego zamkowego parku Opalińskich.

W zapadającym zmierzchu błądzimy po szeleszczących żwirowych alejach, wśród starych, bardzo nieraz starych drzew. Nad nami ptaki śpiewają smutną pieśń wieczorną. Z oddali z pól za parkiem dolatują odgłosy zawziętego ujadania psów.

Idziemy mileżący w lesie cichych drzew.

Siadamy trochę zmęczeni. Nad nami swe mocne konary rozłożył odwieczny dąb. Przykrył swą koroną jak skrzydłami i nas i nadwątlony w wielu miejscach, mechem pokryty, stary pomnik leżący Opalińskiego.

Może nam się w mroku wieczornym wydaje, ale z twarzy rycerskiej, ukrytej pod pióropuszem szyszaka spogląda w przestrzeń twarz pełna smutku i rezygnacji.

Przez drzewa przebłyskuje daleki blask umierającego dnia...

W KRAINIE STU JEZIOR

JEDZIEMY DO MIĘDZYCHODU.



dy pociąg jednostajnym truchtem pokrywać zaczyna dobrze znaną nam trasę: Poznań, Ławica, Kiekrz, Rokietnica, nas opadają wyrzuty: Dlaczego do ziemi powiatu międzychodzkiego, o której wiemy, że piękniejszej nad nią w Wielkopolsce chyba niema, jedziemy w smutny, deszczem grożący dzień jesienny. Tembardziej, że gościnna ziemia międzychodzka oddawna nas do siebie zapraszała. Przypominamy sobie naszą wiosenną marszrutę, podróż do Inowrocławia wczesnem latem, przerwę w naszych podróżach spowodowaną okresem letniej kanikuły i powoli przestajemy mieć do siebie pretensje. Jakby dla zmniejszenia naszego żalu i dzień, który wczesnym rankiem zapowiadał się zupełnie „jesiennie” robi się z każdą godziną jaśniejszy i promienniejszy.

Aż w pewnej chwili, gdzieś już koło Chrzypaska wytoczyła się z poza ołowianej chmury na błękitne niebo jasna kula słoneczna i zalała cały jesienny świat złotem. Akurat mijaliśmy jezioro. Zalśniło nam ono słonecznymi odbiciami tak mocno, że patrzeć było nie sposób. Patrzyliśmy więc na panoramę złotych, arcybarwnych drzew na niedalekim plańie i na ciemną linję lasu, która kładła kres lśniącej, olbrzymiej tafli jeziora.

Zginęło gdzieś za zwartymi szeregami drzew jezioro chrzypskie i oto już zdala mruga ku nam drżące blaskami srebrne zwierciadło innego. Potem przez pewien czas jedziemy szerokim korytarzem, którego ściany tworzą mieniące się teraz gamą kolorów drzewa lasu. I znowu blaski jeziora i znowu wędrówka w brązowym wąwozie leśnym.

Odrywamy na chwilę myśl od kontemplacji i usiłujemy wysnuwać wnioski: „Pięknie tu, bo pięknie, ale ziemia jakaś licha być musi”. Jakby dla potwierdzenia naszego wniosku wychynął z boku za lasem płat zoranej szarej i napewno b. lekkiej ziemi. I znowu przerzedzony wyrębem paru lat las.

Pociąg przystanął na chwilę na małym dworcu Sierakowa, jakby dla nabrania oddechu przed ostatnim etapem swej wędrówki: Sieraków-Międzychód. Dalej już granica polsko-niemiecka, której ten „lokalny” pociąg nigdy nie przejeżdża.

Wyskakujemy na chwilę dla „rozprostowania kości” po dość długiej podróży. Tor kolejowy biegnie dwurzędami lśniących szyn w obu kierunkach po kilkaset mtr. I jakby się kończył: Ginie, w ciemnych wlotach leśnych tuneli. Komin, widniejący wśród drzew na przeciwległej stronie dworca zamarty, bez pióropusza dymu, mówi o przemyśle, którego w Sierakowie było sporo, a który przywalony ciężarami i trudnościami zmarł albo usnął.

Pociąg rusza do Międzychodu. Już przedtem krajobraz, roztaczający się przed nami z okien wagonu wprowadzał nas w podziw swem pięknem i urozmaiceniem terenowem. Teraz chwilami miewa się wrażenie, że jedziemy jedną z podkarpackich linii kolejowych i że etapem końcowym naszej wędrówki będzie napewno jakieś Skole, czy inne Ja-

remcze. Wszystkie pagóry i wzgórza, pokryte barwnymi lasami, oto nasi towarzysze aż do dworca w Międzychodzie. Tego drugiego dworca, bo jest i dworzec Międzychód Wschód. Istnienie aż dwóch dworców w Międzychodzie uzasadnione jest w zupełności wielką przestrzenią na jakiej się domy i ulice Międzychodu rozłożyły.

JEDEN WIELKI TEREN WYCIECZKOWY I LETNISKOWY.

O powiecie rozmawiamy z p. starostą Zenktelerem.

Po przebyciu długiej drogi z dworca na rynek miasta, instalujemy się w czystym hotelu „Bristol”, przy czym piszący wybiera sobie przemyślnie skromny pokój, ale z widokiem na bardzo bliskie jezioro.

Potem znowu długa wędrówka do starostwa plantami miejskimi, niestety, teraz już ze sterującymi tylko drzewami z których opadły już liście.

— Jak przedstawia się struktura gospodarcza powiatu — pytamy pana starostę.

— Powiat nasz ma charakter wybitnie rolniczy. Jeśli chodzi o specyfikacje naszego rolnictwa to posiadamy tu u siebie poza normalną produkcją zbóż dwa rodzaje plantacji; więc rozległe plantacje wikliny w okolicy Lewicy. Plantacje te z roku na rok prosperują coraz lepiej. Pozatem rzucono się u nas na ciekawy eksperyment produkowania soi. Mimo, że jest to, jak wiadomo, roślina egzotyczna, plantacje soi udają się u nas wcale nieźle.

Działamy w tych kierunkach przez przysposobienie rolne i konkursy przysposobienia rolnego. Przez pewien czas propagowaliśmy hodowlę kukurydzy i propaganda ta przyniosła także bardzo ładne rezultaty. Wielką zasługę ma tutaj nasza szkoła rolnicza z p. dyr. Siutą.

— Co Pan Starosta powie nam o przemyśle swego powiatu?

— Był czas, że mieliśmy tu rozwinięty cały szereg gałęzi przemysłowych; a więc np. przemysł młynarski i posiadaliśmy w samym Międzychodzie dużą fabrykę konserw roślinnych „Pomone”. Pod wpływem wielkich trudności gospodarczych w jakie fabryka popadła, musiała zaniechać produkcji i już od 4 lat stoi ze świetnymi urządzeniami technicznymi. W międzyczasie zainteresował się nią sławny szwajcarski koncern Knorr’a, ale pertraktacje nie dały rezultatu. W latach między 1926—1929 była tu u nas niezwykła wprost konjunktura drzewna, spowodowana niszczyielskim działaniem „sówki-chojnówki”. Powstał więc na terenie powiatu szereg wielkich tartaków, które robiły kolosalne interesy. Od 1929 r. jednak stanęły kolejno tartaki, przysparzając powiatowi i miastu rzesze bezrobotnych. Obecnie pracuje także w trudnych warunkach kopalnia węgla brunatnego „Wanda” w Starym Zatoeniu.

— Mieliszmy, Panie Starosto, możność stwierdzić to już w wagonie kolejowym, że powiat jest b. urozmaicony i ma szereg malowniczych zakątków.

— A tak, to także cecha specyficzna naszego powiatu. Jest naprawdę śliczny, szkoda tylko, że tak mało znana jest jego uroda i tak mało jest, udostępniony dla turystyki wewnętrznej. Mamy tu przede wszystkim piękne, rozległe lasy, zajmują one $\frac{1}{3}$ część powiatu. Mamy niezwykle bogactwo jezior — jest ich w powiecie ca 100. Jest mnóstwo wzgórz i pagórków. Jednym słowem — wymarzony teren wycieczkowy i campingowy.

Powiat nasz to jakby jedno wielkie letnisko. Swego czasu mieliśmy tu Zakład Uzdrowski dla Urzędników. Od 2 lat jednak jest on zanknięty.

Natomiast z roku na rok powiat jest coraz bardziej wyzyskiwany na obozy letnie i kolonie. Sam Międzychód ma śliczną plażę z łazienkami miejskimi nad jeziorem. Urządza się tu rokrocznie na wysokim poziomie stojące zawody pływackie.

Pozatem stale rozbudowują się obozy letnie w okolicy Sierakowa, w których przez trud i piękno życia obozowego przechodzą coraz większe szeregi młodzieży męskiej i żeńskiej.

Nasze lasy państwowe, zwłaszcza w nadleśnictwie Bucharzewo, obfitują w jelenie i rokrocznie urządza się tu reprezentacyjne polowania dla dostojników państwowych.

Na terenie powiatu urządzają drużyny harcerskie obozy stałe i wędrownie. U nas już także „ustabilizowała się” ze swemi kolonjami letniami „Stella”.

— Jak wygląda strona zabytkowa w powiecie?

— Poza Sierakowem, w którym jest piękny kościół, zbudowany przez Opalińskich, no i b. stary kościół w samym Międzychodzie, na wyróżnienie pozatem w powiecie zasługują: rezydencja hr. Kwileckiego w Kwileczu z pięknymi zbiorami pamiątek po Janie Sobieskim, siedziba pułk. Chłapowskiego w Mościejewie z wspaniałym zbiorem trofeów myśliwskich, poza tem Kolno, Gralewo, Kamionna i Lewica. W Kamionnie np., która niegdyś była miastem stoi obecnie na wysokim wzgórzu śliczny kościółek gotycki. Na terenie całego powiatu spotykamy szereg pomników i krzyży, które są wymownym śladem wielkiej roli, jaką odegrał w powstaniu wielkopolskim powiat międzychodzki. Sam Międzychód zabytków nie posiada chociaż w dawnych czasach kasztelan międzychodzki miał tutaj swoją siedzibę. I teraz Międzychód jest b. ważnym punktem, położonym na progu ważnej bramy wypadowej na zachód i nad wielkim traktem łączącym Zachód ze Wschodem. Z osobliwości Międzychodu poruszyć należy sprawę zasług dla miasta położonych przez bogatego Żyda — Tietza. Wywodzący się z Międzychodu Tietz ufundował w mieście dom kąpieliskowy, ufundował miastu b. ładny park miejski, zbudował promenadę naokoło jeziora i zapisał legat na rzecz miasta w wysokości 500.000 mk. niem.

— Jeszcze kilka ogólnych liczb co do powiatu i kilka słów o drogach?

— Obszar powiatu wynosi 875 km². Ludności ma ca. 32 tysięcy, w czem mniejszości około 10%. Powiat graniczy z Niemcami na przestrzeni 75 km. Tu muszę podnieść rolę naszej Straży Granicznej, która nie tylko spełnia swoje powinności służbowe, ale odgrywa i wybitną rolę w pracy społecznej.

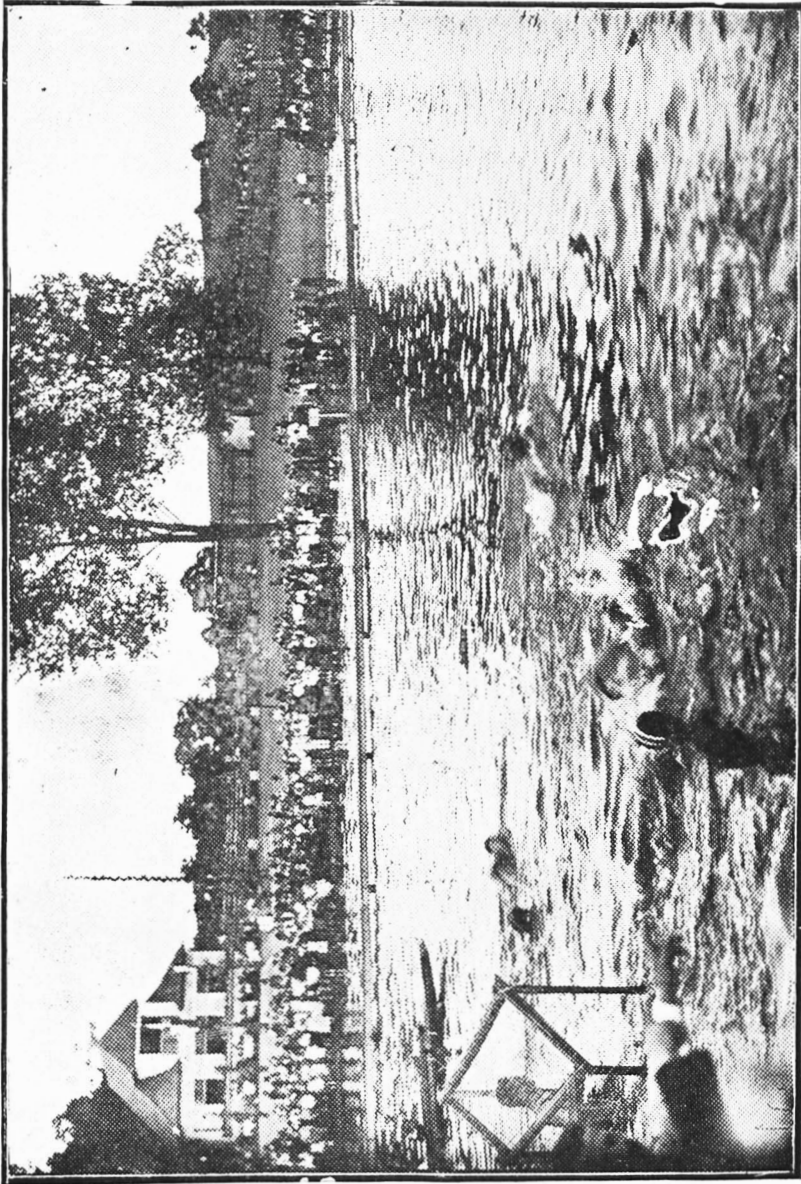
Jeśli chodzi o drogi to powiat posiada 124 km dróg umocnionych. Z tego przypada 29 km na drogi państwowe, drogi wojew. stanowią 30 km. oraz drogi powiatowe — 65 km. Na podkreślenie zasługuje znaczenie naszego traktu międzynarodowego z ważnym przejściem granicznym — Sterki.

U STÓP STAREGO KOŚCIOŁA.

Ks. proboszcz Kowalezyk pokazuje nam swoje skarby.

Plebanję stanowi jeden z domów przy ulicy sąsiadującej z kościołem, wejścię między inne podobne kamieniczki. Dzwonimy u wejścia. Za chwilę będziemy rozmawiać z duchownym, który brał b. czynny i żywy udział w powstaniu wielkopolskim. A oto i ks. proboszcz Kowalezyk. Przyjmuje nas b. chętnie i zaraz prowadzi na piętro. W jednym z pokoi zawiesił ks. proboszcz na ścianie kilka starych obrazów, które ocalił przed zniszczeniem. Gdyby nie skrzętna opieka proboszcza, obrazy, które dotąd niechronione niszczały, zniszczałyby już zupełnie. I teraz obrazom należy się gruntowne odnowienie, na które trzeba mieć pieniądze. Ciekawa bardzo jest barwna płaskorzeźba, którą nam właśnie ks. proboszcz pokazuje. Z pierwszego wejrzenia sądząc możnaby ją posądzić jeśli nie o samego Wita Stwosza to przynajmniej o jednego z jego uczniów. Po chwili przyglądania się rzuca się w oczy pewna niekonsekwencja obrazu, który musiał pewnie w swej młodości wisieć w ołtarzu. Oto postaci dolnej części obrazu i układu ornamentów wykazuje zupełnie ściśle na gotyk, jako na swój styl. Natomiast partja środkowa i góra są wybitnie barokowe.

Chwile długą spędzamy przed szeregiem cennych starych obrazów, usiłując odgadnąć ich wiek pochodzenia. Następnie uprzejmy ks. proboszcz prowadzi nas do kościoła. Odrazu rzuca się w oczy, że kościół jest stary, choć częściowo z nowszych czasów pochodzący. Ks. proboszcz opowiada nam jego historję, z której wynika, że obecny kościół stoi na miejscu swego poprzednika, kościółka drewnianego z XIV w., na miejscu którego w roku 1523 stanął obecny kościół murowany. Obchodzimy kościół dookoła. W pewnej chwili otwiera się przed oczyma naszymi niezwykła panorama. Oto za cmentarzem kościelnym



PLAŻE I ŁAZIENKI W MIEDZYCHODZIE.



Pupa

teren zlekka opada, a w dole przelewa swoje wody wezbrane jesiennymi deszczami — Warta. Mury kościoła, które w swej głównej treści montowane są z wielkich kamieni, mają niezwykłą grubość.

W kościele niewiele jest zabytków: obrazy stare z Chrystusem na krzyżu, oraz Madonna o pięknej twarzy, obraz z XVI w., który posiada technikę szkoły hiszpańskiej. Potem ks. proboszcz pokazuje nam w zakrystji piękne, stare ornaty, z których jeden przypomina bardzo ornat ze skarbu częstochowskiego, haftowany przez królową Jadwigę. Następnie szerzej podziwiamy przepięknej koronkowej roboty filigranową monstrancję gotycką. W drodze powrotnej ks. proboszcz pokazuje nam linje (mniej więcej w środku kościoła, do której biegł dawny kościół, a od której zaczyna się nowsza, dobudowana część kościoła międzychodzkiego.

Wyszliśmy z kościoła. Ks. proboszcz pokazuje nam w murze skrytą kamienną, płaskorzeźbę, o której krążą najróżniejsze wersje. Ma to być związana z pewnym smutnym wypadkiem. Oto jeden z międzychodzkiego żydów w dawnych czasach żyjący, zbezcześcił ołtarz główny. Zasądzono go na śmierć i wyryto jego twarz w kościelnym murze na przestrożę innym.

Jeszcze raz spoglądamy z kościelnego wzgórza na szeleszczącą w dole Wartę i żegnamy ks. Kowalezyka.

CO ZROBILIŚMY I CZEGO JESZCZE ZAMIERZAMY DOKONAĆ.

O losach Międzychodu rozmawiamy z jego burmistrzem, p. Michałem Skrzypeczakiem.

Niezwykle energiczny i zasłużony w prowadzeniu gospodarki miejskiej p. burmistrz Skrzypeczak przyjmuje nas w swym gabinecie na ratuszu. Szybko biegną pytania i odpowiedzi.

— Odkąd datuje się życie Międzychodu?

— Międzychód jest jednym z najstarszych miast polskich. Pierwszą o nim wzmiankę spotykamy już około r. 980. Była to wówczas osada rybacka i zdaniem starszych kronik rybacy właśnie nazwali swoją osadę, wciśniętą między Wartą a jezioro — Międzychodem. Większego znaczenia nabrała osada dopiero po osiedleniu się w powiecie zdunów i sukienników. W tym czasie należał Międzychód do powiatu Kamionna, miejscowości będącej obecnie jedną ze wsi powiatu międzychodzkiego. W Kamionnie także znajdował się wówczas sąd ludowy. Miastem został Międzychód w roku 1578. Do roku 1505 jest ono w posiadaniu rodu Łukasiewiczów, następnie przechodzi w ręce Niemaszkowskich; skolei dostaje się Krzyżanowskiemu, w roku 1556 Mikołajowi Górcie, następnie zaś hr. Stanisławowi Ostrorogowi. Wreszcie w 1597 jest własnością Krzysztofa von Unruha i pozostaje własnością tej rodziny do roku 1739. W ostatnich już latach nosi nazwę miasta królewskiego. Pamiętny jest także rok 1658, w którym to roku król Jan Kazimierz, podczas swego pobytu w Międzychodzie nadaje utworzonemu wówczas Bractwu Strzeleckiemu specjalne przywileje na dokumencie, znajdującym się dotychczas w posiadaniu Bractwa.

Gdy po rozbiorach Międzychód przypadł w posiadanie Niemcom zalali oni miasto i powiat szczególnie silną falą germanizacyjną. Doszło do tego, że miasto było zamieszkałe w 90% przez Niemców. A jednak, gdy przyszedł czas wyzwolenia się Międzychód i powiat wzięły silny udział w powstaniu wielkopolskim, którym na ziemi Międzychodzkiej dowodził pułkownik Chłapowski z Mościejewa pod naczelnem dowództwem gen. Dowbór-Muśnickiego.

Miasto Międzychód przypadło do Polski w styczniu 1920 roku na prawie traktatu wersalskiego i w dniu 17 stycznia tego roku wkroczyły do miasta pierwsze oddziały wojsk polskich. Dla upamiętnienia tej chwili jedna z ulic Międzychodu nosi obecnie nazwę „17 stycznia”.

— Jak przedstawia się obecny stan gospodarezy miasta?

— Przed wojną Międzychód był miastem b. uprzemysłowionem. Obecnie od roku 1928 szereg placówek przemysłowych stoi bezczynnie. A więc fabryka konserw „Pomona“ (zatrudniała ca 300 osób), szereg tartaków (około 400 ludzi), fabryka maszyn (100 ludzi): słodownia, cegielnia dopiero teraz są uruchomiane.

Miasto posiada pierwszorzędnie urządzoną elektrownię i gazownię. Częściowo jest też skanalizowane. Na czele urzędzeń miejskich postawić należy, rzadko gdzie spotykaną, rozległą plażę nad jeziorem, zbudowaną kosztem 300.000 zł. zaopatrzoną w kabiny z pobliską salą restauracyjną i dancinżiem, Dom Zdrowia ZUPU pierwszorzędnie urządżony, obecnie jest, niestety, zanknięty. W mieście jest także gimnazjum koedukacyjne, stacja opieki nad matką i dzieckiem, — ochronka i 4 domy dla ubogich.

Dużo zamierzamy robić. Z przewidywanych inwestycyż wymienić należy: budowa rzeźni miejskiej i targowicy, rozbudowa portu zimowego i położenia bocznic kolejowej do portu nad Wartą, gruntowna naprawa mostu przez rzekę Wartę, kosztem 100.000 zł, budowa bursy dla ucznióży gimnazjalnych kosztem 100.000 zł wreszcie budowa wodociągów i kanalizacyż miejskiej kosztem 500.000 zł. Ale na wszystko trzeba czasu i piędędzy.

— Jak wygląda życie kulturalne Międzychodu?

— Bije ono stosunkowo żywym tętnem, do tego przyczyniają się niewątpliwie w dużej mierze nasi letnicy. Bardzo tu u nas jest także rozwinięta praca społeczna.

Prace ułatwia ogromnie b. zgodna współpraca kierownictwa miejskiego z korporacyami miejskimi, co dawniej pozostawiało dużo do życzenia. Gospodarzimy tu zapatrzeni w interesy miasta naszego i Państwa.

— Prosimy Pana Burmistrza o kilka informacyż, dotyczących ciekawego zjawiska zupełnej przemiany stosunku elementóży polskiego i niemieckiego w Międzychodzie.

— Rzecz dawniej wyglądała katastrofalnie. Był czas przed wojną, że na całą ludność naszego miasta przypadało poprostu parę rodzin polskich. Miasto było zupełnie zniemczone. Od czasu uzyskania niepodległości rzecz się zmieniła zupełnie. Proces odgermanizowania przechodził u nas w b. szybkim tempie. Obecnie na 5 i pół tysiąca ludności miasta przypada około 12 proc. Niemców. Do tego stanu rzeczy przyczyniło się w wielkiej mierze nasze duchowieństwo, pozatem „Rolnik“ oraz „Bank Ludowy“. W r. 1913 założył Karol Rzepecki „Sokoła“, który także wziął silny udział w procesie odgermanizacyjnym. Obecnie w rynku np. gdzie przedtem nie było ani jednego Polaka, prawie wszystko znajduje się w ręku polskim.

— Sami już zdążyliśmy zauważyć niezwykle warunki letniskowe Międzychodu. Co Pan Burmistrz nam o tem powie?

— Proszę panów, uważamy ze swojej strony, że warunki te są tak niezwykle i sprzyjające, że idziemy całą parą do rozwoju tego charakteru naszego miasta. Bo przecież letnik ma u nas wszystko, czego jego wielkomięjska dusza zapagnie: wodę, słońce, piasek, las. Spacerzy łodziami po jeziorze, rybołówstwo (w wodach naszego jeziora znajdzie on: węgorze, karpie, szczupaki, okonie i t. d.) a przede wszystkim prześliczne tereny do długich i krótkich spacerów i wycieczek.

Dla jaknajlepszej obsługi letników otworzył magistrat specjalne biuro letniskowe, posiadające w ewidencyż wolne mieszkania i ezuwające nad ich higieną i cenami. Koszty utrzymania minimalne bo od 3—4 zł dziennie. Międzychód korzysta z kolejowej niżki letniskowej w 50%.

— My tu jeszcze wróciimy, Panie Burmistrzu, w maju, obejrzymy dokładnie piękno waszego letniska i napiszemy o tem szerzej.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ U NAS „ZROBIŁA PLAJTE”.

O kupiectwie międzychodzkiem rozmawiamy z prezesem Stowarzyszenia Kupców i Przemysłowców p. L. Modelskim.

Zachodzimy do miłej willi, by o historji kupiectwa i jego obecnym stanie porozmawiać z najlepiej się w tych sprawach orjentującym, poważanym kupcem i przemysłowcem a zarazem wybitnym społecznikiem p. L. Modelskim.

— Jak obecnie przedstawia się stan kupiectwa międzychodzkiego?

— Kupiectwo przeżywało u nas początkowo „złote czasy“. Po chwilowem załamaniu przyszła świetna konjunktura lat 1924—1928, kiedy to sówka-chojnowka i wyrąb drzewa ściągnęły w naszą okolicę do 4.000 robotników. Ludzie ci, wszystkie potrzeby handlowe załatwiali w interesach naszego kupiectwa; nie więc dziwnego, że był to czas wielkich obrotów i zarobków. Potem przyszła reakcja: robotnicy po zamknięciu tartaków odpłynęli, albo, co gorsza, zostali już u nas, ale jako bezrobotni. Od tego czasu zaczął się powolny, ale stały proces likwidacyjny placówek handlowych i staliśmy się świadkami niezwykle licznego zamierania firm.

— Jakie są widoki na przyszłość?

— Mojem zdaniem poza naturalnem wyjściem z opłakanej sytuacji, jaką stać się może rychłe zakończenie kryzysu i reakcja w ożywieniu handlu, zbawieniem dla naszego zamierającego kupiectwa, byłoby otwarcie granicy polsko-niemieckiej, tej naszej tu bramy wypadowej na Zachód. Mamy przecież najtańszą drogę, najtańszy środek komunikacyjny — b. spławną Wartę. Licząc się z tą ewentualnością, mamy już przygotowane projekty portu przeładunkowego i z chwilą dojścia do skutku traktatu handlowego polsko-niemieckiego zaraz przystąpilibyśmy do realizowania projektów.

Mamy tu b. dużą przeładownię zboża. Na rozwój naszego portu wpływa fakt, że stan wody w Warcie mamy tu o 15 cm wyższy niż Poznań. Jeżeli chodzi o obecny eksport nasz do Niemiec to jest on minimalny. Droga ta jest więc niewyzyskana zupełnie. Wszystko idzie tranzytem do Szczecina. A dawniej tędy właśnie szło: drzewo, cukier, mąka z Lubonia.

— A jak wygląda sprawa spółdzielni w Międzychodzie?

— Spółdzielczość zrobiła u nas generalną plajtę i niema o czem mówić. Sądzę, że oparta była na niezdrowych fundamentach kredytowych i to stało się przyczyną klęski.

— Wreszcie o przemyśle międzychodzkiem słów kilkoro:

— Jeśli chodzi o miejscowy przemysł, to trzeba mówić w czasie przeszłym. Wszystko było, wszystko prosperowało. Jedyną obecnie poważniejszą placówką, reprezentującą przemysł na naszym terenie jest kopalnia węgla brunatnego „Wanda”.

WSRÓD LUDZI „Z CZARNEMI RĘKOMA”.

Zjawia się dyrektor kopalni „Wanda” St. Firlej. Jedziemy do kopalni.

Niedługo skończy się blask dnia i stanie się ciemno. Spieszymy się więc bardzo, bo do kopalni spory szmat drogi, a chcielibyśmy „Wandę” zobaczyć w świetle dziennem. Szybko uciekły z oczu ulice Międzychodu. Pędzimy szosą; w pewnej chwili skręcamy, znowu gwałtowny wiraż, łśniący wielką kałużą, mijamy domki wioskowe i pędzimy ku niedalekiej już przeprawie przez Wartę.

Po drodze p. St. Firlej opowiada nam o kopalni.

Pogawędka idzie rażno, bo jest interesująca i niewiadomo kiedy znaleźliśmy się z autem nad brzegiem Warty. Mostu nigdzie nie widać w pobliżu. Okazuje się, że razem z samochodem przepłyniemy na drugą stronę zupełnie niepozornym promem. Za chwilę łańcuch promu zaczyna skrzeczeć i stwierdzamy, że w tempie coppersa wolniejszym niż autem, ale zbliżamy się do przeciwnego brzegu.

Za chwilę już auto, sapiąc z wysiłku wdrapuje się na stromą drogę wioskową. Minęliśmy Zatom. Teraz już jedziemy „szczerym lasem”. W pewnej chwili p. Firlej zatrzy-

muje auto. Widzimy naokoło piękny las, oblany blaskami zachodzącego słońca, ale nigdzie nie widać kopalni.

— A ona jest tuż, tuż — intryguje nas p. Firlej. Postępujemy drożyną wśród drzew. W pewnej chwili zza linii wzgórza słyszymy rytmiczny stuk maszyny parowej i widzimy wstęgę dymu. To tam. Ale przedtem przyglądaliśmy się ze wzgórza prześlicznemu pejzażowi, na którego piękno złożyły się równe moce: zachodzące słońce, ściana drzew smukłych, opadających linją stromego wzgórza, sina tafla wielkiego jeziora Barlińskiego w dole i szum szuwarów nad jego brzegiem. . .

Zstępujemy drożyną po zboczu wzgórza do hali maszyn kopalni. Wszędzie tu widzimy urządzenia konieczne, ale niewystarczające. Nadaje to części nadziemnej kopalni dość prymitywny charakter.

Jesteśmy w suszarni brykietów. W mdłym świetle paru żarówek kręci się szereg ciemnych zabrudzonych, zakurzonych i zasmarowanych postaci. Kręcą się jak cienie ludzi pośród huk i szumu maszyn sprytni jednak, wprawni i szybey.

Podходимy do wdrapujących się do wnętrza szopy małych koników, wiozących brumatny węgiel z czeluści kopalnianego szybu. Towarzyszymy następnie węglowi przyglądaliśmy się jego losom, aż do chwili, gdy z odpowiedniej maszyny wychodzi jako piękna, czarna, lśniąca kostka brykietu z napisem „Wanda“.

Potem z małą latarenką, której migocące światło rzuca dziwne refleksy na czarne ściany, schodzimy do szybu kopalnianego. Przed nami postępuje jeden z górników także umorusany na twarzy i rękach.

Mijają nas wózki z drepczącymi na przedzie konikami. Przemysłne to stworzenia i znają swoją rolę i drogę.

Zagłębiliśmy się w jeden z bocznych korytarzy. Staaliśmy przed calizną, zakończoną „ślepa” czarną uliczką. Górnik spogląda na nią i jakby zastanawiał się, gdzie uderzy pierwszy raz kilofem. Spojrzał na nas.

— Panowie się dziwią, że jam taki czarny — powiada — i że czarne mam ręce. Ano, trzeba, żebym miał czarne ręce, ażeby panowie miały białe do pisania. . .

BEZMIECHOWA NIECH SIĘ SCHOWA.

Wracamy do Międzychodu. Zarazem wracamy do interesujących rozmów z p. Firlejem. O możliwościach plantacji wikliny i o usunięciu wielkich kosztów pośrednictwa przy produkcji plecionych mebli.

O hodowli egzotycznej rośliny soji w powiecie międzychodzkiem i o najróżniejszych możliwościach „kulinarnych” tej rośliny. Okazuje się, że z soji można sobie sporządzić caluteńki obiad. Więć zupę z soji, potem świetny, soczysty sznyceł, (soja zawiera wielki procent tłuszczu) a wreszcie tort na leguminę. A gdyby obiad taki przypadkiem nie smakował, co jest prawie wykluczone, bo przysmaki ze soji są podobno świetne, to można ze złości wysadzić kuchenkę w powietrze. Tą samą soją. Bo roślina ta służyć może do wyrabiania dynamitu.

Potem p. Firlej zapytuje nas o ostatnie wyniki w szybownictwie. Okazuje się, że orientuje się w rzeczach szybownictwa bardzo dobrze.

— Okolice Międzychodu jest nie tylko ładna, ale i bardzo przydatna do sportu szybownictwa. Wielkie stosunkowo różnice wysokości urozmaiconego terenu i długie wąwozy świetnie nadają się na cel szybownictwa. Niezmiernie także sprzyjające są tu prądy powietrzne. Eksperymenty nasze dokonywane przy pomocy świec dymnych dały doskonałe wyniki.

Pozatem opracowaliśmy już plan budowy aparatu szybowca szkolnego typu C. W. J. i budowę jego wykonamy podczas zimowych miesięcy, tak, że wiosną i latem odbywać będą się już regularne ćwiczenia lotów szkolnych w terenie.

— My ze swojej strony życzymy Panom powodzenia i w tej akcji szybowcowej, bo jest to sport, który może nam przysporzyć przyszłych, dzielnych pilotów.

Dojeżdżamy do Międzychodu. Zapaliły się w nim już pierwsze światła. Minie kilka godzin na myśleniu o jutrze i spokojne miasto ułoży się do snu.

Z okna mojego hotelowego pokoju spoglądam na drżącą w blasku księżyca i gwiazd spokojną toń jeziora...

W SIERAKOWIE BEZHOŁOWIE.

I znów wysiadamy na dworcu w Sierakowie. Tym razem zatrzymamy się tu dłużej. Musimy się zbliżyć przyjrzeć strożytnemu miasteczku i jego sprawom.

Podróż po miastach takich, jak Sieraków, o wiele przyjemniejszą wydałaby się w czasach lepszej sytuacji gospodarczej. Głęboki kryzys, przeżywany przez cały świat dał się takim miasteczkom zbyt mocno we znaki. Sieraków np. wydaje się chwilami bardzo, bardzo smutny.

Jest to tembardziej uzasadnione, że Sieraków nie miał nigdy szczęścia do swych burmistrzów, ludzi, kierujących gospodarką miejską. Na nim w sposób bardzo dotkliwy zemściły się „wielkie gesty” gospodarzy miasta, którzy czemś „wiekopomnem” uwiecznić chcieli swoje imię na kartach historii miasta. I uwiecznili. Z jaknajgorszej strony. Każdy mieszkaniec pamięta teraz i pamiętać będzie nazwiska tych, którzy np. budową wielkiej elektrowni, wtedy, gdy miasto miało dobrze prosperującą gazownię, rzucili miastu na ramiona ciężar zadłużenia, pod którym miasto ugina się i znieść go nie może.

Zaczepiamy jakiegoś człowieka, który obok nas drepcze po długiej ulicy, wiodącej od dworca do rynku.

— Ano, ojców miasta tośmy mieli okropnych. Bo to jeden prosił panów pił, drugi kradł, trzeci chciałby coś zrobić, ale mu nie nie „wychodzi”.

Dowiadujemy się, że obecny burmistrz jest zawieszony w urzędowaniu.

STAN GOSPODARCZY JEST U NAS BARDZO CIĘŻKI.

Rozmawiamy z wybitnym przedstawicielem społeczeństwa sierakowskiego, p. aptekarzem Garsteckim.

Na rynku wyjątkowy ruch. Nie dziwnego: dzień targowy. Po 2 godzinach nie zobaczymy na nim już żywej duszy. Wystarczy ten czas na kilkadziesiąt „tranzakej” groszowych.

Wchodzimy do apteki p. Garsteckiego. Z nim będziemy rozmawiać o losach miasta, burmistrz bowiem nie urzęduje.

— Zechce nam, Pan Prezes, omówić najpierw stan gospodarczy miasta.

— Stan gospodarczy jest bardzo ciężki. Był u nas swego czasu dość silnie rozwinięty przemysł. Była więc kopalnia węgla brunatnego, ale się zatopiła. Stała się bardzo czynna niegdyś huta szklana.

Sama gospodarka miejska popadła w niestety ciężkie położenie przez fatalne pociągnięcia jej kierowników. Szczególnie ciężko odbiły się na gospodarce miasta: budowa elektrowni oraz wzorowej szkoły powszechnej.

Swojego czasu były u nas bardzo czynne tartaki z powodu intensywnej wycinki lasu, po sówce-chojnówce. Potem zabrakło drzewa do wycinki, więc tartaki stanęły, a na ulicach miasta zjawiły się tłumy bezrobotnych. Bezrobocie u nas jednak ma przebieg bardzo spokojny. Budujemy zresztą i przy tej sposobności znajdując bezrobotni zatrudnienie: tak np. przed 2 laty stanął naprzeciwko szkoły szpital SS. Elżbietanek.

— Podczas przelotnej lustracji miasta stwierdziliśmy, Panie Prezesie, że np. naokoło rynku jest dużo łachnych składów?

— A tak, składów mamy dużo, tylko że one raczej wegetują, niż żyją. Jest kilka interesów, postawionych na zdrowych podstawach gospodarczych i te przetrwają zwycięsko ciężką sytuację. Handel i rzemiosło są tu u nas przeważnie w rękach polskich — Niemców mamy teraz w mieście około 10%. Stosunek ten dawniej był zupełnie inny.

W bardzo jednak krótkim czasie po uzyskaniu niepodległości zmienił się na korzyść elementu polskiego.

Bardzo ważnym tu u nas i charakterystycznym objawem jest poważne uspokojenie, jakie obserwujemy. 11 listopada na uroczystości poszły poraz pierwszy wszystkie organizacje zgodnie obok siebie.

WSRÓD STWORZEŃ O NAJPIĘKNIEJSZEJ LINJI.

Oglądamy państwowe stado ogierów w Sierakowie.

Wracamy znowu przed stary kościół Sierakowski i znowu zaglądamy na probostwo. Niestety, ks. proboszcza Peika jeszcze nie ma.

Pogoda jest piękna, słoneczna; odbywamy więc pieszo przeszło kilometrowy spacer do Państwowej Stadniny. Idzie się do niej drogą, biegnącą tuż obok koryta rzeki Warty.

Wchodzimy do budynku administracyjnego. Ruch tam niezwykły. Spowodowany jest tem, że właśnie dokonywuje się zmiana kierownika Stadniny. Na miejsce dotychczasowego kierownika Stadniny p. mjr. Korbela, który poszedł na kierownictwo placówki gnieźnieńskiej, przychodzi p. Kozieł-Poklewski.

Chwytny więc pogrążonego w rechwachu sekretarza i wyciągamy z niego pewne dane, dotyczące Stada w Sierakowie.

— Państwowe Stado Ogierów w Sierakowie zostało założone przez rząd pruski już w 1829 roku. Oprócz sierakowskiego istnieje jeszcze na terenie Wielkopolski drugie stado w Gnieźnie, założone w roku 1885.

Podczas gwałtownej emigracji Niemców, która była właściwie ucieczką, zdążyli oni nawet w pośpiechu zabrać ze sobą 133 ogiery. Pozostało wówczas tylko 96 sztuk, przejętych w roku 1919 przez Państwo Polskie. Obecny stan ewidencyjny wykazuje 155 ogierów, rozmieszczanych w czasie kopulacyjnym w 85 punktach rozplodowych.

Administracja Stada w Sierakowie zatrudnia obecnie około 50 funkcjonarjuszów. Kierownikiem dotychczas jest p. major Tadeusz Korbel. Oprócz stada w Sierakowie w całej Polsce istnieje jeszcze 8 stad ogierów, wśród wszystkich jednak sierakowskie wyróżniają się bardzo dodatnio, co nie jest objawem dziwnym, jeśli się zważy, że w roku 1929 obchodziło ono 100-lecie swego istnienia.

Po rozmowie, w której zapoznaliśmy się teoretycznie z historją i stanem Stada Sierakowskiego, otrzymujemy na przewodnika wyborczego, jak się okazuje znawcy, sanitariusza p. Kazusia.

Z budynku administracyjnego przechodzimy do jednej ze stajni. Ponieważ z reguły nazywa się stajnią kawałek przestrzeni, zamkniętej ścianami z desek lub muru, w której panuje brud i nieporządek, a pozatem stoją konie, więc dla tych ładnych długich hall, czyściutek aż do szlif, z ładnie malowanymi boksami, w których na suchej czystej słomie stoją piękne konie, dla tych hall trzeba by znaleźć inną nazwę. W każdym razie są to stajnie „komfortowe”.

Może i nie dziwnego w tem, że tak pięknym koniom daje się tak piękne mieszkania.

Bo oto z podziwem patrzymy na pięknego pełnej krwi konia rodem z Irlandji. Obok niego śliczny biały arab półkrwi — Czarodziej. Nazwa bardzo szczęśliwie dobrana do tego białego przepięknej linji stworzenia, kręcącego się niecierpliwie za ogrodzeniem. Wypuścić go na wolność a napewno na cienkich, suchych nogach zapląsałby czarodziejski tan.

Środkiem hali biegnie zagrabiony chodnik z piasku, po którym się przeprowadza konie, by nie zbijały i nie zaziębiły nóg.

Przechodzimy teraz obok rzędu ładnych ogierów półkrwi angielsko-arabskiej. A tu znowu pełnej krwi hannowerezyk Bojar II.

Teraz do starszej stajni. Tu znowu króluje czystej angielskiej krwi — Palatyni. Wychodzimy z pierwszego kompleksu stajni. W zamknięciu szerokiego, pałacowego niegdys podwórza, urządzono ujeżdżalnię z ładnym skwerem w pośrodku. Idziemy teraz zewnętrzną drogą do innego kompleksu budynków stajennych. W drodze mijamy w ogrodach po obu stronach drogi ustawione „domki kuracyjne i emerytalne” dla koni. W tych domkach, otoczonych zagrodzonym ogródkiem urządzono letnisko dla starszych lub schorowanych koni.

Weszliśmy do stajni. W jednym z boksów stoi ozdoba i chluba stajen sierakowskich — arab czystej krwi — Fetysz. Trudno nam oderwać oczy od tego żywego piękna. Zapatrzył się on w nas głębokimi, czarnymi oczyma, podszedł do barjery i wychylił ku nam małą główkę o ślicznym profilu. Kładzie nam głowę bokiem na dłoniach, potrząsa nią, wymachuje. P. Kazuś objaśnia nam, że jest to niepoprawny pieszczoł, który bardzo lubi się bawić i przekomarzać.

Poza pięknem samych koni, niezwykłą czystością stajni, jest tu jeszcze coś, co uderza i ujmuje widza: Niezwykła troskliwość człowieka o zwierzę.

P. Kazuś jest nietylko troskliwym opiekunem koni. Lubi opowiadać, bo zna ekspedite końskie rodziny i ich koligacje. Ten ma taką a taką matkę, co to była córką sławnego tego a tego, a jej siostra wzięła na derby w Anglii pierwszą nagrodę itd.

I znowu „Kirasjer”, krwi orjentalno-hannowerskiej. W ostatniej stajni w osobnych boksach stoją same pełnokrwiste angliki: Mah-jong, Pronus, Maja, wszystkie piękne i cenne okazy. Ale w tej ostatniej przegrodzie stoi druga chluba stajen sierakowskich — Spion. Jest to niepoprawny warjat, o którym p. Kazuś z przekąsem opowiada, że „niejednego trzasnął”. Ale jest przytem ojcem świetnych dzieci. Jego młode dzieciaki wygrywają na wyścigach w Warszawie po 75.000 złotych.

Studjujemy przez chwile wspaniałe zalety bezcennego podobno egzemplarza sierakowskiego. Podziwiać trzeba w nim wszystko. Małeńką główkę, piękną długą szyję, duży kłęb, suche, umięśnione nogi.

I tę troskliwość i uczucie, z jakim gładzi człowiek-masztalarz szyję pięknego zwierzęcia.

W OPUSZCZONYM KOŚCIÓŁKU SIERAKOWSKIM.

I znowu stoimy przed sierakowskim kościołem. Ponieważ ks. Peika jeszcze nie ma, postanawiamy zwiedzić kościół „na własną rękę”. Cośniewś o nim wiemy, ale zdajemy sobie sprawę z tego, że pewne ważne, wartościowe rzeczy ujdą naszej uwadze. Słyszeliśmy np. o tem, że w kościele znajduje się obraz, przypisywany Rubensowi. Ale jednak w tem prawdy?

Już zzewnątrz widać, że ładny, poklasztorny zabytek XVII wieku, fundacji rodu Opalińskich jest opuszczony i bardzo przydałaby się renowacja. Po wejściu do wnętrza utwierdzamy się w tem przekonaniu. Chwilami wywiera to przygnębiające wrażenie. Brudne ściany i umierające, lub wyblakłe barwy bogatej pierwotnie, miejscami przeładowanej, barokowej ornamentyki.

A wśród takiej nieszczegółnej oprawy rzeczy wartościowe i piękne. Np. obraz głównego ołtarza, przedstawiający w pięknej kompozycji zdjęcie z krzyża. Na lewej ścianie tablice pamiątkowe z portretami Jana z Bnina Opalińskiego, kasztelana poznańskiego i jego małżonki Zofji „córki i spadkobierczyni książąt na Człopie i na Czarnkowie”.

W lewym bocznym ołtarzu wspaniała nisza z czarnego i białego marmuru z rzeźbą Piotra z Bnina Opalińskiego, wojewody poznańskiego, sławnego rycerza z wojen moskiewskich i tureckich.

Jeszcze chwilę błądzimy po opuszczonym kościółku. Wychodzimy, by jechać w powiat.

KRAJ CAMPINGÓW, WYCIECZEK i OBOZÓW.

Wędrówkę po powiecie zaczynamy z Międzychodu z łaskawem przewodnictwem p. starosty Zenktelea, który, jak dobry gospodarz zna wady, ale zna i zalety swego powiatu. Docenia on, jak może nikt inny w powiecie, piękno okolic Międzychodu. Po rozmowie, w której przekonał nas o urodzie swego powiatu wiezie nas teraz, byśmy urodę tę na własne oczy zobaczyli. Zadanie ma o tyle ułatwione, że już przed wyjazdem do Międzychodu słyszeliśmy o uroczych jego zakątkach. I jesteśmy już do Międzychodu przekonani.

Sypimy pełnym gazem nad granicę samą. Jedziemy przez wyłoczone słończnemi blaskami świat po falującej, pełnej wiraży szosie. Kilkaset metrów zaledwie za sobą, a oto już błysk pierwszego jeziora. Te blaski witały nas na progu powiatu, ptoną z boków naszej drogi przez czas całej wędrówki i pożegnają nas, gdy z okien pociągu przesyłać będziemy gościnnemu powiatowi pożegnanie.

Białemi pasami wśród ciemnych pni drzew, które mijamy, błyska w dole wielkie jezioro górzyńskie. Szosa wdrapuje się w górę, spada potem, dość stromo w dół, a wielkie jezioro toczy w dole, za ścianą lasu swe czyste wody. Na środku jeziora piękna wysepka nieosiągalna jakby, fosą szeroką i głęboką wód jeziora, odgradzona od szumiącego świata leśnego.

Skret w prawo, jazda w dół, zniknęło jezioro, ale oto dwubarwny szlaban granicy państwowej. Wyprężony, czujny żołnierz KOP-u raportuje przedstawicielowi władzy rządowej.

Wracamy. Przez drogę tuż, tuż przed samochodem przelatuje trwożliwa sarna; wpada w gęstwinę i znikła, pozostał po niej tylko szelest i roztańczone gałęzie młodej brzeziny.

Mijamy znowu, jakby rezerwat piękna, jakby kawałek ziemi, wyciętej z jej calizny dla radowania swą urodą ludzkich oczu — fragment górzyński...

Świetną szosą pędzimy teraz na wschód, w głąb powiatu, pokpiwując sobie z ewentualnych trudności przebycia pięknych zalesionych jarów po bokach szosy naszym środkiem lokomocji.

Przelatujemy przez przejazd kolejowy. Niech dwurzędy torów kolejowych lecą sobie swoją drogą do Zbąszynia. Nam trzeba inną drogą.

Z wysokiego wzniesienia szosy oglądamy rozległy widok z Międzychodem w dali. Wzgórza, które eo chwila pozostawiamy z boku „nabierają wysokość”; są już teraz chwilami poważnemi pagórami. Gdzieś tam, w zieleni jarów poukrywane, pióropuszcami dymów, dają znać o swem życiu małe domki.

Wjechaliśmy między domy Kamiomny. Było to niegdyś miasto powiatowe z ludowym sądem przy którym urzędował kat. Od czasu do czasu żył wówczas gród pod wrażeniem krwawej egzekucji. Losu koleje zdegradowały miasteczko do roli cichej, spokojnej wsi, której z tą rolą jest „bardzo do twarzy”.

Stanęliśmy przed ciekawym bardzo zabytkiem architektury gotyckiej — starym kościołem w Kamiomnie. Stoi na bardzo wysokim wzgórzu, murem wysokim od strony pochyłego wzgórza otoczony, nad wielkim, pięknym pejzażem okolicznych, zalesionych wzgórz królujący. W dole, gdzieś bardzo nisko, za drożyną u stóp wzgórza się wijącą, toczy swe spokojne wody wśród szumiących szuwarów piękne jezioro.

Dziwna jest architektura kościółka. Chwilami nieskazitelny gotyk (partje okien) a czasem jakiś swojski gotyk stosowany (fasada frontowa). I rzadko spotykany motyw

ornamentacyjny, pasem wijący się na ścianach całego kościółka. Boczna wieżyczka z dzwonicą i wielopłaszczyznowym hełmem mogłaby być kiedyś wieżą obronną.

Wyszedł z kościółka ks. dziekan Braun. Oparci o mur, za którym wysokie zbocze wzgórza spada zawrotnie wdół ku błyszczącemu jezioru, rozmawiamy z ks. dziekanem o wielkich walkach powstańczych, które toczyły się na terenie Kamionny, a których ślady widnieją w wielu miejscach na ścianach kościoła.

O historii samego kościoła, którą zaczyna rok 1499, kiedy to został w Kamionnie wzniesiony kościół klasztorny przez opata Kamińskiego.

Wchodzimy do wnętrza kościoła, by stanąć w zachwyceniu przed arcydziełem koronkowej roboty, gwiazdzistego sklepienia gotyckiego. I przed starymi obrazami ołtarzowymi z XVI wieku. Potem uwagę naszą przykuwa wielki krucyfiks, który razem z temi dwoma postaciami świętych stał na „tęczy” pod stropem kościoła. Tu znowu misternie rzeźbiony, czarny, stary konfesjonał. I wreszcie śliczny, jak zabawka ołtarz główny.

Jeszcze chwila, poświęcona oglądaniu starożytnych, jedynych we wspaniałej swej kolorystyce starych ornatów i pędzimy dalej.

Znowu kilka zjazdów wdół i wdrapywań się pod górę, zabłysnęły przed nami na chwilę wśród drzew wieże zamku w Rozbitku i oto po chwili zajeżdżamy przed gościnne podwoje pałacu w Kwilezu.

Siedzi tu od 500 lat i promieniuje na dalszą i bliższą okolicę swoją obywatelską działalnością, stara rodzina hr. Kwileckich. Dobrodzieje m. Międzychodu, fundatorzy licznych kościołów, mieszkają w skromnym, ale gustownym pałacu, z okien którego patrzymy w tej chwili na piękny pejzaż. Za rzadką ścianą drzew angielskiego parku, który wśród swego bogactwa ma takie pozycje jak koniferę, drzewo dziwne, będące protoplastą wielu gatunków drzew, rzuca ku nam blaski, złotem słonecznych blasków zalane jezioro.

Kilka pustych miejsc na ścianie przypomina o udziale, jaki obecni właściciele pałacu pp. Dobiesławostwo hr. Kwileccy w krakowskiej wystawie pamiątek po odsieczy wiedeńskiej a przodkowie ich w potrzebach wojennych wzięli...

Jeszcze wpadamy tylko na ementarz w Orzeszkowie, by patrząc na prostą białą płytę z jednym wyrazem „Cassius” pomyśleć o tem, jak to Kasjusz, profesor gimnazjum w Poznaniu i kaznodzieja kalwiński w Orzeszkowie swą przyjaźnią z Karolem Marcinkowskim i Libeltem oraz swą wielką robotą patrijotyczną, zmył plamę w historii kalwinizmu polskiego, zostawioną mu w spadku przez innego wielkiego „kaznodzieję kalwińskiego i profesora gimnazjum” — Komenjusza w Lesznie...

Potem chwila spędzona w mościejowskim pałacu pułkownika Konstantego hr. Chłapowskiego wśród przedziwnej kolekcji trofeów myśliwskich i oto pędzimy na ostatni etap swej wędrówki — do letnich obozów Sierakowskich.

W pewnej chwili za wzniesieniem, które minęliśmy daleko od szosy, gdzieś w dole, dalekie jak marzenie i jak ono piękne zajaśniało migotliwą plamą wśród zieleni wielkie jezioro.

Wychodzimy z auta i na piechotę drałujemy przez zaorane już ścierniska wzgórza. Na wielkiej płaszczyźnie wód jeziora usiadła maleńka i niepozorna wysepka w środku. Przy brzegu po prawej stronie jeziora plaża, pomost i wieża do skoków wskazują nam miejsce, gdzie w lecie młodość, mieszkająca w pawilonach obozowych w górze, raduje się słońcem, wodą i powietrzem.

Jedziemy do obozów. Stoją teraz tylko budynki administracyjne i jeden z pawilonów, budowany w stylu zleka zakopiańskim z otwartymi bokami, które w czasie pobytu letnich, młodych lokatorów zasłonięte bywają brezentowymi płachtami. Na wzór tego pawilonu postawi się w przyszłym roku szereg innych i zerwie się z systemem kosztownych i niepraktycznych namiotów.

Teraz jest tu wszędzie pusto i cicho. Ale gdy słońce lipcowe zacznie swym żarem dokuczać nie na żarty młodym mieszkańcom wielkich miast, zbuntują się oni i przyjadą na obóz do Sierakowa. A wtedy lasy dokoła rozdzwonią się radosną pieśnią młodości...

WSRÓD ŻYJĄCYCH, DROGOCENNYCH FUTER BOBROWYCH.

Na sierakowskim rynku musimy się rozstać z p. starostą, którego obowiązki służbowe wzywają do Szamotuł.

Własnym tedy przemysłem postanawiamy dotrzeć do jedynej na terenie Wielkopolski a jednej z niewielu w Polsce — hodowli bobrów na terenie nadleśnictwa w Bucharzewie.

„Własny przemysł”, któremu powierzamy swoje losy, to przyzwoita taksówka, którą odbywaliśmy już podróż do kopalni „Wandy” w Zatomiu.

Drogami i drożynami, zakonspirowanymi w leśnym świecie dojeżdżamy do nadleśnictwa. Zabieramy ze sobą p. nadleśniczego Swobodę i znowu kilka kilometrów wędrówki wśród drzew lasów, w których p. Swoboda ma w swojej pieczy około 800 jeleni. I w którym w pewnej chwili stajemy przed bramą z napisem „Bobrownia”. Jeszcze kilkaset metrów. Ostry chłód, wiejący z wód bobrowiska i oto z nad poziomu ziemi, poziętej kanałami wykwitły domki bobrów.

Idziemy ku kawałkowi ziemi, poprzecinanej w różnych kierunkach wodnymi kanałami, podzielonej siatkami drucianymi, wkopanymi głęboko w ziemię, na parcele, przynależne poszczególnym członkom dość licznej rodziny.

Po drodze p. nadleśniczy Swoboda opowiada nam historję bobrowni bucharzewskiej. Zaczęło się to sprowadzeniem na próbę 2 par bobrów z Kanady. Stworzono im tu warunki bobrowego bytu, otoczono pieczołowitą opieką i oto w Bucharzewie wiedzie teraz spokojny, bezpieczny żywot 19 sztuk bobrów.

Wehodzimy między odrutowania poszczególnych parcel. Wierzyć się nie chce, że te domki na wodzie zbudowały nie pary ludzkich rąk a łapki i pyski tych nieforemnych niezgrabnych stworzeń, ubranych w piękne, drogocenne futro, z których jedno wychyliło się właśnie z wody. Nie zdążyliśmy jeszcze w żadnej mierze zaspokoić naszej ciekawości co do wyglądu bobra a już się skrył pod wodę. Niema co czekać na jego ukazanie się. P. Swoboda wyjaśnia nam, że jeśli uciekinier się uprze, to wyjdzie z pod wody dopiero po 20 minutach. Na tyle czasu bowiem wystarczy mu powietrza, które przed chwilą zacerpnął. Idziemy więc pod przewodnictwem nadleśniczego do jednej z klatek. Przewodnictwo jest tu bardzo na miejscu, gdyż cały teren naokoło skromnych przejść położony i niewinnie zupełnie wyglądający jest w gruncie rzeczy jednym wielkim i niebezpiecznym trzęsawiskiem, zrytem w różnych kierunkach kanałami i podkopami bobrów.

Bo dwa mają instynkty te dziwne stworzenia: kopania, budowania i spiętrzenia wody zapomocą budowania tam. Ta druga część działalności bobrów jest umotywowana chęcią osiągnięcia jaknajwiększego poziomu wody, w której się tak dobrze czują.

Otworzono jedną z klatek. Zaczął się ku nam czołgać dziwny potworek, szczerząc zęby w maleńkim pyszczku, sapiąc i prychając z niezadowolenia. Maleńkie łapki przednie, niestosunkowo duże, upletwione nogi tylne, szeroki, płaski ogon z twardej łuski i zgięty łuk całej postaci czynią, że jedynym godnym uwagi szczegółem w całej postaci bobra jest jego przepiękne futro.

Młody bóbr, którego oglądaliśmy, poszedł już do wody. Leży teraz na wodzie, w której czuje się stanowczo lepiej niż na ziemi, jakimś płaskim kształtem, że ma się chwilami wrażenie, jakgdyby oglądany przed chwilą bóbr zdjął futro i wystął je na przejażdżkę po wodzie.

Podszedłem blisko pływającego bobra. Może chciał się zemścić za moje uwagi o jego brzydocie, bo w pewnej chwili zupełnie niespodziewanie, uderzył mocno i głośno wielkim, płaskim ogonem o wodę i oblał mnie od stóp do głów strugą zimnej wody.

Oglądamy jeszcze domki, budowane z najróżniejszego materiału, budowlanego przez naród architektów zwierzęcych.

Zbliża się godz. 5-ta; niedługo z wnętrz swoich czyściutkich domków zakonspirowanemi kanałami wypłyną bobry objadać się marchwią i osiką oraz budować tamy. I przez całą noc w blasku wschodzącego właśnie księżycy będą niezmordowanie budować i budować.

„KTO NIE ZNA LESZNA, NIE ZNA POLSKI“

W GNIEZDZIE RODÓW: LESZCZYŃSKICH I SUŁKOWSKICH.



parafrazowaliśmy właściwie pewne przysłowie, z którym się można było dawnymi czasy spotkać. Mówiło się wówczas: „Kto Leszczyńskich nie zna, Polski nie zna”. Niewiele jest przesady w twierdzeniu, iż, żeby znać Polskę, trzeba znać i historję rodu Leszczyńskich i Leszna. Jest bowiem w historji rodu Leszczyńskich wiele momentów i cech, które dają istotny przekrój duszy ówczesnego Polaka.

Taki Rafał III Leszczyński, magnat butny, człowiek burzliwego charakteru, obrońca zawzięty klejnotów szlacheckich, serdecznie gościnnie, posuwający swoją religijną tolerancję zadaleko, skłonny do kontemplacyj religijnych, kunsztów wszelakich i oświaty protektor wielki.

A znowu Leszno. Historja tego starożytnego miasta to historja Polski. Początki zagubione w mitycznej przeszłości. Rozwój szybki aż do stopnia potęgi; i nieszczęścia: zgliszcza pożarów, łuny wojenne, warcholstwo i indyferentyzm religijny. Cierpienia zaborcze po męczeńsku znoszone i pewność ostatecznego zwycięstwa.

Za chwilę wsiądziemy do pociągu. Zamykamy więc broszury, mówiące o Lesznie i spieszymy do pociągu. W kącie wagonu opadły nas wizje, wyrosłe ze słów kronikarza.

Przez olbrzymie przestrzenie puszczy nietkniętej jeszcze, poprzez ciasne wąwozy górskie posuwa się wielki, barwny orszak królewski. To nadobna Czeszka, księżna Dąbrówka przebywa olbrzymią przestrzeń między czeską a polską stolicą. Niesie w dani piastowskiemu królowi Mieszkowi rękę swoją białą a Polsce całej wiary katolickiej blaski.

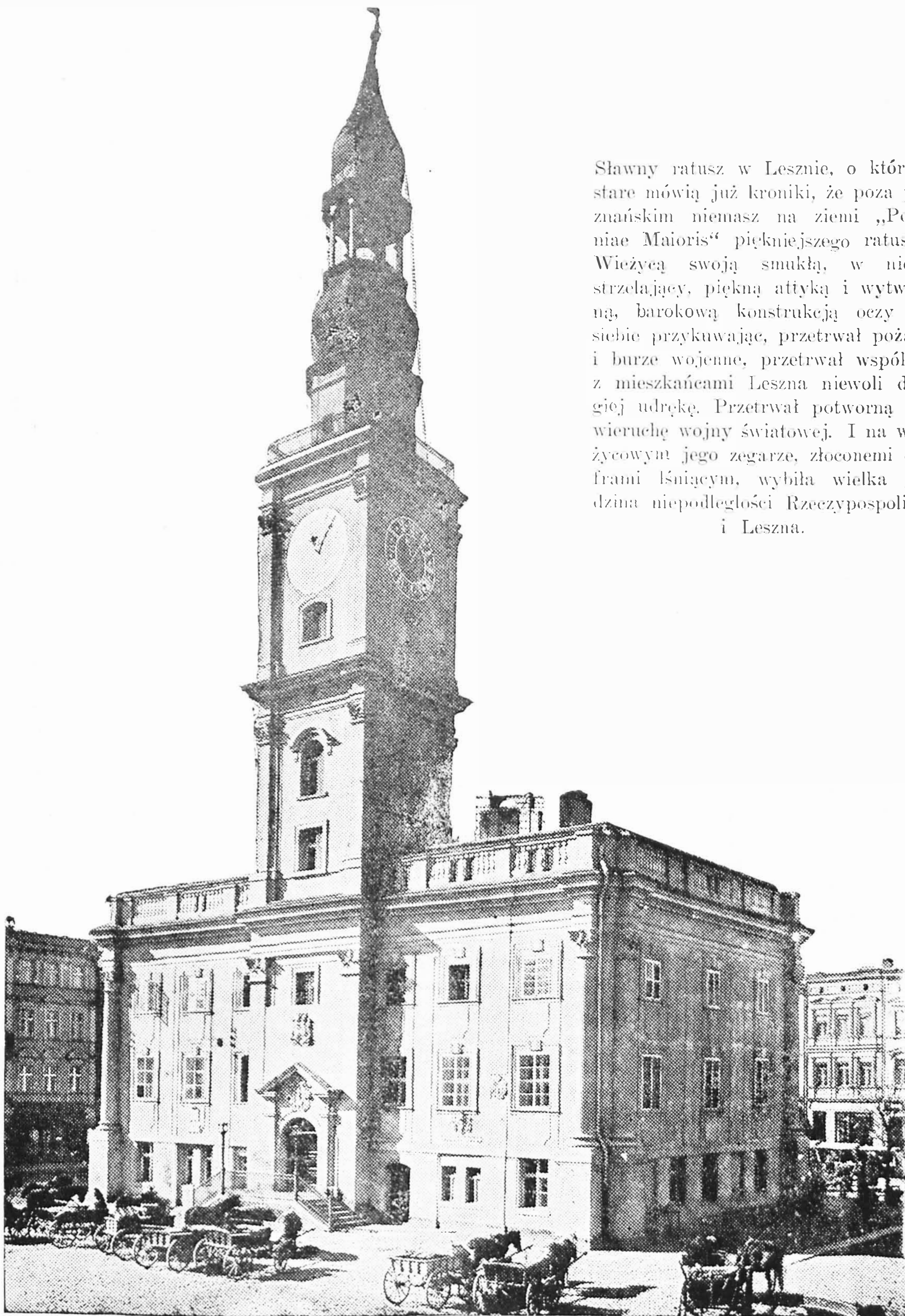
Nielada trzeba głowy, żeby ustrzec wielki orszak od jakowego nieszczęścia i poprowadzić go szczęśliwą drogą przed Mieszka tron. Ale taką właśnie głowę na mocnym karku posiada sławny rycerz z Mieszkowej drużyny — Filip Wieniawita — Persten.

A gdy dzielny Wieniawita pokłoni się na czele orszaku swemu królowi, ten w uznaniu jego zasługi odda mu wielką połacie wschowskiej ziemi z pięknemi wsiami, wśród których perłą będzie — Leszczyna.

I z małej, lecz bogatej wsi urośnie kiedyś piękne miasto wielkopolskie siedziba Leszczyńskich i Sułkowskich — Leszno.

Potężny ród książąt Leszczyńskich siedział na swym obronem zamczysku i dawał Polsce wojewodów, arcybiskupów, starostów... A rozwój Leszna miał zawsze na gorącym sereu. Rosło więc Leszno, potężniało.

Wyjechał w r. 1476 z zamku Rafał Leszczyński, by pakt konkordji między Fryderykiem III, cesarzem niemieckim, a swoim panem — Kazimierzem Jagiellończykiem czy-



Sławny ratusz w Lesznie, o którym stare mówią już kroniki, że poza poznańskim niemasz na ziemi „Poloniae Maioris“ piękniejszego ratusza. Wieżycę swoją smukłą, w niebo strzelającą, piękną attyką i wytworną, barokową konstrukcją oczy do siebie przykuwającą, przetrwał pożary i burze wojenne, przetrwał wspólnie z mieszkańcami Leszna niewoli długiej udręce. Przetrwał potworną zawieruchę wojny światowej. I na wieżycowym jego zegarze, złożonymi cyframi księżycowym, wybiła wielka godzina niepodległości Rzeczypospolitej i Leszna.

OZDOBA ZIEMI LESZCZYŃSKIEJ



nić. Dostanie za to od Fryderyka III tytuł hrabiego Rzeszy. Do czarnego łba zubra z pierścieniem w nozdrzach przybędzie wtedy na tarczy herbowej Leszczyńskich i lew, trzymający miecz, potężną przednią łapą.

A sława wielkiego rodu rozniesie się po świecie całym.

Lata 1516, 1517: — przez granicę czesko-polską, na gościnną polską ziemię pomykają gromadki biednych uchodźców. To członkowie Jednoty Braci Czeskich uciekają przed prześladowaniami ze swej rodzinnej, czeskiej ziemi. Polska, jak zawsze gościnna, gościnnie Braci przyjmuje. A już najgościnniejszego przyjęcia doznają u Leszczyńskich, którzy pod bokiem własnej Leszczyzny, osadę Leśną dla Czechów tworzą. Rafał III nada jej jeszcze w 1549 r. prawo magdeburskie — i Czechom zacznie się dziać lepiej, niż gdziekolwiek i kiedykolwiek.

Butny Rafał III, głowa polskich dysydentów odstępuje w r. 1550 od wiary katolickiej, przyjmuje religję Braci Czeskich i oddaje im kościół katolicki z wszystkimi jego legatami.

A w r. 1555 zakłada w Lesznie szkołę którą potem w latach tysiącesześćsettrzydziestych największy z Leszczyńskich, Rafał V, mąż wszelkich sciencyj pełen, polityk, astronom, poeta, władający siedmioma językami wspólnie z Amosem Comeniusem wielkim czeskim pedagogiem, postawi w najpierwszym rządzie uczelni europejskich.

Rozwinęło się wówczas i samo Leszno, że jak równe z równymi konkurowało zarówno swoim życiem gospodarczym jak i kulturalnym z Poznaniem.

W niebo strzelały wieże czterech kościołów, przy 20 ulicach rozsiadło się 1600 domów, dających dach nad głową 12.000 mieszkańcom.

W latach 1637—1639 wyrósł na rynku piękny ratusz, „cui parem praeterquam Posnaniae non habuit Polonia Maior“.

Po wielkim ojcu przyszedł mały syn. Gdy podczas najazdów szwedzkich przyjmie w bramach miasta Szwedów, uznany zostanie Bogusław Leszczyński za zdrajcę Ojczyzny. I Czesi, przygarnięte przez gościnną Polskę włóczęgi będą mieli możliwość okazać swą czarną niewdzięczność przez zdradzieckie pakt z najeźdźcą.

Zajaśnieje jeszcze wielkim blaskiem ród Leszczyńskich, gdy jego potomek Stanisław włoży na głowę swą królewską koronę. Lecz dla Leszna blask ten oznaczać będzie łunę pożarów wojennych. Sam król Stanisław wygnany po niesławnej abdykacji przybędzie do ukochanego Leszna po raz, ostatni w r. 1736. Przybędzie w towarzystwie kawalera Dandelot: jako kupezyk w przejeździe do Warszawy. Habent sua fata...

A córka jego biedna, dobra królowna Marja chodząc będzie smutna i zamyślona po komnatach Wersalu i alejach tuilleryjskich. I będzie myśleć: o swym królewskim małżonku, Ludwiku XV, lekkoduchu i lamparcie, o krótkich chwilach szczęścia, o Polsce, o swym gorącym sercu...

Łzy biednej Marji zagaszają blask wielkiego rodu.

Wielkość miasta Leszna zaczęli znowu dźwigać — Sułkowscy herbu Sulima. Młodszy ten o wiele ród przejął przez swego pierwszego wielkiego protoplastę — Aleksandra, nadwornego łowczego litewskiego w r. 1738 dobra rydzynskie i Leszno.

Potem już historia Leszna wybija swe epoki w takt urodzin i zgonów Sułkowskich.

Poprzez Aleksandra Józefa Sułkowskiego, domniemanego syna Augusta II i ulubieńca III, który to Aleksander Józef wyniósł swój ród do rządu magnackich przez tytuł hrabiowski, otrzymany od cesarza. Po nabyciu księstwa bielickiego na Śląsku otrzymuje i tytuł książęcy. Buduje się zamek w Lesznie, zamek w Rydzynie. Przychodzi straszny pożar r. 1790. Dom Sułkowskich w synach Aleksandra dzieli się na 2 linje: bielicką i ry-

dzyńską. Założycielem pierwszej staje się Franciszek Sułkowski, którego syn naturalny, sławny książę Józef Sułkowski, każe potęgą swego wojennego genjuszu krzyknąć przez usta francuskiego polityka Carnot pociechę dla Francji: „Gdybyśmy nie mieli Bonaparte, mamy Sułkowskiego“. Ale Bonaparte nie mógł znieść alternatywy. I Sułkowski zginął w Egipcie. Została po nim piękna legenda i tragedia Żeromskiego.

Założycielem linii rydzyniejskiej był ks. Antoni, generał wojsk koronnych, wojewoda gnieźnieński w r. 1786. Niesławną kartę tworzy w historii rodu Sułkowskich życie targowicianina — Antoniego, choć tak bardzo przyczynił się on do rozwoju Leszna i rewindykacji sławy jego gimnazjum.

Potem szedł już stopniowy upadek rodu Sułkowskich, aż do śmierci ks. Antoniego Sułkowskiego († 1907), który zdołał przeżyć obu swych synów Aleksandra i Franciszka.

Zabrakło Lesznu Sułkowskich, ale nie zabrakło wielkich obywateli i patriotów, gdy o takich w r. 1918 upomniadała się zmartwychwstająca Rzeczpospolita.

— — — — —
Właśnie pociąg zatrzymał się na ładnym, leszczyńskim dworcu.

POWIAT NASZ ŻYJE BEZ DEFICYTU

U starosty leszczyńskiego p. Zenktelera.

Pierwsze nasze kroki kierujemy do najwyższego przedstawiciela władzy rządowej na terenie całego powiatu leszczyńskiego — p. starosty Zenktelera.

Przejeżdżamy więc znowu całą „reprezentacyjną“ ulicę dworcową, jadąc obok ładnych, nieraz b. efektownych wystaw sklepowych, które często dają nam złudzenie, że jesteśmy w Poznaniu.

Za chwilę stajemy przed ładnym budynkiem starostwa, ukrytym w głębi gęstego parku.

Pana starostę zastajemy przy dokończaniu jednej z wielu konferencji co do pożyczki narodowej. Po chwili dochodzimy do głosu.

— Jak wygląda gospodarka powiatowa, Panie Starosto?

— Wobec jaknajdalej posuniętych oszczędności budżetowych oraz stopniowego umniejszania poszczególnych pozycji budżetu doszliśmy do tego, że zamykamy nasz budżet cyfrą 300.000 zł. Jest to więc obraz gospodarki bardzo skromnej.

Ale zato możemy nie bez dumy powiedzieć, że powiat nasz dotąd w żadnym roku nie miał deficytu. Zawsze nasze jaknajskrupulatniej przestrzegane zasady oszczędności wyprowadziły nas pod koniec każdego roku budżetowego na twardy grunt równowagi budżetowej. W tym roku mamy skromny niedobór, ale posiada on pokrycie w zaległościach.

Nie chcemy się chwalić; być może na ten dodatni stan rzeczy wpłynęły decydująco i inne przyczyny. Nie mamy np. szpitala powiatowego, niema więc obciążenia budżetu od tej strony. Nie posiadamy także kolejki powiatowej, która by przez swe deficyty mogła wpłynąć ujemnie na kształtowanie się równowagi budżetowej.

Ale zato mamy kulę u nogi w postaci dużego miasta — Leszna. Bo proszę zważyć, że my z miasta nie mamy żadnych wpływów poza skromniutką sumą ca 600 zł rocznego podatku gruntowego. Natomiast mamy z jego tytułu mnóstwo kłopotów i wydatków. Klęska bezrobocia, która przecież zawsze najgroźniej przedstawia się w mieście leży na naszej głowie. Bezrobotnych miejskich my zatrudniamy. Mamy spowodu miasta ogromnie napęczniały resort spraw karno-administracyjnych, że czasem część starostwa na cały dzień zamieniać się musi jakby w salę sądową. Musimy posiadać także rozbudowany mocno referat przemysłowy.

Jednym słowem mamy na głowie wszystkie troski jakie ma starostwo z dużym miastem niewydziałonym, a nie mamy z tego tytułu żadnych prawie korzyści.

— Drogi w powiecie Pana Starosty, jeśli te rzeczy można oceniać z okien pociągu wyglądają weale dobrze?

— O proszę pana, jest już z nimi coraz gorzej. Bo nawet drogi niekonserwowane należycie muszą wkońcu dojść do ruiny. A my nie mamy pieniędzy na należytą konserwację. Taka szosa państwowa z Leszna do Rawicza, jest już coraz bliższą ruiny. Dostaniemy ją do konserwacji być może w takim już stanie, że nie będziemy jej mogli nie pomóc. Jeśli chodzi o inwestycje, to nie mamy się czem zbyt chwalić. Nie mam na tem polu prawie żadnych „wyczynów“. Zawsze obawiałem się zaciągania pożyczek nawet na te cele, mam bowiem przekonanie, że pożyczki dla gospodarki powiatowej są właściwie zgubą. Od pewnej chwili zaczyna się bowiem pracować na procenty. Ale mimo to zbudowaliśmy kilka nowych domów powiatowych. Założyliśmy duży ogród powiatowy z domkiem pośrodku, gdzie gospodarzy Zw. Pr. Ob. Kob. wykorzystując teren dla swego przedszkola, które tam prowadzi.

— A jak przedstawiają się stosunki polityczne na terenie powiatu? Sprawa ta zawsze wygląda dobrze w powiecie Pana Starosty.

— Zmieniło się tylko na lepsze. Wyrazem tego np. są ostatnie dni, kiedy to całe społeczeństwo idzie ławą do subskrybowania pożyczki narodowej. Nie dziwnego, że pożyczka narodowa odniesie u nas pełny sukces. Przecież nasze tutejsze społeczeństwo kresowe zawsze było zahartowane w walce o dobro Państwa. Tu u nas w powiecie leszczyńskim ustosunkowanie i nastawienie jest konsekwentnie prorządowe. Jeśli chodzi o procent mniejszości to w naszym powiecie zmniejszył się on z 19 na 17%. Mniejszość niemiecka jest skoncentrowana dość silnie na samem pograniczu.

— Podobno powiat leszczyński jest bardzo urodziwy?

— Chwilami nawet bardzo! Uważam, że niema przesady w tem, co się mówi o naszym powiecie pod względem jego urody.

Błogosławieństwem dla bezrobocia naszego jest kilka dużych firm w naszym mieście. Każda z nich zatrudnia pewną ilość osób, tak że ktoś z rodziny bezrobotnych zawsze gdzieś pracuje. I tak fabryka cukierków „Kanold“ zatrudnia przeszło 100 dziewcząt, potem idzie f-ma Rudolfa Łaski „Skup surowców krajowych“. Fabryka papy i t. d.

— Jeszcze usłyszelibyśmy chętnie kilka słów o Powiatowej Kasie Oszczędności, która podobno świetnie tu idzie.

— Prosperuje rzeczywiście niezwykle. Mamy w niej do 3½ miliona wkładów oszczędnościowych. Ciężkie czasy, w jakich żyjemy, nałożyły na nas obowiązek niesienia pomocy rolnictwu. W bardzo ciężkiej sytuacji znajdują się także nasze większe majątki ziemskie. Będziemy im także usiłowali pomóc i dużo się o tem u nas myśli.

— O czem jeszcze chciałby Pan Starosta powiedzieć?

— O tem chyba, że mamy tu pewien przykry problem komunikacyjny. Mówią u nas wszyscy, że koniecznością byłoby ze strony Kolei Państwowych dać możliwość spragnionym słońca, powietrza, lasu i wody szerokim masom społeczeństwa m. Leszna częstych wyjazdów do pięknie położonych Grotnik i Boszkowa przez przydzielenie temu odcinkowi kolei biletów zniżkowych.

Żegnamy niezwykle sympatycznego i energicznego p. starostę i opuszczamy gmach starostwa.

MUSIMY NASZĄ TĘŻYZNĘ I UCZCIWOŚĆ ROZSŁAWIAĆ PO CAŁYM ŚWIECIE.

Piękno kościoła farnego odkrywa nam ks. proboszcz Jankiewicz.

W biurze parafjalnym ruch. Jakaś kobiecina opowiada o śmierci kogoś bliskiego. Ktoś inny twierdzi, że musi się jaknajszybciej ożenić.

Księżda proboszcza niema w biurze, ale jest bardzo zajęty. Mimo to zjawia się za chwilę w kościele, po którym błakamy się już od paru minut. W kościele uderza na pierwszy rzut oka jego niezwykła jasność, efekt osiągnięty dzięki wielkiej ilości okien i przez swoisty, bardzo miły dla oka koloryt ogólny kościoła. Wszystko jest w nim albo jasne, bielutkie, albo złote. Czasem, rzadko zjawia się jeszcze łagodna zieleń. Ks. proboszcz

tłumaczy się nam ze skromności zabytków w swoim kościele. Więć o tem, że kościół jest bardzo stary, ale przechodził różne koleje, po których stał się biedny w zabytkowe, cenne rzeczy. Że całe Leszno było niegdyś miastem heretyków. Zjawili się tu w XVI wieku i trzymali kościół katolicki w swoim posiadaniu od 1550—1600 r. Niszczyli wszystko, co katolickie. Wynieśli się wkońcu do swojego kalwińskiego kościółka, ale zabrali wszystko, co było cenne, więc kielichy, antypendlja itp.

Potem przyszyły pożary, które strawiły piękną wieżę. Wieże miały być odbudowane przed wojną, ale wybuch wojny stanął temu na przeszkodzie. Kościół został przed dwoma laty odmalowany wewnątrz a często jest odkurzany. Świeci też czystością i uderza miłemi zestawieniami barw. Amatorom baroku musi przypaść do gustu pyszna ornamentyka całego wnętrza kościoła, a szczególnie spodobają im się naprawdę śliczne ołtarze boczne. W ołtarzach tkwią stare wartościowe obrazy, które cudem ocalały. Obraz boczny znajduje się obecnie w stadjum odnawiania, nie możemy więc należycie docenić jego wartości. Zato dużo czasu i uwagi poświęcamy dwom pięknym pomnikom po bokach nawy głównej. Są to grobowce Leszczyńskich. Napis na jednym z nich mówi o biskupie łuckim, Bogusławie Leszczyńskim z II połowy XVII wieku. Piękna rzeźba, ukryta w niszy, a pod nią napis, głoszący sławę „restauratoris ecclesiae”. W drugim grobowcu, po prawej stronie kościoła leży jeden ze sławnych Rafałów Leszczyńskich — Rafał ks. Leszczyński, królewski skarbnik. Ojciec króla Stanisława Leszczyńskiego i dziadek nieszczęsnej Marji Leszczyńskiej, żony Ludwika XV.

Ks. proboszcz pokazuje nam, dokąd sięgał dawny kościół, a która jego część została dobudowana. Nowa część, to obecne prezbiterjum, z głównym ołtarzem, który dawniej stał dużo bliżej głównego wejścia. Widać zresztą zupełnie wyraźnie, że ściana, która obecnie stanowi tło dla głównego ołtarza, jest dla niego zaduża.

Spoglądamy jeszcze na wielopiętrową wieżyczkę, nad amboną, przeładowaną wynaturzoną już ornamentyką barokową, jedno jeszcze spojrzenie chwytające z przyjemnością miły koloryt kościółka i wychodzimy „na jasny świat Boży”.

Tu stwierdzamy pewien mankament farnego kościoła: jest on jakby wtulony między okoliczne domy i domeczki. Niema więc nań z żadnej strony otwartego aspektu. Zatraca się w tych warunkach jego potężna fasada i szlachetny rysunek.

Stoimy z ks. proboszczem pod kościelnym murem. Słuchamy, co nam ks. Jankiewicz opowiada o swojej parafji. Interesujące swoje uwagi kończy ks. proboszcz:

— Mamy tu w naszej parafji element mieszany: ludzie z różnych stron kraju i z najróżniejszych środowisk. Ale ja jestem właśnie za tem przenikaniem wzajemnem. Musimy naszą tężyźnę i uciechę rozślawiać po świecie całym.

O DOMKU Z PODCIENIEM I PIĘKNYM RATUSZU.

Mijamy kilka schłodnych ulic i uliczek i u wylotu jednej z nich przystajemy. Po ezwo-rokację ulic, dookoła rynku posuwają się tłumy, kipi ruchliwe życie Leszna. Na tle zupełnie nowoczesnego wyglądu składów i ich efektownych wystaw, dziwnie kontrastowo wypada średniowieczny domek, obok którego stoimy. Zachowała się jeszcze dobrze jakże stara kamieniczka z niskimi grubemi filarami, z jedynym w swoim rodzaju podcieniem. Darmo szukamy w pamięci podobnego zjawiska. W dotychczasowych wędrowkach nie spotykaliśmy dotąd jeszcze takiego domku. Niema ponoć w całej Wielkopolsce niczego podobnego, jak szeroka i długa.

Z za węgła domu ponad głowami przechodniów na strzelistą wieżę pięknego leszczyńskiego ratusza. Piękniejszym od niego jest tylko ratusz-areydzieło, ratusz poznański. Prosty, wczesny barok kwadratu ratuszowego, piękna attyka i smukła, wysoka wieża. Są bardziej przekonujące w swem pięknie niż wymyślna ornamentyka baroku późnego lub zwyrodniałego rokoka.

Ratusz leszczyński w pierwszej swojej formie, po której zostały już tylko ślady, został zbudowany za Bogusława Leszczyńskiego w latach 1636—1639. Inć pan burmistrz Szymon Daniel, Czech rodem z Semanina położył kamień węgielny pod budowę ratusza. W roku 1660 zbudowano nowy gmach ratuszowy z wyniosłą wieżą. Przy budowie zasłużył się niezmiernie Marcin Wojda.

Wieża jednak nie przypadła do gustu obywatelom miasta, więc w 1689 r. wzniesiono nową, smukłą i piękną. Już w 1707 r. spalili Moskale ratusz, który jednak został w mig przez obywatelstwo leszczyńskie odbudowany. Nie zachowało się do naszych czasów nazwisko przemysłnego architekta, który tak nadobny kształt barokowy ratuszowi leszczyńskiemu nadał. Dużo jest znaków na ziemi, przemawiających za tem, że dzieło ratusza przypisać należy Pompeo Ferrariemu, który tu sprowadzony przez Stanisława Leszczyńskiego i jemu zamek rydzki pięknie odrestaurował i Wojciechowi Gruszczyńskiemu z Lutogniewa zmyślny grobowiec rodzinny przy kościele kalwińskim uczynił.

Kilkakrotnie jeszcze niszczyły pożary piękno leszczyńskiego ratusza, ale zawsze potem ofiarna dłoń obywatelstwa leszczyńskiego dźwigała wzwyż mury i wieżę ratusza.

Gospodarka zaborców rozmyślnie zmierzała przez zupełne zaniedbanie do ruiny pięknego zabytku niepodległej historii Polski. Lecz i to kompletne zaniedbanie usunęła ofiarność publiczna Leszna, gdy zrzuciło ono więzy niewoli. Z obecnego wyglądu ratusza może być Leszno dumne.

— — — — —
Po kamiennych schodach wchodzimy do wielkiej poczekalni. Na ścianach wisi tu kilka pięknych starych portretów. Oglądamy bliżej. Trudno w tych młodziutkich chłopiątkach o jasnych włosach i rezolutnych oczach, ubranych w aksamity i atłasy, z ciemnymi pantofelkami o czerwonych obcasach poznać wielk. Sułkowskich, 4 synów Aleksandra Sułkowskiego, ministra dworu Augusta III. A ta dama w krynolinie, to matka czwórki chłopięcej, żona Aleksandra Sułkowskiego, z domu hrabianka Stein.

Ale oto wzywają nas do burmistrza.

LESZNO W CZORAJSZY I DZISIEJSZY.

Rozmowa z burmistrzem m. Leszna, p. Kowalskim.

— Dużo już czytaliśmy i słyszeliśmy o niezmiernie ciekawej historii Leszna i ziemi leszczyńskiej. Może Pan Burmistrz rzuci ze swej strony parę dat i faktów

— Historia wspomina o Lesznie w roku 1313. W r. 1547 zaliczono Leszno do rzędu miast. Okres wojny trzydziestoletniej to czas wielkiego przyływu prześladowanych za wiarę uchodźców czeskich i śląskich. Wspaniałomyślny i pełen tolerancji Rafał III Leszczyński przyciągnął ich do siebie i oddał im szmat ziemi, że powstała tu główna siedziba, t. zw. Jednoty Braci Czeskich w Polsce.

Leszno rozwijało się szybko. Już w początkach XVII wieku liczyło ono 12.000 mieszkańców, miało 4 kościoły, gimnazjum, 20 ulic, 1.600 domów, wały ochronne, bramy i liczne gmachy z wspaniałym zamkiem Leszczyńskich na czele. Uchodziło ono wówczas za jedno z najpiękniejszych miast w Polsce, a pod względem wielkości równało się prawie z Poznaniem, z którym rywalizowało na polu przemysłu i handlu.

W latach od 1628 do 1656 działał tu przybyły z uchodźcami z Czech słynny na całą Europę pedagog Jan Amos Komenjusz.

Wojny ze Szwecją były dotkliwą klęską dla Leszna. W roku 1667 uległo ono całkowicie pastwom płomieni. Przy wydatnej pomocy rządu i panów leszczyńskich odbudowane, doszło co prawda w kilkunastu latach do dawnego rozkwitu, gimnazjum jednakże nie uzyskało już dawnej chwały. W roku 1707 zniszczył miasto ponownie pożar, wzniesiony przez Moskale podczas wojny z Rosją i Saksonją.

Król Stanisław Leszczyński, odzyskawszy pokojem wiedeńskim swe dobra, wyniósł odbudowane na nowo miasto do rzędu miast królewskich. W roku 1738 nabył je drogą

kupna Aleksander Józef Sułkowski, minister Augusta III. W drugim podziale Polski, w roku 1792 przeszło miasto pod panowanie pruskie, a podczas istnienia Wielkiego Księstwa Warszawskiego wchodziło w skład tegoż. Poraz trzeci zniszczało miasto wskutek pożaru w roku 1790.

Pod panowaniem pruskim stało się Leszno ośrodkiem hakatyzmu. W roku 1848 tu-tejsi Niemcy gwałtownie zwalczali ruch polski. I dziwna rzecz: właśnie podczas najcięższego ucisku pruskiego począł się rozwijać ruch narodowy polski, a napływ żywość polskiego do miasta wzrastał się z każdym rokiem. Powstały liczne towarzystwa polskie, jak „Sokół”, „Tow. Robotników Polskich”, towarzystwa śpiewackie, młodzieży, terminatorów i in.; powstały liczne polskie placówki handlowe, przemysłowe i rzemieślnicze, powstał „Bank Ludowy”, osiedlali się tu chętnie polscy adwokaci i lekarze, którzy przodowali w ruchu narodowościowo-polskim. Ruch ten zwolnił chwilowo podczas wojny światowej, nabył natomiast zdwojonej energii z chwilą wybuchu powstania wielkopolskiego. Utworzyła się tu tajna milicja, której działalność jednakże sparaliżowało nagłe aresztowanie wszystkich wybitnych Polaków i wywiezienie ich w głąb Niemiec. Po blisko 130 latach ciężkiej niewoli pruskiej doczekało się Leszno wreszcie w pamiętnym dniu 17 stycznia 1920 r. wkroczenia wojsk polskich, witanych z niebywałym entuzjazmem przez miejscowych Polaków. W 10 rocznicę tegoż dnia nadano jednej z najpiękniejszych ulic miasta nazwę ulicy 17 Stycznia.

— Co może Pan Burmistrz powiedzieć o Lesznie dzisiaj?

— Leszno posiada 4 kościoły (katolicki, ewangelicki, ewangelicko-reformatorski i staroluterański), liczne kaplice katolickie, sąd grodzki, stary bardzo ratusz, zaliczony do najpiękniejszych poza poznańskim w Wielkopolsce, „Pomnik Wdzięczności”, odsłonięty w roku 1924 na cześć poległych w powstaniu wielkopolskim o wolność ziem leszczyńskich, pomnik Komenjusza, piękne ale otaczające miasto ogrody, ogród zoologiczny w zaczątkach, Park Kościuszki. Leszno jest siedzibą licznych ważniejszych urzędów i władz państwowych, oraz Oddziału Banku Polskiego, ma ożywiony handel i rozwinięty przemysł, największy w byłym zaborze pruskim młyn parowy, fabryki maszyn i pomp, fabryki octu, świec, eukierków, przeróbki lnu, browar, rektyfikację spirytusu i fabrykę płatków ziemniaczanych. Leszno szczyli się przede wszystkim mianem miasta szkół, posiada 4 szkoły powszechne, 3 gimnazja, 2 seminarja nauczycielskie, pełną szkołę budownictwa, szkołę handlową męską, szkołę handlową i przemysłową żeńską i szkołę rolniczą; obecnie jest w budowie nowy gmach szkolny, przeznaczony na szkołę gospodarczą żeńską.

— Jakie zabytki zachowały się jeszcze w Lesznie?

— Do swych zabytków zalicza Leszno prócz ratusza, budowanego w stylu barokowym z attyką i wysoką wieżą, mieszczącego portrety królów polskich i członków rodziny Sułkowskich, dawniejszy zamek Leszczyńskich, jedyną, jaka zachowała się jeszcze w Poznaniu, kamienicę z podcieniem, kościół katolicki, bogaty w rzeźby i ozdoby wewnętrzne z pomnikiem św. Jana Nepomucena, nadzwyczaj bogato rzeźbioną kazalnica, rokokowym ołtarzem głównym z marmuru i stiuku, wielkimi obrazami dobrego pędzla z końca XVII i XVIII wieku w ołtarzach i ogromnym barokowym herbem Leszczyńskich w ornamentyce barokowej na chórze, tudzież najpiękniejszy w Poznaniu kościół ewangelicki z licznymi grobowcami rzeźbionymi w piaskowcu na murze otaczającym kościół, dalej kościół ewangelicko-reformatorski z ładnymi kielichami gotyckimi i renesansowymi w skarbcu, starymi kobiercami, zasłonami na ołtarze z XVII wieku, kilku grobowcami i bogatym w książki i dokumenty do dziejów reformatorskich w Polsce i Litwie archiwum Jednoty Reformowanej Wielkopolskiej, wreszcie synagogę z wieloma haftowanymi zasłonami na torę z VIII wieku. Na uwagę również zasługuje „Strzebnica”, własność Bractwa Kurkowego z galerją około 300 królów kurkowych od r. 1720 począwszy.

Leszno liczy według ostatniego spisu ludności prócz wojska w liczbie około 2.000 osób, 19.283 mieszkańców, w tem 17.437, czyli blisko 90% Polaków.

W roku 1931 umieszczono w szczycie wieży ratuszowej w miejsce dotychczasowej chorągiewki godło państwowe z wyrytym na piersiach orła herbem miasta i datami powstania miasta, przyłączenia go do Polski po wojnie światowej i umieszczenia orła.

— O życiu kulturalnym i organizacyjnym cóż nam Pan Burmistrz powie?

— Teatru stałego u siebie nie mamy, ale bardzo często przyjeżdża do nas jakiś teatr. Mamy go tu co tydzień. Życie kulturalne jest tu intensywniejsze, bo jest u nas dużo szkół. Nauczycielstwo urządza często wykłady z różnych dziedzin.

Kończymy wywiad i opuszczamy starodawny ratusz.

Tam, gdzie się piorą szmaty.

Rozmowa z właścicielem firmy „Leszczyńska Hurtownia Surowców, Rudolf Łaska, Leszno, Fabryka Papy Dachowej”, p. R. Łaskim, nie trwa długo.

— Firma moja, proszę pana, założona w roku 1920, jest obecnie najpoważniejszym przedstawicielem branży surowców w kraju. W Lesznie posiada wielką sortownię i pralnię sznat oraz składnice żelaza z dwiema własnymi bocznicami kolejowymi, pozatem oddziały w Poznaniu, w Bydgoszczy, w Inowrocławiu, w Gnieźnie i w Krotoszynie. Oprócz tego utrzymuje firma składy komisowe w Łodzi i w Białymstoku.

Do firmy należy fabryka papy dachowej w Lesznie i parowa cegielnia w Czaczu, pow. Kościan. Ogółem zatrudnia firma stale do 150 pracowników.

JESLI SIĘ JEST W MIEŚCIE SZKÓŁ.

O szkolnictwie średnim rozmawiamy z dyr. gimnazjum im. Komeńskiego, p. Perzyńskim.

Jeśli się jest w mieście szkół, jakim jest Leszno, nie wolno przejść obojętnie obok szkolnych gmachów. A gimnazjum im. Komeńskiego jest w prostej linii dziedzicem słynnej uczelni, której sława biegła za czasów Komenjusza i Rafała V Leszczyńskiego w daleki, szeroki świat.

Udajemy się więc do dyrektora tego gimnazjum. Przez ładne planty z jakimś brzydkiem pomnikiem, naśladowującym grotę skalną, idzie się wprost do drzwi gimnazjum. Na podwórzu ruch, jak to bywa w przerwie między lekcjami. W samym gmachu panuje dostojny spokój. Chłopey idą kurytarzami już uciszeni i spoważniali. Po drodze stwierdzamy wzorowy porządek i czystość.

W kancelarji dyr. Perzyńskiego rozmawiamy chwilę o naszych wędrówkach, a potem przechodzimy „do rzeczy”.

— Jak się liczbowo przedstawia szkolnictwo średnie w Lesznie?

— Mamy więc gimnazjum męskie im. Komeńskiego, liczące obecnie 169 uczniów. Dalej idzie gimnazjum żeńskie im. M. Konopnickiej ze 139 uczennicami. Następnie prywatne gimnazjum humanistyczne z niemieckim językiem wykładowym. Skolei idą dwa seminarja nauczycielskie: męskie i żeńskie. Wreszcie mamy tu dwa zakłady naukowe, utrzymane na poziomie szkolnictwa średniego: 1) Państwowa Szkoła Budownictwa; 2) Państwowa Szkoła przemysłowo-handlowa (męska i żeńska).

— Jak wygląda w gimnazjum Pana Dyrektora realizacja nowego ustroju szkolnictwa?

— Zredukowaliśmy I i II klasę i obecnie mamy już I klasę 4-klasowego gimnazjum nowego. Tylko, że w tej I klasie zachowaliśmy jeszcze łacinę, a to ze względu na fakt, że tworzą tę klasę w dużej mierze uczniowie, którzy dostali promocję z dawnej klasy II-ej, gdzie uczyli się już łaciny. Uczą się także jednego obcego, żywego języka, gdyż także już to zaczęli, chociaż w czystym typie gimnazjalnym opartym na nowym ustroju szkolnictwa, zaczyna się naukę języka obcego dopiero w II półroczu.

— Słyszałem o ładnym wyposażeniu pracowni gimnazjum?

— A owszem, mamy ładną pracownię fizyczną, neofilologiczną i t. p., ale gimnazjum miejskie ma też conajmniej równie ładne. W każdym zaś razie nie ładniejszą od nas salę gimnastyczną.

— Czy młodzież bierze udział w pracy społecznej?

— Owszem, robi to nawet chętnie. Młodzież ma u nas możność „wyżycia się” w takich organizacjach, jak L. O. P. P., Bratnia Pomoc, Straż przednia i t. p. Poza to żyje młodzież w poszczególnych kółkach naukowych.

OSTATNIE SPOJRZENIE.

Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy już bardzo wiele w samym Lesznie. Czas nam już jechać w teren powiatowy, wiemy, że tam także natkniemy się na ludzi i rzeczy, o których się nie zapomina. Pojedziemy z tem większą radością.

Zabieramy więc nasze manatki z hotelu, który też ma wyjątkową cechę. Oto na jego miejscu, dokładnie na tem samym miejscu, na którym teraz on właśnie stoi, stał niegdyś, przed wielu laty kościółek Świętego Ducha. Bardzo niewielu gości śpiących w czystych, schludnych pokojach „Hotelu Polskiego” wie o tem, że śpią na fundamentach średniowiecznego kościołka.

W wielkiej sieni hotelowej oglądamy poraz ostatni na wysokim postumencie ustawioną statwę, jedyną pozostałość po kościółku. Jeszcze nie tak dawne są czasy, gdy do stóp statuy ściągaly wielkie tłumy wiernych, by się modlić u stóp.

Jedziemy teraz na małą cichą uliczkę Komeniusza. Za żelaznem ogrodzeniem, za klombami zieleni i kwiatów wznosi się ku niebu najwyższa w mieście wieżycya, stary w romańskim stylu ze składek kalwinów całej Europy budowany kościółek kalwiński. Przed fasadą kościoła postawiono w r. 1898 pomnik z popiersiem Komeniusza. Podchodzimy bliżej i czytamy napis: Amos Comenius — 1652 — Rector und Prediger dieser Gemeinde.

Potem wracamy myślą do wspomnień o wielkim pedagogu i małym patrijocie przybranej drugiej ojczyzny polskiej, która go tak gościnnie przygarnęła.

Przybył do Leszna z grupą uchodźców czeskich w roku 1628. Protegowany przez wielkiego Rafała V Leszczyńskiego pisał sobie wybitny reformator swoje wybitne dzieła: Didactica, Janua linguarum reserata. Gdy po swoich wyjazdach do Węgier i Anglii powrócił do Polski, przyszedł akurat czas próby szwedzkiej. Nie wytrzymał jej Komeniusz. W nadziei, iż Szwedzi wrócą wygnańcom czeskim ich prawa do ojczystej ziemi, połączył się ze Szwedami przeciwko wielkiej protektorce jego talentu — Polsce.

W małej przybudówce przy kościółku mieści się reszta pozostałych z bezcennych zbiorów biblioteki Komeniusza, nielicznych już niestety tomów.

Na przeciwległej stronie uliczki w starym domu mieściła się niegdyś leszczyńska poczta. Idziemy uliczką na południe. W pewnej chwili mijamy jednopiętrowy w stylu romańskim w XVIII stuleciu budowany gmach, w którym w latach 1712—1845 wrzało życie naukowe sławnej uczelni.

Chwil już tylko kilka spędzamy w ślicznym kościółku ewangelickim, a potem tylko pęd w pięknym świat złotej jesieni.

LESZCZYŃSKIE — POWIAT BAJECZNIE KOLOROWY.

W klasztornej, cichej celi, na zamku, w którym straszy i przed rampami pierwszego, polskiego theatrum.

Powiat bajecznie kolorowy. Wpłynęła na to w dużym stopniu wspaniała, stubarwna jesień, która się tu choćby w tym biednym lasku — zagajniku, obok którego jedziemy właśnie złotem i setką subtelnych odeieni brązu położyła.

Ale powiat leszczyński ma jeszcze inną „kolorowość”. Tę, której nie widzą czasem oczy, ale którą czuje serce, umysł cieszy się i raduje dusza. Idźmy jednak po kolei.

Jedziemy do Osieczny.

Dzień się dookoła położył piękny, złoty, jesienny. Chłodny wiatr bije nam w twarz i usiłuje zamknąć oczy. Ale my chcemy patrzeć i widzieć. Widzimy więc szybko za nas uciekające przydrożne drzewa czereśni. Piękna aleja czereśniowa, jedna z niewielu, które ostra zima z 1929 r. oszczędziła. Droga była dotąd dobra. Ale teraz częste podskakiwania każą nam myśleć o tem, że za 2 lata podróż tędy nie będzie rzeczą przyjemną.

Szeleszczą sterty liści podrzucane przez pęd naszego samochodu. Monotonna piosenka jesieni. Przejeżdżamy przez pawłowieckie lasy Mielżyńskich. Mijamy Trzebinię, zostawiając z prawej strony kompleks zabudowań dworskich.

Z za wzgórza wychynęły teraz czerwone dachy zamku i wieża fary w Osiecznie. Z lewej strony asystuje nam falistą linią łańcuch regularnych wzgórz. Wdrapujemy się na wzgórze przed nami, mijamy pięciowiatrakową kolonję i krzyż, stojący na miejscu, gdzie bohaterską śmiercią poległo 3 powstańców. Wjeżdżamy między domki Osieczny.

Ponieważ jedziemy wprost do dziekana ks. Steinmetza, mijamy więc bez zatrzymania i park zamkowy z czerwieniejącymi się wśród zieleni drzew zamkowymi murami, i „Dom św. Józefa”, który nas przecież interesuje.

„WIERNI NASZEJ PARAFJI IDĄ W ŚLADY PRZYJEMSKIEGO — SĄ WIELKIMI PATRJOŃTAMI I GŁĘBOKIMI KATOLIKAMI”

mówi ks. dziekan Steinmetz.

Czekając na nadejście ks. dziekana przypominamy sobie jeszcze legendarne tłumaczenie pochodzenia nazwy Osieczny. Według legendy nazwa Osieczna pochodzi od wyrazu „odsiecz”. Odsiecz tej miał udzielić miastu rycerzy koźmińskich ówczesny pan na osieceńskim zamku. Pobił on wówczas na głowę i rozbroił zbójce hufce i wybawił z opresji koźmińskich.

Nadechodzi zasłużony kapłan. 27 lat jest już ks. dziekan proboszczem. A zawsze był przytem wielkim patryjotą i Odrodzona Rzplita podkreśliła to zawieszeniem na jego piersiach orderu kawalera Orderu Odrodzenia Polski.

— Miasteczko Osieczna istniało już w XIV w. — zaczyna swe opowiadanie ks. dziekan. — Już nasz kościół parafjalny posiada dokumenty z XIV w. Kościół nasz zbudowany jest w stylu późno-gotyckim z czerwonej cegły. Przechodził on różne przeobrażenia, bo w jednym stuleciu np. 2 razy uległ pastwie płomieni. Pod płytami kościoła leży m. in. Przyjemski z pod Chocimia, jeden z najhojniejszych fundatorów.

— Co ks. dziekan zechce nam powiedzieć o swym dekanacie.

— Do dekanatu należy 14 parafji. Są to b. często parafje kresowe, b. eksponowane w stronę granicy polsko-niemieckiej. Dawniej w samej Osiecznie znajdowały się dwa probostwa, św. Trójcy i św. Ducha. Z czasem jednak zostały one skumulowane.

Mamy w Osiecznie szkołę powszechną o silnym personelu nauczycielskim. Mamy klasztor Franciszkanów, założony w 1692 r. z kościołem klasztorным, który został najpierw wybudowany z drzewa, a następnie stanął ten śliczny barokowy kościół, który panowie zobaczycie.

Niedaleko od kościoła znajduje się dom, zajęty na t. zw. „Stary szpital kościelny”. Trzymamy tam stare, zniedołężniałe kobiety.

Wreszcie jest w Osiecznie i drugi jeszcze szpital, „szpital św. Józefa”, który panowie sami zobaczycie.

— Jakby ks. dziekan scharakteryzował swych parafjan?

— Wierni nasi idą śladami Przyjemskiego: są wielkimi patryjotami i głębokimi katolikami. Jak niegdyś pod Przyjemskim szli pod Chocim, by dać życie za wiarę i ojczyznę, tak i teraz za wiarę i ojczyznę porąbaćby się dali. Chociaż zdarzają się tu u nas tarcia i zgrzyty, to jednakże dla wszystkich Polska — jest wszystkim. Ofiarni są nad wyraz. Przecież fara i klasztor ich właśnie ofiarnością stoją.

Dzięki tej ofiarności zmienia się zasadniczo obraz Osieczny. „To nie ta sama Osieczna” — stwierdza Niemcy, gdy po latach niewidzenia Osieczny przyjeżdżają tu odwiedzić krewnych, czy znajomych.

Z władzą państwową i jej zarządzeniami współpracujemy tutaj bardzo harmonijnie.

Oglądamy w międzyczasie na ścianach dziesiątki dyplomów i odznaczeń, których się ks. dziekan za wielki trud swego życia doczekał. „Pupilem” ks. dziekana jest dyplom, nadający mu order Walecznych Niepodległości od oficerów 6 pułku strzelców wlkp.

Przechodzimy teraz z ks. dziekanem do jednego z pokoi. Ks. dziekan pokazuje nam szereg cennych, starych obrazów, które zaczęły już poważnie niszczeć i dopiero opieka ks. dziekana poprzez odnowienie doprowadziła te cenne zabytki do pierwotnego wyglądu. Potem oglądamy misternie haftowaną w r. 1747 zasłonę.

Wychodzimy do ogrodu. Ks. dziekan na śladach murów, wykazuje nam, że probostwo obecne stoi extra muros, poza dawnymi murami osieczęńskiego grodu. Na wzgórzu, gdzie stoi teraz kościół farny, stał dawniej zamek, kościół a do zbocza wzgórza przylegały domki grodu.

Z ogrodu probostwa roztacza się piękny widok na jezioro w dole, na daleki Wydor i Urocze. Wychodzimy z plebanji na ulicę. Wszędzie tu porządkny bruk i czystość wzorowa. Zachodzimy na chwilę do „starego szpitala”. W prostych pokojach snują się wśród mebli i przedmiotów rodzinnych zgrzybiałe staruszki, nieraz o krok już tylko odległe od śmierci. Jest w tych prostych izbach zachowana ta rodzinna atmosfera, która staruszki napewno uszczęśliwia, a której zawsze brak w „nowoczesnych” koszarowych przytułkach i szpitalach.

Jedziemy teraz na cmentarz. Ks. dziekan pokazuje nam wielką, wspólną mogiłę, ukwiecony nasyp ziemi, pod którą spoczywa 10 poległych powstańców.

— Ja ich wszystkich na śmierć dysponowałem — mówi cichym głosem, wzruszony ks. dziekan — wiem, gdzie który leży.

Idziemy do fary. Starogotycki, czerwony kościół kończył się niegdyś dwoma wieżami. Duża wieżycą jest dobudowana później.

W krucheie zatrzymujemy się na chwilę przed stojącym tam, wielkim i starym drewnianym krucyfiksem. Samo wnętrze kościoła, na którym znać ślady niedawnego odnowienia, utrzymane jest w jasnym miłym kolorycie. W ołtarzach widnieją stare, wartościowe obrazy. W prezbiterjum rzucają się w oczy stare rzeźby Świętych Pańskich, robione w drzewie. Oglądamy jeszcze ciekawą prymitywną kalwarię, kościelny przynosi nam z zakrystji stary wenecki miedziany dzban ze stylizowanymi misternie kwiatami.

U TYCH, KTÓRE NIE MOGĄ MYŚLEĆ...

Jedziemy teraz do szpitala św. Józefa. W budynkach tych, z których według słów ks. dziekana wychodzili w 18 roku żołnierze-powstańcy na bój o niepodległość, mieszkają teraz kobiety o przytępionych władzach umysłowych.

Zaraz w sieni napotykamy jedną z nich. Siedzi przez pewien czas nieporuszona. Zobaczyła jednak twarze nowe. Świetna okazja do przedstawienia się. Robi więc to:

— Jestem dożywotnią królową Polski. Z Sierakowa jestem, królowa aż do śmierci.

Mówi to z przekornym przechyleniem głowy i figlarnym uśmiechem, jakby sobie zdawała sprawę z tego, że usiłuje nas „naciągnąć”. W każdym razie my zupełnie poważnie przyjmujemy wiadomość o tem, że Polska jest monarchją i że na jej tronie zasiada „królowa z Sierakowa”. Przechodzimy z głębokim ukłonem obok monarchini i pod przewodnictwem siostry przełożonej wступujemy schodami na górę. Dotrzymuje nam wszędzie kroku silny i wesoły, mimo podeszłego wieku, ks. dziekan.

Betonowymi schodami (cały nowobudowany dom jest z żelazobetonu) dochodzimy do poszczególnych oddziałów. W pracowni siedzi kilka kuracjuszek. Cerują, haftują, albo siedzą nieporuszone. Na twarzach za naszym wejściem zjawia się głupawy uśmiech. Staruszka jakaś zgrzybiała, która już nie widzi prawie i nie słyszy, biegnie ku nam.

Chwyta nas łapczywie za ręce i trzęsie niemi — wita się z rzadkimi w tym domu nie-szczęścia i u jej schyłku życia gości. Dopytuje się o wypadki w świecie, o którym ma przedpotopowe wiadomości. Coś przytem jest w grubym nieporządku z jej sposobem „rozumowania”. Wchodzimy jeszcze do izolowanych, czystych celi, w których jest nawet światło elektryczne. Urządzenie zakładu jest higieniczne i nowoczesne.

Wychodzimy teraz na podwórze, na które większość kuracjuszek wyległa cieszyć się ostatnimi blaskami ciepłego słońca.

W kącie podwórza, otaczona kilkoma koleżankami, pod okiem jednej z sióstr siedzi dziwna dziewczyna. Pełna, pogodna twarz, roześmiane, dobre oczy i to ciało: nieruchome z dziwnymi skrętami nóg i rąk. Dziewczyna nie mówi, nie chodzi, nie porusza się. Śmieje się tylko b. łatwo i często i klaszcze po dziecinnemu w niedorozwinięte dłonie.

Podbiega teraz do naszej grupy najruchliwsza z wszystkich pacjentek, harda i pyskata Władzia Adamska.

— Jak się nazywasz?

— Władzia Adamska z Nieczajny... ach, ten ojciec!!!

— Nosi „cały majątek” przy sobie — wyjaśnia siostra przełożona — pokaż Władziu swój majątek.

Dziewczyna wyciąga z pod pachy zawiniątko, z którym się nigdy nie rozstaje.

— Kocham obrazki moje, kocham... ten ojciec!

O ojcu mówi z jakąś nienawiścią i uporem w głosie. „Majątek” Władzi to obrazki kościelne, różańce, medaliki. Inne kuracjuszki chodzą po ogrodzie szpitalnym, po dużym podwórzu. Siadają, wstają, podskakują, chodzą bez celu tam i nazad. Nad wszystkimi ezuwa oko cierplivej siostry Elżbietanki, a nad całym zakładem opieka dobroczyńcy — kuratora ks. dziekana Steinmetza.

Wstępujemy jeszcze do schludnych, czystych sypialni. W jednej z sal witają nas śpiewem malutkie dzieci ochronki, którą siostry przy zakładzie prowadzą.

Niewielki dom, a ileż w nim dobroci i światła.

ZWIEDZAMY KOŚCIÓŁ I KLASZTOR W OSIECZNIE.

Zegnamy ks. dziekana, wielkiego społecznika i duchownego, I-go honorowego obywatela m. Osieczny, której się tak bardzo pracą swą przysłużył. Jedziemy do klasztoru.

Zatrzymujemy się przed bramą żelaznego ogrodzenia klasztornego cmentarza. Z zieleni trawnika, na lewo, wyrasta obelisk z figurą kolosa u góry. Stoi to podobno od roku 1713.

Przed nami dwa murowane kompleksy: potężną fasadą z boczną i centralną kolumnadą wznosi się ku niebu fronton barokowego klasztornego kościoła.

Na stopniach świątyni oczekuje nas zawiadomiony telefonicznie O. gwardjan dr. Fühl.

Wchodzimy do kościoła. Wnętrze tego bogatego i pięknego kościoła robi silne wrażenie. Z wyjątkiem drobnych kilku szczegółów, panuje w kościele niepodzielnie czystość stylu. Jest to szlachetny barok, wypracowany przez samych braciszków zakonnych w żmudnej długiej pracy rzeźbiarskiej. Oczy wchodzącego biegną odrazu do wielkiego ołtarza, w którym wisi na krzyżu pełna ekspresji, śliczna i wartościowa pod względem artystycznym rzeźba Chrystusa. Pełne rezygnacji przechylenie głowy, rozdarte brutalnie kolana i bolesny skręt ciała wyrażają maksimum bólu i cierpienia.

W międzyczasie O. Gwardjan opowiada nam o kościele. Kościół jest pod wezwaniem św. Walentego. Klasztor wybudowany został przez Franciszkanów, przybyłych w r. 1621, w kilka lat po przybyciu. Z ogromną pomocą przy budowie klasztoru przyszedł braciszkom ówczesny dziekan Osieczny, Olbracht Przyjemski.

Kościół wznosił w latach 1773—1739 hr. Mycielski. Doszliśmy właśnie i ukłękliśmy przed cudownym obrazem Matki Boskiej. Obraz ten, pochodzący z XVI w., przywędro-

wał do klasztornego kościoła ze starego drewnianego kościółka. Obraz ma w swej przeszłości 11 autentycznych cudów.

Obok ołtarza głównego wisi na ścianie obraz, który mieszkańcy okolicy otaczają szczególnem nabożeństwem. Jest to obraz krzyża, pochodzący z 1669 r. Według zapisków obraz ten pocił się już 4-krotnie krwią.

Antependjum głównego ołtarza przedstawia zdjęcie z krzyża, cecha charakterystyczna dla kościołów franciszkańskich.

Potem chwila zatrzymania się przed ołtarzem św. Walentego. W figurze znajdują się relikwie świętego, sprowadzone z Rzymu w drugiej połowie XVIII w.

Spoglądamy jeszcze na przepiękne rzeźby grających aniołów na kapitulu chóru, potem ogólne spojrzenie na kościół, którego czarno-biała ornamentacja rzeźb nadaje dziwny i wytworny koloryt kościołowi i przechodzimy teraz stopniami za ołtarz główny. Weszliśmy do zamkniętego półkola chóru zakonnego. W prostych stallach siedzi teraz paru tylko braciszków. Za naszym wejściem nie uniosły się głowy, schowane w dłoniach, z oczami zaczytanymi w brewjarzu. Żaden cień nie przebiegł po młodziutkiej, ascetycznej twarzy braciszka klęczącego obok nas na klęczniku. Myśli jego nauczyły się już odlatywać na długie godziny od ziemskiego, dookolnego świata.

Przez stylową zakrystję, otwieraną wielkim „przedpotopowym” kluczem po wąskich, wydeptanych schodach wchodzimy na kurytarz I piętra. Proste, maleńkie drzwi z obu stron, niemal przytulone do siebie, wyznaczają położenie cel zakonnych. O. Gwardjan otwiera jedno z drzwi. W małym pokoiku o niewielkiem okienku kilka najprostszych mebli: dwa łóżka, stół dwa krzesła. Nad stołem pochylone dwie młodociane głowy, chłopców jeszcze prawie.

Przez okno widać czworokąt klasztornego claustrium, na podwórzu klomb kwiatów z zielenią trawnika. W oświetlonym, zachodzącego słońca promieniami kącie wygrzewa się biały kot.

Wchodzimy jeszcze do biblioteki klasztornej. Jest to zarazem skarbiec, bo niektóre z tych zmurszałych foljałów są cenne na wagę złota. Biblioteka posiada 2200 tomów przeważnie treści liturgicznej. Przeglądamy niektóre z tomów. Ten np. w okładkach z próchniejącego drzewa ukryty, nosi na sobie datę 1490 r. A oto stara biblja z 1480 r. Podziw wzbiera dla cierpliwości człowieka, który te pożółkłe karty pergaminowe misternym własnoręcznym pismem wypełniał. A ileż kunsztu mieści się w tych barwnych, złotystych inicjałach, rozpoczynających każdą księgę. A oto znowu rękopis z XV w. na świńskiej skórze pisany. Czytamy dziwaczny tytuł: „Przyłbica żołnierska z bogatym pszczół rojem”. Nie na nasze współczesne głowy taka skomplikowana mądrość. O Gwardjan dopiero nam wyjaśnia, że chodzi tu o kazania dla żołnierzy, a „pszczół rój” to piękne, głębokie myśli. No, no, kto by się domyślił.

Jeszcze raz przechodzimy obok szeregu celek, w których panuje franciszkańskie ubóstwo, potem szerokim refektarzem klasztornym do wyjściowych drzwi. Żegnamy przewodników i klasztor.

OD CZEGO POCHODZI NAZWA „OSIECZNY”.

Rozmowa z burmistrzem, p. Szurkowskim.

— Od czego wywodzi się nazwa „Osieczna” zdaniem p. Burmistrza?

— Od wyrazu „Osiek”, proszę pana. Wskazywałoby to na fakt, że Osieczna we wczesnem średniowieczu była osadą, położoną w t. zw. „przysiece”, t. zn. w lasach tworzących granice pomiędzy poszczególnymi ziemiami polskimi. Zadaniem takiej osady było w dawnych czasach zamykać drogi w razie wtargnięcia nieprzyjaciela w przysieczę. Na zamku osieczyńskim bardzo już wczesnie osadził książę rycerza, który zwyczajem przyjętym wówczas napaadał na przejeżdżających kupców i rycerzy, którzy tedy zdążali do zakonu krzyżackiego. W roku 1906 wyłowiono w jeziorze łoniewskim średniowieczny



KLASZTOR FRANCISZKANÓW W OSIECZNIE.



ZAMEK W RYDZYNIE.



miecz z wyrytą twarzą rycerza i romańskimi wyrazami. Był to pewnie obcy rycerz, zamordowany i utopiony w jeziorze przez pana na osieczyńskim zamku.

Wojśław z Gryżyny, kasztelan sanocki, który siedział na zamku w latach 1370—1390 nadał osadzie osieckiej prawo miejskie. Nadał przytem miastu własny herb: głowę jelenia z rogami, który to herb zachowało miasto do dzisiaj.

Osada od początku miasta miała charakter wybitnie obronny; z jednej strony utrudniało do niej dostęp łoniewskie jezioro, z drugiej rozciągały się nieprzebyte bagna a dwie pozostałe strony chronione były wysokimi wałami, których ślady dochowały się dotychczas.

Reformacja zostawiła tu tylko przelotny ślad. Oto Stanisław Górka, ówczesny (1592) dziedzic Osieczny i ostatni męski potomek wielkiego rodu, zagorzały przytem protestant, powołał do kościoła parafjalnego protestanckiego predykanta. Ale już siostrzeńcy Górki, Czarnkowscy, którzy otrzymali Osiecznę w spadku, przywrócili nabożeństwa katolickie. Odbudowali także zamek w Osiecznie.

Wielkie zasługi około rozwoju położył późniejszy dziedzic Osieczny, Jan Olbracht Przyjemski, wielki obożny koronny. W r. 1632 wydał nowy przywilej dla miasta. Osiedlił w mieście wartościowy element rzemieślniczy, rekrutujący się z uciekinierów protestanckich, prześladowanych w cesarstwie niemieckim. Dalszą zasługą Przyjemskiego było sprowadzenie do Osieczny w r. 1621 zakonu O. O. Reformatorów, którym wystawił kościółek i drewniany klasztor za bramą Krzywińską.

Bolesnie odczuła Osieczna łupieżcy najazd Szwedów w r. 1655. Doszło wówczas do kontrowersji między katolikami a protestantami, którzy sprzyjali Szwedom. Walka tych dwóch elementów przez długie lata następne będzie przeszkadzać w wybitny sposób w rozwoju miasta.

Dziedzic Opaliński wystawił w r. 1683 po powrocie z Odsieczy Wiedeńskiej mурowany klasztor dla Reformatorów.

— Jeśli chodzi o dzisiejszą Osiecznę, Panie Burmistrzu, to przeszkadza jej w rozwoju brak komunikacji kolejowej?

— Tak, ale mamy dobre połączenie autobusowe do stacji kolejowych w Lesznie, Lipsku i Kąkolewie. Jeśli chodzi o linię kolejową to już w r. 1914 były plany przeciągnięcia tu linii kolejowej, ale wojna, te rzeczy zrobiła nieaktualnymi. Teraz to się znowu staje sprawą ważną.

Jeśli chodzi o ogólną charakterystykę życia Osieczny, to żyje ona spokojnem życiem obywatelskiem, chociaż wykazuje przytem żywy puls życia kulturalnego i towarzyskiego. Wnosi to element napływowy — letnicy. Bo trzeba panu wiedzieć, że Osieczna rozwija się coraz silniej w tym kierunku. Pracujemy wytężenie nad tem, żeby Osieczna stała się znaną jako piękna miejscowość letniskowa i dużo już pod tym względem zrobiliśmy. Rokrocznie przyjeżdża tu coraz większa ilość ludzi spragnionych spokoju i piękna. W roku 124/25 wybudowaliśmy nad jeziorem ładny, letniskowy dom mieszkalny z restauracją, łazienki z 20 kabinami.

— Jak wygląda współczesny stan gospodarczy miasta?

— Ludności mamy 1657 osób. Jeśli chodzi o majątek przedstawia on wartość około 240.000 zł z zadłużeniem 54.000 zł. Praca w naszych tu warunkach była trudna, ale dużośmy jednak zrobili wspólnym wysiłkiem. Położyliśmy m. in. bruki na 800 mtr. Osieczna, jak pan pewnie zauważył, ma własne światło elektryczne.

WYDOR I UROCZE

Z najwyższego wzniesienia Osieczny spoglądamy po raz ostatni na okolicę. Pojeździemy teraz tam, na przeciwny brzeg jeziora, gdzie wielkim parowem morenowego pochodzenia wdarł się w jezioro kilometrowym cyplem — Wydor. Niegdyś olbrzymi lodowiec rozdarł tu ziemię jak pługiem, a teraz sąsiedztwo błyszczącego jeziora i ciemnym la-

sem pokryte zbocza utworzyły tu uroczy zakątek. Dlatego też okolicę tę nazwano — Uroczę. Na jednym z tych pagórków wybudował piękne swe letnisko — dom wypoczynkowy dr. Świdorski. Rojno i gwarno jest latem w „Stanisławówku“.

Jedziemy więc do Wydoru, w którego parowie mieściła się niegdyś świątynia pogańska. Miłe chwile spędzamy na plaży, przed willą „Stanisławówka“. Jest tu pięknie. Ale trzeba samemu pojechać i zobaczyć. Więc nie będziemy więcej o tem pisać.

W DOLINIE RZEKI KOPANICY.

Wracamy do Leszna. A stąd mamy tylko 9 km. jazdy na południe do Rydzyny. 9 km. to przecież żadna odległość dla samochodu, więc w minutach jesteśmy w starożytnym miasteczku. Wjeżdżamy na rynek. Otoczony on jest czworobokiem domów, z których pewna ilość — to stare kamieniczki o barokowych fasadach. Niedługo zapadnie zmierzch więc w ostatnich promieniach słońca lśniące barokowe domki tworzą niespotykany obrazek z przeszłości. W środku rynku, po którym znać, że jest jeszcze „b. młody“, że został od niedawna doprowadzony do takiego estetycznego wyglądu, stoi potężny barokowy obelisk z symboliczną figurą Trójcy św. Pomnik ten dał miastu, jak i wiele innych rzeczy Aleksander Józef Sułkowski.

RYDZYNA W CZORAJSZĄ I DZISIEJSZĄ

U burmistrza m. Rydzyny p. Rzemyszkiewicza.

Pana Rzemyszkiewicza odszukujemy w ratuszu. W gabinecie jego, którego nowoczesne urządzenie każe myśleć o dobrym smaku gospodarza a lampa naftowa, stojąca na stole, zmusza nas do wyrażenia życzeń, by Rydzyna jaknajprędzej otrzymała światło elektryczne. Rozmawiamy o mieście:

— Historia naszego miasta i rydzyńskiego zamku jest bardzo bogata i ciekawa. Nie bawiąc się w szczegóły, będziemy usiłovali ją pokrótce przedstawić.

Założona około r. 1400 przez przybyłych z Czech hrabiów z Werbna, którzy potem przyjęli nazwisko od miasta — Rydzyńskich. Inna wersja twierdzi, że Rydzyne założyli Górkowie, a potem dopiero przeszła ona w ręce hrabiów z Werbna.

W każdym razie już w r. 1422 nadają Rydzyńscy osadzie prawo miejskie a od Jagiełły uzyskują zatwierdzenie przywileju oraz herbu. Przedtem jeszcze, bo w r. 1410 zostaje w miejsce starego — drewnianego zbudowany nowy kościół murowany.

Na wyprawę malborską wysyła Rydzyna „4 pieszych“. Rozwija się pomyślnie aż do katastrofy morowego powietrza w r. 1586. Potem podupada trochę, by w w. 17 — „złotym wieku“ dla Rydzyny dojść do niebywałego rozkwitu. Ma wówczas Rydzyna 24 wiatraki, szereg browarów i t. p. W r. 1610 zakłada Łukasz Rydzyński szpital miejski. Wiek XVII to wiek upadku rodu Rydzyńskiego i okres wielkiego napływu Niemców do Rydzyny.

Po Rydzyńskich dziedzictwo Rydzyny przechodzi w ręce Ciświckich, ci skolei przekazują je Leszczyńskim, a od Leszczyńskich przechodzi Rydzyna na własność rodu Sułkowskich.

Józef Sułkowski buduje m. in. kościół i oddaje go Pijarom, stawia ratusz i pomnik św. Trójcy na Rynku. W 1750 r. nadaje miastu nową ustawę. Wreszcie August Sułkowski w r. 1770 buduje kościół ewangelicki a w zamku rydzyńskim zakłada pierwszy w Polsce teatr.

— Jak się przedstawia stan gospodarezy miasta?

— Finanse naszego miasta, liczącego 1500 mieszkańców kształtują się pod wpływem kryzysu, który przeżywamy. Ale jakoś dajemy sobie radę i deficytów nie mamy. W ostatnich czasach t. zn. za czasów polskich robiliśmy bardzo dużo inwestycyj miejskich; jedną z poważniejszych tu pozycyj jest przebrukowanie zupełne rynku. Pracę nad tem objęły zarówno podniesienie terenu jak i unowocześnienie jego wyglądu. Pozatem wy-

brukował szereg ulic oraz posadził dużo drzew ozdobnych, nadając tem samemu miastu wygląd estetyczny.

Naszą największą obecną troską jest elektryfikacja miasta. Mamy szereg gotowych projektów i szczególnie na oku porozumienie w tym względzie z zakładem im. Sułkowskich. W najbliższym czasie jeden z projektów zrealizujemy napewno.

— Jak żyje Rydzyna pod względem kulturalnym i towarzyskim?

— Bardzo żywo bije u nas tętno pracy kulturalno-oświatowej. Całej akcji pod tym względem przewodzi p. dyrektor Łopuszański z Zakładu im. Sułkowskich, urządza się m. in. rokrocznie cykl wykładów popularnych dla całego naszego społeczeństwa.

Ja sam b. interesuję się wychowaniem fizycznym i dlatego W. F. i P. W. stoi u nas na wysokim poziomie. Młodzież rydzynska rywalizuje na polu wychowania fizycznego ze świetnie pod tym względem stojącą młodzieżą Zakładu im. Sułkowskich.

O GŁÓWNYM CELU SYSTEMU UCZELNI RYDZYŃSKIEJ

opowiada nam dyrektor Zakładów im. Sułkowskich, b. minister Łopuszański.

Zapaść już zmierzch. Nie możemy więc obejrzeć wnętrza ładnego rydzynskiego kościoła barokowego z rokokową wieżycą. Kryje on w swym wnętrzu cudowny obraz Matki Boskiej.

Niewiele także zobaczymy przy zewnętrznym oglądaniu wspaniałego zamku rydzynskiego, do którego właśnie jedziemy. W pewnej chwili wyrasta przed nami potężną, kwadratową konstrukcją na tle oblanego łuną zachodu nieba — zamek rydzynski. Zamek o bardzo dziwnej historii.

Głęboka fosa dookoła i wyniosłe, smukłe włoskie topole, jakby strzegły tajemnic zamkowych. Tylko, że obecnie zamek nie ma żadnych tajemnic. Niema więc czego strzec.

Teraz w tym wspaniałym gmachu realizowany jest przez mądrych wychowawców równie wspaniały system wychowawczy, który rokrocznie wypuszcza w świat grupę ludzi zakochanych w pracy, z mocnymi mięśniami i hartowaną duszą.

Auto przystanęło przed wejściem. Między dwiema kolumnami, przez nasyp ponad fosą idziemy ku zamkowemu wejściu. Reprezentacyjną klatką schodową, ozdobioną jońskimi pilastrami i uwieczoną zegarową armaturą wstępujemy na I piętro. Prowadzą nas do dyrektora. P. dyrektor Łopuszański, były minister oświaty, mówi z radością i pewnego rodzaju dumą o pięknej pracy, realizowanej w zamku rydzynskim pod jego okiem. Mówi przytem tak pięknie i wyczerpująco o rzeczach nas interesujących, że nie przerywamy mu ani jednym pytaniem.

— Ponieważ panowie, jak mówicie, historję zamku i zakładu znacie, więc będę mówił tylko o rzeczach współczesnych.

Jest więc obecnie w Rydzynie zakład wychowawczy męski, czysto internatowy t. zn. uczniowie naszego zakładu, są zarazem członkami naszego internatu.

Zakład obejmuje to, co według nowego ustroju szkolnictwa będzie nowym gimnazjum i liceum. Zawsze tu u siebie mieliśmy klasy od 3-ej do 8-ej.

Wszystcy chłopcy tu u nas mieszkają i są przez nas w zupełności wychowywani. Mamy tu chłopców z całej Polski.

Naszem naczelnem zadaniem jest pełne wychowanie młodzieży, a więc wychowanie jej zarówno pod względem fizycznym jak i intelektualnym oraz moralnym.

Najgłówniejszym jednak celem jest ukształtowanie wysokowartościowej osobowości moralnej w każdym z naszych wychowanków.

Jakież środki prowadzą nas do zrealizowania tych zadań? Za główną podstawę wychowawczą naszego systemu uważamy: 1) normalny rozwój jednostki, 2) bujny rozwój jednostki. A więc jeśli chodzi o rozwój fizyczny: chcemy dać każdemu z naszych wychowanków pełną fizyczną normalność i przytem chcemy, by była to fizycznie jednostka bujna.

Każdy więc nasz chłopiec ćwiczy fizycznie przez 1½ godziny dziennie i to z reguły na świeżym powietrzu. Pod względem wychowania fizycznego i zdrowia naszych uczniów osiągamy bardzo ładne wyniki. Kryterjum oceny są tu dla nas m. in.: rozliczne zwycięstwa sportowe, odnoszone w walce z pierwszorzędnymi nieraz zespołami sportowymi. Grywamy nieraz z mistrzami pewnych gałęzi sportu i jeśli przegrywamy to bardzo niewielką różnicą punktów.

Osiągamy przytem bardzo ciekawy wynik; oto, gdy normalnie narzeka się, że współczesna młodzież warjuje dla sportu, że głupiej kosztuje tego, to u nas powszechnie się obserwuje fakt, że chociaż chłopcy bardzo lubią sporty, to jednak niezmiernie rzadko zdarza się, żeby to przyjmowało przesadne formy, by chłopiec poza właściwymi godzinami przebywał na boisku. Nasycamy umiłowanie sportu naszej młodzieży, ale potem idzie ona do dowolnego zajęcia intelektualnego i idzie b. chętnie. Pod tym względem nie ma u nas wyjątków.

Zdajemy sobie przytem sprawę w jak wielkim stopniu to wychowanie fizyczne służy nam do wychowywania młodzieży pod względem moralnym. Niezdrowy system nerwowy, powodowany niewłaściwym trybem fizycznego życia jednostki wprowadza zamęt w jego świat moralny. I my tu mamy stale możność stwierdzenia, że nasycenie głodu ruchu u wychowanków doprowadza do spokoju nerwów. A w takich warunkach chłopcu łatwiej jest dokonywać apercepcji myślowej, łatwiej jest się uczyć, łatwiej wziąć się do roboty intelektualnej. Nigdy tu u nas nie występuje ten nagminny u młodzieży uczącej się objaw, że nerwowy niepokój nie pozwala jej mimo chęci uczyć się. U nas chłopcy lepiej potrafią się skupić i energiczniej pracować.

Dążąc do bujnego rozwoju fizycznego, dążymy zarazem do hartowności tego rozwoju. Temu celowi służą specjalne obozy i „wędrowki wakacyjne”. Często urywamy coś z okresu nauki przedwakacyjnej, przez wykrajanie 2—4 tygodniowego czasokresu przedwakacyjnego i wybieramy się na nasze wędrowki: pieszko lub łodziami.

Chłopcy nasi prowadzą na tych wędrowkach twarde życie. Przedewszystkiem muszą sobie sami wybudować łodzie (budują notabene zupełnie niezłe, chociaż nie mamy tu wody) i dopiero wtedy na wędrowkę.

Dla zilustrowania, co się w tej mierze zrobiło podam pewne wyczyny. Wybudowaliśmy około 20 łodzi. Wysłaliśmy naszą flotę, z 8 łodzi złożoną, do Czartoryska nad Styrem. Tam łodzie spuściliśmy na wodę.

Styrem dopłynęliśmy do Prypeci. Po wodach Prypeci dobrnęliśmy do Horynia. Wiosłując po jego wodach dopłynęliśmy do Dawidgródka. Tam chłopcy do łodzi i przenieśliśmy je na przestrzeni 5 km do rzeki Lwy. Tu się zaczęła wędrowka, jakby w bajce. Siecią dorzecza Lwy jechaliśmy poprzez dziką, pierwotną puszcę dawidgródzką, o której pięknie tak mało się wie. Był to jakby sen o pierwotnej, dziewiczej puszczy, którą znaleźliśmy z legend i opowieści. Siecią jeziorok i rzeczek wróciliśmy na wody Horynia i znowu do Dawidgródka. Tu załadowaliśmy łodzie na statek i dopłynęliśmy do Pińska. Z Pińska przepłynęliśmy na Jasiołdę i kanał Ogińskiego.

Potem spuściliśmy łodzie na Szczarę i jazda do Słonimia. Tu już część flotyli skończyła wędrowkę, reszta zaś Szczarą popłynęła do Niemna i Niennem do Grodna. Tu nastąpiło rozwiązanie reszty flotyli.

W tej wspaniałej wędrowce brało udział 18 osób w tem 3 nauczycieli — reszta nasi uczniowie.

Taka wycieczka, proszę panów to jest rzecz niezwykle twarda. Sypiało się pod gołym niebem, jadło nienajlepiej, a sama jazda też kosztowała trudu i energii mnóstwo. Chłopcy w takiej wędrowce zaprawiali swe mięśnie i wytrzymałość na stal hartowną. Byłem z nimi przez 2 tygodnie i widziałem wszystko. A ileż przytem widzieli i przeżyli piękna. Ta podróż po falach dzikich rzek w zielonym tunelu, który się nagle otwierał w olbrzymią, lśniącą polanę jeziora i znow na drugiej stronie jeziora ciemny otwór tunelu, w który trzeba wpląć...

Uprawiamy w naszym zakładzie dużo pracy ręcznej. Zdaniem naszym nie można wychować inteligenta, jeśli mu się nie da przeżyć fizycznych. Praca fizyczna jest wspólnym przedśmionkiem do wiedzy wogóle.

Niema nic trudniejszego, niż nawiązać jakikolwiek mocniejszy stosunek młodego chłopca do wiedzy, jeśli nie zrobi się to drogą dawania mu przeżyć fizycznych. Ogół chłopców da się rozpaścić do pracy umysłowej właśnie zapomocą pracy fizycznej. Gdy chłopiec spojrzy na, przez siebie samego stworzoną, rzecz, choćby najprostszą, po raz pierwszy odezwie się w nim wówczas fanatyzm pracy, wytrwałość i wielka radość z produktu własnych rąk. Tylko nawet ta pierwsza prosta rzecz powinna to być nie zabaweczka. Wyzyskać tu trzeba naturalny zapał chłopca. I tak np. u nas chłopcy „palą się” do robienia łodzi. I mały chłopak bierze się do budowania łodzi. Łódź zresztą dla chłopca ma zawsze w sobie coś romantycznego.

Pierwszy raz wtedy chłopiec łamie się z przeszkodami, nieraz nawet zadużeniami dla niego. Ale potem przychodzi ta nieporównana radość, gdy widzi własną łódź, własnymi rękoma zrobioną, gdy do tej łodzi siada i uderza pierwszy raz wiosłem.

I nieraz w takim małym, rozpieszczonym chłopaku, po takim przeżyciu rodzi się inny świat, staje się inny człowiek.

Chcemy także w naszych chłopcach wytworzyć pewną cechę, której brak Polakom daje się tak bardzo we znaki. Oto chcemy stworzyć w nich psychikę producenta: Chcemy z naszych uczniów zrobić ludzi, którzy czegoś chcą. Bo my wszyscy, inaczej wychowani Polacy jesteśmy w gruncie rzeczy — ludźmi papierowymi.

Bez zakochania się w pracy fizycznej bardzo trudno jest stworzyć w inteligencji właściwy stosunek do produkcji i do ludzi pracy fizycznej.

I my to zdaje się osiągamy skutecznie. Młotek, którym potem wyrabia inne przedmioty, musi sobie uczeń zrobić sam: sam go musi w kuźni wykuć, sam go ręcznie obrobić.

W wyższych klasach u nas zagadnienia próżniactwa niema wcale.

W roku ubiegłym wyszli od nas pierwsi nasi maturzyści. W listach, których moc od nich dostaliśmy uderza jeden ton: szczęście, że się wakacje już skończyły, że teraz pójdą znowu do roboty. Wytworzyliśmy więc w nich ten święty „nałóg pracy”.

Jest zupełnie rzeczą zrozumiałą, że do realizowania tych zadań musimy posiadać i posiadamy bardzo bogato wyposażone pracownie fizyczne, chemiczne i inne (poza warsztatami: stolarskim, ślusarskim, tokarskim i t. p.).

Dążymy do tego, by chłopiec każdy obudził w sobie jakieś zainteresowanie indywidualne i poza nauką obowiązkową temu zainteresowaniu czas poświęcał i w tym kierunku pracował.

I niema chłopca, któryby przez taki „kurs dobrowolnej, indywidualnej pracy” nie przeszedł.

Pod przewodnictwem jednego z uczniów 7 klasy, świetnie wysportowanego i bardzo inteligentnego młodzieńca, przechodzimy kolejno sale i pokoje. Więc w jednej z nich — stolarskiej widzimy piękną łódź na warsztacie, obok zgrabna gablotka spreparowana podobno nawet przez jednego z uczniów młodszych klas.

Przechodzimy teraz do sali geograficznej bogatej, bo roi się tu i od eksponatów niegeograficznych. Tu znowu mieściła się dawniej sala recepcyjna zamku. I teraz pełno tu jeszcze nisz, figur i ornamentów. A tuż obok sypialnia. Na tych prostych, sprężynowych łóżkach śpią „snem naprawdę sprawiedliwych” spracowane, ale mocne i szczęśliwe chłopaki.

Jedno ze skrzydeł t. zw. infimerja, gdzie w razie wybuchu epidemji lokalizuje się ją skrzętnie i bezwzględnie.

Wdrapujemy się jeszcze o piętro wyżej. Na przestronnym kurytarzu ciągną się pod ścianami szeregi umywalni, nad którymi na półkach widnieją „narzędzia czystości”: szeczotki, szeczoteczki, mydła...

Wchodzimy do jednej z klas. Niewielka sala z szeregami czyściutkich ładnych stolików i higienicznych krzeseł. Każdy uczeń ma tu swój stolik. Wpadamy na chwilę do pięknej sali gimnastycznej, w której chłopcy właśnie bawią się i grają w siatkówkę. Na chwilę znowu do cichej pracowni profesorskiej, gdzie znowu w oczy wpada piękny staroświecki kominek i bogata ornamentyka ścian. Dziwnie tu wygląda na b. starym kominku, piękny głośnik radjowy Philipsa. Ale tu jest tak wszędzie: zbratanie się dawnej świetności książęcego zamku z nowoczesną wiedzą, techniką i młodością. Najmocniej uderza nas to w dawnej sali teatralnej. Ze sceny, na której rozległy się pierwsze w Polsce słowa kunsztownej mowy aktorskiej, sceny ozdobionej dotąd jeszcze barokową, stylizowaną framugą, patrzą teraz i lśnią zwoje drutów, kółka i płaszczyzny: świetnego, mocnego kondensatora i najnowocześniejszego elektroskopu. Z boku sceny gdzie ustawiano niegdyś kulisy, przedstawiające sielski obraz angielskiego parku lśni teraz czernią i bielą uchwytów i dźwigni — wielka tablica rozdzielcza. Tempora mutantur...

PRAWDA I LEGENDA.

Wyszliśmy z pięknego zamku, pożegnani serdecznie przez ludzi i obojętnie przez bogów. Bogowie to — piękne dwa posągi Diany i Marsa na II piętrze reprezentacyjnej klatki schodowej. Zmrok się na świecie już uczynił zupełny. Zamek jest teraz wielkim ciemnym gmachem o wyraźnie rysującym się wytwornym rysunku na tle gwiazdzonego nieba. Płoną blaski wielu zamkowych okien. Świecą także światła w dawnych oficynach zamkowych, obok których stoją także dawne ujeżdżalnie (łodzie w niej teraz „garażują”) i košzary niegdyś zamkowej konnicy.

Idziemy obok fosy, w której za niedługie tygodnie mróz zetnie wodę w lód i zaczną harcować hokeiści i łyżwiarze rydzyńscy.

Zagłębiliśmy się daleko w wielki park, którego bliżej nie obejrzymy niestety. Poprzez drzewa mrugają światła rozświeconego zamku. Oparci o szeroki pień jednego z drzew zasłuchani w szum tego pięknego rezerwatu, jaki stanowi dziki, zamkowy park, przypominamy sobie historję zamku.

Panowali więc na Rydzynie hrabiowie z Werbna Rydzyńscy. Zamek ich stał pewnie na miejscu późniejszego zamku Leszczyńskich. Potem dziedzictwo przeszło w ręce Cišwickich. Od tych dostało się ono w ręce rodu Leszczyńskich. Oni też wybudowali część obecnego zamku rydzyńskiego. Wzniesli mianowicie dwa jego skrzydła, które tworzyły literę L.

W wielkich salonach rydzyńskiego zamku, z którego przedzierają się teraz przez drzewa ku nam blaski rozświeconych okien, płynęło beztroskie, piękne dzieciństwo małej Marji, dla której potem korona królowej Francji była bolesnym ciężarem. Szczęśliwa Maryjka biegała, szczebiocząc, po zamkowych skrzydłach i pawilonach, nie myśląc o twardym losie, który jej przyszłość gotowała.

W r. 1737 dostają się dobra rydzyńskie w posiadanie rodu Sułkowskich. Przejmuje je mianowicie Aleksander Józef Sułkowski. Aleksander Józef lubił budować. Dobudował więc przede wszystkim dwa nowe skrzydła rydzyńskiego zamku i wypełnił linję zamku do regularnego czworoboku. Zbudował także kościół i oddał go Pijarom.

Pod koniec Rzeczypospolitej zwrócili się Sułkowscy do Sejmu o nadanie ich dobrom praw ordynacji. W statucie ordynacji zawarowano, że w razie wygaśnięcia rodu Sułkowskich dobra ordynackie przechodzą na własność Komisji Edukacyjnej.

Gdy w r. 1909 umarł ostatni potomek rodu Sułkowskich rząd pruski zagarnął dobra rydzyńskie na dobra państwowe,

Gdy jednak zajaśniała nad Rzeczpospolitą jutrznia niepodległości, Rząd jej uszanował rolę aktu sejmku przedrozbiorowego i oddał dobra rydzynskie jako fundację zakładu im. Sułkowskich.

Teraz w murach zamkowych mądrzy ludzie realizują bardzo mądry system wychowawczy. Wychowują się tam teraz szeregi młodych, mocznych Polaków — producentów.

Zasiedzieliśmy się w ciemni parkowej. Musi już być późno. Gasną nawet światła w zamkowych oknach. Przewiał przez korony drzew silny, szumiący wiatr. Przeszedł nas dreszcz zimny. Może to właśnie tu, pod drzewem, o które stoimy oparci...

„Jedz, pij i popuszczaj pasa”... I w zamku rydzynskim był czas, gdy temu saskiemu hasłu hołdował i zamek. Balowano wtedy i bawiono się dniem i nocą.

W salach zamku zjawiała się w pewnej chwili piękna, biała pani. Była dobra i skromna i kontrastem odbijała od balującego otoczenia.

Ale i ją wciągnął w siebie wir taneczny i pijany. Biała dama stała się najbardziej wyuzdaną ze wszystkich rydzynskich pań.

Aż pewnego poranka znaleziono w jednej z sal otrutego jednego z jej kochanków. Biała pani poszła na szubienicę. W przeddzień egzekucji wyspowiadała księdzu wszystkie swoje wielkie grzechy. Zataiła jednak jeden największy.

I odtąd w dzień jej zgonu rokrocznie w kaplicy zamkowej odbywała się mistyczna tajemnicza scena. Na stopniach ołtarza zjawiał się ksiądz, celebrował nabożeństwo, do którego usługiwały mu dwa małe chłopięta — te właśnie, które biała dama zamordowała i pochowała u stóp jednego z parkowych drzew. Ksiądz czeka — zjawia się biała piękna pani i prosi księdza. A ksiądz surowo:

— Nie czas jeszcze, nie czas jeszcze, dziecko moje... I biała dama czeka do następnego roku i następnej mszy...

WĘDRÓWKA W „NIEZNANE”.

Ameryka została odkryta, „nieznane” przestało być nieznanem. Od chwili, gdy uczestnicy pociągu popularnego wysiedli na przystanku w Boszkowie, spenetrowali kawałek lasu, dotarli do wielkiej, bezkresnej tafli jeziora dominickiego i tu uradowali oczy pięknym pejzażem a ciała promieniami słońca i orzeźwiającą kąpielą w czystej wodzie jeziora, „nieznane” stało się znane i lubiane. Głośno się potem zrobiło w Poznaniu o tem boszkowskim nieznanem.

Mamy jeszcze pół dnia do odjazdu do Poznania. Pięknego jesiennego dnia. Jedziemy więc w śliczny leszczyński kraj: kraj jezior, lasów, wzgórz i jarów. Z Murkowa leśna droga wije się równoległe do strumienia, aż do Błotkowa. Choć brutalna ręka ludzka opuściła wody pięknego jeziora, jeszcze dziś Błotkowo przedstawia widok pięknego uroczyska.

Przez włoszakowickie urodzive lasy, których się roi od jezior i jezierek, przez w dole położone Włoszakowice z dawnym zamkiem Sułkowskich, mając już za sobą daleko lasy święciechowskie i bojanowskie i Krzysko Małe, zadumane nad wielkim jeziorem — pędzimy śliczną drogą z gwałtownym wirażem do Grotnik.

A Grotniki to jest wieś chyba w Wielkopolsce najdziwniejsza. Z tem dzikiem poszarpaniem terenu, do którego przytuliły się małe domki wzdłuż wąskich spadzistych uliczek byłoby z Grotnikami bardzo „do twarzy” Podkarpaciu i to temu wyższemu. Ale skąd

taki dziw na spokojnym, choćby falistym czasie, terenie Wielkopolski? A ładnie tu dookoła bardzo.

Wdrapujemy się teraz wiaduktem, przeciągniętym wysoko nad torem kolejowym w dole — na drogę do Boszkowa. W pewnej chwili tor, nad którym przed chwilą jechaliśmy wysoko, zaczyna na nas patrzeć bardzo „zgóry”. Wybaczamy mu tę pychę, tembardziej, że za chwilę znów się znajdzie „pod wozem”, pod naszym „fiatem” mianowicie. Tembardziej, że właśnie wóz zaczyna mocno dyszeć. Musi się przerzynać przez piach, który mu sięga „po kostki”. Dyszy, ale „ciągnie”. Aż wjechaliśmy na twardszy teren, błysło raz i drugi światło jeziora za drzewami na lewo i oto jesteśmy w „nieznanem” Boszkowie.

Za chwilę leżymy na samotnej, teraz już opuszczonej plaży, przez przymknięte powieki spoglądamy na daleki horyzont jeziora. Brzeg jego „tamten” widać tylko dlatego, że haftowany jest cieniutką czarną linijką dalekiego lasu.

Nad jeziorem i nad nami polatują pokrzykujące mewy i rybitwy.

W GOŚCINNYM POWIECIE GOSTYŃSKIM



o długiej przerwie, spowodowanej kanikłą letnią, rozpoczęliśmy drugą część naszej tułaczki po włościach wielkopolskiej ziemi. Zdawaliśmy sobie sprawę z faktu, że czytelników naszych regionalnych reportaży nie interesują one w tym stopniu, jak na początku naszych wędrówek. Ostatecznie z małymi regionalnymi zmianami materiał reportażowy w poszczególnych powiatach jest prawie ten sam. Wszędzie głęboki kryzys, jaki nam losy kazały przeżywać, spowodował ubożenie, wszędzie niemal w przedsiódkach magistratów witają nas smutne albo tępe spojrzenia bezrobotnych.

Ale trzeba z nami pojechać, żeby zobaczyć i usłyszeć, co nas łączy nierozzerwalnym węzłem z terenem naszej pracy. Trzeba zobaczyć i usłyszeć, jak nas serdecznie witają w odciętej nieraz od świata, deskami zabitej mieścinie prowincjonalnej. Trzeba usłyszeć szczere zapewnienia wdzięczności, zapewnienia, że teraz „lżej będzie żyć“ gdy się wypowiedziało do książki swoje bóle i radości, swój smutek i wesele.

Ktoś z dowcipnych ludzi w jednej z mieścin powiedział nam podczas naszej wędrówki, że jesteście orędownikami spraw całej Wielkopolski. Niezgo więcej nie pragniemy, jeśli utwierdzimy w każdym z czytelników naszych to przekonanie, cel naszej tułaczki będzie osiągnięty.

Czytelnikom, którzy tęsknią za zmianą wrażeń przychodzi w pomoc sama przyroda. Jakże innym wydał się nam świat, gdy po dwóch miesiącach przerwy zaczęliśmy mijać ostatnie domy Poznania i wyjechaliśmy szeroką szosą między krajane już jesienną orką pola.

JESIENNE WRAŻENIA.

Dobrze, że jedziemy w samochodzie krytym. Deszcz siąpi drobny coprawda, ale jest w tem zajęciu po jesiennemu uparty i konsekwentny. Zegrze, Krzesinki, Kórnik. Silny boczny wiatr bije w szyby. Przez ich wilgotną matowość spoglądamy na piękne jezioro kórnickie. Chociaż niema słońca eudownego twórcy odbłasków, widok jeziora jest piękny. Silny wiatr wzburzył i pomarszczył jego powierzchnię. Sumą ku brzegom szeleszczące fale przybrane w białe, pieniające się grzywy. Niechby fale powędrowały trochę dalej, po widnokrąg i podrosły w górę o centymetry, a mielibyśmy kawałek Bałtyku pod Kórnikiem.

Dolsk. Witają nas smukłe, blade malwy, drżące i zapłakane na wietrze i deszczu.

Zmienił się świat cały. Po rżyskach, pamiętce szumiących tu niegdyś łąnów, chodzą powolne krowy pod baczem okiem ujadającego stale psa. I znów płaty pustej przestrzeni, aż wreszcie wyrasta przed oczyma tuż obok szosy odwalający skiby czarnej ziemi, oracz. Opodal grupa pochylonych kobiet wygrzebuje coś uparcie z mało obiecującej ziemi.

W pewnej chwili samochód zwalnia tempo. Oto werżnęliśmy się w szeregi stojącego po obu szosach wojska. Zabrudzone ubrania, umęczone twarze i czerwone przepaski na fu-

rażerkach orientują nas co do znaczenia tej militaryzacji szosy. To manewry.

A oto i gen. Wład, stojący obok figury przydrożnej w otoczeniu „sztabu generalnego“.

Mija jeszcze kwadrans wędrówki wśród smutnych opuszczonych pól i „dobijamy do brzegu“; wjeżdżamy między pierwsze domki Gostynia.

GOSPODARCZO STOI POWIAT BARDZO WYSOKO.

Rozmowa ze starostą powiatu gostyńskiego p. J. Wolfarthem.

Po serdecznem powitaniu długie chwile rozmowy o problemach ogólnych a następnie dotyczące bezpośrednio powiatu.

— Jak wygląda struktura gospodarcza powiatu?

— Jest to także powiat par excellence rolniczy. Stoi pozatem gospodarczo bardzo wysoko i ogólnie biorąc jest jednym z najlepszych powiatów Wielkopolski. Na terenie naszym mamy mnóstwo świetnie zagospodarowanych majątków ziemskich. Powiat posiada także na swym terenie szereg pierwszorzędnie prosperujących młynów, no i wybitną pozycję przemysłu rolnego, jaką stanowią Pudliszki. Ciekawem natomiast zjawiskiem terenowym jest u nas kompletny brak wody. Stanowimy pod tym względem osobliwość w Wielkopolsce, która naogół jest bogato w wodę zaopatrzona.

— Dane liczbowe co do powiatu.

— Obszar — 600 km², zamieszkały przez 50,187 ludności (według danych z 1931 r.); pod względem administracyjnym podzielony jest na 84 gminy wiejskie, 67 obszarów dworskich i 4 miasta: Gostyń, Krobia, Poniec i Piaski.

— Jak ludzie patrzą na sprawę kryzysu w powiecie Pana Starosty?

— Naszem zdaniem kryzys się jeszcze nie skończył, ale osiągnął już swój punkt kulminacyjny. Właściwym kryterjum oceny są tu wpływy podatkowe. A one właśnie wzrosły zupełnie wyraźnie; i stało się to bez specjalnej śruby.

— Co nam Pan starosta powie nakoniec jako Dyrektor Kolejki Powiatowej?

— Jest to pozycja, która w naszych budżetach podkreśla się sama. Funkcjonuje świetnie. Dzięki daleko idącym oszczędnościom i posunięciom administracyjnym przeżyliśmy wielką przemianę; od 70.000 zł deficytu w r. 1931 do 60 tysięcy dochodu w r. 1932.

Niezwykle energiczny kierownik powiatu robi w międzyczasie mnóstwo ciekawych dygresji, które oświetlają jasnym światłem szereg lokalnych problemów, widać z nich, że powiat gostyński jest prowadzony mądrze i celowo, z otuchą więc w sercu i uczuciem wdzięczności żegnamy gospodarza powiatu.

W NAJPOPULARNIEJSZYM BANKU POWIATU.

Powiatowa Komunalna Kasa Oszczędności w Gostyniu, bardzo popularna instytucja oszczędnościowa, założona została w r. 1890. W ciągłym swym pochodzie rozwojowym doszła do wielkiej sprawności i b. silnej pozycji. Ciekawą jest tabelka ilustrująca wzrost wkładów w okresie od r. 1927 do 1933. I tak w r. 1927 wynosił stan wkładów — 166.096 zł, w r. 1928 — 214.071 zł, w r. 1929 — 455.711 zł, w r. 1930 — 775.598 zł, w r. 1931 — 793.409 zł, w r. 1932 — 886.458 zł, w r. 1933 — 1.205.118 zł.

Powiatowa Komunalna Kasa Oszczędności, kierowana przez dyr. B. Karlińskiego, pod baczny okiem zarządu Kasy z p. starostą powiatowym Wolfarthem J. jako naczelnikiem zarządu na czele, prowadzi b. celową politykę oszczędnościową. Obroty kasy za rok 1933 wyniosły przeszło 19 milionów zł.

O zaufaniu miejscowego społeczeństwa oraz o roli kasy w życiu powiatu świadczy fakt, że w kasie jako placówce sprzedaży Pożyczki Narodowej podpisało 129 subskrybentów na sumę 313.450 zł na ogólną sumę 516.050 zł, zakupionej w powiecie Pożyczki Narodowej.

PARAFJA NASZA JEST BARDZO OFIARNA

Wyciad z duszpasterzem parafji Gostyńskiej ks. prał. Mędlewskim.

Teraz kierujemy kroki swoje do proboszcza parafji gostyńskiej. Właśnie zastajemy ks. prałata przy bardzo przykłej funkcji. Ks. proboszcz wyjeżdża za chwilę do Poznania i zajęty jest obecnie szybkim pakowaniem kufrów.

Znajduje jednak dla nas „5 minut“, które zresztą zmieniają się na dobre pół godziny rozmowy.

Rozmawiamy najpierw o pięknym kościele farnym, o którym dowiadujemy się, że został wybudowany w XV w. w czystym gotyku. Następnie rozszerzony został o kaplicę św. Anny. W XVI w. zabłysnął w kościele piękny główny ołtarz, którego twórcą jest Skorylas inaczej Skorylasem nazywany.

W czasie Reformacji kościół służył praktykom Braei Czeskiej, lecz został potem przez Kościół rewindykowany.

— Pójdziemy do kościoła, zobaczycie panowie, co się tam dzieje; właśnie jesteśmy obecnie w stadjum intenzywnego odnawiania kościoła.

Następnie zaczynamy rozmowy ogólne. Więc o samym Gostyniu. Dowiadujemy się o dziedzicach gostyńskiej wsi że w r. 1278 była to dziedziczna wieś Mikołaja syna Przedpełka wojewody poznańskiego, który za swe zasługi otrzymał od Przemysława Ks. Wielkopolskiego przywilej przemieniający wieś Gostyń na miasto prawa magdeburskiego.

— Chcielibyśmy teraz usłyszeć słów kilka o parafji i parafjanach?

— Tu muszę zacząć od pochwał: parafja nasza jest bardzo ofiarna i nigdy nie skąpi grosza na cele kościoła. I tak kosztem parafji dzięki jej ofiarności wystawiliśmy piękny pomnik Serec Jezusowego na rynku z rzeźbą art. malarza Michałowskiego, ufundowaliśmy nowe dzwony, odnowiło się organy sumptem 4.000 zł.

Ostatnio wzięliśmy się energicznie do odnawiania kościoła. Ofiary i na ten cel wpływają bardzo poważne. Wszystko to jest materiałem do wysnucia wniosku, że parafja nasza bardzo oddana jest kościołowi.

Ale nie tu kończy się ofiarność moich parafjan. Ilekroć chodzi o ważne cele ogólnoparafjalne czy społeczne zawsze wtedy płyną ofiary i składki. Potrafi wreszcie ludność naszej parafji ponieść dla Ojczyzny najwyższą ofiarę — ofiarę życia i krwi.

Idźcie, panowie, na cmentarz nasz i zobaczcie długi szereg nazwisk i przeczytajcie o młodych latach poległych w walkach za niepodległość Rzeczypospolitej, a przekonacie się o tem dowodnie.

Milknie na chwilę rozmowa. Przez wymowne milczenie oddajemy cześć pamięci bohaterów.

Pozatem udajemy się z księdzem prałatem na zwiedzanie kościoła. Krótco tam jednak bawimy. Wypędza nas stamtąd gęsty kurz. Po kościele kręci się mróstwo przesłoniętych kurzem postaci. Krzątają się, aby gostyńska świątynia zajaśniała blaskami świetności.

Długie jeszcze chwile spędzamy na oglądaniu ze wszystkich stron ciekawej konstrukcji fary z uciętą wieżycą. Potem ogólne spojrzenie na kościół, pożegnanie z ks. prałatem i wracamy do miasta.

BURMISTRZ, KTÓRY ZAMIERZA DAĆ GOSTYNIOWI WODOCIĄGI I KTÓRY POSIADA PIĘKNY ZBIÓR WYSPIAŃSKIEGO.

Rozmawiamy z burmistrzem gostyńskim, p. Krawczykiem.

Idziemy teraz w kierunku ratusza. Po drodze spoglądamy naokół, obserwujemy, notujemy i zbieramy materiał do interpelowania burmistrza. Ulice naogół przyzwoicie wybrukowane, razi tylko brak wodociągów. Przydałoby się także Gostyniowi więcej drzew; zieleń w mieście jest to zjawisko równie miłe i pożądane w wielkich centrach przemysłowych, jak i odległych ośrodków prowincjonalnych.

Ciche jest i spokojne życie Gostynia.

P. burmistrz Krawczyk przyjmuje nas z otwartymi ramionami.

— Czekaliśmy tu na przyjazd panów i bardzo się cieszymy, że panów widzimy.

— Chcemy usłyszeć i opowiedzieć skolei Wielkopolsce o Gostyniu i Gostyńskim.

— Więc najpierw trochę historii. Założony został Gostyń przez Mikołaja Przedpełkowicza, który w r. 1278 otrzymał prawo lokaty od księcia Przemysława II. Pierwotnie osada Gostyń znajdowała się na miejscu obecnej wsi Stary Gostyń.

W średniowieczu Gostyń było to miasto zupełnie polskie bez żadnej domieszki Niemców. W XVI w. i XVII znajdowała się tu liczna kolonia szkocka. Ze starych zabytków zachował się u nas tylko stary kościół farny z XV w. z wieżą 45 mtr. wysoką płasko zakończoną, jeden z najpiękniejszych zabytków w Polsce.

Zimą zatrudnialiśmy bezrobotnych przy tych wszystkich robotach. Przy wyłącznej pomocy bezrobotnych zrobiliśmy m. in. 195 mtr chodników. Ludzie dostali nie jałmużnę, a należącą im się zapłatę za pracę. Uregulowaliśmy także t. zw. „rów polski“ na przestrzeni 700 mtr. Stworzyliśmy miły placyk K. Marcinkowskiego przez skanalizowanie zabagnionego targowiska. Kiedyś zazieleni się na nim od drzew i będziemy mieli kawałek miejskich plant.

— Jakież ma miasto pozatem poważniejsze kłopoty?

— Mamy je np. ze szkołami. Dotąd istniejące są zaszczupłe i niehigieniczne. A budować nowe — teraz trochę zaciężko. Zadaniem jednak najbliższych lat będzie uregulowanie tej palącej kwestji. W niedalekiej przyszłości musimy także dać miastu boisko sportowe.

— Teraz jeszcze o życiu kulturalnym i organizacyjnym Gostynia?

— Gostyń w b. poważnym stopniu korzysta z dóbr kulturalnych, które daje Poznań. Bardzo często jeżdżą nasi mieszkańcy do Poznania i przyjeżdżają z wrażeniami z teatru czy kina.

— Jak przedstawia się współczesny stan gospodarczy miasta.

— Obecnie liczy nasze miasto 6.800 ludności, prawie wyłącznie polskiej. Tak jak i gdzieindziej i u nas życie gospodarcze stoi pod znakiem kryzysu a sama gospodarka miejska jest z natury rzeczy deficytowa. Ale my już z tego powoli wychodzimy. Będzie potrzebna pożyczka na pokrycie deficytów ubiegłych lat, ale potem już powinna nasza gospodarka pójść po równej drodze normalnego życia i rozwoju.

Jeśli chodzi o nasze miejscowe najpoważniejsze problemy, to koniecznością naszą gospodarczą jest zrealizowanie wreszcie projektu wodociągowego. Mamy tu naogół w mieście złą wodę. Zjawisko spowodowane faktem, że studnie kopane w poszczególnych domostwach, pozostawiają bardzo dużo do życzenia pod względem higieny.

Historja wodociągów ciągnie się u nas od r. 1901, kiedy to sprawa ta stała się bardzo aktualną. W roku zaś 1913 były już kompletnie przygotowane plany na kanalizację i wodociągi. Oczywiście plany te przestały być aktualnymi i nasz Instytut Wodociągowy wypracował już inne. Będziemy rzecz realizować etapami. W każdym razie sprawa jest na najlepszej drodze i czekamy tylko na zawiadomienie z Warszawy, żeby przystąpić do wierceń. Wiosną przyszłego roku z całą pewnością zaczniemy budowę wodociągów.

— Jak wygląda dorobek miasta w czasach niepodległościowych?

— Więcej bruku: położyliśmy ich na długość 1.500 m. Wybrukowaliśmy 12.000 m. samych jezdni, m. in. ta piękna jezdnia na ul. Kolejowej, to już dorobek naszych czasów.

Mamy tu i na miejscu organizacje kulturalne, np. Stowarzyszenie kultury i sztuki „Fredreum” i inne. Wystawiło ono w r. 1924 „Wesele” Wyspiańskiego, a w zeszłym roku „Sędziów”. Przedstawienia były niezwykle starannie opracowane i zrobiły duże wrażenie.

Urządzamy tu także bardzo dużo koncertów muzycznych. W tej mierze duże zasługi ma p. dr. Babiak. Założył on kwartet symfoniczny i dawał koncerty z zakresu klasycznej muzyki kameralnej.

Idziemy jeszcze do prywatnego mieszkania p. burmistrza, o którym wiemy, że jest namiętnym zbieraczem pamiątek po Wyspiańskim. Oglądamy zbiór, w którym podziwiać musimy „białe kruki” i skrzętność gospodarza w zbieraniu tych pamiątek.

Życzymy p. burmistrzowi dalszych sukcesów w pracy dla bezrobotnych, w której położył tak dużo zasług i żegnamy uprzejmym gospodarzy.

CHWILA W GAZOWNI MIEJSKIEJ.

Gazownię Miejską w Gostyniu powołano do życia w r. 1901. Zbudowana kosztem 132.500 mk. o maksymalnej sprawności 1000 m³ gazu na dobę, odczuła niedługo potem potrzebę rozbudowy. Zadanie to powierzono firmie August Kloeune z Dortmundu. W 1910 przystąpiła ona do zrealizowania planu rozbudowy, który przewidywał maksymalną sprawność 4000 m³ na dobę i obejmował poza zbudowaniem 1 nowego 6-retortowego pieca półgeneratorowego o sprawności 1500 m³ na dobę, powiększenie potrzebnej aparatury do zdolności 4.000 m³ i budowę zbiornika do teleskop. z 1000 m³ na 2000 m³. Następne lata wzrastania produkcji gazu zmuszają gazownię do nowych inwestycji i rozbudowy: W 1914 roku nabywa gazownia nowy 4-retortowy piec półgeneratorowy, w 1915 buduje bocznice kolejową, w 1916 na prośbę samej miejscowości buduje sieć gazową o długości 4.090 km do m. Piaski. W r. 1917 osiąga produkcja gazowni szczytową wielkość — 307.255 m³. Po kilkoletniej przerwie w inwestycjach zaczęto przeprowadzać nowe. I tak w r. 1924 zbudowano 1 nowy 4-retortowy piec półgeneratorowy, w r. 1925 zbudowano budynek administracyjny, w r. 1926 — benzolownię, urządzenie do wytwarzania siarczanu amonowego. W latach następnych idą nowe inwestycje: w kotłowni zmontowano 2 kotły parowe, uruchomiono destylarnię smoły, 6-cioretortowy piec przebudowano na 8-retortowy, wreszcie zbudowano ładny, duży budynek administracyjny. W r. 1930 produkcja gazu doszła do rekordowej wysokości 505.000 m³. Potem przyszedł kryzys i załamanie produkcji. Ale skończy się kryzys i produkcja zacznie się dźwigać znowu.

NA PIĘTRACH CUKROWNI.

Rozmowa z p. dyr. Z. Psarskim.

— Kilka słów o cukrowni gostyńskiej, Panie Dyrektorze.

— Cukrownia w Gostyniu jest jedyną w Polsce cukrownią, spółdzielnią, której udziałowcami mogą być jedynie rolnicy uprawiający buraki. Forma spółdzielcza zabezpiecza charakter czysto rolniczy przedsiębiorstwa, który gwarantuje, że wszelkie zyski są zwracane plantatorom w formie wyższej ceny za buraki. Cukrownia jest całkowicie zelektryfikowana, przerabia na dobę ca 22.000 kwintali buraków. Założona została w r. 1897. Dzięki wyższym cenom za buraki aniżeli w innych cukrowniach, kryzys rolniczy w powiecie przebiega o wiele łagodniej. Zarząd cukrowni stanowią dwaj ziemianie pp. Lossow i Taczanowski, oraz dyrektor cukrowni, p. Zygmunt Psarski.

W kawiarni p. Jezierskiego nie tylko pije się kawę.

Miły, niewielki lokal kawiarniany. Pogodny w barwach ścian, ładnie urządzone, mógłby być kawiarenką nawet w sercu Poznania!

Przy stolikach, nad „czarną” pochyleni, siedzą zwykle u Jezierskiego wszyscy luminarze miasta. Czas spokojnie i pogodnie upływa na rozmowach o rzeczach mniejszych i o sprawach najpoważniejszych. Tu nieraz zapadają decyzje liderów organizacji gostyńskich, tu ustala się różne regionalne posunięcia gospodarze.

Między stolikami przechadza się zawsze pogodny, uśmiechnięty właściciel kawiarni, p. Jezierski. Choć ma na głowie jeszcze inne troski, musi pilnować spraw restauracji,

hurtowni towarów kolonialnych, hotelu. A przede wszystkim spraw Związku Towarzystw Kupieckich, którego jest zasłużonym prezesem. Właśnie w sprawie spraw gostyńskiego kupiectwa postanawiamy go interwiewać i dowiadujemy się o losach kupiectwa w Gostyniu.

— Naogół można stwierdzić, że kupiectwo nasze trzyma się jeszcze dość mocno pod względem gospodarczym. Okolicę mamy przecież zamożną z bardzo ładnymi majątkami ziemskimi. Poza to jest w terenie szereg cukrowni i tartaków, bardzo dobrze prosperujących. Na stosunkową zamożność naszego powiatu wskazuje także fakt istnienia trzech wielkich młynów, które zawsze idą pełną parą. O wielkości tej gałęzi przemysłu u nas mówi cyfra 700 etn. zboża mielonego w jednym z tych młynów na dobę.

DOBRANOC.

Godzina 9½ wieczorem. Gdy w odległym o kilkadziesiąt kilometrów Poznaniu zaczyna się rojnemi ulicami przewalać wieczorne życie wielkiego miasta, tu, w spokojnym, cichym Gostyniu świat się już kładzie do snu.

Ustał już i uparty w jednostajnym śnięciu deszcz. W mdłym blasku lamp gazowych lśnią obmokłe ściany małych domów, błyszczy wilgotne bruki. Na rogach ulic rozchodzą się grupy ludzi. Jeszcze słów kilka o sprawach dnia jutrzejszego, który przecież będzie bliźniaczo podobny do dnia wczorajszego i do dnia dzisiejszego. Potem już tylko „spokojnej nocy” i dwie postacie znikają, każda w innej bramie.

Jeszcze mija kwadrans i w oknach niskich domów zaczynają gasnąć światła.

Przez bruk rynku przechodzą ciemne sylwetki. To ostatni już „mohikanie”. Bezrobotni. Nie spieszy im się do domów. Nie czeka ich tam „ciepło ogniska domowego”. Jeśli ich ktoś przywita, to będzie to zarazem słowo zatroskane, słowo pytające o jutro, słowo proszące o chleb.

Idziemy i my już do chłodnych, samotnych pokoi hotelowych. Dobranoc...

WENECJA I GOSTYŃ.

Przejętny czytelnik byłby skłonny zmienić powyższy tytuł i zamiast łącznika „i” wstawiłby przeciwstawiające obie nazwy „a”. Myliłby się jednak. Jest pewien ważny szczegół, który wspólny jest tylko tym dwu miejscom na całej kuli ziemskiej. Do Wenecji przyjeżdżają turyści całego świata, by m. in. oglądać kościół Maria Della Salute, piękną barokową świątynię wybitnego architekta Baltazara Longheny.

A w odległości 2 km od Gostynia, często przez turystów nie zauważony stoi na „świętej Górze” kościół — brat bliźniaczy weneckiego — Maria Della Salute.

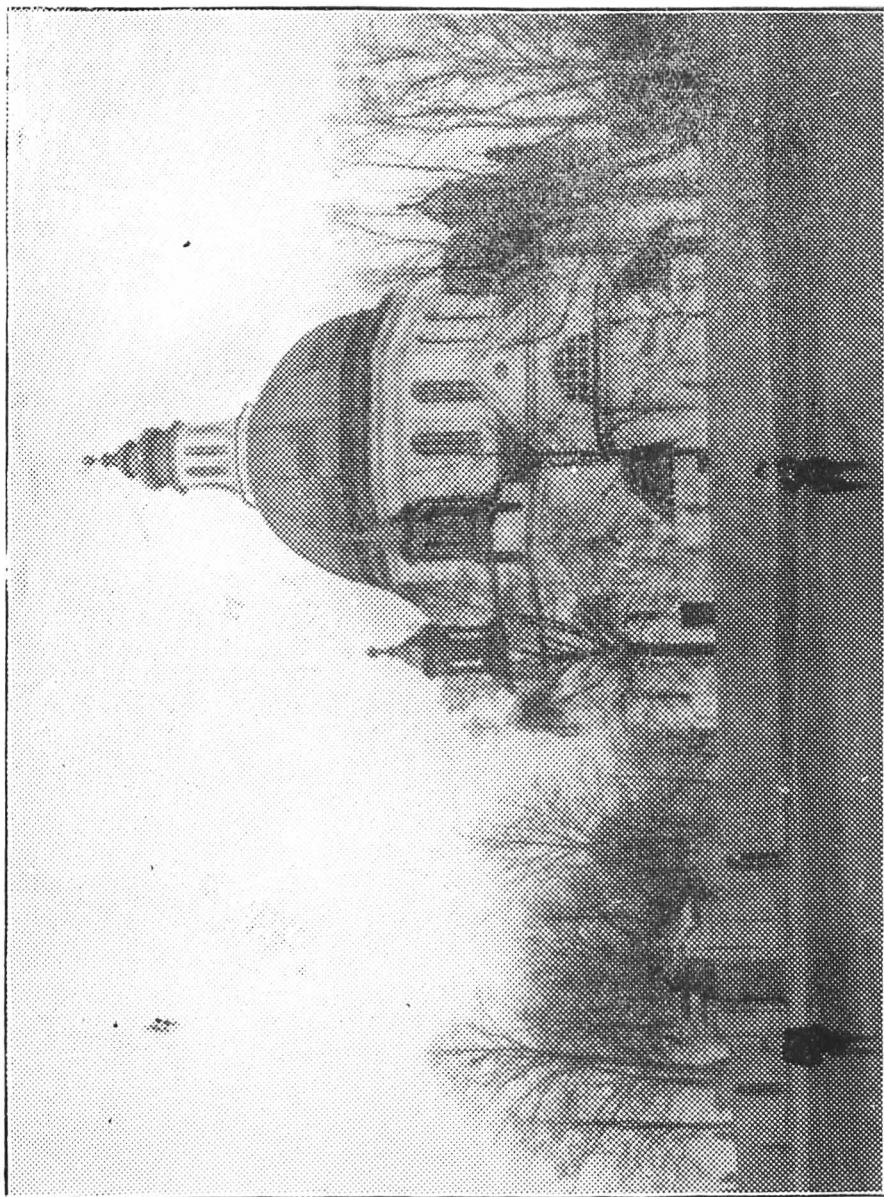
Idziemy więc do ks. Tabora, jednego z braci zakonu Oratorjanów, którzy na Św. Górze pod bokiem pięknego kościoła prowadzą swój spokojny, cichy, zakonny żywot.

Ks. Tabora zastajemy w gimnazjum, którego losami obecnie kieruje. Ks. Tabor kończy właśnie wykład w jednej z klas swoich wychowanków. Chodzimy więc po korytarzach pięknego budynku gimnazjalnego, gdzie w wielu szafach, gablotkach, leżą tysiące ciekawych obiektów muzealnych. Tu wykopaliska prasłowiańskie, ówdzie komplet pamiątek z powstania 63 r. Na ścianach mnóstwo obrazów i wykresów.

Potem odbywamy z ks. Taborem wędrowkę po zielonej trawie boiska szkolnego i rozmawiamy o Gostyniu i św. Górze. O ks. Grudowiczu, założycielu Kongregacji OO. Oratorjanów w Polsce, których od imienia patrona św. Filipa Nerjusza — Filipinami także nazwano.

Następnie ks. Tabor szeroko nam opowiada o kościele na Św. Górze. Kościół ten ks. Tabor świetnie zna, kocha go i z jego to uwagami odbywamy dwukilometrową pielgrzymkę do pięknej świątyni.

Zaraz po wyjściu z ostatnich miejskich zabudowań widzimy przepiękny barokowy rysunek kościoła świętogórskiego. Wrażenie to potęgowało się w miarę naszego zbliżania



ŚWIĘTA GÓRA POD GOSTYNIEM.



się do Św. Góry, aż w pewnej chwili stanął przed nami piękny sobowtór weneckiego kościoła Maria Della Salute w całej okazałości.

Patrząc na bogactwo harmonijnych barokowych kształtów świątyni, przypominamy sobie, co o jej historii mówił nam ks. Tabor.

— Dwie wiekopomne postacie wysunęły się tu na plan pierwszy: ks. Grudowicz, założyciel kongregacji i Adam Konarzewski fundator klasztoru i kościoła świętogórskiego. Ten ostatni, jedyny potomek Melchjora i Urszuli Konarzewskich, wyproszony od Boga za przyczyną Matki Boskiej Gostyńskiej, doznaje w swoim życiu kilkakrotnie cudownych uzdrowień, udając się pod opiekę Najśw. Marji Panny i obiera za główny cel swojego życia rozszerzenie i utrwalenie jej czei na Św. Górze. On też staje się głównym pomocnikiem ks. Grudowicza przy założeniu kongregacji Oratorjanów w Polsce. Pokonano szczęśliwie wszystkie trudności, jakie piętrzyły się w przeprowadzeniu zbożnego dzieła i w r. 1668 objęła kongregacja w swe posiadanie Św. Górę.

Wielki napływ wiernych, nadwątlony latami kościółek, który nie mógł zadość uczynić wzrastającym potrzebom skłania Adama Konarzewskiego do rychłego spełnienia dziękczynnego ślubu, do zbudowania nowej, obszernej świątyni, godnej Matki Boskiej i sławy, jaką cieszyła się już Św. Góra na ziemiach Wielkopolski. W roku 1675 rozpoczyna Adam Konarzewski budowę świątyni własnym kosztem i według własnych planów, wzorowanych na architekturze kościoła Św. Piotra w Krakowie. Rychła śmierć jego zdecydowała całkowicie o losach dalszej budowy. Żona jego, jako wierna wykonawczyni ostatniej woli męża, prowadzi dzieło dalej początkowo według pierwotnych planów, lecz wyjazd jej do Włoch wpłynął całkowicie na ich zmianę. W Wenecji budowano wówczas słynny kościół „Santa Della Salute” według planu architekta Baltazara Longheny. Na Zofję Konarzewską kościół ten wywarł takie wrażenie, że zakupiła u Longheny podobne plany i przesłała je do kongregacji z poleceniem prowadzenia dalszych prac według nowych rysunków.

Budowa kościoła do kopuły trwała do roku 1696, a w roku 1698 przeniesiono cudowne obrazy po kongregacji kościoła przez biskupa Hieronima Wierzbowskiego, sufragana diecezji poznańskiej.

Później przyszyły czasy niepomyślne i dopiero w roku 1718 podjęto prace nad wykończeniem kościoła, czego też ostatecznie dokonał architekt Pompeo Ferrarjusz. Od tego czasu rodzina Mycielskich przejmuje rolę fundatorów i dobrodziejów klasztoru świętogórskiego.

Podchodzimy coraz bliżej do pięknego barokowego kościoła. Uderza jeszcze mocniej harmonja kształtów i czystość stylu. Opisowi samej świątyni należałoby poświęcić osobne studjum, wykazujące podobieństwo do kościoła weneckiego. My ograniczamy się do ogólnego obejrzenia i odczucia piękna kościoła.

Kłęczymy przed cudownym obrazem Matki Boskiej w głównym ołtarzu. Obraz, dzieło nieznanego twórcy, przedstawia Bożą Matkę z Panem Jezusem. Twarz Madonny jest przytem dziwnie subtelna i ma niezwykły wyraz z nieodgadnionym grymasem ust.

Uzupełnienie obrazu stanowi ciekawe tło dalszego planu, na którym widoczny jest z jednej strony konterfekt drewnianego kościółka, na Św. Górze oraz po prawej stronie miasteczko Gostyń w połowie XVI w.

Oczy z wolna spływały na z 4 części złożone piękne tabernakulum z roku 1764. Z tem wszystkim świetnie harmonizuje jeszcze krzyż z kości słoniowej na drzewie oliwnem.

Wspaniałe także w swym przepychu malarskim jest całe presbiterjum z prześlicznymi freskami Baura i Franka.

W wędrówce po nawach bocznych zatrzymujemy się na długie chwile zachwytu przed pełną ekspresji rzeźbą Madonny Piety. I tu znowu Boża Matka ma twarz pełną naturalnego i głębokiego bólu. Obie kaplice zawierają dużo świetnie zachowanych fresków i obrazów.

Oglądamy wreszcie zakrystję kościoła artystycznie skonstruowaną i urządzoną wewnątrz.

Potem już wychodzimy na rozstłoneczniony świat.

Patrzmy ze Świętej Góry, z której całej okolicy króluje przepiękny kościół, spoglądamy na rozległe pola, przetykane ciemnymi grupami drzew i wiosek.

Za niedługą chwilę pojedziemy temi wstęgami w ziemię powiatu gostyńskiego.

Ale teraz jeszcze patrzmy na kościół, błyszczący w południowym słońcu, pyszniący się promiennie bogactwem szarmonizowanych kształtów. Blaski słoneczne, co zapalają się i gasną na wielkiej kopule, są jakby dotknięciem bożych dłoni. Dotknięciem domu, w których mieszka wiara.

U OJCA GOSTYNIA WSPÓŁCZESNEGO I WSRÓD STERT POMIDORÓW.

Krótką przerwą obiadową i pędzimy „co konie wyskoczą” w samochodzie w odwiedziny do ojca Gostynia współczesnego — do Starego Gostynia. Niedaleka droga od syna do ojca.

Mijamy tylko kolonję wiatraków, wdrapujemy się na górę, potem wdół, potem znowu „skok w bok”, w tonący w deszczu las i oto przed nami biedna wioska, w której nam z trudem przyjdzie odszukiwać ślady dawnej książęcej „świetności”.

NAZWA „GOSTYŃ” OD WYRAZU „GOŚĆ” POCHODZI A TO W ARCHAICZNEJ POLSZCZYŹNIE ZNOWU „KUPIEC” OZNACZA.

I znowu przychodzi nam ciągnąć pod górę wyboistą drogą. Ale to już pierwsze ślady dalekiej przeszłości. Bo oto na wzgórzu, na którym stoją teraz wyniosłe wieżycy kościoła stał niegdyś zamek warowny.

Za chwilę pukamy do drzwi ks. dziekana Sobkowskiego. Mamy szczęście. Zastajemy u ks. dziekana drugiego człowieka, którego mieliśmy zamiar wyszukać w zapadłym zakątku starogostyńskim, b. popularną w gostyńskim, osobistość p. dr. K. Krotoskiego.

Zaraz też w saloniku ks. dziekana pod nieobecność jego ucinamy sobie przemiłą pogawędkę z wybitnym znawcą historii ziemi wielkopolskiej wogóle, a gostyńskiej w szczególności. Chwilę słuchamy b. miłych dla nas szczerze mówionych słów uznania dla naszej akcji prowincjonalnej i jej wartości krajoznawczej.

Potem już dr. Krotoski, który ma jakby dwie pary oczu: jedną patrzy w teraźniejszość i widzi ją zupełnie plastycznie, a drugą wnikliwie spogląda w przeszłość, zaczął nam właśnie na kanwie przeszłości snuć barwne, wyraziste obrazy.

Więc o tem, jak gdzieś w pomroce dziejów w. VIII lub IX wychynął już swem istnieniem Stary Gostyń. „Gostyń” to nazwa urobiona od „gość”, co w czasach prastłowiańskich służyło do określenia „kupca”, który to zawód był w wielkim mirze u naszych pradziadów; odczuwali oni instynktownie, że ci „goście” przybywający z dalekich nieraz stron, dźwigali razem z tobołami i na wozach moszczonych wieźli także i wiew świata wyższego — kultury.

Wzgórze, na którego stokach położyły się teraz domki st. Gostynia, a na szczycie którego kościół teraz w górę wystrzela, było wyspą wśród rozległego jeziora. Przez tę wyspę prowadził szlak, którym zagłębiali się dla robienia interesów sprytni Polanie z Kijowszczyzny między plemiona Lutyków, Pomorzan, Lechów... Oni to pod wodzą syna kijowskiego Askolda (znaczenie polskie — Popiel) stworzyli państwo Polan nad Wartą.

Przybył więc polański „gość” czyli kupiec w okolice dzisiejszego Starego Gostynia zrobił tu szereg dobrych interesów i w ustronnym miejscu założył swój „Gościń stan” czyli dwór. Z tego już w wieku VIII czy IX powstał Gostyń.

Polański książę Popiel niedługo radował się władzą wodza w swoim „kniaźnim grodzie” czyli Gnieźnie. Zabrał mu je zbuntowany najwyższy jego dostojnik — piast Siemowit. Współ z rodem Misków wygnał on Popiela i pozbawił życia w Kruszwicy.

Strącony z tronu ród Popielidów uszedł w bagna oberskie i osiedlił się między Obrą i Baryczą. Popielidzi, Awdańce, (Habdanki) obwarowali się w nadobrzańskich topieliskach w Gostyńskim, Kościańskim i Rawickim. Oni też kupiecką osadę Gostyń w warowny przemienili gród, którego ślady dziś jeszcze w terenie starogostyńskim odnaleźć można. Plac z kościołem, przyległym cmentarzem i podwórze dworskie, to wysoki był niegdyś zamek, otoczony dębowym ostrokołem; zagłębienia od północy i od południowego wschodu za szkołą, wskazują na miejsca, gdzie sięgały wówczas fortyfikacje podgrodzia.

Od Awdańców przeszedł stary Gostyń z okolicą drogą marjażów czy też drogą kupna w posiadanie najwpływowszego w XIII wieku rodu Łodziów. Posiadali oni nie tylko całą okolicę Bnina, Kórnika, Mosiny, ale otrzymali także w I połowie XIII wieku od Henryka Brodatego południową połać Wielkopolski od Miejskiej Górki po Krotoszyn.

Najwybitniejszym przedstawicielem rodu Łodziów był comes Mikołaj Przedpełkiewicz, wojewoda kaliski, pan na Gostyniu, Mosinie, Krośnie, Kobylinie i t. d. Był on w wielkich łaskach u Przemysława II i zasłużył się wielce około wskrzeszenia królestwa polskiego przez połączenie Wielkopolski z Pomorzem, układem w Kępnie w roku 1294; otrzymał za to liczne włości na Pomorzu od ostatniego księcia pomorskiego Mestwina. Mikołaj Przedpełkiewicz jest także fundatorem miast na prawie magdeburskim Kobylina, Gostynia, kościołów w Kobylinie, Gostyniu, kolegiaty w Głuszynie, przeniesionej później do fary poznańskiej. Nie więc dziwnego, że od Przemysława II otrzymał w 1278 roku pozwolenie na założenie miasta Gostynia na prawie magdeburskim. Gród w Starym Gostyniu z powodu opadnięcia wód jeziornych stracił swe obronne znaczenie. Dlatego też wojewoda w bagnach Kani usypać kazał sztuczny kopiec, na szczycie którego stanął nowy, obronny gród, a na ławicy piaszczystej naniesionej wśród bagien z zachodnich wzgórz powstał nowy Gostyń, miasto zbudowane na dębowych palach. Nowy Gostyń zdegradował stary Gostyń do roli fundacji dla szpitala św. Ducha w Gostyniu.

Taka by była historia wielkich chwil starego Gostynia za czasów, gdy był jeszcze niedostępnym, obronnym grodem...

Przyceił na chwilę pan Krotoski, zamyślił się głęboko. Ale oto nadszedł ks. dziekan.

106 LUDZI Z MOJEJ STAROGOSTYŃSKIEJ PARAFJI ODDAŁO ŻYCIE ZA WIARĘ I OJCZYZNĘ W LATACH 1914—1920.

O sprawach kościoła i dekanatu rozmawiamy z ks. dziekanem Sobkowskim.

Przechodzimy teraz w czwórkę przez wąwóz drogi i stopniami wchodzimy na wzgórze. Niema tu już śladu po starodawnym zamku obronnym. Kościół tylko starogotycki wspina się teraz na tem miejscu ku niebu.

Ks. dziekan opowiada nam historję swego kościoła.

— Na tem miejscu, gdzie teraz stoi kościół, na który panowie spoglądacie, stał kościółek drewniany. Stał sobie skromny przez 200 lat; aż na jego miejsce wyrósł w roku 1301 nowy kościół, już murowany w stylu starogotyckim.

W XV wieku okazał się kościółek zamały, więc dobudowano do niego drugą część. Wreszcie w roku 1910 za moich więc już tu czasów kościół został powiększony o swoją trzecią część i otrzymał wieżyczkę. Kościół sam jest pod wezwaniem św. Marcina.

Wchodzimy do kościoła, w którym panuje lekki półmrok. Tem mistycznie spogląda na nas teraz wyrazista twarz cudownej Matki Boskiej Starogostyńskiej.

— Obraz to — szeptła nam ks. dziekan — piękny, malowany w końcu XVII wieku przez „Benedyktyna z Murki”.

Potem wskazuje nam ks. Dziekan na zupełnie wyraźnie odcinające się od siebie części starsze i młodsze kościoła.

W prezbiterjum bardzo udana kopja obrazu Św. Rodziny z Monachijskich zbiorów sztuki. Skolei przypatrujemy się przez pewien czas pełnej wyrazu i ekspresji twarzy umierającego Chrystusa.

Potem oglądamy jeszcze ołtarze boczne. Więc w tym np. obraz św. Benedykta, potem św. Benona, patrona wszystkich chorób zwierząt.

— A jak wierni w Dekanacie i parafji ks. Dziekana?

— O bardzo są wierni, przywiązani do Kościoła, lecz myślą także wiele i czynią ze względów ogólnopństwowych.

106 ludzi zaniósło swoje życie i położyło je za wiarę i ojczyznę w walkach 1914—1920 r.

— Nie skąpi także parafja grosza na cele kościelne. Ostatnio np. robimy nowe organy i ofiary wpływają na ten cel zupełnie zadawalająco, chociaż przecie sytuacja gospodarcza jest bardzo ciężka.

Potem ksiądz dziekan zaczyna sobie przypominać przeżycia ze swej długoletniej służby kapłana i obywatela-patrjoty. Jako musiał drogą podstępem uchować dzwony od konfiskaty niemieckiej, jak walczył w parafji o polskość każdej duszy swych parafjan.

Oparei o drzewo kościelnego ementarza spoglądamy z wyniosłego wzgórza na pola u stóp naszych, pola, które niegdyś były dnem olbrzymiego, dookólnego jeziora. Wzrok leci dalej aż potyka się o silną plamę lasów na widnokręgu. Dokąd sięgała władza pierwszych władców grodu St. Gostynia możnego rodu Awdańców.

W MIASTECZKU TRZECH KOŚCIOŁÓW.

Wracamy szybko ze Starego Gostynia. Mamy przecież jeszcze tak dużo do zobaczenia. Przelecieliśmy przez naszą „bazę operacyjną” — Gostyn i pędzimy teraz dobrą szosą do Krobi. Mijamy coraz bardziej gęstniejące słupy przydrożne, zostawiamy za sobą ciemne parcele niedalekich lasów i dziwnie szybko dojeżdżamy do pierwszych domków Krobi.

Na jakimś placyku z boku rozbili swój obóz cyganie, siedzący teraz na stopniach jaskrawo pomalowanych domków — wozów.

Potem także z boku zostawiamy dość wysokie wzniesienie, na którym między drzewami i laskiem prostych krzyży ementarnianych widnieje szarość starego bardzo kościółka z kamieni ciosanych zmontowanego. To kościółek św. Idziego. Zataczamy łuk na rynku i stajemy przed ratuszem.

Przed rozmową z burmistrzem odbywany szybką pieszą wędrówkę po miasteczku. Boczniemi wąskimi uliczkami dochodzimy nad brzeg fosy, opasującej czworokąt wzgórza. Za pasem pomarszczonej wody w fosie widać pochyłone nad nią wierzby zapłakane a w jednym z kątów wzgórza — kawałek poszarpanego muru dawnego zamku. Jeszcze dalej świeci białemi ścianami dysonantyczne tło szkoły powszechnej.

Następnie obok małego, miejskiego stawku, ujętego w barwne, kwietne ramy kłombów idziemy do starego kościółka. Chodzą wersje, że jest to jeden z najstarszych kościołów na ziemiach Polski, bo ufundowany już w roku 1140 przez Kazimierza Odnowiciela. Ścieżką wiodącą po zboczu wzgórza, między prostemi krzyżami grobów ementarnych wstępujemy na szczyt. Przed nami prosty, skromny, lecz dostojny w swem ewangelicznym ubóstwie i prostocie kościółek kamienny św. Idziego.

Przed drzwiami na ławce stara, kamienna kropielnica, gdzieś z XV wieku pochodząca. Jedno jest tylko duże okno w całej płaszczyźnie czterech ścian kościółka. Mrok musi wieczny panować we wnętrzu tego najprostszego Domu Bożego.

Oglądamy jeszcze ściany. A oto tablica, na której wyryte nieregularne cyfry: 1140. To właśnie rok fundacji kościoła. Potem 1605, to data odnowienia. Dalej już inne młodsze daty.

Zgrzytnął wielki klucz w zamku bocznych drzwi. Weszliśmy do wnętrza kościółka. Mrok tu prawie gęsty, choć na świecie jasny dzień. Proste, niezdobne w złote ornamenty, ni obrazy efektowne — ściany. W ołtarzu głównym postać Madonny Piety z 1669 roku. Pochyliła się Matka Boleściwa nad zwłokami Boskiego Syna zapłakana i zbolała. I płacze Matka w mrocznym, starym, kamiennym kościółku nad utratą Syna..

W STAROŻYTNEJ KROBI PŁYNIE TERAZ CICHE ŻYCIE.

Pogadanka z p. burmistrzem J. Graczykiem o sprawach Krobi.

Burmistrza odszukujemy w ratuszu i zaraz in medias res.

— Kilka słów, Panie Burmistrzu, o starożytności Krobi?

— Szkoda, że nie mamy prawie żadnych aktów, odnoszących się do zamierzonych czasów Krobi. A szkoda, bo byłyby bardzo ciekawe ze względu na bardzo daleką przeszłość, o którejby mogły mówić. Paliło się często miasto, paliły się i akty miejskie.

Jedno jest pewne, że Krobia jest jednym z najstarszych miast Wielkopolski, założone już gdzieś w wieku XI. Na dowód może tu służyć stary kościółek św. Idziego, wybudowany jeszcze przez Władysława Hermana. Kościół dawny parafjalny, jak i dawny ratusz, ponieważ były bundynkami z drzewa uległy więc pożarowi. Historję Starej Krobi opisuje już fragmentami Długosz w swojej kronice. Właścicielami jej byli biskupi poznańscy, bo w roku 1232 oni to nadają miastu herb św. Pawła. W pewnym czasokresie swego istnienia miała Krobia t. zw. prawo mennicze, czyli prawo wybijania monety.

— Jak wygląda współczesny stan gospodarczy Krobi?

— Obecnie liczy nasze miasto 2.418 ludzi i w 98% jest polskie. Majątek miasta stanowi: 480 morgów gruntu, ratusz, 3 szkoły, przytulisko dla starców, gazownia i strażnica straży pożarnej. Zadłużenie wynosi 30 tysięcy złotych — jest pożyczką długoterminową. Gdy przyszedłem w roku 1920 na stanowisko burmistrza w Krobi już zastałem gazownię. Tej pozycji więc nie dorobiliśmy się sami.

— A teraz o bolączkach miejscowych?

— Więc trudności komunikacyjne, wynikające z dużej odległości między dworcem kolejowym a miastem. Przyczyna tego oddalenia leży w fakcie, że radni współcześni budowania dworca (działo się to za czasów zaborcy — ca 45 lat temu) nie chcieli bezpłatnie dawać zaborcom ziemi na rozbudowę sieci kolejowej. Skutkiem tego jesteśmy obecnie odlegli o 3 klm od dworca kolejowego. Mamy także do budowy kilka dróg, wiodących do miejscowości (jak np. Grabianowa, Chwałkowa), odciętych obecnie zupełnie od świata. Na zrealizowanie tych zamiarów brak nam było dotychczas potrzebnych funduszków.

Jeszcze odnośnie do stanu przemysłowego naszego miasta muszę wymienić egzystujące na naszym terenie: 2 tartaki, 1 młyn, 3 olejarnie.

Jeśli chodzi o pewien regionalny nasz szczegół kulturalny, to mieści się on w fakcie, że Krobia była miastem biskupim. Dotąd jeszcze rzeczywistym proboszczem naszej parafji jest ks. Kardynał Hlond. W szeregu jeszcze okolicznych wsi zachował się ten dowód przynależności do biskupa w strojach, t. zw. biskupiańskich mieszkańców szeregu wsi. Jeszcze dotąd spotkamy w Posadowie, czy Chwałkowie, Potrzeźcach czy Pudliszkach mężczyzn, ubranych w czerwone kurtki i białe spodnie.

POCO KUPOWAĆ KONSERWY I OWOCE NIEPOLSKIE?

Z p. radcą Fenrychem rozmawiamy o jego ważnej placówce polskiego przemysłu rolnego.

Z Krobi mamy prawie „żabi skok” do najbliższego etapu naszej wędrówki — Pudliszek. Ledwo szofer zdążył rozwinąć pełną szybkość, aż oto i przelatujemy obok wielkich płątów pól pokrytych to równiówkami rzędami drzew owocowych, to znów szeregami żerdzi, na których zwisają wielkie, lśniące czerwone pomidory.

Samochód zajechał łukiem podjazdu do stóp schodów dworu. Za chwilę siedzimy naprzeciwko tego, który naprzekór głosem, mówiącym o ryzyku i niebezpieczeństwie postanowił stworzyć na ziemiach wielkopolskich wielkie zakłady przemysłowe przetworów owocowych i warzywnych, zakłady, któreby dorównywały wielkością i jakością produkcji zakładom przemysłowym zagranicznym, i placówkę taką stworzył.

Pudliszki doczekały się już charakterystycznej oceny zagranicy, oceny tem ciekawszej, że wyszła ona z Niemiec. W prasie mianowicie fachowej niemieckiej użyto Pudliszek

jako przykładu skutecznego sposobu walezenia z kryzysem w konserwach, jaki obecnie Niemcy przeżywają. Autor zwraca uwagę na ważny bardzo, jego zdaniem, fakt, że integracja przemysłowa, istniejąca w Pułdyszkach, produkowanie konserw i własnych świeżych produktów rolnych usuwa ważny ujemny moment kalkulacji produktów — mianowicie pośrednictwo oraz konieczność rezygnowania z pewnej części surowców, jako odpadków.

— Może Pan Radea zechce nam powiedzieć kilka ogólnych słów o produkcji przetworów owocowych i warzywnych?

— Jest to, proszę pana, dział produkcji, który ma kolosalne, bo praktyczne prawie nieograniczone możliwości rozwoju u nas. Wskazuje na to wymownie porównanie wysokości konsumpcji rocznej u nas i w krajach zachodniej Europy.

Niemcy uważając ten dział przemysłu za bardzo ważny, poświęcają mu dużo miejsca w badaniach statystycznych i regulują wysokość produkcji, zależnie od wysokości konsumpcji. I tak ostatnio ze względu na solną obniżkę konsumpcji, spowodowaną głębokim kryzysem gospodarczym, obniżyli wydatnie produkcję przetworów owocowych i warzywnych.

W Anglii, gdzie konserwy owocowe są produktem niesłychanie rozpowszechnionym widzi się na każdym widocznym miejscu reklamy, zwracające uwagę publiczności na konieczność spożywania konserw owocowych krajowych. U nas jest przeciwnie: Publiczność najczęściej żąda i tutaj rzeczy pochodzących z zagranicy, mimo, że jeśli chodzi np. o Pułdyszki, mamy oficjalne, ministerjalne stwierdzenie jakości produktów pułdyszkowskich, nieustępujących zagranicznemu. Stwierdzenie to wyraźnie mówi o „lepszej jakości niż zagraniczna” jarzyn i owoców pułdyszkowskich.

— Jak możemy streścić zalety konserw?

— Dałoby to się zrobić przez określenie trzech zasadniczych zalet: 1) jedzący konserwy owocowe czy warzywne bierze do ust owoc czy warzywo niezwłocznie po zebraniu go (mimo nieraz długiego czasu między zebraniem a rzeczywistą konsumpcją, 2) tlen, który zawsze odbiera owocom drogocenne witaminy jest usunięty od możliwości oddziaływania przez zamknięcie owoców w hermetycznej puszcze, 3) po zapakowaniu do puszek zawartości tychże może przetrwać długie czasokresy bez żadnych zmian.

Przytem należałoby w tem miejscu zwrócić uwagę na błędne przekonanie pań domu, które twierdzą, że najlepsze są konserwy, preparowane w domu. Konserwy produkowane w takich zakładach, jak pułdyszkowskie, biją produkty domowe pod względem higieny oraz tańszej ceny, więc dwóch zasadniczych punktach.

— Jak wygląda konsumpcja konserw pułdyszkowskich?

— Niemal cała konsumpcja naszych produktów odbywa się na terenie b. dzielnicy zachodniej t. zn. w Poznańskim, na Pomorzu i na Śląsku, gdzie mamy katowicki skład konsumpcyjny. Istnieje w każdym razie kolosalna różnica między naszą dzielnicą a np. b. Królestwem Kongresowem, gdzie konsumpcja konserw owocowych jest b. nikła.

— Co w zakładach pułdyszkowskich produkuje się poza konserwami owocowymi?

— W naszej suszarni produkujemy suszone warzywa. Dla wojska przedewszystkiem dostarczamy suszone kartofle, które przedtem sprowadzane były z Francji.

Zaopatrujemy w nie także Żeglugę Polską. A gdy „Dar Pomorza” wyjeżdża na jakąś długą wędrowkę zabiera także ze sobą produkty z Pułdyszek.

Ostatnio zaczęły także Pułdyszki eksportować do Ameryki kiszzone ogórki, na które jest tam olbrzymi popyt oraz soki malinowe.

Pozatem pracujemy tu bardzo intensywnie nad wyszukiwaniem nowych odmian drzew owocowych, których mamy już 197. Doświadczenia w tym kierunku prowadzone są bezustannie w naszym ogrodzie pomologicznym.

Wybieramy się teraz na długą wędrowkę po wielkich zakładach fabrycznych, urządzonych i zaopatrzonych w najnowsze zdobycze techniczne tego działu produkcji. Widzimy

pawilony starsze, nowsze i najnowsze. Bo radca Fenrych nie ustaje w pracy nad rozwojem placówki w Pudliszkach. Wiadomo, co o nim mówią ludzie, którzy go bliżej znają:

Pan Radca długo się będzie namyślał, gdy mu przyjdzie kupić nową parę butów; ale o wiele mniej, gdy będzie chodziło o nabycie nowej maszyny dla Pudliszek...

W PONIECU, MIASTECZKU ZAMYŚLONEM.

Rozmowa z p. burmistrzem Langem.

Wjeżdżamy do Ponieca. Zналиśmy to miasteczko jako centrum okolicznego handlu i ruchu. Pełno wtedy było życia i gwaru, w cichem teraz i jakby zamyślonem miasteczku. To zamyślenie, wspomnienie „lepszych“ przedkryzysowych czasów, spotykamy w zupełnie wyraźnej formie u wszystkich mieszkańców, z którymi nam przyjdzie rozmawiać. Poniec żyje jakby w uśpieniu. Obudzi się, gdy przyjdą czasy normalnego życia gospodarczego. A wówczas stanie się znowu radosnem, uśmiechniętem, pełnem ruchu miasteczkiem, takim, jakim go znaleźmy przed laty i jakim je widzieć zawszebyśmy chcieli.

Odszukujemy w ratuszu energicznego burmistrza Ponieca, p. Langego.

Po powitaniu p. burmistrz zaczyna nam streszczać historję swojego miasta.

— Dokładna data założenia Ponieca jest bliżej nieznaną. W każdym razie istniało już ono, jak wskazują wiarygodne źródła w r. 1271. A w r. 1309 był już Poniec miastem i własnością dziedzica Derska. W r. 1310 książę Henryk Śląski nadaje miastu prawo niemieckie, który to przywilej zatwierdza Jagiełło aktem z r. 1424.

Poniec szedł z biegiem czasu do coraz większego rozwoju, dzięki z jednej strony licznym przywilejom królewskim, oraz dzięki temu, że był ważnym etapem cełnym na drodze z Wielkopolski do Śląska. W pełnym rozwoju przeszkadzały mu katastrofy żywiołowe, jak morowe powietrze w r. 1606, wojna 30-letnia, podczas której przybyło do Ponieca dużo rodzin ze Śląska.

W r. 1709 rozbił pod miastem obóz wracający do Polski, złożony poprzednio z tronu August II. Sam król gościł wówczas w pobliskim majątku Wyclany u hr. Mycielskich.

— Jak wygląda współczesny obraz Ponieca?

— Poniec liczy obecnie 2.593 mieszkańców. W międzyczasie zmienił się zasadniczo charakter Ponieca. Niegdyś, za czasów rozwiniętego przemysłu rękodzielniczego, Poniec miał właśnie charakter przemysłowy, obecnie zaś zmienił się on na handlowy. W r. np. 1800 było tu u nas 31 wiatraków, 47 piwowarów, 23 szewców, 18 płócienników i 16 rzeźników. Poniec współczesny z dworcem kolejowym na miejscu połączony jest drogą żelazną z Leszmem i Krotoszynem. Arterja szos i dróg w różnych kierunkach łączy go z całym światem.

Jeżeli chodzi o kościoły, to poza katolickim kościołem parafjalnym i kaplicą SS. Miłosierdzia przy zakładzie dla chorych św. Stanisława, istnieje jeszcze kościół protestancki, zbudowany w r. 1863.

— Jaki był udział Ponieca w walkach o niepodległość?

— Bardzo wydatny, proszę pana. W grudniu 1918 r. utworzyły się w Poniecu oddziały powstańcze w sile 4 kompanij. Do tajnej Rady Ludowej, istniejącej już z przed r. 1918 należał miejscowy ks. prob. dr. Ł. Skrzydlewski oraz Ludwik Łazarski z Ponieca. Z chwilą wybuchu powstania wszedł w nią i Feliks Bączkowski z Ponieca.

Pomoc miejscowego społeczeństwa była bardzo ofiarna i wydatna, zarówno pod względem aprowizacyjnym jak i zasilania szeregów powstańczych.

Majątek miasta wynosi przeszło 500.000 zł i składa się przeważnie z łąk miejskich (84 ha). Długi dochodzą obecnie do 56.000. Są to 3—8% pożyczki długoterminowe, inwestycyjne.

NIE DAM SIĘ WCIĄGNĄĆ W WIR WALK POLITYCZNYCH.

stwierdza uroczyście proboszcz parafji ponieckiej, ks. prob. Sztukowski.

Po rozmowie z burmistrzem spieszymy do miejscowego proboszcza. Przyjmuje nas ks. proboszcz serdecznie w swoim pięknym saleniku.

— Niewiadomo dokładnie kiedy zbudowano kościół nasz. Istniał już w każdym razie na początku w. XIV-go.

Maciej Chelmski, herbu Ostoja, oddał go w r. 1571 sekie Braci Czeskiej. Sekta ta zwana Kielichowcami, miała właśnie Leszno i Poniec za swe główne siedziby. Na pamiątkę przynależenia przez pewien czas do „Jednoty Czeskiej“, dźwiga dotąd jeszcze kościół na szczycie swej wieży symboliczny kielich. Bracia czesey dzierżyli w swych rękach kościół do r. 1598, kiedy to Andrzej z Górki, Rosikowski i Anna z Wierzbna Rydzyńska odebrali go z rąk heretyków.

Wszystkie niemal obrazy, które panowie ujrzycie w kościele, pochodzą głównie z 15 i 16 w., są więc cennymi zabytkami przeszłości. Notabene dużo tych bezcennych rzeczy zostało roztrwonionych. Obecnie pracują nad uratowaniem pozostałych starych manuskryptów, druków i pieczęci, które się jeszcze ostały przed zniszczeniem. Mamy np. 5 ksiąg, które pochodzą z księgarni Gutenberga. Przecież to są teraz białe kruki.

Kościół został wewnątrz odrestaurowany przeze mnie w r. 1929. Idziemy następnie z ks. do biblioteki, gdzie w kasie ogniotrwałej ukrywa ks. proboszcz skrzętnie ocalone rzeczy.

Oglądamy z pietyzmem stare pergaminy, na których historia pisała swoje wielkie słowa.

Ks. proboszcz prowadzi nas teraz do kościoła.

— Popatrzcie panowie na tę uderzająco piękną wieżę. Przechodziła różne koleje, była niegdyś złocona, ale i dziś jest piękna.

Wchodzimy do kościoła; rzucają się w oczy w swej niezwyklej urodzie ołtarz i jego vis-à-vis — chór. Zastłonę wielkiego ołtarza tworzy piękny obraz włoskiego mistrza. Znamy oceniają jego wartość na 60.000 zł. Oglądamy szereg cennych obrazów, których czas pochodzenia mieści się w ramach 15—16 wieku.

Potem kościół z zewnątrz. I tu manifestacyjne zabytki z zamierzonej przeszłości. Więc dwie głębokie płaskorzeźby, przedstawiające rycerza i jego małżonkę. Czas pochodzenia bliżej nieustalony, ale hipotezy każą przypuszczać, że nisze wypełniły się temi rzeźbami krótko po Grunwaldzie. Na toby wskazywała zbroja rycerza i układ sukni jego małżonki.

Ks. proboszcz odprowadza nas do bramy kościelnej.

— Miasto nasze — mówi ks. Sztukowski — rozdarte jest politycznie i praca nad skonsolidowaniem społeczeństwa napotyka tu na poważne trudności. Ja sam stoję na gruncie apolitycznym, gdyż uważam to za jedynie słuszne stanowisko duchownego.

Nie dam się, proszę panów, wciągnąć w wir walk politycznych — zapewnia nas gorąco ks. proboszcz, ściskając dłoń na pożegnanie.

NA DRUGIM KOŃCU POWIATU.

O losach miasta Piaski rozmawiamy z jego burmistrzem, p. J. Trafankowskim.

Czeka nas teraz stosunkowo długa wędrówka. Odbywamy w tempie przyspieszonym podróż powrotną do Gostynia i nie zatrzymując się dłużej, pędzimy na wschód.

Ten „drang nach Osten“ kończy się na rynku w mieście o nazwie, któreby upoważniało do przypuszczeń, że jest oazą, wśród piasków Sahary. Szukamy dookoła piasku. Nie widać.

Ale oto i p. Trafankowski, który piastuje godność burmistrza swego miasta od 1 grudnia 1920 r. Pytamy o nazwę miasta.

— Był czas, proszę pana, że nasze miasto nazywało się Piaseczną Górą. Nazwę tę nadał mu Karol Leszczyca z Pierzchna Koszutski, kasztelan śremski i „miasta Piaseczna Góra pan dziedziczny“.

— Jaki jest obecny stan gospodarczy miasta?

— Liczy ono obecnie 1900 mieszkańców, z tego zupełnie nikły procent zalicza się do mniejszości narodowej niemieckiej. Majątek miasta wynosi 166.025 zł; zadłużenie stosunkowo nikłe, bo 8.808 zł. Są to długoterminowe pożyczki oprocentowane na 2½% do 6% z amortyzacją. Powstał ten dług przez pożyczki, zaciągane na instalacje gazowe.

Miasto posiada także 3 budynki miejskie, których część służy na pomieszczenie administracji i szkoły, reszta zaś ma charakter czynszowy. Mamy także nowowytbudowaną ochronkę. Uczęszcza do niej około stu dzieci, a znajduje się ona pod kierownictwem siostry przełożonej i dwóch sióstr-pomocnic, które opłaca ks. pr. Sieczyński. Do utrzymania ochronki przyczyniają się również okoliczne majątki, które dają ofiary w naturaljach. Do zbudowania ochronki przyczynił się wydatnie wydział powiatowy gostyński z p. starostą Wolfarthem na czele, okoliczne ziemiaństwo, obywatelstwo miejscowe i filantropi z poza powiatu gostyńskiego.

OPUSZCZAMY GOŚCINNY POWIAT

Za chwilę odjedziemy do Poznania. Siedząc na peronowej ławce patrzemy w zamgloną dal, z której ukaże się pociąg. Przechodzą nam na pamięć twarze ludzi dobrych, z którymi nas nasza tułaczka, po powiecie zetknęła i zbliżyła.

Czujemy jeszcze uściski mocne rąk i blask oczu radosnych i przejętych misją, którą tym ludziom wyznaczył los. Trwać będą dalej na zagubionych, odciętych od świata placówkach i pilnować interesu obywateli i Państwa.

WŚRÓD PAMIĄTEK STAREJ KULTURY

I TĘTNIĄCEGO ŻYCIA DNIA DZISIEJSZEGO.



ie wszystkie drogi prowadzą z Poznania do Śremu. Ale jest ich trzy: szosa, po której jedzie dziesiątki autobusów do Śremu i spowrotem, kolej żelazna i spokojne nurty Warty. Pierwszy środek jest w najczęstszym użyciu, ostatni używany jest najrzadziej. Idziemy za „vox populi”. Nietyle zresztą idziemy, ile jedziemy. Po dobrej szosie w wygodnym autobusie. Dzień piękny, ale mroźny bardzo.

Przejeżdżamy po raz już któryś z rzędu przez Kórnik. Tym razem jednak już mu nie darujemy. W drodze powrotnej wysiadzimy, by przez szereg godzin spędzonych w zamkowych salach poznać wielki czyn wielkiego obywatela, Władysława hr. Zamoyskiego — wartość i ustrój Fundacji Kórnickiej.

Bnijn, kilka małych wiosek i oto stajemy już na rynku ruchliwego miasteczka. Jesteśmy w Śremie.

NIEZWYKŁE BOGACTWO PAMIĄTEK PRZESZŁOŚCI

Naczelnny administrator wielkiego powiatu śremskiego p. starosta Krykiewicz zapoznaje nas ze swym rejonem pracy.

Długa jest jeszcze droga do Pana Starosty. Przejść trzeba całe miasto, potem most na Warcie, długie ulice starego Miasta (w którym notabene są najnowsze i najładniejsze gmachy). Oto i starostwo.

— Na wstępie prosilibyśmy o ogólne uwagi o powiecie śremskim.

— Powiat śremski posiada obszar 928 km. kwadr. o charakterze rolniczo-leśnym. Kultura rolna stoi na średnim poziomie, gdyż przeważnie licha ziemia wymaga znacznych nakładów finansowych w formie nawozów sztucznych, którym przy gorszym urodzaju lub niskich cenach płodów rolnych — jak obecnie — rolnicy nie są w stanie poddać.

Znaczne kompleksy lasów skumulowane są przeważnie na gruntach, należących do Fundacji Kórnickiej, Skarbu państwa oraz do kilku tylko właścicieli prywatnych. Stan gospodarczy tych lasów można przyjąć za bardzo dobry.

Przemysł jest słabo rozwinięty.

Naogół powiat śremski można zaliczyć do powiatów ubogich, gdyż znaczna ilość lasów i wód jak liczne jeziora, błota i mokradła powodują małą wydajność podatkową ludności, przeważa bowiem drobna własność ziemska, a gleba mało urodzajna nie przynosi większych dochodów.

Jeśli powiatowy związek samorządowy nie posiada żadnych długów mimo kilku inwestycji, przeprowadzonych w latach o dobrej konjunkturze gospodarczej, to zawdzięczać to należy nadzwyczaj oszczędnej gospodarce, prowadzonej przez szereg lat przez Wydział powiatowy pod kierownictwem mojego poprzednika p. starosty Wilczka.

Podkreślić tu muszę, że park tutejszego powiat. zarządu drogowego należy do najlepiej uposażonych, gdyż posiada własny parowy walec drogowy i traktor parowy z trzema przyczepnymi wozami ciężarowymi. Uposażenie to ułatwia prowadzenie racjonalnej gospodarki drogowej, gdyż nadmienić wypada, że administracja powiatu napotyka na znaczne utrudnienie przez niekorzystne warunki topograficzne powiatu spowodu przepławienia go prawie w całej długości przez rzekę Wartę, która przebiega powiat od południowego wschodu ku północy i na całej tej przestrzeni znajduje się tylko jeden most w samym Śremie.

Fakt ten powoduje konieczność objeżdżania stosunkowo bliskich osiedli na znacznej przestrzeni.

— Jechaliśmy już po dobrych szosach powiatu, Panie Starosto.

— Powiat rzeczywiście posiada naogół dobre szosy i w ostatnich dwóch latach zremontował powłoki na długości około 18 klm., co było połączone ze znacznym wysiłkiem finansowym. Ponadto w tym samym okresie ostatnich dwóch lat udało mi się pełnąć wydatnie naprzód, budowę nowej szosy Kórnik — Mosina, gdyż przy pomocy subwencji Funduszu pracy wybudował powiat w roku 1923 i 33 łącznie 3410 mtr tej szosy i w ten sposób doprowadził budowę jej aż do Rogalina, co ze względu na to, że znajdująca się tam galerja obrazów i zbiory sztuki ściągają corocznie liczne wycieczki krajowe i zagraniczne, ma dla powiatu poważne znaczenie, gdyż dotychczas po znajdujących się tam piachach trudno było samochodami przejechać.

W roku 1934 przystąpi powiat do budowy dalszego odcinka tej drogi na długości około 1200 mtr. do rzeki Warty a Starostwo Krajowe poczyniło już starania, aby rozpocząć budowę mostu, której koszt wyniesie około 430,000 zł. Budowa ta przyczyni się znacznie do złagodzenia klęski bezrobocia w powiecie, gdyż koszta robocizny na miejscu pracy oblicza się na około 100.000 zł.

— Słyszeliśmy o bolączce powiatu — konieczności dokończenia budowy szpitala powiatowego w Śremie?

— Dobudowa ta, rozpoczęta w roku 1929 przy dobrej konjunkturze gospodarczej, stanęła w połowie robót wchłonawszy w siebie wkład finansowy około 110,000 zł i ze względu na potęgający się następnie kryzys została zaniechana. Objąwszy na wiosnę w roku 1932 kierownictwo powiatem zaapelowałem do sejmiku powiatowego • upoważnienie mnie do podjęcia dalszych prac i preeliminowanie na nie odpowiednich kredytów, gdyż względy oszczędnościowe powinny w tym wypadku ustąpić na drugi plan. Szpital bowiem mieszcząc się w starym i szarym budynku, którego odpowiedni remont nie mógł być przeprowadzony, dla braku miejsca nie miał żadnych szans rozwoju i uzyskania odpowiedniego poziomu a przez to nie zaspakał potrzeb miejscowych.

Pozatem w interesie podniesienia stanu zdrowotnego w powiecie zachodzi potrzeba zorganizowania w Śremie przychodni przeciwgruźliczej, którego to projektu nie można było dotąd zrealizować z braku odpowiedniego na ten cel lokalu, wobec czego nie pozostało nic innego, jak tylko przeznaczyć w nowym skrzydle szpitala potrzebne ubikacje.

Ważne te względy znalazły pełne zrozumienie u członków Sejmiku i mam nadzieję, że w roku 1934 dobudowa szpitala zostanie już w całości wykończona, a fakt ten będzie znacznym sukcesem w ogólnej gospodarce powiatowej mimo niekorzystnej konjunktury gospodarczej.

— W powiecie swoim posiada Pan Starosta niezwykle bogactwo zabytków.

Powiat śremski znajduje się w tem szczęśliwym położeniu, że mieści na swoim terenie dwa poważne ośrodki kultury i sztuki, któremi są pałac w Rogalinie z galerją obrazów, własność P. Wojewody hr. Raczyńskiego, i zamek kórnicki z bogatymi zbiorami historycznymi i biblioteką, własność narodowa pod nazwą Fundacji Kórnickiej.

Dla braku czasu trudno mi udzielić panom bliższych o nich informacji, postaram się jednak ułatwić panom dojazd do nich i szczegółowe zwiedzenie ich, a przekonacie się panowie osobiście o ich wysokiej wartości.

— Słyszeliśmy o święcie sadzenia drzewek.

— Z wiosną obecnego roku przystąpiono do obsadzania dróg powiatowych przy-
czem zorganizowano sadzenia drzewek z udziałem dzieci szkolnych, nauczycielstwa, człon-
ków Wydziału Powiatowego i duchowieństwa.

Święto sadzenia nastąpiło w następujących miejscowościach: w Mieczewie na dro-
dze pow. Kórnik-Mosina z udziałem 80 dzieci szkolnych, nauczycielstwa i księdza pro-
boszcza z Bnina Janasika oraz p. referendarza Krausego i budowniczego p. Szuberta.
Drugi dzień święta sadzenia drzew pod Bninem, również z udziałem dzieci szkoły m. Bni-
na, nauczycielstwa i ks. prob. Janasika, w Kunowie z udziałem dzieci szkoły z Kunowa,
nauczycielstwa i ks. prob. z Kunowa, z zastępcą starosty, p. referendarzem Krausem.
Ogółem zasadzono w roku bieżącym 2600 drzewek owocowych t. j. czereśni i jabłoni.

Kończymy rozmowę z zapobiegliwym administratorem powiatu. Pan Starosta okaże
jeszcze nam niezwykłą uprzejmość. Dzięki jego pomocy dotrzemy do najdalszych zakąt-
ków i zobaczymy ad oculos wszystko co ważne i piękne w jego powiecie.

MIASTO „BURSZTYNOWEGO SZLAKU”

Rozmowa z burmistrzem Śremu p. Czesławem Dębickim.

— Wiemy, Panie Burmistrzu, że historia prastarego lechickiego osiedla, jakim
był w zamierzonych czasach Śrem, zaczyna się na setki lat przed Chrystusem.

— Tak, już wtedy był Śrem ważnym ośrodkiem komunikacyjnym. Leżał zresztą
wtedy zupełnie gdzieindziej. Zremi, Zrem, Śrem, Cirem, Strzem, Strzym — oto różne
nazwy Śremu. Niektóre mają swoje etymologiczne wytłumaczenie. I tak „Strzem” ozna-
czało w staropolszczyźnie szmat ziemi, wystającej ponad wodę. Można by z tego wnosić,
że Śrem leżał pierwotnie na wyspie.

Chociaż przez Śrem szły już w III i II w. przed Chrystusem liczne karawany Etru-
sków, dźwigających bursztyn z nad Bałtyku, to jednak pierwszy dokument, mówiący
o Śremie, pochodzi dopiero z roku 1136. Mianowicie bulla papieża Inocentego II, po-
twierdzająca posiadłości arcybiskupów gnieźnieńskich mówi o „villa in Zrem”.

W tym czasie stał już w Śremie zamek warowny, wzniesiony na prawym brzegu
Warty, prawdopodobnie przez Bolesława Chrobrego, którego do zbudowania ważnego ze
względów strategicznych ośrodka obronnego spowodowały pewnie najazdy Henryka II.

Wieki podnosiły ważność obronnej roli śremskiej kasztelanji. W roku 1242 był Śrem
czołem opola.

W roku 1253 otrzymuje Śrem przywilej lokacyjny na prawie magdeburskim (obok
Krakowa i Poznania). W roku 1399 zaczyna żyć w Śremie Urząd Magistracki, a burmi-
strzowie Śremu do XVIII wieku posiadają władzę policyjną i sądową.

Na grunwaldzką rozprawę dało miasto 20 zbrojnych. Gdy zwycięski Władysław Ja-
giełło wracał z pod Grunwaldu, zawitał i do Śremu.

Od roku 1657 zaczynają się klęski. W tym właśnie roku złupili miasto Szwedzi
i Brandemburczycy. W 1708 r. znowu przyszła zaraza morowa. W niecałych lat 30 wiel-
ka 3-miesięczna powódź. Klęska za klęską. Znowu potem pożary.

Ale miasto nie upada. Na miejsce walących się stawia nowe mosty, buduje domy,
idzie w 1848 w bój o Niepodległość.

I przychodzi rok 1918. Śrem staje się wolny i niepodległy.

— Jak się obecnie przedstawia stan gospodarczy miasta?

— Śrem liczy obecnie około 9.000 mieszkańców. Notuje się u nas poważny przy-
rost niecelowy, bo tworzą go rzesze pozwalnianych pracowników rolnych, którzy w ten
sposób przyczyniają się do wybitnego powiększenia bezrobocia.

— Czy Śrem posiada jakieś bolączki?

— Bardzo poważnym problemem miejscowym jest brak obwałowania Warty. Two-
rzą się w ten sposób tereny zalewowe. Przeszkadza to także rozwojowi miasta. Przed mo-

stem mamy miasto, składające się ze ściśniętych domów, a za mostem są tereny niezalutowe ale dalekie od centrum miasta, tam więc rozbudowa miasta nie idzie. Niema żadnych wątpliwości, że po uregulowaniu Warty miasto by się rozrosło i rozbudowało.

Mamy zamiar zbudować kanał ulgowy, któryby zabierał część wody zalewowej i odprowadził ją. Plany są już w przygotowaniu, spółka wodna zawiązana, prace więc rozpoczniemy może już w przyszłym roku.

— Jak się przedstawia dorobek miasta?

— Dorobek czasów niepodległościowych jest u nas poważny, postawiło się dwa duże domy; jest to kolosalny wydatek, który nam się wcale nie procentuje, bo mieszkają tam obecnie bezrobotni. Kupiło się drugi gazozbiornik, przejęło fabrykę Surofosfat. Szereg inwestycji poważnych i celowych zrobiono w gazowni miejskiej i rzeźni. Częściowo poprawiono bruki i chodniki miejskie. Miasto posiada wodociągi i kanalizację.

— Kilka słów o życiu organizacyjnym i towarzyskim. Zdawałoby się, że kwitnie, bo jest tu u nas 65 towarzystw i organizacyj, ale jest to wrażenie pozorne. Tylko bowiem część ich nieznaczna żyje życiem intensywnym.

Jeśli chodzi o życie kulturalne, to odgrywa u nas dużą rolę tow. miłośników muzyki. Daje ono szereg koncertów, ćwiczy stale. Pozatem mamy 3 orkiestry zupełnie dobre, z których jedna gimnazjalna była swego czasu w Gödöllö i zdobyła sobie powszechną sympatię. Własną orkiestrę ma także Stow. Młodz. Polskiej oraz jest jeszcze duży prywatny zespół p. Borowiaka.

Potem rozmawiamy jeszcze z burmistrzem o starych wykopaliskach, odnajdywanych na wzgórzu na końcu miasta, gdzie stał dawniej kościół Dominikanów. Wykopane tam broje i oręż mogą być dowodem, że tam właśnie stał niegdyś obronny zamek.

Udajemy się znowu na Stare Miasto. Przedtem jednak wpadamy na chwilę na ulicę Poznańską, by zobaczyć muzeum prywatne p. Feliksa Sałacińskiego. Oglądamy w kilku pokojach zgromadzone niezwykle, jak na możliwości jednego człowieka, bogactwo eksponatów różnego rodzaju. Więc stare księgi, wartościowe obrazy, bogaty zbiór numizmatyczny, meble i wreszcie bardzo liczne zbiory różnych broni.

A teraz już na Stare Miasto.

Sprawa oszczędności.

Wpadamy na chwilę do Powiatowej Komunalnej Kasy Oszczędności w Śremie. Krótka rozmowa.

— Powiatowa Komunalna Kasa Oszczędności w Śremie Woj. Poznańskie powstała w roku 1857 na mocy dekretu władz pruskich z dnia 10 stycznia 1856 roku. Do końca 1928 r. — Powiatowa Komunalna Kasa Oszczędności w Śremie administrowana była wspólnie z Kasą Wydziału Powiatowego. Wobec jednak zmiennych warunków gospodarczych stan taki nie przyczyniał się do rozwoju instytucji.

Rozporządzenie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 13 kwietnia 1927 r. o Komunalnych Kasach Oszczędności stało się podstawą, na której został opracowany i zatwierdzony przez Radę Powiatową dnia 7-go grudnia 1928 r. nowy statut Kasy, usamodzielniający Kasę pod względem administracyjnym.

— A jak wygląda stan finansowy Kasy?

— Po definitywnym zwaloryzowaniu wkładów oszczędnościowych markowych w roku 1927 — stan ich wynosił — 106.340,82 zł, na 31 maja 1934 r. — 539.530,76 zł. Suma udzielonych pożyczek na 31. V. 34. — 576.370,55 zł, w tem przypada na rolnictwo 78% — dalsze 22% na kupiectwo i inne zawody.

Fundusze własne Kasy wynoszą — 187.085,20 zł. Obroty Kasy wynosiły w roku 1933 — 15.528.626,— zł.

SŁODKA FABRYKA.

W chwilę potem rozmawiamy już z p. Ranusem, dyrektorem firmy „Malto”.

Firma „Malto”, Fabryka Przetworów Słodowych w Śremie została założona w roku 1922 i tegoż roku sędownie zarejestrowana. Przedsiębiorstwo to, początkowo o skromnych rozmiarach, wyrabiało towar pierwszorzędnej jakości, to też od samego początku znalazło oparcie o stałych i zadowolonych klientów. Dzięki iniejątywie i wytrwałej pracy współzałożyciela fabryki, obecnego jej właściciela, p. Władysława Ranusa, firma „Malto” rozwijała się stale mimo wznmagającego się kryzysu ogólnego. Od 4 lat mieści się fabryka w obszernych budynkach własnych przy ulicy Mickiewicza, najładniejszej dzielnicy miasta Śremu. Zastosowanie najnowocześniejszego urządzenia, jakoteż sprawna organizacja podniosły znacznie jej wydajność.

W oddziale pierwszym wytwarza fabryka ekstrakty słodowe „Malto” o różnych właściwościach, znane nie tylko w kraju, lecz również popularne zagranicą Polski. Ekstrakty odżywcze składają się w trzechczwartych części z węglowodanów z dodatkiem białka i soli mineralnych; posiadają zatem dużą ilość witamin. Dzieciom, ludziom cierpiącym i uzdrowieńcom dopomaga ekstrakt odżywczy „Malto” do szybkiego przybrania sił i wagi. Ekstrakty techniczne znalazły szerokie zastosowanie w przemyśle włókienniczym. Innego znów rodzaju ekstrakt t. zw. „Malto-B” używany jest przez cukierników i piekarzy; dodaje on pieczywu delikatności, smaku i treści.

Drugim oddziałem tej fabryki jest wytwornia konserw kawowych. Jako bardzo podzielne i wygodne w magazynowaniu zostały konserwy kawowe wprowadzone poraz pierwszy w wojsku, gdyż dzięki sprasowaniu składników zatrzymują one przez bardzo długi czas swój właściwy aromat i smak. Zalety te poznało również harcerstwo, więziennictwo, Fundusz Pracy, większe fabryki, szpitale i inni na terenie całej Polski, używają konserwy kawowe stale. Kawa konserwowa, to kostki prasowane, wydające zdrowotną i smaczną kawę już przyprawioną i słodzoną.

Ogólnie znane są cukierki „Malto”, skutecznie działające przy wszelkich niedomaganiach dróg oddechowych.

Latem, szczególnie w dni upalne, stają się bardzo pożyteczne artykuły, wyrabiane przez firmę „Malto” pod nazwami „Karamel-Malto” i „Chłodzik-Malto”. Służą one do domowego wyrobu taniego, bardzo smacznego i orzeźwiającego napoju chłodzącego, którego sposób przyrządzenia jest bardzo prosty.

Zdrowe zasady kupieckie i rdzenna polskość, na których firma oparta, rokuje dalszy pomyślny rozwój fabryki „Malto”.

O ŚREMSKICH KOŚCIOŁACH.

mówi nam ks. Radca St. Michalski.

Przechodzimy obok kościoła parafjalnego, pięknego zabytku późnego gotyku i za chwilę rozmawiamy o nim z ks. radcą Michalskim.

Pierwszą wzmiankę o kościele spotykamy w roku 1298. Z tego ks. radca wnosi, że musiał być wybudowany przed tym rokiem.

Kościół jest jednonawowy, późnogotycki, budowany z cegły. Posiada wieżę od zachodniej strony. Wewnątrz kościoła bardzo ładne sklepienie. Kościół ma właściwie dwie części, starą i nowszą. Stary kościół sięgał do partji dzisiejszego chóru. Dzisiejszą szatę otrzymał kościół w wieku XV, wieżę zaś w XVI.

W roku 1270 był w Śremie wzniesiony drugi kościół pod wezwaniem Narodzenia Matki Boskiej. W 1616 roku mieszkający w Śremie Jezuici ufundowali piękną kaplicę przy swym klasztorze.

Ks. Radca pokazuje nam ciekawe zbiory starych dokumentów, skrzętnie przez Ks. Radcę strzeżonych. Więć bardzo ciekawy dokument z 1683 r., z czasów Jana III, potwierdzający wszystkie przywileje miasta Śremu. Znajduje się tam wyczerpująca rekapi-

tulacja wszystkich dotychczasowych przywilejów miasta i uregulowane są ważniejsze przejawy życia miejskiego.

Nakoniec wpadamy na chwilę do kościoła, by obejrzyć 2 stylowe konfesjonały w stylu rokoko, starą monstrancję z 1655 r., inną barokową z 1689 r.

Zegnamy duchownego i za chwilę jedziemy już autem do Książa.

ŻEBY W SPOKOJU DOKONAĆ RESZTY ŻYWOTA...

Zatrzymujemy samochód „na chwilę”. „Chwila” zmienia się w długie godziny. Nie można wielkiego zakładu zbyć kwadransiem wywiadu. Żyje w nim 320 starych biednych ludzi, którzyby w nieuporządkowanych warunkach społecznych umierali z głodu i chłodu pod płotami i w rowach dróg obojętnego świata.

O zakładzie opowiada nam szczegółowo i jasno jego młody, energiczny kierownik.

Zakład istnieje od roku 1893. Mieści się w dawnych budynkach poklasztornych, z których „Kulturkampf” wypędził OO. Jezuitów.

Zakład został w roku 1908 rozbudowany o szereg pawilonów, tak, że obecnie mieści w sobie 320 ludzi.

Jaki element dostaje się do śremskiego zakładu? Są to ludzie pozbawieni domu, związków rodzinnych, ludzie pozbawieni wszystkiego, co zapewnia człowiekowi egzystencję. Ubodzy, kaleki, upośledzeni, bezdomni.

— Przeszło połowę ludzi w naszym zakładzie stanowią starcy, którzy przyszli, żeby w spokoju dokonać żywota. Są to po większej części nieszczęśliwcy. Określenie ich „fachowe” brzmi: „ludzie, którzy popadli w opiekę publiczną”.

— Jakie są podstawy finansowe zakładu?

— Oczywiście prowadzimy tu ścisłe rozliczenia. Zasadniczo na każdego z naszych pensjonariuszy otrzymujemy 1,40 zł. Pieniądze te otrzymujemy od mniejszych jednostek samorządowych, z których terenu pochodzi dany ubogi i które obowiązane są do jego utrzymywania. Otrzymują oni za ten 1,40 posiłek trzy razy dziennie i pozatem są całkowicie utrzymywani przez Zakład.

— Czy jest tu przeprowadzony podział na zdrowych i chorych?

— Owszem, jest nawet „terytorjalne” rozgraniczenie. W części poklasztornej budynku pomieszczeni są zdrowi, w części dobudowanej, szpitalnej, leżą obłożnie chorzy.

Zdrowi są częściowo zatrudniani w zakładzie. Mamy bowiem gospodarstwo ogrodowe i trzodę chlewną. Za pracę swoją otrzymują oni pewne wynagrodzenie i to jest dla nich wielką radością. Mogą sobie bowiem nabywać pewne osobiste, ulubione drobnostki, jak tytoń i t. p.

— Jaki jest tu tryb życia?

— Zakład nasz nie jest ściśle zamknięty. Istnieje możliwość wypuszczania pensjonariuszy na miasto, chociaż robimy to jak najrzadziej, żeby uniknąć żebraniny i wścizności, do których ci starzy mają predylekcję. Mają zresztą, jak pan redaktor zauważył, wielki, przestronny park, po którym mogą odbywać dłuższe spacerki.

Wychodzimy z gabinetu, który zdaniem dyrektora, był kiedyś celą przeora. Potem p. dyrektor wysnuwa pewne historyczne wnioski. Ze starych kronik wynika, że w tym właśnie miejscu stał niegdyś zamek kasztelański. Chodzą słuchy o podziemnych korytarzach i gankach, które szły spod „klasztorka” do kolegium jezuickiego... Nie było tu bowiem, jak wiadomo, samego zgromadzenia OO. Jezuitów, a mieściło się tylko kolegium, gdzie kształcono młodych adeptów na mądrych Jezuitów.

Oglądamy budynek. Fundamenty ma gotyckie, choć sam kościółek jest w stylu barokowym.

Wechodzimy do jego wnętrza. Oryginalny ołtarz główny, przedstawiający „arkę przymierza”. Stary obraz św. Ignacego, patrona kościółka, oddziedziczony po Jezuitach. Na ścianach pierwszorzędne sztychy barwne, przedstawiające stacje Męki Pańskiej. Ślicz-

na figura Matki Boskiej, rzeźba w białym marmurze. Renesansowa rzeźba drewnianego Chrystusa.

Wychodzimy z kościółka, który wywiera bardzo miłe, pogodne wrażenie. A to jest ważny moment psychologiczny dla ludzi, którym w życiu pozostało jeszcze tylko — umrzeć.

Idziemy przez ogród, w którym pochylone postacie pracują nad tarasami. Przez zbudowanie tarasów na pochyłym terenie ogrodu zdobył już zakład przydatne na ogrodnictwo tereny. Przedtem deszcze i wody zmywały wszystkie zasiewy.

Potem przez pokoje zakładu i sale. Dawniej były to ciemne celki zakonne. Teraz przerobiono je i przemalowano na pogodne, ciepłe mieszkanca.

Przechodzimy następnie do nowego budynku szpitalnego. Tu już są wszystkie nowoczesne urządzenia techniczne i higieniczne. Pozatem jasno i przestronno, czyściutko. Jest i radjo.

Dyrektor opowiada mi jeszcze o rzeczach przykrych, o różnych niesamowitych nieraz rodzajach schorzeń nieszczęśliwców tu mieszkających.

Żegnamy się na jednej z alei ładnego parku zakładowego.

W MIASTECZKU O KSIĄŻĘCEJ NAZWIE.

Pędzimy ze Śremu do Książa. Dzień jest ponury, a teren dookoła równy i jednolity. Gdzieś na widnokręgu czerni się linja lasu. Linja staje się coraz grubsza i wreszcie pochłania nas ciemne wnętrze lasu. Młody las, wioski, staw, moczary, dużo wiraży, rząd wiatraków, wieża kościoła i oto wpadamy do Książa. Zatrzymujemy się przed niepozornym domem. Tu mieści się magistrat.

DAWNA SIEDZIBA KASZTELANJI.

Rozmowa z burmistrzem Książa, p. Ed. Borysem.

Historja Książa zaczyna się w zamierzchłych czasach. Już w latach 1273—1402 był Książ siedzibą kasztelanów. Podniesienie go do rzędu miast nastąpiło w roku 1407. W roku 1441 król Władysław Warneńczyk zapisuje Książ za 400 zł. Albertowi Słupskiemu jako posiadłość lenną z zastrzeżeniem prawa swego pobytu.

Potem jest niejasna sprawa Szymona Czaji, nazwanego w dokumentach „Erbrichter”, którego syn Paweł w 1480 roku sprzedał Książ szlachcicowi Michałowi Drogoszowi za zł 100. W końcu XVII w. znajduje się Książ w posiadaniu Zakrzewskiego.

Wielką datą dla miasta jest rok 1848. W dniu 29 kwietnia tego roku po czterogodzinnej walce, w której 100 strzelców, 140 ułanów i 550 kosynierów, pod dowództwem Florjana Dąbrowskiego, walczyło przeciwko przeważającej sile Prusaków — powstańcy ponieśli klęskę, Niemcy zdobyli Książ i zrabowali go w brutainy sposób.

Tuż przy mieście na 5-morgowym kawałku gruntu mieści się pamiątka po poległych powstańcach. Wśród drzew stoją dwa kopece z ich zwłokami.

Książ wziął także bardzo żywy udział w walce kulturalnej (1873—1885 r.). Ciężko było nam tu, gdy rządy parafji objął „ksiądz majowy”, syn polskiego chłopca — Kubecek, który wyrzekł się nie tylko władzy duchownej, ale i swej polskiej narodowości.

— Co Książ obecnie posiada?

— Kościół katolicki z czasów Sobieskiego, fundowany przez Macieja Zakrzewskiego. Jest to barok z rokokowemi ołtarzami. W dzwonnicy kościoła katolickiego znajdują się dwa starożytny dzwony z napisami łacińskimi, pisanymi gotykiem. Starszy z nich ma lat 500, a 2-gi 450. Starszy więc jest co do swego wieku siódmym na obszarze całej Wielkopolski.

— Jak się przedstawia gospodarczo Książ współczesny?

— Książ posiada niespełna 1000 mieszkańców. Ma charakter rzemieślniczo-handlowy. Posiada 7-klasową szkołę powszechną i szkołę doksztalającą-przemysłową.

Zakłady przemysłowe są liczne, ale słabe: młyn parowy, mleczarnie, olejarnia.

— Jak tu w Książu idzie praca społeczna?

— Rozwija się ona w chwili obecnej bardzo pomyślnie. Mamy tu szereg towarzystw ogólnie - społecznych, dobroczynnych, kulturalno - oświatowych, wojskowo - wychowawczych i t. p.

Współpraca Magistratu i Rady Miejskiej idzie bardzo harmonijnie i może się ona poszczycić już niebylejakimi wynikami.

— Jak się przedstawia dorobek miasta?

— W ostatnich latach stworzono u nas wspaniałe boisko, wzorową strzelnicę, ogród dla dzieci, przepisową targowicę, aleję rynkową. Wybudowano i piękną strażnicę dla sprzętów przeciwpożarowych, nowy areszt policyjny, słupy ogłoszeniowe, zakupiono 12 mórg ziemi, budynek ratuszowy i t. d. W projekcie mamy częściową kanalizację miasta oraz budowę szkoły powszechnej.

U STÓP KOPCÓW MOGILNYCH.

Jedziemy dalej przez miasto. Zostawiamy z boku pusty, jak wymiótł, rynek, minęliśmy już kościół. Podskakujemy po grudzie drogi. Z boku parkan ogładzający chlubę Książa: rzeczywiście imponujące boisko sportowe.

Samochód staje przed kratą bramy wejściowej. Tę przestrzeń, odgradzającą nas od dwóch wyniosłych kopców mogilnych, przebyć trzeba pieszo i z nabożeństwem.

Pod płytą ziemi, zroszonej ich właśnie męczeńską krwią, leżą obok siebie zwłoki poległych w nierównej walce z 29 kwietnia 1848 roku powstańców.

Wśród kęp młodych jodeł stoją dwie wyniosłe, ale szare i niepozorne mogiły; ze szczytów ich tuż obok krzyży, wyrastają jakby z piersi poległych zielone, szumiące sosny.

W podmuchach silnego wiatru drżą i szumią. Śpiewają niezmordowanie pieśń uwielbienia dla tych, którzy umieli „pro patria mori”: umrzeć za Najjaśniejszą.

W LETNIEJ REZYDENCJI BISKUPÓW POZNAŃSKICH.

Wracamy do Śremu, ale już po chwili pędzimy zeń w innym kierunku. Do Dolska. Minęliśmy autobus, wypełniony „po brzegi”, chociaż ich tyle kursuje na tej drodze.

Dolsk, dawniej Dolsko, uzyskał ustrój miejski w roku 1359 od króla Kazimierza Wielkiego, za czasów Biskupa Poznańskiego Jana Doliwy. W roku 1373 panowała w Dolsku wielka susza, tak, że wody w stawach i studniach powysychały, a rzekę Wartę pod Śremem wszędzie można było przejść wbród. W roku 1403 król Władysław Jagiełło nadał miastu jeszcze obszerniejsze prawa, mianowicie, jakie miał Poznań i Kalisz, więc miasto najznakomitsze w Wielkopolsce. Nawet „prawo miecza” czyli karanie przestępcy śmiercią przysługiwało sądowi dolskiemu.

W roku 1513 król Zygmunt I odnawia przywileje nadane Dolsku przez Władysława Jagiełłę a nadto powiększa liczbę jarmarków. W roku 1585 Stefan Batory nadaje Dolsku przywilej na pobieranie podatku przewozowego. W roku 1604 nawiedziło Dolsk mordercze powietrze, które znacznie przerzedziło ludność miasta.

W roku 1627 podczas trwania trzydziestoletniej wojny, horda zwana hordą Mansfeldzką, złożona z niedobitków generała Ernsta Mansfelda, w liczbie 4000 rabusiów różnej narodowości, wpadła niespodziewanie od granic Śląska do Wielkopolski i zatrzymała się pod murami klasztoru XX. Benedyktynów w niedalekim Lubiniu, gdzie zabrała wszystkie kosztowności klasztorne, a potem podążyła na wschód ku Dolsku, gdzie również poczyniła straszne szkody w mieście i okolicy.

W roku 1409 założona została w Dolsku drukarnia, z której pierwsze dzieło wyszło w języku słowackim. Znane są w literaturze procesy czarownic dolskich z 16 i 17 wieku.

W roku 1670 założono w Dolsku Bractwo Kurkowe. Ustawy Bractwa zatwierdził król Michał Korybut Wiśniowiecki (26. VII. 1670). Od dawnych lat istnieje Szpital Katol. Ubogich pod wezwaniem św. Ducha (dom starców), który jest fundacją miejscowych oby-

wateli katolickich. Do szpitala należy 44 ha roli i dom mieszkalny dla ubogich starców, w którym obecnie znajduje przytułek 12 starców.

Dolsk miał jeszcze jedną cechę szczególną. Oto, że od w. XIII był on własnością Biskupów Poznańskich, którzy posiadali tu swą letnią rezydencję.

Najdłużej, bo lat 30 rezydował w Dolsku książę biskup Czartoryski. Pobyt jego w Dolsku przyczynił się wybitnie do wzrostu i upiększenia miasta. Najpierw zamek biskupi, który wziął w posiadanie w r. 1739, a który w bardzo nędznym stanie się znajdował, wyrestaurował i urządził wewnątrz według ówczesnego gustu francuskiego. W tymże stylu wybudował i urządził probostwo. Wystawił także dwa pałace w Dolsku, zwane pawilonami; jeden z nich obecnie służy na prywatne mieszkanie, drugi na szkołę powszechną. Prócz tego założył biskup wspaniały ogród włoski tuż przy pawilonach leżący i doprowadził winnicę do kwitnącego stanu. Wreszcie zbudował wspaniałe łaźnie w pobliżu pałacu oraz miał własną flotyllę, która kołysała się na lazurowych brzegach „Wielkiego Jeziora”.

Rok 1790 to rok strasznego pożaru w Dolsku. Potem były zarazy i klęski.

— Jaki jest stan obecny miasta?

Liczy ono obecnie 1.720 mieszkańców, w tem 1700 Polaków i 20-tu Niemców. Żydów niema wogóle.

Majątek miasta oceniany jest na 120.000 zł., przytem muszę zaznaczyć, że nie obciąża go żaden dług. Spłaciliśmy je bowiem ostatnio w 1923 roku. Budżet miejski kurczył się z roku na rok. 1933/34, zamyka się cyfrą 18.610. Do obszaru miasta należy także pięknie położony folwark Podrzekta o obszarze 180 ha.

— Jak wygląda dorobek miasta?

— W roku 1929 wybrukowaliśmy nową ulicę Podgórną i założyliśmy 150 m. chodnika kosztem ca 9.000 zł. Następnie założyliśmy nowe ogrodzenie przy figurze św. Jana w rynku i wsadziliśmy kilkaset drzew owocowych. Budynek gospodarczy, przeniesienie lokalu Kasy Miejskiej do budynku własnego i t. p., oto dalsze pozycje naszego dorobku.

Projektujemy w najbliższej przyszłości wybudowanie łazienek, położenie nowego chodnika w rynku, przebrukowanie ulicy Gostyńskiej oraz wybudowanie boiska.

— Sporty wodne mogą mieszkańcy już teraz uprawiać?

— Tak. Tuż przy mieście leży piękne jezioro o obszarze około 200 ha. I sport kajakowy rzeczywiście rozwija się niezwykle. W lecie pozatem zjeżdża do Dolska moc letników z dalszych i bliższych miast i ci pomagają jeszcze w rozwoju sportów wodnych.

— Wreszcie o strukturze gospodarczej?

— Jeśli chodzi o przemysł, to dobrze rozwija się tartak p. Ignacego Bulińskiego, oraz mleczarnia.

Ludność miasta składa się przeważnie z rzemieślników i handlarzy bydła. Poza tem dużo rolników i kupców.

Chwila miłej pogawędki w mieszkaniu prywatnem p. burmistrza i uciekamy.

U KSIĘDZA, KTÓRY JEST LITERATEM I ZNAWCĄ SZTUK PIĘKNYCH.

Ks. dziekan Zakrzewski opowiada nam o wielu rzeczach ciekawych.

Ks. dziekana zastajemy mocno zafrasowanego. Oto przyjechał ks. dziekan niedawno do domu i w drodze dowiedział się, że nieznani sprawcy dokonali podczas nieobecności włamania do probostwa i wykradli ogniotrwałą kasę. Poszukiwania policyjne nie wykryły sprawców, ale doprowadziły do odnalezienia kasy. Leżała ona porzucona widocznie w pośpiechu w rowie przydrożnym, pełnym wody. Właśnie ks. dziekan wydobył różne pamiątkowe skrypty (cenne zabytkowe pamiątki były na szczęście ukryte gdzieindziej).

W tych warunkach rozmowa „nie klei się” chwilami. Ks. dziekan jest poddenerwowany, co ma zupełne uzasadnienie.

Zdążyliśmy „po drodze” zauważyć piękną linię stylowego, barokowego probostwa.
— Wiemy już, proszę ks. Dziekana, że mieściła się tu dawniej letnia rezydencja biskupów poznańskich.

— Ten jednak budynek, w którym się znajdujemy, pochodzi z późniejszych czasów. Pierwotna bowiem rezydencja została rozebrana. Pozostały po niej dwie piękne oficyny, które panowie z mojego ogrodu zobaczycie. W jednej z nich znajduje się obecnie dworek p. Burzyńskiego z Jaskółek, w drugiej zaś mieści się szkoła.

Oglądamy wnętrze pokoi, w których mieści się mnóstwo pamiątek ze świetnej przeszłości parafji w Dolsku. Ks. Dziekan komentuje wszystko, wykazując wielki smak i znanstwo. Nie dziwnego. Ks. Zakrzewski jest nie tylko dziekanem, ale także twórcą małych, ale dobrych sztuk teatralnych, autorem kilku wartościowych monografij.

Potem idziemy do kościoła, zabytku z XIV wieku. Oglądamy kościół zewnątrz. Jest on architektonicznie zepsuty o tyle, że nie posiada stylowej czystości.

Zato położony jest pięknie. Bo oto spoglądamy na rozległe wody jeziora, które spokojnymi przypływami przytula się niemal do stóp kościoła.

Właśnie zapada zmierzch. Daleko na przeciwległym, wyniosłym wzgórzu jeziora ciemnieje smukła sylwetka kościoła św. Wawrzyńca.

Ks. dziekan opowiada nam o wielkich odpustach i rzeszach ludzi pobożnych, którzy tam w dzień świętego patrona piękną odbywają wędrowkę.

Wehodzimy do wnętrza wielkiego, katedralnego, jak na czasy jego zaistnienia — kościoła. Nad nami piękne, żebrowe sklepienie gotyckie, wsparte na ośmiokątnych filarach. Renesans wielkiego ołtarza. Obraz, będący kopją słynnego obrazu Tycjana „Zdjęcie z krzyża Pana Jezusa”.

W zakrystji oglądamy piękny kamień do „lavobo” z herbem „Łodzią” Andrzeja Bnińskiego, fundatora kościoła dolskiego.

Potem pod przewodnictwem ks. dziekana ruszamy w wędrowkę po najbliższej okolicy. W pewnej chwili zaczynamy podziwiać naszego przewodnika. Nie jesteśmy zmęczeni a coraz nam trudniej nadażyć jego szybkiemu marszowi po zboczach łagodnych wzniesień. A przecież ks. dziekan jest już zaawansowany w latach, gdy my jesteśmy o tyle młodsi.

W drodze powrotnej toczymy żywy dyskurs na temat roli rodzinnej twórczości dramatycznej. Ze znawcą mówimy, fachowcem. Ks. dziekan przecież wiele już utworów scenie przysporzył.

A oto nadjechał i autobus. Żegnamy ks. dziekana i w śniegu, który przesłania świat coraz gęstszą firanką, pędzimy do Śremu.

MIASTO WŁASNYCH DOMKÓW.

W gościnie u burmistrza m. Mosiny.

Rozległy i długi jest powiat śremski. Tyle w nim zresztą bogactwa rzeczy, które obejrzeć trzeba, że niesposób w jednej wędrowce zobaczyć wszystko.

W międzyczasie przyszły wielkie mrozy, że właściwie trzeba by siedzieć przy kominku i wspominać co piękniejsze wędrowki po ziemi wielkopolskiej. Ale przecież tyle jeszcze powiatów czeka na nas. Skoro więc na biurku redakcyjnym znalazło się parę listów, zaczynających się od słów: „Dziwi nas bardzo, dlaczego nasz powiat zostawia Szan. Redakcja na boku... i t. d., postanawiamy usunąć potrzebę dziwienia się. Dlatego trzeba było najpierw skończyć z powiatem śremskim. Krótka decyzja i marszruta jest wyznaczona. Jutro rano do Mosiny, potem do Staszycówki. — Nazajutrz: Kórnik, Rogalin.

Dzień jest bardzo zimny, ale jasny i słoneczny. Ledwośmy wyjechali z Poznania a już oto siedzimy w gabinecie burmistrza m. Mosiny i rozmawiamy z p. burmistrzem. „Nie zauważyliśmy nawet, że leżąca „pod nosem” Poznania Mosina pięknie jest położona wśród łańcuchów leśnych i jezior. Zresztą teraz nie czas na robienie obserwacyj krajoznawczych. Trzeba tu przyjechać w skwarne dni lata, zanurzyć się w gęstwinie leśne do-

okoła Mosiny wieńcem się ciągnące, trzeba popłynąć po spokojnych falach pięknych jezior: skrzyneckiego, góreckiego, budzyńskiego. Wtedy świat się wyda innym, niż ten dzisiejszy spokojny, biały i zaśniewany.

Okazuje się, że Mosina ma już długie wieki istnienia za sobą. Nazywała się w międzyczasie różnie: Moszyn, Moszczyn, Mossina, oto niektóre z nazw. Było to już na początku w. XIV miasto, należało do palatyna poznańskiego Mikołaja, który w roku 1303 kazał w mieście urządzić wszystko na sposób niemiecki. W roku 1392 Mosinę podarował Jagiełło Piotrowi za oddane krajowi usługi. Jadwiga następnie przeniosła własność Mosiny na osobę Przełępeka Stasza. W roku 1429 dostaje się Mosina na dożywotnią własność Piotra z Bnina. Gdy w roku 1450 Kazimierz Jagiellończyk ofiarował miasto Maciejowi z Bnina przybrał on nazwisko Moszyńskiego. W roku 1557 przy podziale majątku rodziny Moszyńskich dostaje się Mosina w ręce Stanisława Górki.

Miała naówczas Mosina niezwykle warunki rozwojowe: przechodziły bowiem tędy 3 drogi: pocztowa, wojskowa i droga bita. W roku 1793 liczyło już miasto 419 mieszkańców. Na 73 jednak domy nie było ani jednego murowanego. Do Mosiny należały wówczas rozległe dobra i lasy. Dwaj jednak starostowie okoliczni Czarnecki i Kęszycki z Sowińca i Niwki bezprawnie unniejszali co pewien czas majątek Mosiny.

Zbiedniała więc Mosina i teraz znana jest nie z bogactw swych, lecz ze złośliwego powiedzenia o „elegancie z Mosiny”. Powinna być jednak także znana ze swej pierwszorzędnej gospodarki, o czym przekonywujemy się w rozmowie z jej kierownikiem.

— Znajdujemy się w orbicie gospodarczej Poznania. Jest to prawdziwa klęska dla miejscowego kupiectwa. Jest bowiem łatwo zrozumiałe, że mieszkaniec Mosiny, który ma na dobę „tylko” 53 okazje taniego wyjazdu do Poznania z reguły zakupy swe wszystkie załatwia w Poznaniu. Nie więc dziwnego, że kupiectwo miejscowe prosto wegetuje.

Miasto nasze posiada charakter urzędniczo-robotniczy. Obie te warstwy zatrudnienie znajdują w Poznaniu, do którego ludzie ei dojeżdżają. Już tutaj narzuca się naturalność wielkiego wpływu Poznania na Mosinę.

Ze względu na swe właściwości zdrowotne Mosina posiada w coraz większym stopniu charakter letniskowy. Obecnie już w sezonie letnim przebywa u nas 300 — 400 letników.

Charakterystyczne właściwości Mosiny jako miejscowości letniskowej wpływają na to, że urzędnicy z Poznania chętnie tu osiadają i budują własne domki. Od roku 1930 wybudowano tu u nas 198 takich domków. Powoli Mosina zamienia się w „miasto własnych domów”. Wielką przeszkodą dla tego ruchu budowlanego jest brak planu rozbudowy miasta. Obecnie jesteśmy na drodze już do otrzymania planu rozbudowy.

Nie jesteśmy bogaci, bo cały nasz majątek wynosi 162.000 złotych, ale zato nie mamy żadnych długów.

Budżet nasz, który wynosi około 48.354 zł jest dlatego taki skromny, że nie posiadamy u siebie żadnych przedsiębiorstw miejskich, które zwykle wpływają na pęcznienie budżetów. Światło np. elektryczne od roku 1928 dostarcza nam elektrownia w Poznaniu.

W warunkach, w jakich żyjemy, nie możemy sobie pozwolić na żadne kosztowne inwestycje. Mamy zresztą inne poważne i konieczne wydatki, jak wydatki na przebudowanie bruków.

Przy tych szczyptych naszych możliwościach gospodarczych niewieleśmy mogli zrobić. Przebrukowaliśmy jednak około 500 mtr. ulic. Założyliśmy 200 mtr. nowej kanalizacji i wybudowaliśmy nową wspinaczkę strażacką.

Pozatem na zakończenie chciałbym podkreślić, że Mosina jako miejscowość, położona 65 mtr. nad poziomem morza jest terenem panującym nad okolicą i jest miejscowością bardzo zdrową. Dołączają się tu jeszcze okolne wzgórza i wielkie, piękne lasy. Charakterystyczne jest to, że mamy stosunkowo bardzo mało opadów a w każdym razie dużo mniej niż ma Poznań.

„BARWA KAŁAMAJSKIEGO” W SŁUŻBIE KLIENTA.

W ważnej placówce przemysłowej Mosiny.

Jest to hasło i drogowskaz znanej farbiarni parowej i pralni chemicznej „Barwa”, której właścicielem jest znany kupiec i przemysłowiec Stefan Kałamajski z Poznania.

— Jakie prace wykonuje „Barwa”? — zapytujemy kierownictwa.

— „Barwa” czyści chemicznie wszelką odzież, futra, plusze, dywany, portjery, firany, abażury, kołdry, okucia meblowe i ścienné, meble, wnętrza samochodów i t. p. Farbuje odzież, wszelkie materiały, przędzę, kurtki skórzane, rękawiczki i buciki skórzane oraz futra. Czyści chemicznie i farbuje kapelusze męskie, damskie i dziecięce. Czyści chemicznie aparaty kościelne, i chorągwie także o wartości muzealnej. Plisuje wszelkie materiały według najnowszych wzorów. Dekatyzuje materiały dla osób prywatnych, dla składów i przemysłu.

Dzięki akuratywnej i fachowej pracy, dzięki troskliwości, jaką otacza się oddane do farbowania lub chemicznego czyszczenia, plisowania i dekatyzowania rzeczy, dzięki szybkości wykonania i przystępnym cenom, „Barwa” zdobywa sobie całkowite zadowolenie klienteli.

„Barwa” jest największym przedsiębiorstwem tego rodzaju w Polsce. Posiada filje fabryczne w Poznaniu, Gnieźnie, Inowrocławiu, Gdyni, Ostrowie, Lesznie i Toruniu. Fabryka znajduje się w Mosinie koło Poznania. Prócz filji własnych „Barwa” posiada na terenie wojew. poznańskiego i pomorskiego w różnych miastach agentury, które przyjmują i wydają zlecenia po cenach fabrycznych. Istnieje pozatem specjalny oddział pocztowy, który załatwia zlecenia, nadesłane pocztą, wprost do fabryki.

Mając na usługi tak poważne i fachowe przedsiębiorstwo, jakim jest „Barwa Kałamajskiego”, nie należy oddawać rzeczy tam, gdzie niema gwarancji za fachowe wykonanie, gdzie niema gwarancji za uszkodzenia, gdzie niema gwarancji za punktualne wykonanie, gdzie niema gwarancji za zwrot powierzonej rzeczy.

Właściciel „Barwy”, kierownik, majstrowie, cały personel handlowy, fabryczny i techniczny, wszyscy bez wyjątku dokładają zawsze jak największych starań, by wszyscy klienci „Barwy” byli zadowoleni.

Wszystko i wszyscy pod hasłem:

„BARWA” w służbie klienta.

TAM, GDZIE CHORE PŁUCA ZACZYNAJĄ „NOWE ŻYCIE”.

Ledwieśmy opuścili mury magistratu a tu już porywa nas do samochodu p. starosta Krykiewicz. Zobaczymy nową, niezwykle ważną i wartościową pozycję w gospodarce jego powiatu — sanatorium „Staszycówkę”.

Podróż z Mosiny trwa krótką chwilę. Samochód wdrapuje się ciągle pod górę. Łatwo z tego wysnuwamy wniosek, że „Staszycówka” musi być położona jeszcze wyżej niż Mosina. Więc „prawie w górach”.

Przed pięknym gmachem sanatorium wita nas dyrektor dr. M. Staroniewicz. Niezwykle sympatyczny dyrektor opowiada nam w chwilę potem w swoim gabinecie o zakładzie.

Potem zaczyna się długa, ale b. interesująca wędrówka, podczas której dr. Staroniewicz opowiada nam wyczerpująco o sanatorium. Wychodzimy do zaśnieżonego parku, który obejmuje 100 mórg lasu. My w tym czasie wszystkiemu się skrętnie przyglądamy. Stwierdzamy więc, że jest tu naprawdę pięknie. Stylowe budynki zakładu toną w zaśnieżonej zieleni lasów dookoła.

W międzyczasie dowiadujemy się od naszego uprzejmego przewodnika, p. dyr. Staroniewicza, różnych rzeczy o zakładzie.

Sanatorium „Staszycówka” w Ludwikowie należy do Związku Kas Chorych w Warszawie i przeznaczone jest dla leczenia schorzeń klatki piersiowej, w pierwszym zaś rzędzie dla schorzeń płuc u kobiet i mężczyzn. Dzieci oraz piersiowo chorych w stanie nierokującym poprawy do „Staszycówki” się nie przyjmuje.

Idziemy teraz opadającą stromo w dół ścieżką wśród drzew stumorgowego parku zakładowego, z boku lewego zbocze jest gwałtowne, że czasem się zmienia w urwisko. U stóp naszych głębokie jary a za nimi w dali lśni teraz w słońcu tafła zamarzonego jeziora. W lecie musi ta okolica mieć inny, ale może jeszcze większy urok.

Dr. Staroniewicz opowiada nam dalej. Dowiadujemy się o załatwieniu przez zakład zasadniczego problemu — wody.

— U nas wielkie szpitale znajdują się najczęściej w opłakanej sytuacji pod względem wody, czynnika obecnie najważniejszego w każdym zakładzie leczniczym. Najczęściej woda obok tych zakładów ukryta jest w zawrotnej głębokości.

U nas, dzięki naszej świetnej stacji pomp doszliśmy do takiej obfitości wody, że wypada jej 300 litrów na pacjenta, a więc 3 razy więcej niż na mieszkańca Warszawy np.

Dyr. Staroniewicz pokazuje nam teraz ze słuszną dumą pięknie urządzonej stacji pomp. Rozwiązanie problemu wody w Staszycówce metodą hydroforów uznać trzeba za szczególnie szczęśliwe. Uderza przytem niezwykle ekonomiczne zużycie wody.

Wracamy do pawilonów zakładowych. Po drodze interpelujemy dyr. dr. Staroniewicza w sprawie suchości powietrza w sanatoryjnej okolicy. Dr. Staroniewicz przypomina nam rzędy drzew czereśniowych, między którymi dojeżdża się do „Staszycówki”. Zachowały się one i nie wymarły, mimo, że ten los przecież spotkał tysiące innych w niedalekiej już nawet a wilgotniejszej, bo niższej okolicy. Mgły także kładą się gdzieś w dole i po bokach i nigdy ich niema w „Staszycówce”.

Wehodzimy do jednego z pawilonów, t. zw. „Starego Pawilonu”. Dr. Staroniewicz pokazuje nam małą, niepozorną salę opatrunkową, która jednak rozsiewa nieproporcjonalnie wielką, dobroczynną działalność w okolicy. W ub. roku dokonano tam 1.886 zabiegów opatrunkowych. Dalej schludny pokój z aparatem do odmy. Wogóle w sanatorium stosowane są wszystkie najnowsze metody leczenia, jak klimatyczno-dietetyczne, leczenie odmą, złotem, tuberkuliną, solami ciężkich metali i t. d., lampą Vessely i ogólnem światłoleczeniem (lampy kwarcowe).

Oglądamy następnie gabinet dentystyczny, pokój ordynatora, aptekę zakładową.

Teraz znowu wspaniałe sale rekreacyjne z bilardem, biblioteką, radjem z głośnikiem dynamicznym (świetny wynalazek inż. Brzeskiego).

Sala jadalna. Tu wreszcie uświadomiamy sobie, że w „Staszycówce” zrobiono pewien eksperyment, ze wszechmiar udany. Oto widać na każdym kroku ucieczkę od „szpitala”. W kolorystyce, układzie, umeblowaniu sal — wszędzie. Jakże świetnie musi oddziaływać na psychikę chorych ten ton pogodnego pensjonatu, którego tu tak skrzętnie dopilnowano.

Wdrapujemy się jeszcze na wielką, barwną leżalnię dla kobiet, z pięknym, rozległym widokiem na wzburzone, zielone morze lasu w dole. Potem schodzimy do suterenu, gdzie mieszczą się wielkie magazyny, nowoczesnie urządzone kuchnia z kotłami ogrzewanymi parą, piecem angielskim i piecem piekarskim, nowoczesnie urządzone automatyczna zmywalnia a zarazem dezynfektor naczyń, oraz trójkomorowa chłodnia.

W głębi parku buduje się obecnie pawilon dla administracji. Buduje się go mądrze i oszczędnie. Krótki pobyt w pięknej elektrowni zakładowej z dwoma „Dieslami” i idziemy do „Nowego Pawilonu” obok drewnianych szałasów-pawilonów. Stoją one półkołem w młodym 30-letnim lesie szpilkowym. Jest ich dziesięć, po dwa łóżka w każdym. Te szalasy, w których chorzy mieszkają w lecie, są pierwszą tego rodzaju próbą leczniczą w Polsce.

W pięknym nowym pawilonie oglądamy b. miłe pokoje, w których mieszkają kobiety o nadwątlonych płucach.

W jednej ze sal jadalnych zjadamy obiad. Obiad jest tak smaczny, a p. dyr. Staroniewicz jest tak miłym gospodarzem, że dla tego choćby warto było by trochę „pochorować” w „Staszycówce”.

— Jeszcze kilka ogólnych informacyj — nastajemy na p. dyr. Staroniewicza „na wyjeździe”.

— Taksa dzienna wynosi dla Ub. Społ. i innych instytucyj — 7,50 dziennie (wszystko). Dla osób prywatnych od 7,90 (bez doliczania) (jedno z najtańszych sanatorjów w Polsce, mimo wysokiego poziomu świadczeń dla chorych). W odżywianiu — 5 razy dziennie — kaloryczna wartość przekracza 5500 kaloryj. Ilość osób nie przekracza rocznie 60.000.

— Jak statystycznie wyglądają wyniki kuracji?

— Całkowite wyleczenie, bądź osiągnięcie wysokiej odsetki zdolności do pracy w wyniku leczenia stanowi 60% (w sanatorjum t. zw. „otwarta gruźlica” stanowi 55%, resztę — 30% stanowią gruźlice zmiany bez obecności laseczników Kocha w płwocinie, i tylko 15% stanowią stany lekkie: uzdrowieńcy, wypoczynkowcy etc.). 20% — poprawa średnia lub mierna. 10% — stan bez poprawy. 9% — pogorszenie. 1% — śmierć. Stany ciężkie, t. zw. beznadziejne, dochodzą do 15% (odosobnieni).

W KÓRNIKU.

Nazajutrz przyszedł dzień bardzo mroźny. Wyjechaliśmy w myśl wytkniętego planu do Kórniku. Mróz był tak siarczysty, że chwilami odbierało nam to możliwość dokładnego przyglądania się ludziom i rzeczom.

Po wyskoczeniu z autobusu wpadliśmy szybko do ratusza. Porozmawiać z burmistrzem p. Wolniewiczem o mieście.

— Miasto nasze istniało już przed początkiem w. XV, jak to wynika z kronik. W XV i XVI w. słynęło ze swego dobrobytu i bogaetwa, oraz wspaniałego zamku, który w wieku XVIII był twierdzą obronną.

W roku 1574 dziedzie zamku Stanisław Górka, wojewoda poznański podejmował tutaj króla polskiego Henryka Walezego, przybywającego z Francji na koronację do Krakowa. Przyjął go zresztą z takim przepychem, że Francuzi uznali to za przepych królewski.

Miasto zajmuje obszar 614,2 ha i liczy 2.395 mieszkańców. Jest miejscowością wycieczkową, posiada piękne jezioro i rozległe lasy. Herb miasta wyobraża bramę forteczną z otwartymi wrotami i trzema basztami u góry.

Majątek nasz wynosi około 280.000, a długów mamy niewiele, bo 16.000 i są to długi z czasów jeszcze zaborczych. Miasto ma własny ratusz, rzeźnię, gazownię, elektrownię, targowicę i strażnicę, 7-klasową szkołę powszechną. Mieszkańcy trudnią się w przeważnej mierze handlem i rzemiosłem a także rolnictwem i ogrodnictwem.

Dorobek nasz jest dość znaczny. Uruchomiliśmy nieczynną przez pewien czas gazownię. Odremontowano rzeźnię. Założono 7 km. alei owocowych (1100 drzew), przeprowadzono plany regulacyjne szeregu ulic. Rozszerzono jezdnię głównej drogi Poznań — Ostrów do 10 mtr. Ułożono po obu stronach ulicy chodniki betonowe na przestrzeni 1.800 mtr. Wybudowano ulicę Cmentarną, pobudowano targowicę zwierzęcą.

Wychodzimy z ratusza, przechodzimy przez rynek. Z boku stoi piękny gotycki kościół z XV wieku. Fundowany przez Górków, pierwotnie kolegiata, potem przez pewien czas kościół protestancki.

W kościele znajduje się grobowiec wojew. pozn. Łukasza Górki (1570) i woj. pozn. Stanisława Górki (1592) oraz kasztelana z Międzyrzecza Andrzeja Górki. Dalej grobowce szeregu Działyńskich oraz dwojga ostatnich właścicieli Kórniku, generałowej Ja-

dwigi z Działyńskich hr. Zamoyskiej, oraz fundatora „Zakładów Kórnickich” Władysława hr. Zamoyskiego.

Teraz idziemy już ku rysującemu się potężnymi konturami zamkowi kórnickiemu.

Patrzymy na wieżycę i blanki zamkowe, na których złotymi plamami kładą się blaski zachodzącego słońca.

Pod kawałami słonecznego złota leży ukryty skarb: wielka, patriotyczna myśl, która w setkach szaf i regałów ustawiła tysiące bezcennych tomów, która w wielkich salach poukładała w święte szeregi najdroższe sercu Polaka pamiątki przeszłości.

* * *

Dokładny opis zakładów fundacji kórnickiej oraz galerji w Rogalinie zamieścimy w tomie II-im „Wszereż i Wzdłuż Ziemi Wielkopolskiej”, po dokładnem przestudjowaniu bogatego materiału, zebranego w Kórniku i Rogalinie.

Po roku wielkopolskich wędrówek

Przed paru dniami obchodziliśmy we dwójkę w wagonie kolejowym wspólny jubileusz. Właśnie równiutko przed rokiem wyjeżdżaliśmy w tym samym duecie i tym samym środkiem lokomocji na dziennikarską tułaczkę po ziemi Wielkopolskiej. Po paru dniach włączęgi, w powiecie, po szeregu rozmów, wywiadów, wypadów i rekonesansów wracaliśmy do Poznania. Na łamach „Dziennika Poznańskiego“ ukazywał się reportaż o powiecie, a my jechaliśmy znowu w teren.

W wagonie podczas jubileuszowych rozmyślań, wspominaliśmy wiele rzeczy i ludzi i o wielu ludziach i rzeczach mówiliśmy. Przedewszystkiem były to wspominki osobiste: Pamiętasz ten piękny zakątek wśród gorajskich pagorów? Albo dla kontrastu: „Chybaś nie zapomniał tej makabrycznej jazdy na motocyklu do Kościana, kiedy to w szczerem polu chwyciły nas w swe obroty wszystkie niemal żywioły pokolei: to nam wichur, jakby halny groził rowem przydrożnym, to znów deszcz kazał nam się kąpać w ubraniu, albo znów grad gęsty i ciężki bębnił nam po twarzach jak po dachówce. A ta kraksa pod Czempinem w drodze powrotnej? Na dobrą sprawę powinien jeden z nas mieć złamaną conajmniej jedną nogę. A ty, czy pamiętasz ten dzień fantastycznego mrozu, kiedyśmy, chytrzy na piękno, zrezygnować musieli z oglądania zamku w Kórniku? A ten najnędrniejszy z nędznych hotelików, gdzie z nas zdarto i skórę i tkankę mięśniową?

Ale były i inne „pamiętasz“. W ramach króciutkiego artykułiku niesposób wchodzić w ciekawe nieraz szczegóły. Trzeba rzecz ująć syntetycznie.

Kiedy więc wyjeżdżaliśmy na pierwszą wędrówkę po Wielkopolsce, której bliżej nie znaleźliśmy, myśleliśmy z rezygnacją: nie jedziemy nad Bałtyk, nie jedziemy w Tatry, czy Beskid Wschodni. A przecież piękne szosy ani skanalizowane dwutysięczne miasteczka z własną elektrownią, ani nawet wspaniała gospodarka rolna nie zaimponuje nam chyba. Zresztą o tych sławnych zaletach Wielkopolski wiedzą już nawet huculi w Kosowie czy Kutach.

I naprawdę teraz, gdy patrzymy na nasze wędrówki z pewnej odległości, widzimy, że to nam nie zaimponowało, jednak nie ze względu na notoryjność, na banał dobrych szós, czy murowanych chlewów. Nie.

Mieliśmy szczęście, czy nieszczęście wybrać na nasze wędrówki, okres szczególnie. Gdy pod wpływem bijącego uparcie, taraniem w mury świetnej gospodarki rolnej Wielkopolski, kryzysu, zmieniło się oblicze tej ziemi nie do poznania. Nie zaimponowały nam świetne szosy, które od lat nienaprawiane psują się niekiedy szpetnie, że wehikuł czasem podskakiwał niezgorzej. Fatalne mrozy z 1928/29 zrobiły z pięknych alei jabłkowych, czy czereśniowych, które przedtem były chlubą drogi wielkopolskiej rzędy truposzy kiwających się na wietrze nad psującymi się drogami. Gdy siedzieliśmy w gabinecie starosty, podziwiać trzeba było energję i umiejętność administracyjną tych ludzi, którzy przy kurczącym się stale budżecie zdobywali pieniądze na to, by przy wciągnięciu do akcji ludzi, mieszkających nad drogami zatrudniać rosnące z dnia na dzień rzesze bezrobotnych dla zachowywania jednej z pięknych tradycji Wielkopolski — tradycji świetnych dróg.

Nie zaimponowały nam także zkanalizowane miasteczka. Wszystkie te inwestycje kanalizacyjne, elektryfikacyjne, wodociągowe, to najczęściej pozostałość czasów zaborczych. Jeżeli zaś zdarzało się spotkać miasto, które po uzyskaniu niepodległości wybudowało elektrownię lub zrobiło inną poważną inwestycję, to był to najczęściej odruch fałszywej ambicji młodego czy starego burmistrza, który w ten kosztowny sposób chciał się uwiecznić w historii swego miasta. I uwiecznił się. Ale miasto całe za ten megalomański odruch „swego ojca“ płaci teraz zwiecznym zupełnie budżetem. Obsługa długów nierentującego się przedsiębiorstwa pochłania nieraz piątą część budżetu i uniemożliwia myślenie nawet o zrównoważeniu budżetu.

Ale znowu coś innego podziwiać trzeba było. Ofiarność, nieraz bezgraniczna wprost ofiarność społeczeństwa. Urzędnicy z poobeinanymi pensjami, kupcy zbiedniali, zbici kryzysem i, zdawałoby się, na chwilę przed plajtą się znajdujący, rzemieślnicy, sami nierządki głodujący, wszyscy oni idą ławą w niesieniu pomocy najnieszczęśliwszym z pośród siebie: ludziom bez jutra — bezrobotnym. Rzeczy te szczerze nas nieraz wzruszały, w wysuniętych miasteczkach pogranicznych zwłaszcza.

Nie zaimponowały nam wreszcie gospodarstwa rolne. Po przez ściany wielkich, świetnie urządzonych, ale próżnych teraz i niszczących się budynków gospodarczych, poprzez zepsute linje drenów i liczby z zarzuconych ksiąg gospodarstw, przemawiały do nas czasy przedkryzysowej koniunktury rolnej. Ale teraz jest źle. Teraz dziesiątkiem swoich zer wygląda zewsząd 5 miliardów zadłużenia rolnictwa. A w miasteczkach śpiewają o tem w swój ponury nokturn splajtowanych placówek — spółdzielnie rolnicze.

Tu już nie mogło nie zaimponować. Nawet to co robi dla rolnictwa Rząd przez stworzenie nowych kompetencji sądów rozjemczych, które będą dokonywać konwersji prywatnych długów rolnictwa, których skonwertować nie będzie mógł bank akceptacyjny. Może zaimponowała nam w pewnej mierze wielka rola, jaką na terenie swoich powiatów odegrały powiatowe komunalne kasy oszczędnościowe. W niektórych powiatach nadzwyczajną żywotność tych kas zdołała wstrzymać wstrząs gospodarczo-rolny w powiecie.

Dokonała się więc rewizja pojęć w naszej papierowej dotychczas wiedzy o Wielkopolsce. Zasadnicza przemiana dokonała się także w naszych poglądach na Wielkopolskę, jako teren nieinteresujący pod względem piękna pejzażowego i skarbów zabytków. Jakże przewartościowało się nasze wartościowanie, gdy w piękne słoneczne dni wiosny, lata czy złotej jesieni, oglądaliśmy powiaty nadgraniczne, które są skarbcami piękna przyrody. Takie np. niesamowite bogactwo jezior w powiecie międzychodzkiem, gdzie wśród prawdziwych ostępów leśnych spotykaliśmy jeziora najróżnorodniejsze. Miniaturowe i jeziora których kres gubił się na widnokręgu, jeziora smutne, i jeziora wesołe, jeziora różnobarwne...

Lub znowu powiat czarnkowski z niezapomnianym zakątkiem wzgórz gorajskich, pokrytych prześlicznymi, mieszanymi lasami, gdzie serpentina drogi wijącej się stromo w górę prowadzi turystę wprost w ramiona legendy o zamku feudalnego księcia.

Nie wspominały już o takich miejscach, o których każde podrastające dziecko wie, że trzeba choćby z drugiego krańca Rzeczypospolitej odbyć do nich pielgrzymkę, jak Katedra Gnieźnieńska, Mysia Wieża w Kruszwicy, jezioro Gopło, Zamek w Kórniku i wiele innych. To są słowa nabrzmiałe tak jędrną historją czy legendą, że się je wymawia z szacunkiem, z pochyleniem głowy.

A wspaniały mur Kazimierzowskich fortec z pozostałymi jeszcze wieżami: Bolesławie, Ostrzeszów, Smolary, Szamotuły, Kruszwica. A przepiękne kościoły: Rotunda św. Prokopa w Strzelnie, po Benedyktyńskiej w Mogilnie, dawne opactwo w Trzemesznie...

I wśród tego wszystkiego nieraz ukryte dla oka zbyt pospiesznie idącego turysty perły: małe, stare, drewniane kościółki, wchodzące coraz głębiej w ziemię, ciche, nadziemską ciszą klasztoru, i cisi a jakże nieraz wartościowi ludzie...



SPIS RZECZY:

	Str.
Wstęp	7
1) Gniezno	9
2) Chodzież	23
3) Czarnków	33
4) Wągrowiec	41
5) Szamotuły	45
6) Oborniki	57
7) Kościan	70
8) Wolsztyn	82
9) Nowy Tomyśl	91
10) Międzychód	110
11) Leszno	124
12) Gostyń	145
13) Śrem	160
